

GZARNA SERIA

KRYMINAL

4

3

2

1

# LEIF GW PERSSON

TEN, KTO ZABIJE SMOKA

**LEIF GW  
PERSSON**  

---

**TEN, KTO ZABIJE SMOKA**

Przekład Dominika Górecka

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2014

*To jest zła bajka dla dużych dzieci.*

Leif GW Persson

POPLAMIONY SOSEM KRAWAT, żeliwna pokrywka do garnka i zwykły młotek tapicerski z odłamanym trzonkiem. Tyle właśnie udało się znaleźć technikom z komendy w Solnie podczas wstępnych oględzin miejsca zdarzenia. Nie trzeba było być technikiem kryminalistyki, by stwierdzić, że zostały użyte do zabójstwa. Wystarczyło mieć oczy z przodu głowy i żołądek na tyle mocny, by zniósł ten makabryczny widok.

Wkrótce zresztą miało się okazać, że młotek tapicerski z odłamanym trzonkiem nie został – jak początkowo zakładano – użyty do popełnienia zbrodni, co stwierdzono z przekonaniem graniczącym z pewnością.

I gdy technicy zajęci byli swoimi sprawami, zespół dochodzeniowy zabrał się do tego, co należało zrobić w pierwszej kolejności. Porozmawiano z bliższymi i dalszymi sąsiadami, zebrano informacje na temat ofiary i wszelkie spostrzeżenia, które mogły wnieść coś do sprawy. Następnie członkini zespołu, pracowniczka cywilna policji, bo zwykle to takim funkcjonariuszom przypadała tego rodzaju robota, usiadła do komputera i zebrała wszystkie dostępne informacje.

Niebawem ukazał im się zarys smutnej historii typowej ofiary zabójstwa z kart szwedzkiej kryminalistyki z ostatnich stu pięćdziesięciu lat, to znaczy od czasu, kiedy prowadzone były statystyki. Prawdopodobnie jednak podobieństwa były znacznie dawniejsze, księgi z czasów wczesnego średniowiecza nie różniły się bowiem zbytnio pod tym względem od statystyk sądowych obejmujących czasy społeczeństwa przemysłowego. Innymi słowy, mieli do czynienia z typową ofiarą zabójstw popełnianych w Szwecji w ciągu ostatniego tysiąclecia. Innymi słowy: „Samotny mężczyzna w średnim wieku z marginesu społecznego z poważnym problemem alkoholowym”.

– Zwykły żul – jak go określił prowadzący postępowanie przygotowawcze inspektor kryminalny z komendy w Solnie, gdy relacjonował sprawę swojej przełożonej po wstępnej naradzie zespołu dochodzeniowego.

I CHOĆ RELACJI SĄSIADÓW oraz wypisów z wszelkich dostępnych rejestrów starczyłoby na niejedno dochodzenie, również technicy zadbali o kolejne argumenty na poparcie zarysowującej się tezy.

– Typowe zabójstwo po pijaku, jeśli chcesz znać moje zdanie, Bäckström – podsumował starszy z nich, Peter Niemi, gdy na naradzie przedstawiał zgromadzonym stanowisko własne i swojego kolegi.

Zarówno krawat, pokrywka do garnka, jak i młotek tapicerski należały do ofiary i znajdowały się w mieszkaniu, zanim doszło do tego przykrego zdarzenia. W przypadku krawata sprawa wydawała się oczywista, bo był zawiązany na szyi ofiary. Zgodnie z powszechnie przyjętym sposobem – pod kołnierzykiem, tym razem jednak zaciągnięty o dodatkowe pięć centymetrów ciaśniej i na wszelki wypadek zawiązany pod krtanią na zwykły babski węzeł.

Wszystko wskazywało na to, że w godzinach poprzedzających zabójstwo w mieszkaniu tym dwie osoby zasiadły do jedzenia i picia, z czego jedna – sądząc po odciskach palców – miała stać się wkrótce ofiarą. Puste butelki po wódce i puszki po piwie, szklanki, resztki jedzenia na dwóch talerzach stojących na stole w salonie wraz z resztkami jedzenia w niewielkiej kuchni pozwalały stwierdzić, że ostatni posiłek ofiary stanowiło danie należące już do klasyki szwedzkiej kuchni: smażona wieprzowina z fasolą. Sądząc po leżącym w koszu opakowaniu, danie to zostało zakupione tego samego dnia w pobliskim sklepie ICA. Tuż przed podaniem podgrzane było w żeliwnym garnku, którego pokrywką sprawca w późniejszej części wieczoru uderzył kilkakrotnie gospodarza w głowę.

Do podobnych wniosków doszedł lekarz sądowy. Przekazał je technikowi, który towarzyszył mu podczas obdukcji, ponieważ w czasie zaplanowanej narady zespołu dochodzeniowego miał na głowie ważniejsze sprawy. Na ostateczną wersję pisemnej opinii musieli co prawda poczekać jeszcze jakiś tydzień, ale do

postawienia wstępnej diagnozy wystarczyły standardowe nacięcia i wyszkolone oko.

– Żuł, jak wy to mówicie w policji – wyjaśnił lekarz sądowy, w porównaniu z resztą towarzystwa człowiek wykształcony, od którego oczekiwano dbałości o język.

Wszystko to razem – relacje sąsiadów, skrupulatne zapiski dotyczące ofiary, przedmioty znalezione na miejscu zdarzenia, ustalenia lekarza sądowego – składały się na pełny obraz zdarzeń. Dwaj żule, starzy dobrzy znajomi, umawiają się na wspólną kolację, a raczej popijawę, i w którymś momencie dochodzi między nimi do kłótni na temat jakiejś błahostki, po czym jeden z nich kończy wieczór, zabijając tego drugiego.

Nic dodać, nic ująć. Śledczy mieli wszelkie podstawy, by sądzić, że uda im się znaleźć sprawcę w najbliższym otoczeniu ofiary, wśród podobnych mu odszczepieńców, dlatego od razu zabrali się do roboty. Tego typu morderstwa wyjaśniano w dziewięciu przypadkach na dziesięć, a materiały dowodowe łądowały na biurku prokuratora w ciągu najwyżej miesiąca.

Była to więc typowa sprawa i żadnemu z policjantów z komendy w Solnie biorących udział we wstępnej naradzie nie przyszło do głowy, żeby zamówić dodatkową ekspertyzę, na przykład od zespołu profilerów Komendy Głównej, a tym bardziej od współpracującego z nią nadwornego profesora kryminologii, który tak na marginesie mieszkał zaledwie kilka przecznic od ofiary.

Żaden z ekspertów nie odezwał się też z własnej inicjatywy, zresztą może i dobrze, bo i tak potwierdziłby tylko to, co już wszyscy wiedzieli. Przynajmniej nie musieli wypinać swoich uczonych tyłków do chłosty z rąk opinii publicznej.

Wkrótce miało się bowiem okazać, że wnioski płynące z obfitego materiału dowodowego, rozległego doświadczenia funkcjonariuszy i zwykłej intuicji, którą choćby w niewielkim stopniu posiada każdy prawdziwy policjant, były chybione.

– Tylko krótko – powiedziała Anna Holt, przełożona Bäckströma, szefowa komendy rejonowej Västerort, gdy dzień po zabójstwie Bäckström zdawał jej relację z prowadzonego śledztwa.

- Zwykły żul – powiedział, kiwając ciężko głową.
- Masz pięć minut – westchnęła Holt, bo czekało ją jeszcze kilka spraw, z których co najmniej jedna była dużo bardziej skomplikowana niż sprawa Bäckströma.

### 3

W CZWARTEK 15 MAJA słońce weszło nad Hasselstigen jeden w Solnie już dwadzieścia po trzeciej. Dokładnie dwie godziny i czterdzieści minut, zanim pojawił się tam Septimus Akofeli, lat dwadzieścia pięć, z dostawą porannych gazet.

Septimus Akofeli był na co dzień kurierem rowerowym, ale od niespełna roku dorabiał, roznosząc gazety w kilku kwartałach wzdłuż Råsundavägen, między innymi do bloku przy Hasselstigen jeden. Był uchodźcą z południowej Somalii, niewielkiej wioski oddalonej o zaledwie pół dnia piechotą od granicy z Kenią. Do nowej ojczyzny przyjechał w dniu swoich trzynastych urodzin, a trafił akurat do Szwecji, bo pięć lat wcześniej przeprowadzili się tu jego ciotka, wujek i kuzyni. Pozostali członkowie rodziny nie żyli lub, jak kto woli, zostali zamordowani, gdyż tylko niewielu z nich umarło śmiercią naturalną.

Septimus Akofeli nie był zwykłym somalijskim uchodźcą, gotowym przystać na każde warunki. Miał bliskich krewnych, którzy wzięli go pod swoją opiekę, a za jego przyjazdem przemawiały poważne względy humanitarne. Z czasem wszystko zaczęło się powoli układać. Przynajmniej na tyle, na ile mogło się układać komuś takiemu jak on.

Septimus Akofeli ukończył szwedzką szkołę podstawową i liceum z zadowalającymi lub wręcz dobrymi ocenami z większości przedmiotów. Następnie przez trzy lata studiował na uniwersytecie w Sztokholmie. Zdał egzamin licencjacki z filologii, z angielskim jako przedmiotem wiodącym, następnie egzamin na prawo jazdy i w wieku dwudziestu dwóch lat został szwedzkim obywatelem. Przez pewien czas szukał pracy i w końcu ją znalazł: został kurierem w Ekokurierze – „Jesteś eko? Wybierz nas!”. Niedługo potem, gdy w skrzynce znalazł wezwanie do spłaty pożyczki studenckiej, zaczął dorabiać jako gazeciarsz. Od kilku lat mieszkał w kawalerce przy Fornbyvägen w Rinkeby.

Septimus Akofeli robił swoje i nie był dla nikogo ciężarem.



Krótko mówiąc, osiągnął znacznie więcej niż inni, wbrew swojemu pochodzeniu, i miał więcej szczęścia niż niemal wszyscy inni w podobnej sytuacji życiowej.

Septimus Akofeli nie był zwykłym somalijskim uchodźcą. Po pierwsze, jego imię było nietypowe, nawet wśród somalijskiej mniejszości chrześcijańskiej, a po drugie, jego skóra miała znacznie jaśniejszy odcień niż skóra jego rodaków. Powodem tego była osoba pastora Kościoła anglikańskiego na misji w Afryce, Mortimera S. Craigha – S jak Septimus – który dopuścił się złamania szóstego przykazania. Uczynił matkę Septimusa brzemienną, szybko zrozumiał swój błąd, otrzymał przebaczenie od Boga i z dnia na dzień powrócił do swojej parafii w niewielkiej wiosce Great Dunsford w Hampshire, położonej w jednym z najbardziej urokliwych zakątków świata.

W czwartek 15 maja pięć po szóstej rano Septimus Akofeli, lat dwadzieścia pięć, znalazł ciało Karla Danielssona, lat sześćdziesiąt osiem, w przedpokoju mieszkania na pierwszym piętrze przy ulicy Hasselstigen jeden, Solna. Drzwi do mieszkania były otwarte, a ciało zmarłego leżało metr od progu. Septimus Akofeli odłożył na bok egzemplarz „Svenska Dagbladet”, który zamierzał wrzucić do skrzynki nieżyjącego już prenumeratora, pochylił się i przyjrzał uważnie ciału. Następnie ucisnął ostrożnie jego sztywne policzki, pokręcił głową i zadzwonił pod numer alarmowy 112.

Sześć minut po szóstej został przełączony na centralę policji na Kungsholmen w Sztokholmie. Dyżurny poprosił, żeby zaczekał na linii, a sam w tym czasie powiadomił lokalne patrole policji i natychmiast otrzymał odpowiedź od jednego z nich, znajdującego się na Frösundaleden, zaledwie kilkaset metrów od zgłoszonego adresu. „Podejrzenie zabójstwa na Hasselstigen jeden, Solna”. Uprzedził ich, że „osoba płci męskiej”, która zgłosiła zdarzenie, „mówiła podejrzanie zwięźle i dziwnie opanowanym głosem”, co pewnie warto było wziąć pod uwagę, bo może ktoś robił sobie żarty z policji, a nawet miał bardziej „poważne zaburzenia...”.

W rzeczywistości sprawa była znacznie mniej skomplikowana, czego jednak nie mógł wiedzieć dyspozytor.

Septimus Akofeli przywykł do dokonywania tego typu odkryć, ponieważ już jako mały chłopiec widział znacznie więcej nieżywych i okaleczonych ludzi niż którykolwiek z dziewięciu milionów obywateli zamieszkujących jego nową ojczyznę.

Septimus Akofeli był niskim i szczupłym mężczyzną, ledwie sto sześćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu i pięćdziesiąt pięć kilo wagi. Był też dobrze zbudowany i wysportowany, o co zresztą nie trudno, jeśli co rano biega się przez kilka godzin po schodach, a potem przez resztę dnia jeździ na rowerze, wożąc listy i paczki do klientów, którym nie jest obojętny los Ziemi i którzy nie lubią siedzieć z założonymi rękami.

Septimus Akofeli był przystojnym mężczyzną o ciemnej, oliwkowej skórze, klasycznych rysach twarzy i profilu, który z powodzeniem mógłby widnieć na jakiejś starej egipskiej wazie. Naturalnie nie mógł wiedzieć, co takiego pomyślał komisarz szwedzkiej policji, który pracował jako dyżurny w centrali telefonicznej, a co do wspomnień z dzieciństwa, to zrobił wszystko, żeby o nich zapomnieć.

Najpierw spełnił prośbę i zaczekał na linii. Po kilku minutach pokręcił zrezygnowany głową, przerwał połączenie, o którym dyżurny zdążył już najwyraźniej zapomnieć, postawił torbę na ziemi i usiadł na schodach przy drzwiach do mieszkania, bo mimo wszystko chciał zostać na miejscu, tak jak obiecał.

Po kilku minutach miał już towarzystwo. Najpierw ktoś ostrożnie otworzył, a potem zamknął drzwi wejściowe. Po chwili Septimus usłyszał szuranie na schodach. Następnie stanęło przed nim dwoje policjantów w mundurach: czterdziestoletni mężczyzna, a za nim znacznie młodsza funkcjonariuszka. Mężczyzna trzymał prawą rękę na kolbie pistoletu, lewą wykonał uspokajający gest, a jego młodsza koleżanka chwyciła za stalową pałkę i ją rozłożyła.

– Okej – powiedział mężczyzna i skinął w kierunku Akofeliego. – Zrobimy tak. Najpierw wyciągniemy rączki do góry, potem wstaniemy, obrócimy się plecami i rozstawimy nogi.

Jacy my, pomyślał Septimus Akofeli, a potem zrobił, jak mu kazano.

HASSELSTIGEN TO NIEWIELKA przecznica Råsunda-vägen, długa na zaledwie dwieście metrów, oddalona o niecałe pół kilometra od stadionu, w pobliżu dawnego studia filmowego Telewizji Szwedzkiej w tak zwanym Miasteczku Filmowym w Råsunda. Zabudowana ekskluzywną mieszkaniówką z lokalami własnościowymi i zgoła innymi mieszkańcami niż przy Hasselstigen jeden.

Budynek przy Hasselstigen jeden został ukończony jesienią 1945 roku, zaraz po wojnie. Okoliczni mieszkańcy nazywali go domem zapomnianym przez Boga, a jeśli nie przez Boga, to przynajmniej przez gospodarza. Był to czteropiętrowy ceglany budynek składający się głównie z mieszkań jedno- i dwupokojowych, od dawna wymagający odnowienia elewacji, wymiany rur i całej reszty.

Podobnie mieszkańcy, oni również pamiętali lepsze czasy. Dwudziestu żyło samotnie; w większości byli to emeryci. Mieszkało tu również osiem starszych par, wszystkie na emeryturze, a także kobieta w średnim wieku, lat czterdzieści dziewięć, która zajmowała dwupokojowe mieszkanie wraz z dwudziestodzieięcioletnim synem, będącym na rencie. Sąsiedzi uznawali go za dziwaka, choć raczej niegroźnego i uprzejmego, a nawet chętnego do pomocy. Przez wiele lat mieszkał z matką, ale teraz został sam, bo wskutek wylewu trafiła do ośrodka rehabilitacyjnego.

Jedenastu mieszkańców budynku prenumerowało codzienną prasę, sześciu „Dagens Nyheter”, a pięciu „Svenska Dagbladet”, tym zaś, który już od roku dbał o to, żeby co rano gazety znalazły się w ich skrzynkach, był właśnie Septimus Akofeli. Punkt szósta rano i zawsze osobiście.

W kamienicy przy Hasselstigen mieszkało łącznie czterdzieści jeden osób, a raczej czterdzieści, bo jedna z nich właśnie została zamordowana. W czwartek po południu komenda rejonowa policji w Solnie miała już listę wszystkich mieszkańców, w tym ofiary.

Od chwili, gdy na centrali zadzwonił telefon, do momentu zamknięcia listy mieszkańców wiele się jednak wydarzyło. Za dwadzieścia dziesiątą na miejsce przybył prowadzący śledztwo inspektor kryminalny Evert Bäckström, czyli zaledwie trzy i pół godziny po tym, jak jego koledzy z „Dziupli” otrzymali zgłoszenie, co jak na Bäckströma graniczyło z prędkością światła.

Dało się to łatwo wytłumaczyć. Poprzedniego dnia etatowy lekarz policji sztokholmskiej wymusił na Bäckströmie obietnicę, że ten zmieni dotychczasowy styl życia, a wizja procedur medycznych, które należałoby wprowadzić, jeśli Bäckström dalej będzie Bäckströmem, wystraszyła go nie na żarty. Lub przynajmniej na tyle, by po spędzonym na trzeźwo wieczorze i nieprzespanej nocy udał się pieszo do swojego nowego miejsca pracy w wydziale kryminalnym okręgu Västerort.

Istna droga krzyżowa ciągnąca się bez końca przez ponad cztery kilometry. Co gorsza, w palącym słońcu na całym odcinku od jego przytulnego legowiska przy Inedalsgatan na Kungsholmen do wielkiego budynku komendy przy Sundbybergsvägen w Solnie. W temperaturze, która przekraczała ludzkie pojęcie i która pokonałaby nawet olimpijczyka biegnącego w maratonie.

W CZWARTEK 15 MAJA kwadrans po dziewiątej rano słońce wisiało już wysoko na bezchmurnym niebie. Zlany potem Bäckström szedł przez most na Karlbergskanalen i choć była dopiero połowa maja, temperatura w cieniu dochodziła dwudziestu sześciu stopni. Jak zawsze zapobiegliwy, przed wyjściem z mieszkania ubrał się stosownie do panujących na zewnątrz warunków. Hawajska koszula i szorty, sandały na bosą stopę, a w kieszeni butelka wody mineralnej prosto z lodówki, zabrana na wypadek nagłego odwodnienia organizmu.

Wszystko na nic. Jeszcze nigdy nie czuł się gorzej, choć po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu był na własne życzenie trzeźwy przez całą dobę; ani kropli alkoholu w ciągu dwudziestu pięciu i pół godziny, jeśli liczyć dokładnie.

Zabiję tego konowała, pomyślał Bäckström. Co znaczy „jestem na kacu”? Przecież nie zdążył jeszcze wypić ani jednej kropli i właśnie zaczynała się druga doba jego kuracji odwykowej, a on czuł się rześko jak orzeł, który zaplątał się w linie wysokiego napięcia.

I gdy to pomyślał, zadzwonił telefon. Dzwonił dyżurny z Solny.

– Jesteś potrzebny – odezwał się dyżurny. – Szukam cię od siódmej rano.

– Miałem poranną naradę w Komendzie Głównej – skłamał Bäckström, który mniej więcej o tej porze stracił wreszcie przytomność i zaległ w łóżku. – O co chodzi? – dodał, żeby uniknąć dalszych pytań.

– Mamy dla ciebie zabójstwo. Nasi koledzy są już na miejscu, ale potrzebują twojej rady. Zginął jakiś stary emeryt. Podobno niezła rzeźnia.

– Wiadomo coś jeszcze? – odburknął Bäckström, który mimo tak radosnej nowiny nie poczuł się ani trochę lepiej.

– Nic więcej nie wiem. Tyle tylko, że chodzi o morderstwo. Ofiarą jest jakiś starszy mężczyzna, emeryt, jak już mówiłem,

podobno kiepsko to wygląda, tak przynajmniej mówią nasi koledzy. Sprawca nieznany. Nie mamy nawet rysopisu do podania przez radio, więc sam rozumiesz. A gdzie ty w ogóle jesteś?

– Właśnie minąłem Karlbergskanalen. Kiedy nie pada, chodzę pieszo do pracy. Ruch to zdrowie – dodał na wszelki wypadek.

– No proszę – odparł dyżurny, nie kryjąc zdziwienia. – Jak chcesz, mogę kogoś po ciebie wysłać.

– Dobrze. Powiedz, żeby się pospieszyli. Będę czekał przy budynku tego klubu na brzegu kanału od strony Solny.

Po siedmiu minutach podjechał radiowóz na sygnale, ostro przyhamował, wykręcił i zatrzymał się przed wejściem do klubu AIK. Wysiadł z niego kierowca razem ze swoją młodszą koleżanką; skinęli głowami na powitanie. Szybko zorientowali się, w czym rzecz, a funkcjonariusz otworzył drzwi od swojej strony, żeby Bäckström nie musiał siedzieć na miejscu przeznaczonym dla zatrzymanych, czyli na skos od kierowcy.

– Stoisz na miejscu z podręcznika kryminologii, Bäckström – odezwał się mężczyzna, ruchem głowy pokazując krzaki z tyłu. – Holm – przedstawił się i dźgnął kciukiem na swoją umundurowaną pierś. – A to jest Hernandez – dodał i skinął głową na koleżankę.

– Co znaczy „na miejscu z podręcznika”? – odpowiedział pytaniem Bäckström, gdy już udało mu się wgramolić na tylne siedzenie, choć jego myśli krążyły wokół koleżanki Holma. Długie, ciemne włosy, zebrane w wyszukany kok, uśmiech, który rozświetliłby stadion na Råsunda, i górna szuflada, której w każdej chwili groziło wysunięcie się spod błękitnej koszuli.

– Co znaczy „na miejscu z podręcznika”? – powtórzył.

– To chyba tutaj znaleźli tę prostytutkę. Lub przynajmniej niektóre części jej ciała. Ta stara sprawa z poćwiartowaniem zwłok, o której wszyscy gadają, że maczał w niej palce ten lekarz sądowy, ten obducent, i jego kumpel, lekarz rodzinny. Zresztą cholera wie. Szef naszego wydziału kryminalnego, poczciwy Toivonen, ma na ten temat całkiem inne zdanie.

– Musiałeś być przy tym, Bäckström – wtrąciła Hernandez

i obróciła głowę, oslepiając go uśmiechem. – Kiedy to się stało? Nie było mnie wtedy na świecie. Musiało to być chyba jakoś na początku lat siedemdziesiątych? Jakies trzydzieści pięć, czterdzieści lat temu, prawda?

– Latem osiemdziesiątego czwartego – uciał Bäckström. Jeszcze jedno słowo, ty mała zdiro, a zrobię z ciebie parkingową. W Chile, pomyślał i lypnął na Hernandez.

– W osiemdziesiątym czwartym? A, to już byłam na świecie – odpowiedziała jak gdyby nigdy nic, odsłaniając w uśmiechu rząd białych zębów.

– Nie wątpię. Wyglądasz dużo starszej – stwierdził Bäckström, który również nie miał zamiaru dać za wygraną. Chciałaś, to masz, głupia lesbo, pomyślał.

– Wracając do bieżącej sprawy... Mamy ci sporo do przekazania. – Holm odchrząknął ostrożnie, próbując zmienić temat, a Hernandez obróciła się plecami do Bäckströma i na wszelki wypadek zajęła się przeglądaniem teczek z notatkami. – Właśnie stamtąd wracamy.

– Słucham – powiedział Bäckström.

Holm i Hernandez przyjechali na miejsce pierwsi. Dopijali właśnie poranną kawę w całodobowej stacji Statoil za Solna centrum, gdy dostali wezwanie. Niebieskie światło, syrena i po trzech minutach byli już na miejscu przy Hasselstigen jeden.

Kolega z centrali kazał im zachować ostrożność. Jego zdaniem „osoba płci męskiej”, która powiadomiła policję, nie zachowywała się jak ktoś, kto dzwoni w podobnej sytuacji. Nie dramatyzował, nawet nie miał drżącego głosu. Był podejrzenie spokojny i opanowany, można go było nawet wziąć za kogoś, kto dzwoni na policję, żeby powiadomić o swoich wyczynach.

– To gazeciarz. Imigrant. Miły chłopak, nie wydaje mi się, żeby to był on – podsumował Holm.

Kto by cię, kurwa, pytał o zdanie, pomyślał Bäckström.

– Co wiemy na temat ofiary?

– Właściciel mieszkania, niejaki Karl Danielsson. Starszy samotny mężczyzna, sześćdziesiąt osiem lat. Emeryt.

– I nie mamy co do tego wątpliwości – powiedział Bäckström.

– Najmniejszej – potwierdził Holm. – Od razu go rozpoznałem. Kilka lat temu zatrzymałem go za picie na Solvalla. Zaszedł nam wszystkim za skórę i poskarżył się zarówno na mnie, jak i na resztę chłopaków z każdego możliwego paragrafu. Podejrzewam, że to nie był jego pierwszy raz. Człowiek z marginesu, problemy alkoholowe, co tylko chcesz.

– Chciałeś powiedzieć typowy żul – mruknął Bäckström.

– No tak. Można tak powiedzieć – potwierdził Holm, a jego głos zabrzmiał, jakby chciał szybko zmienić temat.

Pięć minut później otworzyli Bäckströmowi drzwi przed wejściem do budynku na Hasselstigen jeden, a Holm życzył mu udanego dnia. Razem z Hernandez jechał teraz na komendę, żeby zrobić notatkę ze zdarzenia, a gdyby jeszcze mieli się na coś przydać, wystarczy, że Bäckström da znać.

Ciekawe, kurwa, na co, pomyślał Bäckström i wysiadł z samochodu bez słowa podziękowania.



CZYLI TO, CO ZAWSZE, pomyślał, wysiadając z samochodu. Przed policyjną taśmą ostrzegawczą jak zwykle zebrał się tłumek dziennikarzy, fotoreporterów, sąsiadów i okolicznych mieszkańców, a także tych, którzy najzwyczajniej w świecie byli ciekawi lub nie mieli nic lepszego do roboty. Nie zabrakło również zwykłej chuliganerii, która znalazła się tam z sobie tylko znanego powodu. Między innymi trzech opalonych młokosów, którzy nie omieszkali skomentować wyglądu Bäckströma, gdy ten z trudem zgiął się, żeby przejść pod taśmą policyjną.

Odwrócił się i wbił w nich wzrok, by zapisać sobie w pamięci ich twarze i zachować je tam do dnia, w którym spotkają się na komendzie. To tylko kwestia czasu, pomyślał, a ja już postaram się o to, żeby nie zapomnieli tego do końca życia.

Gdy mijał młodszego kolegę w mundurze, który stał w wejściu do budynku, wydał pierwsze polecenie w ramach swojego nowego dochodzenia w sprawie morderstwa:

– Zadzwoń na komendę, niech przyślą tu kogoś, kto pstryknie kilka fotek naszej drogiej publiczności.

– Już zrobione – odpowiedział funkcjonariusz. – Kaczka kazała mi to zrobić na samym początku. Koledzy ze śledczego robią pewnie zdjęcia już od paru godzin – dodał z jakiegoś powodu.

– Co za kaczka?

– Annika Carlsson. Wiesz, ta wysoka, ciemna, co zajmowała się napadami. Mówimy na nią Kaczka.

– A, ta lesba – powiedział Bäckström.

– Ja tam nic nie wiem – uśmiechnął się kolega. – No ale wiadomo. Coś tam słyszałem.

– Na przykład?

– Że lepiej się z nią nie siłować.

Bäckström pokiwał głową. Dokąd to wszystko zmierza, pomyślał, wchodząc do budynku przy Hasselstigen jeden. I co się, kurwa, wyprawia ze szwedzką policją? Fujary, lesby,

czarnuchy i zwykli debile. Ani jednego normalnego policjanta jak okiem sięgnąć.

Na miejscu zdarzenia wszystko wyglądało tak, jak to zwykle wygląda, gdy ktoś zabija starego żuła w jego mieszkaniu. Krótko mówiąc, wyglądało jeszcze gorzej, niż to zwykle wygląda w domu starego żuła. Właściciel mieszkania leżał na wznak na wykładzinie tuż przy drzwiach, ze stopami skierowanymi w kierunku wyjścia, rozchylonymi nogami i ramionami wyciągniętymi w błagalnym geście nad swoją poobijaną głową. Sądząc po woni, jego szare spodnie z gabardyny zostały w chwili śmierci zabrudzone kałem i moczem. Na podłodze rozlała się metrowa kałuża krwi, a ściany po obu stronach wąskiego korytarza były nią zbryzgane od podłogi aż do listwy pod sufitem, na którym też widniało kilka plam.

O kurwa, pomyślał Bäckström i pokręcił głową. Powiniennem zadzwonić do telewizji, do tych ciot od dekoracji wnętrz, żeby podrzucić im temat do tego ich *Mojego domu*. Skręciliby jakiś reportażyk ze społecznego marginesu, dumał Bäckström, gdy nagle ktoś przerwał mu rozmyślenia, stukając go w ramię.

– Cześć. Dobrze cię widzieć – powiedziała komisarz kryminalna Annika Carlsson, lat trzydzieści trzy, kiwając przyjaźnie głową.

– Cześć, cześć – odpowiedział Bäckström, starając się mówić głosem rańniejszym, niż wynikałoby z jego samopoczucia.

Kobieta, ale wyższa od niego o pół głowy, a przecież był roslym i dobrze zbudowanym mężczyzną w sile wieku. Długie nogi, wąska w talii, wysportowana do granic możliwości, z biustem tam, gdzie trzeba. Gdyby tylko zapuściła włosy i włożyła krótką kieckę, można by ją wziąć za kobietę. Oczywiście pomijając wzrost, bo z tym nie dało się już nic zrobić. Istniała szansa, że przestała już rosnąć, w końcu nie urodziła się wczoraj.

– Masz jakieś życzenia, Bäckström? Technicy właśnie skończyli i jak tylko przekażą zwłoki lekarzowi sądowemu, będziesz mógł rozejrzeć się po mieszkaniu.

– Może potem – powiedział i pokręcił głową. – A to kto, kurwa? – zapytał, wskazując głową szczupłą ciemnoskórą

postać, która siedziała w kucki, oparta o ścianę w głębi korytarza. Ze skupionym wyrazem twarzy i płócienną torbą na ramieniu, z której wystawało kilka gazet.

– To ten gazeciarz, który zawiadomił policję – wyjaśniła Carlsson.

– No popatrz – powiedział Bäckström. – To dlatego ma torbę z gazetami?

– Bystry jesteś – uśmiechnęła się Annika Carlsson. – Konkretnie ma tam pięć egzemplarzy „Dagens Nyheter” i cztery „Svenska Dagbladet”. Egzemplarz „Svenskan” należący do ofiary leży przy drzwiach – dodała, wskazując głową zwiniętą gazetę leżącą na podłodze w wejściu do mieszkania ofiary. – Egzemplarz „Dagens Nyheter” zdążył już dostarczyć starszej kobiecie z parteru.

– Co wiemy o tym chłopaku?

– Głównie to, że wydaje się czysty – powiedziała Annika Carlsson. – Technicy się nim zajęli i nie znaleźli ani śladu na jego ciele i ubraniu. Biorąc pod uwagę to, jak wygląda mieszkanie, musiałby być cały we krwi, gdyby to był on. Mówi, że dotknął twarzy ofiary, dokładniej jego policzka, i kiedy poczuł, że jest sztywny, zorientował się, że mężczyzna nie żyje.

– A on to co, jakiś student medycyny?

Nieźle, kurwa, pomyślał Bäckström. Chłopak ma jaja.

– Z tego, co zrozumiałam, naoglądał się trupów w swojej dawnej ojczyźnie – powiedziała Carlsson, choć tym razem bez uśmiechu.

– Próbował coś zwędzić? – zapytał Bäckström, który w takich przypadkach miał zawsze te same skojarzenia.

– Został przeszukany. Pierwszy patrol zrobił to zaraz po przyjeździe. W kieszeniach miał etui z prawem jazdy, legitymację z firmy zajmującej się dystrybucją gazet, trochę gotówki w bilonie i banknotach, zdaje się nieco ponad sto koron, głównie monety. I jeszcze prywatną komórkę. Spisaliśmy jej numer, jeśli jesteś ciekaw. Jeśli coś zwędził, nie miał tego przy sobie, a ponieważ nie znaleźliśmy też niczego w budynku, tu raczej tego nie schował.

No ładnie. I na dodatek jeszcze leniwi, pomyślał Bäckström,

bo nie zamierzał odpuścić.

– Dzwonił do kogoś?

– Z tego, co mówi, dzwonił tylko raz. Na numer alarmowy. Został przełączony do Dziupli. Podobno rozmawiał tylko z naszym dyżurnym, ale oczywiście jeszcze to sprawdzimy.

– Nazywa się jakoś? – zapytał Bäckström.

– Septimus Akofeli, dwadzieścia pięć lat, uchodźca z Somalii, obywatel szwedzki, zamieszkały w Rinkeby. Zostawił odciski i DNA. Nie zdążyliśmy ich sprawdzić, ale jestem niemal pewna, że jest tym, za kogo się podaje.

– Jak powiedziałaś, że się nazywa? – zaciekał się Bäckström. Co za idiotyczne nazwisko, pomyślał.

– Septimus Akofeli – powtórzyła Annika Carlsson. – Zatrzymałam go, bo sądziłam, że będziesz chciał z nim porozmawiać.

– Nie. – Bäckström pokręcił głową. – Jeśli chodzi o mnie, może wracać do domu. Za to chętnie rzuciłbym okiem na mieszkanie. O ile te mądrale z technicznego wreszcie skończyły.

– Peter Niemi i Jorge Hernandez. Mówią na niego Chico – powiedziała Annika Carlsson i skinęła głową. – Pracuje u nas w technicznym i moim zdaniem nie mogliśmy lepiej trafić.

– Hernandez? Gdzieś już to słyszałem.

– Ma młodszą siostrę, Magdalенę Hernandez, pracuje u nas w prewencji. Na pewno zwróciłeś na nią uwagę, pewnie dlatego zapamiętałeś nazwisko – odparła Annika Carlsson, uśmiechając się szeroko z jakiegoś powodu.

– Czemu miałem zwrócić? – zaciekał się Bäckström.

– Bo to najładniejsza policjantka w Szwecji, tak przynajmniej twierdzi większość kolegów. Ja też ją bardzo lubię – powiedziała Carlsson z uśmiechem.

– Mówisz – powiedział Bäckström. Domyślał się nawet dlaczego, pomyślał.

Mieszkanie było przeciętne, zresztą nie spodziewał się niczego innego. Najpierw wieszak na ubrania i wąski korytarz. Na lewo mała łazienka i toaleta, a dalej niewielka sypialnia. Na prawo kuchnia z aneksem jadalnym, a naprzeciwko salon.

Łącznie nieco ponad pięćdziesiąt metrów kwadratowych, nie wiadomo tylko, kiedy sprzątano tu ostatnim razem, choć raczej nie w tym roku.

Meble, jak i całe wyposażenie mieszkania, nosiły wyraźne ślady użytkowania, choć nie można było odmówić konsekwencji w ich doborze, od nieposłanego łóżka z poduszką bez poszewki zaczynając, przez zaplamiony stół w kuchni, na wysiedzianym komplecie wypoczynkowym w salonie kończąc. Jednocześnie dało się zauważyć, że zamordowany Karl Danielsson miał w życiu lepsze dni. Kilka wytartych perskich dywanów, solidne biurko z mahoniu z inkrustacjami z jaśniejszego drewna i dwudziestoletni telewizor, jak by nie było – marki Bang & Olufsen. Oraz stojący przed nim skórzany angielski fotel z podnóżkiem.

Wódka. Wódka i samotność, pomyślał Bäckström. Dla niego samego były to najgorsze chwile od dnia, kiedy jakieś pół roku temu ci debile z Sił Szybkiego Reagowania trafili go w głowę granatem. Obudził się dopiero następnego dnia na oddziale psychiatrycznym szpitala w Huddinge.

– Masz jeszcze jakieś życzenia, Bäckström? – zapytała Annika Carlsson; z jakiegoś powodu w jej głosie zabrzmiała troska.

Dwa głębsze i duże piwo, pomyślał Bäckström. Mogłabyś też zapuścić włosy i włożyć kieckę, może wtedy dałbym ci obciągnąć. Na więcej nie licz, pomyślał. Od ponad doby nie wierzył w cielesne pożądanie ani miłość duchową.

– Nie – powiedział, kręcąc głową. – Widzimy się na komendzie.

Coś tu się nie zgadza, pomyślał, idąc powolnym krokiem do komendy. Tylko co? I niby jak mam na to wpaść, skoro mój mózg kurczy się z powodu odwodnienia i pewnie zamiera wskutek nieodwracalnych zmian zwyrodnieniowych. Uduszę konowała, pomyślał.

OKOŁO TRZECIEJ PO POŁUDNIU Bäckström miał pierwsze spotkanie z zespołem dochodzeniowym. Nie była to najbystrzejsza ekipa, z jaką zdarzyło mu się pracować w ciągu dwudziestu pięciu lat spędzonych na stanowisku śledczego, ani nawet największa. Osiem osób łącznie z nim i dwoma technikami, którzy wkrótce, gdy tylko uporają się z najważniejszymi kwestiami dotyczącymi Karla Danielssona, mieli zostać oddelegowani do innych zadań. Czyli jeden plus pięć, a biorąc pod uwagę to, co już usłyszał i zobaczył w ich wykonaniu, na dobrą sprawę zostawał tylko on jeden, inspektor kryminalny Evert Bäckström, *himself*. Zresztą czy mogło być inaczej? Nie pierwszy raz Bäckström zostawał sam na polu bitwy, próbując za wszelką cenę podtrzymać nadzieję w pogrążonych w smutku i żałobie bliskich zmarłego. Nawet jeśli za Danielssonem płakałaby tylko krajowa sieć sklepów monopolowych.

– Okej – powiedział Bäckström. – Witam wszystkich, na razie bez wyjątku. Powiadomię was, gdyby coś miało się w tej kwestii zmienić. Kto chce zacząć?

– To może ja i kolega – powiedział Peter Niemi, starszy z techników. – Dopiero zaczęliśmy i czeka nas jeszcze sporo roboty.

Peter Niemi był policjantem od ponad dwudziestu pięciu lat, a technikiem od piętnastu. Miał już pięćdziesiątkę na karku, ale wyglądał znacznie młodziej. Jasne włosy, wysportowany, znacznie wyższy od przeciętnego faceta. Urodził się i dorastał na północy, w Tornedalen, i choć w Sztokholmie mieszkał przez ponad połowę swojego życia, nie zatracił dialektu. Często się uśmiechał, a jego niebieskie oczy patrzyły przyjaźnie i badawczo. Nie trzeba było być przestępcą, żeby domyślić się, czym się zajmuje zawodowo, i nie miało większego znaczenia to, że od piętnastu lat nie nosił munduru. Prawdę zdradzały oczy. Peter Niemi był policjantem, miłym i przyjaznym, dopóki zachowywał się jak człowiek. W przeciwnym razie nie

przebierał w środkach i wielu boleśnie się o tym przekonało.

– W porządku – powiedział Bäckström. – Słucham.

Wieśniak z północy, fiński drwal, mówi, jakby przed chwilą wypadł z autobusu z Haparandy, im szybciej skończy, tym lepiej dla mnie, pomyślał.

– No więc tak... – zaczął Niemi, sięgając po notatki.

Ofiarą był Karl Danielsson. Emeryt, lat sześćdziesiąt osiem. Jak wynikało z paszportu, który technicy znaleźli w mieszkaniu, miał sto osiemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu i ważył około stu dwudziestu kilo.

– Dobrze zbudowany, jakieś trzydzieści kilo nadwagi – powiedział Niemi, który miał okazję sam się o tym przekonać, kiedy kładł zwłoki na nosze. – Dokładne liczby dostaniecie od wujka doktora.

Ciekawe, kurwa, po co, skrzywił się w duchu Bäckström. Nie będziemy chyba z niego robić kielbasy, pomyślał.

– Miejsce zdarzenia – mówił dalej Niemi. – Jest nim mieszkanie ofiary. Dokładnie rzecz biorąc, przedpokój. Wydaje mi się, że był w kiblu, a pierwszy raz dostał, gdy wychodził, zapinając rozporek. To by się zresztą zgadzało z rozbryzgami krwi i zapiętym do połowy rozporkiem. Potem dostaje serię szybkich uderzeń, ostatnie, gdy leży na podłodze w przedpokoju.

– Czym? – zapytał Bäckström.

– Niebieską, emaliowaną, żeliwną pokrywką do garnka – powiedział Niemi. – Leżała na podłodze obok ofiary. Garnek stał na kuchence trzy metry dalej. Poza tym – ciągnął – wygląda na to, że sprawca użył młotka tapicerskiego z drewnianą rączką. Rączka jest odłamana zaraz przy obuchu, obie części leżą na podłodze w przedpokoju na wysokości głowy ofiary.

– Przyłożył się, mały łobuz – westchnął Bäckström, drapiąc się po głowie.

– Nie wydaje mi się, żeby był taki znowu mały. Szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę, pod jakim kątem wyprowadził ciosy. Poza tym wygląda na to, że był dokładniejszy, niż na początku sądziliśmy, co zresztą trudno było zauważyć, bo

Danielsson miał całą twarz i piersi zalane krwią – powiedział Niemi. – Został uduszony. Własnym krawatem. Kiedy leżał na podłodze, z pewnością nieprzytomny, w stanie agonalnym, sprawca zaciągnął mu krawat, a na koniec zawiązał go na zwykły babski węzeł. Moim zdaniem mógł sobie darować. No ale wiadomo. Lepiej dmuchać na zimne. – Niemi wzruszył ramionami.

– Masz pomysł, kto to mógł być? – zapytał Bäckström, choć domyślał się, jak się sprawy mają.

– Wygląda mi to na typowe zabójstwo po pijaku – powiedział Niemi i uśmiechnął się przyjaźnie. – I zauważ, że mówi to człowiek z Tornedalen.

– Kiedy to się stało? – rzucił Bäckström. Nie jest taki głupi, pomyślał.

– Zaraz do tego dojdę. Nie ma się co spieszyć. Przed śmiercią ofiara siedziała w salonie i jadła smażoną wieprzowinę z fasolą w towarzystwie osoby, która zostawiła po sobie odciski w mieszkaniu, ale której nie potrafimy na razie zidentyfikować. Prawdopodobnie w fotelu, a gość na kanapie. Stół został nakryty, ale posprzątać już nie zdążyli. Zabezpieczyliśmy sporo odcisków obu osób i mam nadzieję, że jutro będziemy mieć odpowiedź. O ile oczywiście sprawca znajduje się w naszym banku odcisków palców. Do posiłku wypili pięć półlitrowych puszek piwa i ponad jedną butelkę wódki. Znaleźliśmy jedną pustą i jedną napoczętą butelkę, zwykłą siedemdziesiątkę marki Explorer. Obie zakrętki były rzucone na podłogę przed telewizorem i wygląda na to, że otworzyli butelki tego wieczoru. Między innymi widać to po perforowanym pasku na kapslu. Wiecie, tym, który przy odkręcaniu wydaje taki przyjemny dźwięk.

Chwilami wydaje się całkiem normalny, pomyślał Bäckström i nagle poczuł dziwną pustkę w piersiach. Czy to już śmierć?

– Masz coś jeszcze? Na temat sprawcy albo tego, co zdarzyło się wcześniej?

– Wydaje mi się, że sprawca jest silny fizycznie – powiedział Niemi i pokiwał z namysłem głową. – Żeby zawiązać tak krawat, potrzeba dużej siły. Poza tym musiał obrócić ofiarę, bo



z początku leżała na boku albo na brzuchu – co widać po układzie śladów krwi – ale gdy ją znaleźliśmy, leżała już na plecach. Wydaje mi się, że najpierw go obrócił, a potem go udusił.

– Kiedy to było? – wtrąciła nagle Annika Carlsson, ubiegając Bäckströma.

– Obdukcja będzie dopiero pod koniec dnia, ale jako laikowi wydaje mi się, że wczoraj wieczorem – powiedział Niemi. – Byliśmy tam z Chico punkt siódma rano i do tego czasu jego ciało zdążyło zesztynnieć, choć, tak jak mówię, więcej na ten temat dowiemy się jutro. – Niemi skinął głową, rozejrzał się po zebranych, chcąc podnieść się z krzesła. – Wysłaliśmy już materiał do analizy do laboratorium w Linköping, odpowiedź przyjdzie pewnie za kilka tygodni. Z drugiej strony nie wydaje mi się, żeby to miało dla nas jakieś większe znaczenie. To znaczy to, że musimy czekać. Sprawca nam nie ucieknie. Koledzy z działu technicznego komendy okręgowej obiecali pomóc nam w sprawie odcisków, więc jeśli dopisze nam szczęście, po weekendzie powinniśmy zamknąć temat. Potrzebujemy weekendu – powtórzył, podnosząc się z miejsca. – W poniedziałek powinniśmy dać wam w miarę dokładny opis tego, co wydarzyło się w tym mieszkaniu.

– Dziękuję – powiedział Bäckström i skinął głową w kierunku Niemiego i jego młodszej koleżanki. Musimy tylko dorwać kompana Danielssona, pomyślał. Żuł zabił żula, cała filozofia.

Gdy technicy wyszli z pokoju, obiboki z zespołu zaczęły domagać się przerwy na rozprostowanie nóg albo chociaż na papierosa. Gdyby był sobą, kazałby im pewnie siedzieć cicho, ale że czuł się osłabiony, więc kiwnął tylko potakująco głową. Najchętniej w ogóle by stamtąd poszedł, ale zamiast tego ruszył do toalety i wlał w siebie co najmniej pięć litrów zimnej wody.

– NO DOBRA – powiedział Bäckström, gdy wrócili do sali konferencyjnej i wreszcie zaczęli, bo przecież kiedyś musieli skończyć. – Zajmijmy się ofiarą. Chwilę pogadamy, a na koniec sprawdzimy listę tego, co już zrobiliśmy i co mamy do zrobienia jutro. Dziś jest czwartek piętnastego maja i do weekendu chciałbym mieć ten temat z głowy, żeby w przyszłym tygodniu zająć się ważniejszymi sprawami niż pan Danielsson. Co wiemy na temat naszej ofiary, Nadjo? – dodał Bäckström, kiwając głową w kierunku niskiej, puszystej kobiety po pięćdziesiątce, która siedziała przy krótszym boku stołu za imponującą stertą kartek.

– Całkiem sporo – odpowiedziała Nadja Högberg. – Sprawdziłam podstawowe dane i znalazłam sporo ciekawych rzeczy. Rozmawiałam też z jego młodszą siostrą, tak w ogóle to jego jedyna krewna, i również od niej sporo się dowiedziałam.

– Słucham – powiedział Bäckström, choć myślami był gdzie indziej, a przyjemny dźwięk odskakującego kapsla dosłownie dudnił mu w uszach.

Karl Danielsson urodził się w Solnie w lutym 1940 roku, w chwili śmierci miał więc sześćdziesiąt osiem lat i trzy miesiące. Jego ojciec był z zawodu typografem i liternikiem w drukarni w Solnie. Matka zajmowała się domem; nie żyli od dawna. Jego najbliższą krewną była dziesięć lat młodsza siostra, która mieszkała w Huddinge na południe od Sztokholmu.

Karl Danielsson nigdy nie założył rodziny. Nigdy się nie ożenił ani nie miał dzieci. W każdym razie nie było po nich śladu w bazach danych, do których miała dostęp policja. Ukończył cztery klasy sześcioletniej szkoły podstawowej w Solnie, następnie pięć klas uzupełniających, zdał egzaminy, a na koniec uczył się jeszcze przez trzy lata w szkole handlowej Pählmana w Sztokholmie. W wieku dziewiętnastu lat zdał maturę z ekonomii. Następnie odbył zasadniczą służbę wojskową w eskadrze lotniczej w Barkarby. Opuścił koszary

dziesięć miesięcy później i latem 1960 roku, w wieku dwudziestu lat, dostał swoją pierwszą pracę jako asystent w biurze rachunkowym w Solnie.

Tego samego lata trafił po raz pierwszy do policyjnych kartotek. Karl Danielsson prowadził samochód pod wpływem alkoholu, został skazany na karę grzywny w wysokości sześćdziesięciu stawek dziennych za jazdę po pijanemu i stracił prawo jazdy na sześć miesięcy. Pięć lat później historia się powtórzyła. Jazda po pijanemu, sześćdziesiąt stawek dziennych. Po raz kolejny stracił na rok prawo jazdy. Po siedmiu latach wybrał się na trzecią wycieczkę, ale tym razem sprawa była znacznie poważniejsza.

Danielsson był na ostrym rauszu. Wjechał w budkę z hot-dogami na Solnavägen i uciekł z miejsca zdarzenia. W sądzie rejonowym w Solnie został skazany na trzy miesiące więzienia i stracił prawo jazdy. Danielsson zatrudnił błyskotliwego adwokata, zaskarżył decyzję do sądu apelacyjnego, przedstawił dwa zaświadczenia lekarskie na potwierdzenie swoich problemów z alkoholem, uzyskał wycofanie zarzutu ucieczki z miejsca zdarzenia i zamianę kary więzienia na leczenie. Prawo jazdy stracił jednak bezpowrotnie, ale wyraźnie nie próbował wyrobić nowego po upływie karencji. Przez ostatnie trzydzieści sześć lat swojego życia Karl Danielsson nie miał prawa jazdy i już nigdy więcej nie dopuścił się jazdy po pijanemu.

Niestety jako zwykły pieszy też utrudniał życie policji. W tym czasie pięciokrotnie trafił do aresztu na podstawie przepisów pozwalających policji zatrzymywać osoby będące pod wpływem alkoholu, być może zdarzyło się to nawet znacznie częściej. Danielsson konsekwentnie odmawiał podawania swojego nazwiska, zresztą nie musiał, bo był na policji dobrze znany, a podczas ostatniego zatrzymania sprawy potoczyły się już naprawdę źle.

Było to podczas majowych wyścigów konnych na torze Solvalla, pięć lat przed śmiercią. Danielsson był pijany i zachowywał się agresywnie, a w drodze do radiowozu nagle zaczął się miotać i rzucać wyzwiskami. Stawianie oporu, użycie

przemocy wobec funkcjonariusza i zatrzymanie szybko zamieniło się w aresztowanie, chociaż skończyło się jak zwykle – na odwyku na komendzie w Solnie. Gdy wypuszczono go sześć godzin później, złożył skargę zarówno na funkcjonariuszy, którzy go zatrzymali, jak i na pracowników więzienia. Łącznie trzech policjantów i dwóch strażników. Zatrudnił kolejnego błyskotliwego adwokata, przedstawił kolejne zaświadczenia lekarskie i cyrk zaczął się od nowa. Pierwsza rozprawa odbyła się dopiero po roku, a kolejna została odroczone, ponieważ obaj świadkowie powołani przez prokuratora z niewiadomych przyczyn nie stawili się w sądzie.

Adwokat Danielssona był wyjątkowo zajęтым człowiekiem, więc minął kolejny rok, zanim udało mu się znaleźć czas na nową rozprawę. Również ta została odroczone z powodu niestawienia się świadków powołanych przez prokuratora. Prokurator stracił cierpliwość i wycofał sprawę. Karl Danielsson przez kolejnych kilka lat swojego życia był czysty.

– Biorąc pod uwagę znikome prawdopodobieństwo zatrzymania lub aresztowania za tego typu wykroczenia, musiał być na gazie dzień i noc – stwierdziła Nadja Höberg, bo wiedziała, o czym mówi. Od dziesięciu lat pracowała w służbie cywilnej przy wydziale dochodzeniowym komendy policji w Västerort, ale swoje poprzednie życie wiodła jako Nadjesta Iwanowa, doktor fizyki i matematyki stosowanej na uniwersytecie w Petersburgu. Było to za dawnych, niesławnych czasów, gdy Petersburg nazywał się jeszcze Leningrad, a poziom nauki był znacznie wyższy niż w nowej, wolnej Rosji.

– Co jeszcze przeszkrobał? Oprócz tego, że rozbijał się po pijaku – zapytał Bäckström i obrócił się w stronę Nadji Höberg.

Nie żeby jakoś szczególnie interesowało go to, co takiego Danielsson zrobił jego upośledzonym kolegom z prewencji i drogowki, chciał tylko przywołać ją do porządku, żeby móc wreszcie zakończyć to bezsensowne spotkanie. Powlec się na Inedalsgatan, gdzie jeszcze do wczoraj był jego dom. Stańc pod prysznicem i uciszyć głośy w głowie. Wlać w siebie kilka litrów lodowato zimnej wody. Nażreć się surowych warzyw,

a na koniec zrobić wszystko to, co było jeszcze do zrobienia w życiu, które poprzedniego dnia zostało całkowicie pozbawione sensu.

Że też nigdy nie nauczysz się trzymać języka za zębami, pomyślał pięć minut później.

Nadja Högberg wzięła bowiem jego pytanie na serio i zaczęła szczegółowo opowiadać o rozlicznych finansowych poczynaniach Danielssona oraz jego zacieśnianych przy tej okazji relacjach z instytucjami stojącymi na straży prawa.

Karl Danielsson jeszcze w tym samym roku, w którym został po raz pierwszy skazany za jazdę pod wpływem alkoholu, awansował z asystenta na kierownika działu zajmującego się „fundacjami, stowarzyszeniami, związkami finansowymi lub wyznaniowymi, spadkami, osobami fizycznymi i innymi”. Potem już poszło z górki. Najpierw został przeniesiony do specjalnego zespołu jako doradca finansowy oraz ekspert do spraw podatkowych i po zaledwie kilku latach awansował na szefa wszystkich zespołów i został asystentem członka zarządu.

Tydzień po bliskim spotkaniu z budką z hot-dogami na Solnavägen, krótko po swoich trzydziestych drugich urodzinach, mianowano go zastępcą dyrektora naczelnego i członkiem zarządu. Po kolejnych kilku latach przejął cały kram i przemianował go na Karl Danielsson Consulting SA. W statucie spółki zapisano, że zajmuje się ona „doradztwem w zakresie finansów, rachunkowości, audytów, podatków, pozycjonowania oraz inwestycji”, a także „zarządzaniem nieruchomościami i kapitałem”, co było całkiem szerokim zakresem doradztwa, zważywszy na to, że w najlepszych czasach spółka nie miała więcej niż czworo pracowników. Sekretarkę i trzech mężczyzn na stanowisku konsultanta o niejasnym podziale kompetencji. Karl Danielsson był właścicielem spółki, dyrektorem wykonawczym i prezesem zarządu.

W tej roli radził sobie znacznie lepiej niż prowadzący pojazd mechaniczny i poruszający się pieszo Karl Danielsson. W ciągu dwudziestu trzech lat, między rokiem 1972 a 1995, był podejrzany o popełnienie łącznie dziesięciu przestępstw

o charakterze finansowym. Czterokrotny współudział w przestępstwie podatkowym i poważne przestępstwo podatkowe, dwie afery związane z wymianą walut, dwa przypadki prania brudnych pieniędzy, łapówka, jeden przypadek paserstwa i jeden przypadek nadużycia zaufania. We wszystkich tych sprawach dochodzenie umorzono. Zarzuty nie zostały poparte dowodami, a Danielsson za każdym razem odpowiadał atakiem i pozywał swoich wrogów do rzecznika praw obywatelskich lub ministra sprawiedliwości, a najchętniej do obu naraz.

Na tym polu osiągnął zresztą większe sukcesy niż jego przeciwnicy. Jeden z pracowników wydziału do walki z przestępczością gospodarczą Komendy Głównej Policji został upomniany przez dział dyscyplinarny, z pensji potrącono mu czternaście dniówek. Rzecznik praw obywatelskich wytargał za uszy prokuratora i jednego z audytorów urzędu skarbowego. Biuro ministra sprawiedliwości zarzuciło redakcji jednej z popołudniówek pomówienie i doprowadziło z sukcesem sprawę do sądu.

Po 1995 roku wyraźnie się uspokoiło. Spółka Karl Danielsson Consulting SA zmieniła nazwę na Karl Danielsson Holding SA. Wszystko wskazywało na to, że nie prowadziła wzmoczonej działalności, nikogo też nie zatrudniała. Nadja Högborg zamówiła z rejestru działalności gospodarczej raporty roczne z ostatnich lat i planowała spędzić weekend na ich sprawdzaniu.

W tym czasie spółka nie wykazywała też żadnych imponujących dochodów. Nadja Högborg dotarła do zeznań podatkowych z ostatnich pięciu lat, w których Danielsson wykazywał dochód na poziomie około stu siedemdziesięciu tysięcy koron rocznie. Do tego składka emerytalna i oszczędności na funduszu emerytalnym w Skandii. Mieszkanie kosztowało cztery tysiące pięćset koron miesięcznie, a po odprowadzeniu podatków i opłaceniu czynszu zostawało mu jakieś pięć tysięcy miesięcznie na życie.

Jeśli sukces człowieka mierzyć tytułami, którymi może się poszczycić, Karl Danielsson wiódł życie usłane różami,

a zakończył je, będąc u szczytu kariery, którą rozpoczął w wieku dwudziestu lat na stanowisku asystenta w biurze rachunkowym zatrudniającym trzydzieści pięć osób. Czterdzieści osiem lat później nieznany sprawca zakończył tę karierę, rozbijając mu głowę żeliwną pokrywką do garnka. Firma, w której Danielsson pracował przez całe swoje dorosłe życie, była praktycznie zamknięta od blisko piętnastu lat. W książce telefonicznej widniał jako dyrektor, a z wizytówek, które technicy znaleźli w jego poza tym zupełnie pustym portfelu, wynikało, że był zarówno dyrektorem wykonawczym, jak i prezesem Karl Danielsson Holding SA.

Żul, nieuk i mitoman, pomyślał Bäckström.

– Rozmawiałaś z jego siostrą – odezwała się Annika Carlsson, gdy Nadja Högborg skończyła mówić. – Czy skomentowała to, o czym przed chwilą opowiedziałaś?

W dużej mierze wszystko potwierdziła. Jako młody chłopak jej brat „ganiał za dziewczynami” i „lubił się zabawić”. Mimo to aż do czterdziestki panował nad sytuacją, ale potem wódka powoli zaczęła przejmować kontrolę nad jego życiem. Siostra podkreśliła, że nigdy nie mieli bliższego kontaktu. W ciągu ostatnich dziesięciu lat nie rozmawiali ze sobą nawet przez telefon, a ostatni raz widzieli się na pogrzebie matki dwanaście lat temu.

– Jak przyjęła wiadomość o śmierci brata? – zapytała Annika.

Co jest, do cholery, pomyślał Bäckström i aż jęknął w środku. Może urządzimy sobie jeszcze minutę ciszy?

– Dobrze – odparła Nadja. – Przyjęła to dobrze. Jest pielęgniarzką w szpitalu w Huddinge, wydaje się rozsądną i opanowaną kobietą. Powiedziała, że nie jest to dla niej zaskoczeniem. Od wielu lat obawiała się, że tak to się skończy. Biorąc pod uwagę, jakie prowadził życie.

– Spróbujmy się pogodzić z tą stratą – przerwał Bäckström.

Przyszedł czas na dyskusję. Na wszelki wypadek Bäckström sam udzielił sobie głosu.

– No cóż – westchnął. Pozostali byli na tyle uprzejmi, że się przymknęli i dali mu mówić. – Żul zabił żula. Jeśli ktoś z was

ma na ten temat inne zdanie, proponuję, żeby powiedział to teraz. – Pochylił się do przodu, oparł o biurko i wbił wzrok w swoich współpracowników.

Najwyraźniej nikt nie miał żadnych uwag, bo tylko pokiwali zgodnie głowami.

– No dobra – powiedział. – Koniec burzy mózgów. Teraz musimy już tylko ustalić, na jakim etapie jesteśmy, i namierzyć gościa Danielssona z wczorajszego wieczoru. Obchód budynku. Jak wam idzie? – dodał po chwili.

– W zasadzie skończyliśmy – odezwała się Annika Carlsson. – Kilku sąsiadów nie zastaliśmy, a kilku prosiło, żebyśmy odłożyli to na wieczór, kiedy wrócą z pracy. Jeden miał umówioną wizytę u lekarza o dziewiątej i nie miał dla nas czasu. Do jutra powinniśmy mieć wszystkich.

– Lekarz sądowy?

– Obiecał, że dziś wieczorem zrobi obdukcję i przekaże nam przynajmniej ustny raport na początku przyszłego tygodnia. Koleżanka Hernandez będzie mu towarzyszyć w czasie obdukcji, więc miejmy nadzieję, że najważniejsze informacje będziemy mieć już jutro rano – stwierdziła Annika Carlsson.

– Czy rozmawialiśmy z taksówkarzami, czy mamy jakiś cynk, czy przeszukaliście okolicę, sprawdziliście jego znajomych, co robił w ciągu ostatnich godzin przed śmiercią, czy rozmawialiśmy już z...

– Spokojnie, Bäckström – przerwała mu Annika Carlsson i uśmiechnęła się szeroko. – Wszystko idzie zgodnie z planem. Badamy sprawę bardzo dokładnie, możesz być spokojny.

Spokojny to ja nie jestem, pomyślał Bäckström, ale wołał nie mówić tego na głos. Kiwnął tylko głową, zgarnął kartki ze stołu i wstał.

– Widzimy się jutro – powiedział – Jeszcze jedno, zanim się rozejdziemy. Ten gazeciarz, ten, co zadzwonił na policję. Ten Murzynek Akofeli.

– Septimus – poprawiła go Annika Carlsson z kamienną twarzą. – Nazywa się Septimus Akofeli. Już go sprawdziliśmy. Koledzy porównali odciski, które pobraliśmy od niego na Hasselstigen, z tymi, które zostawił w Urzędzie Migracyjnym,



gdy przyjechał tu dwanaście lat temu. Jest tym, za kogo się podaje, poza tym niekarany, jeśli jesteś ciekaw.

– Słyszę, co mówisz – powiedział Bäckström – ale coś mi się w tym gnojku nie podoba.

– Niby co takiego? – spytała Annika Carlsson, kręcąc swoją krótko ostrzyżoną głową.

– Nie wiem – odparł Bäckström. – Będę się nad tym zastanawiał, a wy chociaż chwilę o tym pomyślcie.

Po wyjściu z sali konferencyjnej udał się prosto do swojej nowej szefowej, komendantki Anny Holt, i zdał jej raport z prowadzonej sprawy. Ofiara – żul. Sprawca – z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością – inny żul. Pełna kontrola sytuacji. Raport najpóźniej w poniedziałek. Potrzebował trzech minut, choć dostał całe pięć. Holt najwyraźniej ulżyło, kiedy wyszedł. Jej myśli zaprzętała inna sprawa, w porównaniu z którą śledztwo Bäckströma było jak dar niebios.

A masz, chuda szkapo, pomyślał, wychodząc wreszcie z budynku, by udać się do domu, swojego miejsca kaźni.

JERZY SARNIECKI, lat dwadzieścia siedem, był cieślą z Polski. Urodzony i wychowany w Łodzi, od kilku lat zasilął szeregi szwedzkiej imigracji zarobkowej. Od miesiąca wraz z kolegami remontował niewielki budynek mieszkalny przy Ekenbergsvägen w Solnie, niecały kilometr od miejsca przestępstwa przy Hasselstigen jeden. Osiem koron za godzinę do ręki, możliwość pracy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, gdyby nasza go ochota. Bieżące zakupy w pobliskim sklepie ICA, spanie w remontowanym budynku, a cała reszta mogła poczekać, aż wróci do cywilizacji w Polsce.

Mniej więcej wtedy, gdy Bäckström wychodził z komendy w Solnie, Sarniecki natrafił na swoje znalezisko, taszcząc czarny worek z gruzem z budynku, żeby wrzucić go do kontenera na śmieci stojącego na ulicy. Wszedł na chwiejącą się drabinę i na wierzchu sterty odpadów z budowy zobaczył worek, którego ani on, ani z żaden z jego kolegów na pewno nie wyrzucili. Zresztą nie był to pierwszy raz, niejednokrotnie zdarzyło się bowiem, że mieszkający w okolicy Szwedzi korzystali z okazji, by ułatwić sobie wywóz śmieci, ale ponieważ z doświadczenia wiedział, że często pozbywali się również rzeczy nadających się do użytku, przechylił się i sięgnął po worek.

Zwykły worek na śmieci. Elegancko związany i wypchany czymś, co wyglądało na ubrania.

Sarniecki zszedł z drabiny. Otworzył worek i wyjął zawartość. Długi czarny płaszcz przeciwdeszczowy, wyglądający na nowy. Para czerwonych rękawic kuchennych. Całych, z lekkimi śladami użytkowania. Kapcie z ciemnej skóry, również jak nowe.

Dlaczego ludzie wyrzucają takie rzeczy?, zdziwił się Sarniecki i w tej samej chwili dostrzegł krew. Płaszcz był dosłownie mokry, a jasne podeszwy kapci nasiąknięte. Podobnie rękawiczki, choć ktoś najwyraźniej próbował zmyć z nich krew.

O morderstwie na Hasselstigen usłyszał przed południem od szwedzkiego kierownika budowy, który wpadł do nich na kawę. Jakiś biedny emeryt, aż strach wychodzić na ulicę. Zastanów się, co mówisz, pomyślał, słuchając jednym uchem. Nie narzekaj na raj, w którym żyjesz, bo możesz go stracić, pomyślał – tak powtarzał mu katolicki ksiądz w jego rodzinnej Łodzi.

Mimo to przez kilka godzin zmagął się ze swoim sumieniem, aż wreszcie zdecydował się zadzwonić na policję. Ciekawe, ile to zajmie godzin, myślał, czekając na radiowóz, który obiecała wysłać oficer dyżurna. Ile godzin po osiem koron każda przejdzie mu koło nosa, więc ile pieniędzy stracą jego narzeczona i dziecko czekający w Polsce?

Po kwadransie przyjechało dwóch umundurowanych policjantów. Nie wydawali się szczególnie zainteresowani. Włożyli ubrania, łącznie z workiem, do innego worka, zapisali jego nazwisko i numer telefonu i odjechali. Wcześniej jeden z nich poprosił go o wizytówkę. Z teściem zastanawiali się nad budową sauny w domu letnim na Adelsö i szukali sprawnych rzemieślników za rozsądną cenę. Jerzy dał mu wizytówkę, zgodnie z wytycznymi szwedzkiego kierownika. Potem odjechali.

Późnym wieczorem wysoki jasnowłosy mężczyzna, po którym z daleka było widać, że jest policjantem, choć był ubrany w skórzaną kurtkę i niebieskie dżinsy, zapukał do drzwi remontowanego budynku. Otworzył mu Jerzy, który akurat przybijał w wejściu płyty gipsowe, w czasie gdy jego koledzy przygotowywali późny obiad na drugim piętrze, gdzie urządzili prowizoryczną kuchnię. Jasnowłosy mężczyzna uśmiechnął się przyjaźnie i podał mu swoją żylastą dłoń.

– *My name is Peter Niemi. I'm a police officer. Do you know where I can find Jerry Sarnecki?*

– *That's me* – powiedział Jerzy Sarnecki. – To ja – dodał. – Znam trochę szwedzki, od kilku lat tu pracuję.

– To tak jak ja – powiedział Niemi i uśmiechnął się szeroko. – Czy moglibyśmy gdzieś spokojnie porozmawiać? Chciałbym zadać panu kilka pytań.

DO DOMU BÄCKSTRÖM wrócił piechotą. Gdy szedł z komendy policji na Sundbybergsvägen do swojego mieszkania przy Inedalsgatan na Kungsholmen, miał wrażenie, jakby jego stopy zaczęły żyć własnym życiem, a reszta ciała, nie wyłączając głowy, mimowolnie ciągnęła za nimi. Gdy zamknął za sobą drzwi mieszkania, ledwo pamiętał, co takiego robił przez ostatnie kilka godzin. W spoconej głowie miał pustkę. Kogoś spotkał? Z kimś rozmawiał? Czy ktoś znajomy widział go w tym stanie? Najwyraźniej zatrzymał się gdzieś po drodze i zrobił zakupy, bo w ręku trzymał reklamówkę z kilkoma butelkami wody mineralnej i plastikowym pudełkiem z jakąś podejrzaną zieleniną.

Co to, kurwa, jest, pomyślał Bäckström, unosząc siatkę. To czerwone to pewnie pomidory, je jeszcze rozpoznawał, a kilka nawet zjadł, gdy był małym chłopcem. A to zielone to pewnie sałata? A cała reszta? Te wszystkie dziwne czarne i brązowe kulki różnej wielkości? Co to? Zajęcie bobki? Kupa łosia? I jeszcze coś, co wyglądało na robaki gnilne, ale nimi chyba nie było, bo się nie poruszyło, gdy dotknął tego widelcem.

Co się, kurwa, dzieje?, pomyślał Bäckström, kierując się w stronę prysznicza i zrzucając po drodze ubranie.

Najpierw stał pod prysznicem przez ponad kwadrans, wystawiając na strugi wody korpulentne i harmonijnie ukształtowane ciało, które zawsze było jego świątynią, a które teraz jakiś szalony lekarz postanowił obrócić w ruinę.

Następnie wytarł się do sucha ręcznikiem, włożył szlafrok i postawił na stole pudełko z zieleniną i butelkę wody mineralnej. Na wszelki wypadek zajrzał raz jeszcze do lodówki, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie zachował się w niej jakiś smakołyk po wczorajszych porządkach, kiedy to zgodnie z wytycznymi doktorka wyrzucił wszystkie stojące tam szkodliwe dla zdrowia produkty. Gdy skończył, jego spizarnia i lodówka świeciły pustkami. I tak już zostało.

Bäckström rzucił się na pudełko. Najpierw odłączył mózg

i podniebienie, a następnie zaczął mechanicznie przeżuwać pożywienie, ale poddał się już w połowie zawartości. Do jedzenia nadawało się tylko coś małego, co wyglądało jak robaki.

To muszą być robaki gnilne, pomyślał Bäckström, odstawiając do pustej lodówki resztki z warzywnej orgii. O ile mam szczęście, pomyślał. Przynajmniej przemyciłem trochę protein.

Następnie wlał w siebie butelkę wody mineralnej. Półtora litra. Jednym haustem. To chyba nowy rekord świata, pomyślał i wrzucił butelkę do worka pod zlewem. Co teraz, kurwa, przecież jest dopiero siódma, stwierdził, zerkając na swój nowy szwajcarski zegarek.

Poszukiwania ukrytego alkoholu nie miały sensu. Przecież pozbył się wszystkiego poprzedniego wieczoru, ponieważ w tej kwestii szalony doktorek był nieubłagany. Zero wódki, wina, piwa. W ogóle czegokolwiek, co by zawierało choćby dodatek alkoholu, jak cydr, ani kropli zwykłego przypadkiem sfermentowanego soku, ani starej butelki z lekarstwem na kaszel, które doktorek i jego kumple właśnie wpisali na czarną listę.

Zebrało się tego całkiem sporo, bo ostatnio Bäckström nie narzekał na brak gotówki. Kilka nietkniętych butelek whisky i wódki. Nienaruszony litr francuskiego koniaku. Praktycznie cała skrzynka czeskiego piwa. I jeszcze kilka otwartych butelek, mniej lub bardziej napoczętych. Naturalnie ani kropli wina, bo to piją wyłącznie pięknie i cioty. Nie Bäckström, w pełni normalny Szwed w kwiecie wieku. Jak również legendarny śledczy i spełnienie skrytych fantazji każdej kobiety.

Bäckström zapakował to wszystko do kartonu i zadzwonił do drzwi sąsiada. Były szef programu trzeciego telewizji, który nie stronił od kieliszka i najwyraźniej przekroczył granicę dobrych obyczajów w czasie nagrywania *Robinsona*, reality show gdzieś na Filipinach. Dostał odprawę w wysokości kilku milionów, żeby mógł zapić się na śmierć, zanim przyjdzie mu do głowy napisać książkę o latach swojej pracy w stacji i wszystkich innych spółkach medialnych koncernu. Życie, jakie teraz

prowadził, dowodziło, że jego troskliwy zarząd dobrze wiedział, co robi.

– Ile tu dobrego, Bäckström – stwierdził potencjalny nabywca po wstępnych oględzinach zawartości kartonu. – Przeprowadzasz się czy co? Nie chcesz chyba powiedzieć, że twoja wątroba przechodzi na emeryturę?

– W żadnym wypadku – skłamał Bäckström i uśmiechnął się uprzejmie, choć czuł się tak, jakby za chwilę ktoś miał wyrwać mu serce z piersi. – Jadę na dłuższe wakacje i nie chciałbym, żeby złodzieje dostali jeszcze moją wódkę w gratisie. Wystarczy już to, co i tak piją.

– Dobrze mówisz, Bäckström. Dostaniesz pięć tysięcy – powiedział, zataczając ramieniem gest tak szeroki, że o mało nie usiadł.

Chyba ostatnio dwoi mu się w oczach, pomyślał Bäckström, bo sam wycenił swoje zbiory na niecałą połowę. Z drugiej strony przez następnych kilka dni sąsiad nie będzie musiał jeździć taksówką do monopolowego, pomyślał.

– Niech będzie – powiedział i wyciągnął pięść na znak, że ubili interes.

Zapłacił mu gotówką. Ciekawe, na co mu teraz pieniądze, skoro ani nie pił, ani nie jadł, ani nie miał nawet siły myśleć o kobietach.

Nie mając nic lepszego do roboty, obejrzał film na płycie DVD, który jego troskliwy lekarz podarował mu jako dodatkowe wsparcie w terapii. Film miał mu pomóc w realizacji planu polegającego na odmianie życia na lepsze. Z długiego i bolesnego doświadczenia lekarz wiedział bowiem, że pacjenci pokroju Bäckströma należą do najtrudniejszych przypadków. Poczciwi narkomani, którzy muszą kłuć się w stopy, próbując znaleźć zdrową żyłę, to pestka w porównaniu z opojami i obzartuchami w typie Bäckströma. Na dobrą sprawę są nieuleczalni, a to wszystko dlatego, że mają w nosie, co robią. Jedzą i piją bez umiaru. I czują się jak udzielniki książęta.

W amerykańskim periodyku lekarskim natrafił na wyjątkowo interesujący artykuł, w którym opisano terapię szokową, jaką

zastosowano w leczeniu pacjentów takich jak Bäckström w jednej z prywatnych klinik w USA. Lekarz złożył wniosek o dofinansowanie ze środków publicznych, dostał więcej, niż wnioskował, i wyjechał do USA, żeby przez kilka miesięcy obserwować, jak można wpłynąć na zachowanie osób, które zajądają i zapijają się na śmierć.

Było to wyjątkowo pouczające doświadczenie; przywiózł obszerny materiał ilustracyjny, między innymi płytę DVD, której krótki fragment puścił Bäckströmowi, a następnie dał mu do obejrzenia w całości w domu.

Bäckström włożył płytę do odtwarzacza. Wziął trzy głębokie wdechy, serce biło mu jak młotem. Nacisnął „play”. Pocieszał się w myślach, już raz to widział, a gdy zrobi się strasznie, zwyczajnie zasłoni oczy. Jak wtedy, gdy miał cztery lata, a jego szalony ojciec, pełniący obowiązki starszego posterunkowego w Maria, zaciągnął go do kina na Söder, gdzie zły wilk przez godzinę gonił na ekranie trzy małe świnki z zamiarem ich pożarcia. Mały Evert wyl ze strachu przez cały seans i dopiero gdy zrobił w spodnie, jego tortury dobiegły końca.

– Z tego bekisy nigdy nie będzie policjant – stwierdził ojciec, oddając swojego jedynaka w objęcia stroskanej matki, która pocieszyła go czekoladą z bitą śmietaną i jeszcze ciepłymi bułeczkami z cynamonem.

Czyli powtórka z rozrywki. Półgodzinny reportaż z kliniki rehabilitacyjnej gdzieś na Środkowym Zachodzie dla pacjentów dotkniętych względnie niewielkimi udarami serca lub mózgu, którzy teraz mieli zostać przywrócenii do świata żywych.

Wielu z nich niepokojąco przypominało Bäckströma, choć bełkotali i poruszali się z pomocą balkoników, zalani śliną, z pustką w oczach. Jeden z nich przypominał go do tego stopnia, że mógłby być jego jednojajowym bliźniakiem. Gdy już wychodził z kadru, jego luźne portki opadły mu do kostek, odsłaniając gigantyczną błękitną pieluchę. Obrócił się do kamery, a jego uślinione wargi wygięły się w promiennym uśmiechu. Złapał za pieluchę i skomentował całe zdarzenie słowami:

– *No panties.*

Łagodny głos spikera wyjaśnił, że ten oto mężczyzna ma zaledwie czterdzieści lat i przez większość swojego życia żywił się jedzeniem o wysokiej zawartości cholesterolu, jak również pił w dużych ilościach piwo i bourbon, wychodząc z absurdałnego założenia, że to drugie łagodzi wpływ tego pierwszego. Kilka miesięcy temu padł ofiarą stosunkowo niegroźnego zatoru w mózgu. Wtedy jednak Bäckström siedział już z zamkniętymi oczami i potrzebował dłuższej chwili, żeby znaleźć przycisk wyłączający telewizor.

Chwilę potem wrzucił na siebie swój stary dres z logo wydziału prewencji. Dostał go na kursie, na który wysłano go razem z tymi wszystkimi półgłówkami, bo jakiś geniusz w zarządzie policji wymyślił sobie, że powinni nauczyć się współpracować na wypadek sytuacji awaryjnych.

Kto by wtedy, kurwa, zwracał się do takich o pomoc, pomyślał Bäckström, próbując zawiązać swoje nowe buty do biegania, zamierzając pójść na spacer po Kungsholmen.

Po dwóch godzinach był już z powrotem, a gdy wkładał klucz do zamka, doznał olśnienia.

No przecież, pomyślał. Temu mądrali w białym kitlu wszystko się pomieszało i jeśli jest na tym świecie jakaś sprawiedliwość, już teraz powinien zawisnąć na swoich własnych jelitach. Samo picie, zero żarcia. Tą metodą naczynia krwionośne staną się czyste jak górski strumień na wiosnę, pomyślał. Do tego nie trzeba być lekarzem. W końcu każdy myślący człowiek wie, że alkohol to najlepszy rozpuszczalnik.

Jak pomyślał, tak zrobił i po kolejnych dwóch minutach zadzwonił do drzwi sąsiada, byłego szefa stacji telewizyjnej.

– A ty nie jesteś na wakacjach? – wybełkotał sąsiad i zamachał na odczepnego kieliszkiem wypełnionym doskonałą whisky Bäckströma.

– Udało mi się przesunąć wyjazd o kilka dni – skłamał Bäckström – przyszedłem więc zapytać, czy mogę odkupić od ciebie trochę z tego, co sprzedałem ci ostatnio. Wystarczy jedna butelka. Najlepiej jakaś whisky, o ile coś ci jeszcze zostało – dodał, zerkając na kieliszek, który szef telewizji trzymał w ręku.

– Kto daje i odbiera, ten się w piekle poniewiera – wybełkotał



szef telewizji i pokręcił głową. – Sprzedane i kropka – dorzucił, po czym zwyczajnie zatrzasnął drzwi i zaryglował je na dwie zasuwę.

Bäckström próbował przemówić mu do rozumu przez wrzutkę na listy, ale w odpowiedzi doszedł go tylko odgłos zatrzaskiwanych drzwi wewnętrznych.

W tej sytuacji nawet on musiał się poddać. Powlókł się z powrotem do swojego mieszkania, wziął kolejny prysznic, umył zęby i połknął trzy tabletki, które wypisał mu doktor: jedną brązową, jedną niebieską i jedną jasnofioletową. Następnie poczłapał do swojego legowiska. Zgasił światło, ale listu pożegnalnego nie napisał, a potem zasnął, jakby ktoś go walnął pokrywką w łeb.

Gdy się obudził, była czwarta rano. Z błękitnego nieba świeciło bezlitośnie słońce, a on czuł się jeszcze gorzej, niż gdy zasypiał poprzedniego wieczoru.

Zrobił sobie czarną kawę i wypił trzy kubki na stojąco. Połknął resztkę warzyw i popił kolejną butelką wody mineralnej. Potem wyszedł z mieszkania i ruszył piechotą w kierunku komendy w Solnie.

Piekielny upał, podobnie jak poprzedniego dnia, a to, że słupek rtęci nie przekroczył jeszcze dwudziestu stopni, musiało oznaczać, że jest środek nocy. Krótco po szóstej zachwiał się na progu swojego biura. Nieprzytomny ze zmęczenia i wściekły z braku snu i jedzenia stał sam w pustym budynku, bo jego leniwi i beużyteczni współpracownicy leżeli smacznie w swoich łózkach, chrapiąc głośno.

Muszę znaleźć jakieś miejsce, żeby się przespać, pomyślał Bäckström. Błąkając się bez celu, zawędrował w końcu do garażu na kondygnacji podziemnej.

– Kurwa, jak ty wyglądasz, Bäckström – zmartwił się parkingowy, który był już na miejscu. Najpierw wytarł palce w uniform, a potem wyciągnął do niego swoją wytłuszczoną dłoń.

– Morderstwo, sprawca nieznanym – syknął Bäckström. – Od kilku dni nie zmrużyłem oka.

– Będzie dobrze – odpowiedział parkingowy. – Możesz

skorzystać z paki, którą zimą skręciłem dla chłopaków z narkotykowego.

Następnie otworzył drzwi do zwykłej furgonetki, w której znajdowało się wszystko, czego potrzebował człowiek w sytuacji Bäckströma. Między innymi stało tam porządne łóżko.

Dwie godziny później poruszył się, bo do jego nosa dotarł zapach świeżej kawy. I jeszcze czegoś, co z początku uznał za halucynację: zapach świeżych bułeczek z serem i masłem.

– Przepraszam, że ci przeszkadzam, Bäckström – usłyszał głos parkingowego, który położył przed nim na podłodze wielką tacę i zasiadł na krześle przy łóżku – ale te prymusy z dochodzeniowego mówią, że muszą mieć z powrotem swoją budę. Jadą podglądać jakichś starych ćpunów w Rissne. Przyniosłem ci kawę i kanapki, może masz ochotę.

Dwa duże kubki z kawą zalane dużą ilością mleka, dwie bułki z serem, ale wciąż nie dochodziło do niego, jak to możliwe. Podziękował swojemu wybawicielowi i o mało co go nie przytulił, jednak w ostatniej chwili się opanował i zadowolił męskim uściskiem dłoni i poklepaniem w plecy.

Następnie zszedł do siłowni i wziął prysznic, włożył świeżą hawajską koszulę, którą przechowywał na podobne okazje w szufladzie w swoim pokoju, i już około wpół do dziewiątej rano siedział za swoim biurkiem w wydziale kryminalnym w Solnie. Po raz pierwszy od dwóch dni czuł się choć trochę jak człowiek.

W PIĄTEK OKOŁO DZIESIĄTEJ przed południem do pokoju Bäckströma zawitał gość. Był to kolega Niemiego, Jorge „Chico” Hernandez, który poprosił o audiencję u swojego przełożonego.

Sami czarni, pomyślał Bäckström i westchnął głęboko. Wolał nie mówić tego głośno. Nie po tych wszystkich historiach, które słyszał na temat Petera Niemiego, który w końcu też był czarnuchem, fińskim drwalem z północy, ściśle rzecz biorąc, i najwyraźniej najlepszym kumplem młodszego o dwadzieścia lat Hernandeza.

– Siadaj, Chico – powiedział Bäckström i wskazał na krzesło dla gości, po czym odchylił się w fotelu i splótł dłonie na marnych resztkach swojego, tak niegdyś imponującego, brzucha. Straciłem pewnie z dziesięć kilo, pomyślał i nagle ogarnął go niepokój na myśl o tym, co takiego dzieje się z jego ciałem, które dotąd było jego świątynią. – Słucham – dodał po chwili, uśmiechnął się i skinął zachęcająco do swojego gościa, pomimo że uważał, że czarni nie mają nic do roboty w policji. To pewnie przez te bułki z serem, pomyślał.

Hernandez miał do przekazania garść świeżych informacji. Poprzedniego wieczoru przyglądał się obdukcji ofiary i na początek potwierdził wstępne szacunki wzrostu i wagi ciała sporządzone przez Niemiego.

– Sto osiemdziesiąt centymetrów i sto dwadzieścia dwa kilo – powiedział. – Peter ma do tego oko.

Po co mi to, kurwa, mówisz, pomyślał Bäckström.

– Musimy o tym pamiętać, gdy będziemy tworzyć opis naszego sprawcy – zakończył Hernandez. – Potrzeba niezłej siły, żeby poradzić sobie z tak wielkim i ciężkim ciałem.

Pomijając nadwagę i nieprzeciętne stłuszczenie wątroby, Danielsson cieszył się wyjątkowo dobrym zdrowiem. Lekarz sądowy nie miał zastrzeżeń co do stanu jego serca, płuc czy układu krążenia. Przeciętny przerost prostaty i wszystko to, co zmienia się z wiekiem. Poza tym nic szczególnego, biorąc pod

uwagę tryb życia, jaki prowadził.

– Gdyby chociaż raz w roku robił sobie kilka miesięcy przerwy w picciu, żeby dać odpocząć wątrobie, mógłby spokojnie dożyć osiemdziesiątki – stwierdził Hernandez.

Zdrów jak ryba, pomyślał Bäckström i pokiwał głową ze zrozumieniem. Może mimo wszystko powinniśmy zrobić z niego kielbasę, pomyślał. Taką o smaku koniaku, biorąc pod uwagę te wszystkie lata, które dyrektor Danielsson przeleżał w marynacie.

– Pomyliliśmy się natomiast w sprawie młotka – powiedział Hernandez. – Ze zdjęć rentgenowskich czaszki wynika, że nie ma na niej śladów, które odpowiadałyby uderzeniom młotka, czy to okrągłej części obucha, czy tego zakrzywionego szpica, którym wyciąga się gwoździe. Poza tym trzonek musiał zostać złamany w inny sposób. Nie od uderzenia. Pęknięcie wygląda tak, jakby sprawca przypadkowo złamał trzonek, próbując wyciągnąć albo wybić coś za pomocą szpica. Problem w tym, że nie znaleźliśmy w mieszkaniu żadnych śladów włamania.

– Zabrał coś ze sobą? – zapytał Bäckström. – Może kasetkę? – Z mlecznymi zębami Danielssona i dwukoronówką, którą dostał od wróżki zębuszki, pomyślał.

– Coś w tym stylu – przytaknął Hernandez. – W tej chwili wydaje nam się, że mogła to być taka skórzana aktówka z zamkiem, zatrzaskami i zawiasami z mosiądzu lub innego żółtego metalu. Na szpicie są ślady, które mogłyby o tym świadczyć. Drobnym, milimetrowej wielkości kawałek czegoś, co wydaje się jasnobrązową skórą. Na szpicie są fragmenty czegoś, co może być mosiądzem. Mogła się tam znaleźć, kiedy majstrował przy zamku. Wysłaliśmy je do laboratorium, bo nie mamy odpowiedniego sprzętu, żeby sprawdzić, co to jest.

– Ale aktówki nie znaleźliście?

– Nie – przyznał Hernandez. – Jeśli jest tak, jak nam się wydaje, zabrał ją ze sobą, żeby móc ją otworzyć później.

– Zanotowałem – powiedział Bäckström i na wszelki wypadek zapisał coś w swoim czarnym notesiku. – Coś jeszcze?

– Pozwól, że wrócę do pokrywki garnka – powiedział Hernandez. – Jest żeliwna, od góry pokryta niebieską emalią.

Pasuje do garnka, który stoi na kuchence w kuchni. Dwadzieścia osiem centymetrów średnicy, z uchwytem pośrodku. Waży prawie dwa kilogramy. Ofiara dostała nią co najmniej sześć razy. Pierwszy cios trafia wysoko po prawej stronie czaszki. Zostaje wymierzony po skosie od tyłu, prawdopodobnie gdy ofiara wychodzi z toalety. Sprawca czeka za drzwiami. Danielsson leci do przodu z głową w stronę salonu – stopy ma wyciągnięte w stronę drzwi wejściowych – i upada na brzuch lub na bok. Następnie dostaje jeszcze dwa razy w potylicę. Potem sprawca obraca go i na koniec wymierza jeszcze co najmniej trzy uderzenia w twarz.

– Skąd wiecie, że to się stało właśnie w takiej kolejności? – zapytał z powątpiewaniem Bäckström.

– Pewności nie można mieć nigdy, ale taki scenariusz najlepiej pasuje do urazów czaszki i do innych śladów zebranych z miejsca zdarzenia. Wygląd przedpokoju, ślady krwi i tak dalej. Na pokrywce znajdują się zarówno krew, włosy, jak i fragmenty czaszki. Co więcej, kształt pokrywki odpowiada obrażeniom głowy. Nasz sprawca jest nie tylko silny. Sądząc po kierunku uderzeń, musi być też wysoki. Poza tym wydaje mi się, że musiał być naprawdę wściekły na ofiarę. Już pierwsze uderzenie jest śmiertelne. Następne dwa w tył głowy i w kark mógł wymierzyć, że tak powiem, na wszelki wypadek, więc to jeszcze jestem w stanie zaakceptować. Trzy w twarz, mówimy tu o co najmniej trzech uderzeniach, to już z kolei przejaw czystego znęcania się. Również biorąc pod uwagę to, że musiał odłożyć pokrywkę, żeby móc obrócić ofiarę, a potem wziąć ją z powrotem do ręki i znowu uderzyć.

– Ile może mieć wzrostu? – zapytał Bäckström.

– Danielsson miał metr osiemdziesiąt osiem. A więc co najmniej metr osiemdziesiąt, choć raczej dziesięć centymetrów więcej. Metr dziewięćdziesiąt.

– Chyba że jest profesjonalnym bejsbolistą – podsunął Bäckström. – Mógł posłać mu taki cios wyprostowaną ręką znad głowy. Widziałeś, jak oni wykonują te swoje rzuty? Może to tenisista, co zaserwował pokrywkę?

– W tej okolicy mieszka raczej niewielu profesjonalnych

bejsbolistów – stwierdził Hernandez bez cienia uśmiechu na twarzy. – Tenistów zresztą też – dodał i ściągnął usta w dzióbek.

Fajny chłopak, pomyślał Bäckström. Wreszcie jakiś czarnuch z poczuciem humoru.

Hernandez zmienił temat. Najpierw opowiedział, co takiego znalazł polski budowlaniec w kontenerze na śmieci.

– Czekamy teraz na wiadomość z laboratorium, czy krew pochodzi od ofiary. Jeśli tak, robi się ciekawie. Niestety nie udało nam się znaleźć żadnych odcisków palców ani na płaszczu, ani na rękawicach, ani nawet kapciach. Rozmiar płaszcza i kapci zgadza się jednak z rozmiarami Danielssona. Wielki i potężny, numer buta czterdzieści cztery.

– No to ile miesięcy będziemy czekać na odpowiedź z laboratorium? – zapytał Bäckström.

– Udało nam się wyprosić priorytet – odparł Hernandez. – Koledzy z Linköping obiecali, że odezwą się najpóźniej po weekendzie. Podsumowując to, co już wiemy, mówimy tu o silnym sprawcy, nieprzeciętnie wysokim i wściekłym na swoją ofiarę. Jeśli nie mylimy się w kwestii ubrań i okaże się, że należą do Danielssona, podobnie jak pokrywka i młotek, może się okazać, że mamy do czynienia z osobą stosunkowo doświadczoną. Wkłada płaszcz ofiary, żeby nie zaplamiać krwią własnych ubrań. Zdejmuje buty i wkłada kapcie, a potem rękawice kuchenne gospodarza, żeby nie zostawić śladów. Jedyne, co nam nie pasuje, to zachowanie gościa, z którym Danielsson jadł obiad po południu – zostawił mnóstwo odcisków na talerzach, kieliszkach i sztućcach. Najwyraźniej nawet nie próbował ich usunąć.

– Mnie to nie przeszkadza. – Bäckström pokręcił głową. – Żule tak mają. Najpierw siedzi i chleje z Danielssonem. Gdy Danielsson idzie do kibla, w pijanym widzie zrzuca buty, wskakuje w kapcie, wkłada płaszcz i rękawiczki, a potem chwytą za pokrywkę i uderza, gdy Danielsson staje w drzwiach, siłując się z rozporkiem. Pewnie nawet nie pamięta, co robił wcześniej.

– Peter i ja też tak myśleliśmy – zgodził się Hernandez. –

Wygląda jednak na to, że nie chodzi tu wyłącznie o zabójstwo w afekcie, ale że był też bardziej prozaiczny powód.

– Na przykład?

– Kradzież – odpowiedział Hernandez.

– Otóż to – przytaknął Bäckström. – To pewnie kolejny dowód na to, jaki z niego spryciarz. Próbować okraść Danielssona to jak chcieć ostrzyć łysego.

– Tym razem chyba było inaczej – stwierdził Hernandez. – W górnej szufladzie biurka znaleźliśmy plik zrealizowanych kuponów z Solvalla. Ściągniętych gumką i ułożonych w porządku chronologicznym. Na wierzchu jest kupon z tego samego wieczoru, w którym zginął Danielsson, to znaczy z przedwczoraj. Na sumę dwadzieścia tysięcy sześćset dwadzieścia koron. Pieniądze zostały wypłacone z kasy na Solvalla zaraz po wyścigu. Pierwszy bieg na kuponie V65 o wpół do siódmej wieczorem. Nie znaleźliśmy jednak pieniędzy. Jego portfel leżał na biurku w sypialni, ale oprócz pliku wizytówek nic w nim nie było.

– Ciekawe – mruknął Bäckström. – Ciekawe – powtórzył. Dla kogoś takiego jak Danielsson to musiało być jak dar z niebios, pomyślał.

– To jeszcze nie wszystko – powiedział Hernandez. – Pozostaje to, co znaleźliśmy, i to, czego nie znaleźliśmy, a powinniśmy byli znaleźć.

– Słucham – powiedział Bäckström, sięgając po długopis i czarny notesik.

– Znaleźliśmy kupon, ale nie pieniądze, znaleźliśmy ślady czegoś, co uznaliśmy za aktówkę, ale aktówki nie było. Znaleźliśmy jedno świeże i jedno napoczęte opakowanie viagry wypisane na receptę na nazwisko Karola Danielssona, którą również znaleźliśmy. Zostało sześć z ośmiu tabletek. Jak wynika z recepty, od początku kwietnia zażył już osiem tabletek. I jeszcze opakowanie, które początkowo zawierało dziesięć kondomów, ale zostały tylko dwa.

– Zostały mu przynajmniej dwie struny na gitarze, nawet jeśli nie panował już nad swoim instrumentem. – Bäckström uśmiechnął się pod nosem.

– Znaleźliśmy dwa klucze od skrytki bankowej, ale nie wiemy, gdzie jest skrytka – mówił dalej Hernandez. – Nie znaleźliśmy komórki, komputera ani kart kredytowych, żadnych odpowiadających im rachunków. Znaleźliśmy zwykły kalendarzyk kieszonkowy z paroma notatkami, ale żadnego dziennika, zdjęć ani prywatnych zapisków.

– Typowy żul – stwierdził Bäckström. – Na co takiemu komórka? Żeby składać zamówienia w monopolowym? Kto by mu dał kartę kredytową? Tacy głupi nie są nawet w opiece społecznej. Coś jeszcze? – dodał.

– W jego biurku leżą pliki paragonów za taksówki – powiedział Hernandez.

– Przewozy. Przysługują chyba wszystkim pijakom w tym socjalistycznym raj, za którego utrzymanie to my płacimy.

– Nie – powiedział Hernandez. – Nie ma takiej możliwości. Zwykle rachunki. Wydaje mi się, że nimi handlował.

– Rachunkami za taksówki? Po co? Są jadalne?

– Może zna jakiegoś kierowcę taksówki, od którego kupuje zostawione przez klientów paragony za jakieś dwadzieścia procent kwoty na rachunku, a potem sprzedaje je dalej za jakieś pięćdziesiąt procent komuś, kto wrzuca je sobie w koszty. Czegoś na pewno się nauczył przez lata pracy w księgowości, zostały mu też pewnie z tego czasu jakieś kontakty.

– Myślałem, że stare ochlapusy zbierają puste butelki – zauważył Bäckström.

– W tym wypadku mogło być inaczej – stwierdził Hernandez.

Co to ma, kurwa, wspólnego ze sprawą. Wódka jest droga, pomyślał Bäckström i wzruszył ramionami.

– To wszystko? – zapytał.

– Tak. Na razie tak – powiedział Hernandez i wstał. – Po południu prześlemy wam z Peterem notatkę z tego, co udało nam się ustalić, wraz ze zdjęciami z miejsca zdarzenia i obdukcji. Mailem.

– Dobra – powiedział Bäckström. Niezła robota jak na duet złożony z fińskiego drwala i partnera do tanga, pomyślał.



KOMISARZ ANNIKA CARLSSON była w pracy już o siódmej trzydzięci rano, choć poprzedniego wieczoru położyła się dopiero przed północą.

Ledwo usiadła za biurkiem, gdy Peter Niemi zadzwonił do niej na komórkę, żeby opowiedzieć o znalezionym worku z ubraniami.

– Próbowałem złapać Bäckströma, ale nie odbiera – wyjaśnił.

– Ja też. Niedługo się pewnie pojawi. Martwię się o niego. Wczoraj naprawdę kiepsko wyglądał. Zauważyłeś?

– No tak, ale teraz trzeba jak najszybciej przesłuchać tego Polaka i jego kumpli, dlatego dzwonię do ciebie.

– Doceniam to. – Dobry jest, pomyślała. Nie tylko dobry w tym, co robi, ale też zaangażowany.

– Byłem na miejscu, przeszukaliśmy kontener, ale niczego więcej nie znaleźliśmy. W okolicy też zresztą nie. Wysłaliśmy dodatkowo patrol z psami, pomimo że był środek nocy. Rozmawiałem z tym kolesiem, który znalazł worek z ubraniami. Miły chłopak. Mówi lepiej po szwedzku ode mnie – dorzucił Niemi i uśmiechnął się do słuchawki. – Było małe zamieszanie, więc nie rozmawialiśmy zbyt długo.

– Chcesz, żebym zrobiła to raz jeszcze na porządnie, z magnetofonem i protokołem? – spytała Carlsson i też uśmiechnęła się do słuchawki. Dlaczego inni mężczyźni nie mogą być tacy jak Niemi, zastanowiła się.

– No tak. Już tak mam, sama rozumiesz.

– Załatwię to. – Ze względu na ciebie, pomyślała.

Potem kolejny raz zadzwoniła do Bäckströma na komórkę, ale ta była wciąż wyłączona, chociaż zbliżało się wpół do dziewiątej. Annika Carlsson pokręciła głową, zgarnęła Felicię Pettersson, wsiadła z nią do samochodu i pojechała na Ekenbergsvägen, żeby porozmawiać z Jerzym Sarnieckim i czwórką jego rodaków, którzy remontowali niewielki dom w Solnie, tysiąc kilometrów na północ od swojej ojczyzny.

Felicia Pettersson, lat dwadzieścia trzy, skończyła szkołę

policyjną w styczniu tego samego roku. Właśnie odbywała swoją pierwszą praktykę w wydziale kryminalnym w Solnie i już po tygodniu została przydzielona do pomocy w śledztwie dotyczącym zabójstwa. Felicia urodziła się w Brazylii. Gdy miała zaledwie roczek, została adoptowana z domu dziecka w São Paulo przez szwedzką parę pracującą w policji i mieszkającą na archipelagu Mälär pod Sztokholmem. Teraz ona również została policjantką, jak wiele dzieci policjantów przed nią. Młoda i bez doświadczenia, ale z predyspozycjami do wykonywania zawodu. Sprawna fizycznie, spokojna i opanowana; wyglądało na to, że lubi to, co robi.

Na pewno daleko zajdzie, pomyślała Annika Carlsson, gdy spotkała ją po raz pierwszy.

– Wiesz, gdzie jest Ekensbergsvägen, Felicia? – zapytała, gdy usiadła na fotelu pasażera i zapięła pasy.

– Tak, szefowo – odpowiedziała Pettersson i skinęła głową.

– A może mówisz jeszcze po polsku? – powiedziała Annika.

– Naturalnie. Płynnie, myślałam, że to u was podstawa – powiedziała z uśmiechem.

– O czymś jeszcze powinnam wiedzieć? – zapytała Annika Carlsson. Szybka jest, pomyślała.

– Znajomi mówią na mnie Lisa – odparła Felicia. – Może pani tak do mnie mówić.

– Na mnie mówią Kaczka – powiedziała Annika Carlsson.

– Chcesz, żeby tak do ciebie mówić? – Felicia spojrzała na nią zaskoczona.

– Raczej nie – odparła szefowa, kręcąc głową. – Uważasz, że wyglądam jak kaczka?

– Coś ty! – parsknęła Lisa Pettersson. – Jesteś super. *And I mean it.*

Annika Carlsson i Felicia Pettersson miały szczęście. Co prawda była dopiero dziewiąta rano, ale Jerzy i jego koledzy mieli właśnie przerwę na lunch. Wstali skoro świt, zjedli śniadanie o czwartej i zaczęli pracę o wpół do piątej. O godzinie dziewiątej musieli znaleźć chwilę na coś do zjedzenia, jeśli chcieli mieć siłę, żeby pracować do wieczora.

– *Sorry to disturb you in your breakfast* – powiedziała

Annika Carlsson i uśmiechnęła się, wyjmując legitymację policyjną. – *My name is detective inspector Annika Carlsson and this is my colleague detective constable Felicia Pettersson. By the way, does anyone of you speak Swedish? Or understand Swedish?*

– Ja mówię trochę po szwedzku – odezwał się Jerzy, trzech z jego kolegów pokręciło zaś przecząco głowami, a jeden przytaknął niepewnie. – Mogę tłumaczyć, jeśli trzeba.

– Mamy tylko kilka pytań – powiedziała Annika. – Możemy usiąść?

– Oczywiście – odparł Jerzy i podniósł się szybko z miejsca. Zdjął skrzynkę z narzędziami z wolnego krzesła stojącego przy prowizorycznym stole, a jeden z jego kolegów wyszedł, żeby przynieść taboret, proponując swoje krzesło *detective constable* Pettersson.

Dwie ładne dziewczyny. Do tego szwedzkie policjantki, chociaż jedna z nich wyglądała, jakby pochodziła z Karaibów. Przyjazne, wesołe, miło się na nie patrzyło i można było o nich potem fantazjować, wbijając kolejny gwóźdź. Spędzili razem godzinę? Jakie to miało znaczenie? Osiemdziesiąt koron to tylko osiemdziesiąt koron, poza tym to nie pracy im teraz najbardziej brakowało.

Czy zauważyli coś w środę wieczorem lub w nocy ze środy na czwartek?

Pracowali do ósmej wieczorem. Potem musieli skończyć, bo inaczej skarżyli się sąsiedzi. Zjedli kolację. Chwilę porozmawiali, zegrali w karty, a około dziesiątej położyli się spać. Żaden z nich nie wyszedł z domu, ponieważ przez cały wieczór padało.

A w nocy? Czy któryś z nich coś widział albo słyszał?

Spali. Żaden z nich nie miał problemów ze snem. Żaden niczego nie widział ani nie słyszał. Leżeli w swoich łóżkach i spali. Jeden z nich wstał na krótko do toalety. To wszystko.

– Leszek jest murarzem – wyjaśnił Jerzy, wskazując kolegę, który oddalił się za potrzebą. – Okno toalety wychodzi na ulicę – dodał, ubiegając kolejne pytanie Anniki Carlsson.

– Zapytaj go, czy pamięta, która była wtedy godzina.

– Nie pamięta – odparł Jerzy po wymianie kilku szybkich zdań po polsku, na które reakcją były tylko przeczące ruchy głową. – Nie patrzył na zegarek. Zdjął go i położył obok łóżka.

– Wciąż padało? – zapytała Annika Carlsson, bo czytała raporty z instytutu meteorologii. Słabnący deszcz padał w środowy wieczór i ustał pół godziny po północy, w czwartek 15 maja.

– Nie bardzo – podsumował Jerzy po krótkiej rozmowie po polsku. – Było ciemno. Naprawdę ciemno. Kiedy się obudziliśmy, już się rozpogodziło. Była czwarta rano.

A więc to musiało się stać około północy, pomyślała Annika Carlsson.

– Zapytaj go, czy coś widział albo słyszał. Ludzi, samochody, jakieś dźwięki. Lub czego nie widział albo nie słyszał. Interesuje nas wszystko, sam rozumiesz.

Znów polski. Pełne powątpiewania przeczące ruchy głową. Uśmiechy na twarzach Jerzego i Leszka. Po chwili ten drugi skinął potakująco, znów powiedział coś po polsku i wzruszył ramionami.

– Słucham – powiedziała Annika Carlsson. Weź się w garść, Kaczka, pomyślała. Zaczynasz gadać jak Bäckström, a przecież podobno jesteś „super”.

– Widział kota – powiedział Jerzy i uśmiechnął się, wyraźnie rozbawiony.

Małego, rudego kota. Widywali go często, pewnie mieszkał gdzieś w pobliżu, choć nie nosił obroży. Raz nawet poczęstowali go mlekiem.

Jednak żadnych ludzi, samochodów ani ludzkich odgłosów. Było ciemno, cicho, siąpił deszcz. Nie słyhać było włączonego telewizora ani radia, w oknach nie świeciły się światła. Nie zaszczeakał nawet pies. Samotny rudy kot, który przebiegł przez ulicę. To wszystko.

KOMISARZ KRYMINALNY Lars Alm, lat sześćdziesiąt, pracował w wydziale kryminalnym w Solnie od ponad dziesięciu lat. Wcześniej służył w dawnym wydziale kryminalnym na komendzie na Kungsholmen w centrum miasta, z czasem przeniósł się jednak do wydziału dochodzeniowego w City. Potem przeprowadził się na Solnę. Rozwiódł się i ponownie ożenił, a jego nowa żona, pielęgniarka ze szpitala Karolinska, miała całkiem przyjemne mieszkanie w centrum Solny. Alm miał do pracy dwie minuty spacerem, i to niezależnie od tego, czy akurat padał śnieg, czy zaciął deszcz.

Był to dobry powód, żeby zacząć pracę na komendzie w Solnie, ale nie jedyny. Alm czuł się wypalony. Lata spędzone w kryminalnym centrum miasta zrobiły swoje. Pod tym względem Solna powinna być lepsza, myślał. Chciał uciec od powodzi spraw, które w każdy poniedziałek zalewały jego biurko po weekendzie pełnym imprez w City. Jego nadzieje okazały się płonne. Najchętniej przeszedłby na emeryturę, ale gdy jeszcze raz policzył sobie wszystko na spokojnie, postanowił, że spróbuje jakoś wytrwać do swoich sześćdziesiątych piątych urodzin. Pensja pielęgniarki na niewiele starczała, a żadne z nich nie chciało głodować na starość.

Próbował uporządkować swoje życie na tyle, na ile potrafił. Unikał grup zajmujących się poważnymi wykroczeniami i zespołów do spraw napadów, wydziałów śledczych i narkotykowych. Zajął się mniejszymi codziennymi przestępstwami dotyczącymi zwykłych ludzi, jak choćby włamania do mieszkań i samochodów czy przypadki łagodniejszych pobić. Uważał, że nieźle sobie radził, i regularnie zdawał raport z takiej liczby spraw, jak od niego wymagano. Próbował nie odstawać od średniej.

W poniedziałek 12 maja przez komendę rejonową Västerort przeszła nawałnica. Dwóch nieznanymi sprawców napadło na

konwój w pobliżu lotniska Bromma. Zastrzelili jednego z ochroniarzy, a potem próbowali zabić jego kolegę. Napad z bronią w rękę, zabójstwo i usiłowanie zabójstwa. Już po kilku godzinach minister sprawiedliwości pojawił się we wszystkich programach informacyjnych w telewizji. Ich nowej szefowej, komendant Annie Holt, z pewnością nie było do śmiechu. Miesiąc w nowej pracy i od razu coś takiego.

Pierwszą falę udało mu się przetrwać. Choć szef wydziału kryminalnego inspektor Toivonen odkomenderował większość kolegów z innych działów do tej sprawy, to nad Almem się zlitował. Jednak w czwartek rano również jemu przydzielono zadanie. Wtedy to Toivonen wpadł do jego pokoju i oznajmił, że jest, jak jest, i musi się z tym pogodzić.

– Zabito jakiegoś starego menela na Råsundavägen – powiedział Toivonen. – Zwykle takie sprawy kończy się jeszcze przed lunchem, ale ze względu na okoliczności musiałem ją przydzielić Bäckströmowi.

– Co mam robić? – powiedział Alm, bo zrozumiał, że nie ma dyskusji.

– Dopilnuj, żeby ten tłuścioch nie spudłował do pustej bramki – powiedział Toivonen i jakby nigdy nie wyszedł z pokoju.

Tak też się stało. Po ponaddziesięcioletniej przerwie rzucono na niego dochodzenie w sprawie zabójstwa, a ponieważ postać Bäckströma nie była mu obca, rozumiał, że teraz będzie już tylko gorzej.

Alm znał bowiem Bäckströma od dawna. Pod koniec lat osiemdziesiątych pracowali razem jako śledczy do spraw zabójstw w wydziale kryminalnym w Sztokholmie. Kilka lat później Bäckström nagle dostał pracę w komisji do spraw zabójstw Komendy Głównej Policji. Nie mieściło się to w głowie. Ktoś z kierownictwa Komendy Głównej musiał chyba doznać udaru mózgu albo został przekupiony przez komendanta w Sztokholmie. Alm i pozostali normalni koledzy wzięli prom na Åland i świętowali przez całą następną dobę. Piętnaście lat później los zemścił się na nim w dwójnasób.

Będąc w potrzebie, zwrócił się do Anniki Carlsson,

wyjatkowo rozsądnej koleżanki. zaproponował, że zajmie się opracowaniem informacji na temat najbliższego otoczenia ofiary i tego, czym się zajmowała przez ostatnie godziny swojego życia. Wszystko po to, żeby mógł zostać w swoim pokoju i nie musiał oglądać Bäckströma częściej, niż to było absolutnie konieczne.

– Brzmi fantastycznie – powiedziała Annika Carlsson, kiwając głową. – Jaki on jest? Dużo słyszałam o Bäckströmie, ale po raz pierwszy spotkałam go dopiero dzisiaj rano. Bardzo krótko, podczas obchodu miejsca zdarzenia.

– Gdybyś poznała go naprawdę, tobyś go zapamiętała – westchnął Alm.

– Czy on jest tak tępy, jak wszyscy mówią? Wiele z tych historii to chyba mimo wszystko bajki.

– Gorzej – powiedział Alm. – Jest jeszcze gorzej. Za każdym razem, gdy usłyszałem w wiadomościach, że któryś z naszych kolegów zginął, modliłem się do Pana Boga, żeby to był Bäckström. Skoro już muszą spotykać nas nieszczęścia, to dlaczego nie zacząć od Bäckströma i oszczędzić wszystkich normalnych, porządnych kolegów? Nie pomaga – dodał i pokręcił zrezygnowany głową. – Ten tłusciuch jest nieśmiertelny. Musiał zawrzeć jakiś pakt z Belzebubem. Dostaliśmy go za nasze grzechy i już naprawdę nie wiem, co powinniśmy zrobić, żeby za nie odpokutować.

– Rozumiem, co masz na myśli – powiedziała Annika Carlsson, potakując z namysłem głową. Będzie wesoło, a w najgorszym razie ściągnę go do garażu i połamię mu rękę, pomyślała.

Zbieranie informacji o zamordowanym Karlu Danielssonie zaczęło się niezwykle obiecująco. Gdy tylko wiadomość o jego nagłym odejściu dotarła do jego znajomych – a rozniosła się błyskawicznie – zaczęli po kolei zgłaszać się na policję. Centrala policyjna wreszcie zadziałała, poufne informacje płynęły szerokim strumieniem i gdy Alm wracał wieczorem do domu po pierwszym dniu, czuł, że panuje nad sytuacją.

Miał nazwiska i wszystkie potrzebne dane kilkunastu osób z najbliższego otoczenia ofiary. Sami mężczyźni i choć nie mógł

tego wiedzieć na pewno, podejrzewał, że dzielili pasję ich zamordowanego przyjaciela i towarzysza biesiad. Z kilkoma z nich porozmawiał przez telefon. Od nich dostał między innymi nazwiska innych znajomych ofiary, którzy jeszcze nie zdążyli się ujawnić. Kilku innych już przesłuchał. Gdy Alm szedł do domu około siódmej wieczorem, żeby zjeść z żoną gołąbki z borówkami, był tak zadowolony, jak tylko można, gdy ma się do czynienia z Evertem Bäckströmem.

Gdyby tylko Bäckström wykazał się wreszcie obywatelską odpowiedzialnością i kopnął w kalendarz, nie musiałbym się nawet specjalnie obawiać o to dochodzenie, pomyślał Alm.



BÄCKSTRÖM SPĘDZIŁ przedpołudnie na porządkowaniu spraw związanych z dochodzeniem, któremu jego współpracownicy próbowali za wszelką cenę ukreślić łeb. Już od dawna tak dobrze się nie czuł, a jego nos wciąż wyczuwał niebiański zapach świeżych bułeczek z dużą ilością sera i masła.

Spadajcie na bambus, pieprzeni żywieniowcy, pomyślał Bäckström. Możesz jeść jak człowiek, pamiętaj tylko, żeby nie przesadzić z ilością płynnego szczęścia. Potem robisz przerwę, pościsz, pijesz na umór i przepłukujesz do czysta wszystkie naczynia krwionośne. A potem raz jeszcze, od początku.

Krótko po jedenastej jego żołądek zaczął poburkiwać w dobrze mu znany, przyjemny sposób, co mogło oznaczać tylko jedno: czas już wrzucić coś na ruszt.

Zszedł więc czym prędzej do stołówki, żeby w spokoju skomponować zrównoważony posiłek, który pozostawałby w zgodzie z jego własnymi spostrzeżeniami i wnioskami.

Najpierw zatrzymał się przy bufecie sałatkowym i nałożył na talerz trochę tartej marchewki, kilka słupków ogórków i ćwiartek pomidorów. Szerokim łukiem ominął pojemniki z odchodami łosia i króliczymi bobkami, najwyraźniej nie mieli tu robaków gnilnych, a szkoda, bo ten jeden raz, kiedy ich spróbował, smakowały całkiem przyzwoicie. Następnie powęszył wśród pojemników z oliwą i dressingiem i na koniec podjął decyzję. Rhode Island, postanowił. Z doświadczenia wiedział, że jest w pełni jadalny. Kupował go czasem w sklepie i polewał nim swoje domowej roboty hamburgery z dużą ilością sera i majonezu.

Po dojściu do punktu, w którym wydawane były ciepłe posiłki, zastanawiał się długo, czy wybrać danie mięsne – kotlet mielony ze smażonymi ziemniakami, ogórkiem i sosem śmietanowym, makaron dnia – carbonara ze smażonym mięsem i świeżym żółtkiem, czy rybę dnia – smażoną gładzicę z gotowanymi ziemniakami i sosem ogórkowym. Nie ugiął się

i zamówił rybę, choć ryby jadły tylko fujary, lesby i inne podejrzane typy. Spróbuję, a co tam, pomyślał Bäckström i nagle poczuł, jak ogarnia go spokój.

Pozostała jeszcze kwestia napoju: woda z kranu, sok, woda mineralna czy lekkie piwo? To ostatnie byłoby oczywistym i naturalnym zadośćuczynieniem dla trudów wstrzemięźliwości, której ostatnio bezapelacyjnie dowiódł. Co więcej, smakowało tak paskudnie, że z pewnością dało się zakwalifikować do kategorii napojów leczniczych.

Kwadrans później był gotów. Została jeszcze kawa i nagroda za dobre sprawowanie w postaci maleńkiego mazarina i może jeszcze ciastka migdałowego w polewie marcepanowej.

Opanuj się, Bäckström, przywołał się w myślach do porządku i ze stoickim spokojem odłożył ciastko w polewie marcepanowej, zadowolając się pojedynczym mazarinem na maleńkim spodeczku, nalał kawy i znalazł dla siebie pusty kąt, żeby w spokoju zakończyć swój skromny posiłek.

GODZINĘ PÓŹNIEJ miał drugie spotkanie ze swoim zespołem dochodzeniowym. Był skoncentrowany i spokojny. Miał wrażenie, że całkowicie panuje nad sytuacją. Nie skoczyło mu nawet ciśnienie, gdy poprosił komisarza kryminalnego Larsa Alma, żeby rozpoczął naradę od podsumowania swoich ustaleń na temat ofiary i jej poczynań w ciągu ostatnich godzin przepitego życia.

– Może zaczniesz, Lars – powiedział Bäckström i uśmiechnął się przyjaźnie do zapowiedzianego prelegenta. Stary tępak z kryminalnego w Sztokholmie – jak tacy zostawali policjantami było tajemnicą, której nawet on nie potrafił rozwiązać.

Komisarz kryminalny Lars Alm przesłuchał Seppo Lauréna, jednego z najmłodszych sąsiadów ofiary, w mieszkaniu należącym do jego matki na Hasselstigen jeden. Powodem, dla którego złożył mu wizytę, było to, że Laurén dziesięć lat wcześniej został skazany na sześćdziesiąt grzywien dziennych za niezbyt poważne naruszenie nietykalności osobistej. Należał do grupy siedmiu oskarżonych kibiców AIK, którzy po meczu w Råsunda pobili kibica przeciwnej drużyny na stacji metra w Solna centrum. Była to jedyna wzmianka o nim w kartotekach policyjnych; w porównaniu z kolegami Laurénowi się upiekło. Poza tym był jedynym w całym budynku skazanym za przestępstwo z użyciem przemocy.

– Ty czy ja, Lars? – zapytała Annika Carlsson, kiwając głową w stronę Alma.

– Mogę go przesłuchać – zaproponował Alm.

– Dziękuję.

Dziecko w ciele dorosłego mężczyzny, pomyślał Alm, gdy skończył przesłuchiwać Lauréna. Co najmniej dziesięć centymetrów wyższy od niego, jakieś dziesięć kilogramów cięższy, z szerokimi barkami i długimi obwisłymi ramionami.

Dorosły mężczyzna, można byłoby pomyśleć, gdyby nie jego długie jasne włosy, które bez przerwy musiał odgarniać lewą

ręką, potrząsając głową, i jego łagodne niebieskie oczy, które wyglądały jak oczy dziecka. Dziecko w ciele dorosłego mężczyzny i już samo to jest smutne, pomyślał Alm, wychodząc z mieszkania.

Około czwartej w środę po południu 14 maja Karl Danielsson wrócił do swojego mieszkania przy Hasselstigen jeden w Solnie. Wsiadł z taksówki, zapłacił i w wejściu do klatki wpadł na Seppo Lauréna, lat dwadzieścia dziewięć.

Przebywający na rencie pomimo młodego wieku, Laurén, mieszkał chwilowo sam. Jego matka, z którą dotychczas dzielił mieszkanie, dostała wylewu i przebywała w ośrodku rehabilitacyjnym. Danielsson opowiedział Laurénowi, że był w banku, a po drodze załatwił jeszcze kilka innych spraw. Potem włożył mu do ręki dwa banknoty stukoronowe i poprosił, żeby zrobił mu zakupy. On sam planował jechać do Solvalla wieczorem i mógłby nie zdążyć. Lekko solony boczek, fasolka, dwie spore porcje, kilka puszek toniku, coli i wody sodowej. To wszystko, a resztę mógł zachować dla siebie.

Laurén od lat załatwiał Danielssonowi tego typu sprawy. Gdy wracał z pobliskiego sklepu spożywczego, Danielsson wsiadał właśnie do taksówki i zdawał się być w doskonałym humorze. Powiedział coś w stylu, że „czekają na niego Valla i wielkie pieniądze”.

– Pamiętasz, która była wtedy godzina? – zapytał Alm.

– Tak – powiedział Laurén, kiwając głową. – Pamiętam dokładnie. Często patrzę na zegarek. – Następnie uniósł swoje lewe ramię i pokazał zegarek.

– No to która to była godzina? – zapytał Alm i uśmiechnął się przyjaźnie.

– Dwadzieścia po piątej.

– Co potem zrobiłeś?

– Powiesiłem siatkę z zakupami na jego kłamce, a potem wróciłem na górę do siebie i grałem na komputerze. Często gram.

– To by się zgadzało z tym, co udało nam się już ustalić – stwierdził Alm, wertując swoje notatki. – Danielsson obstawił pierwszą gonitwę na V65 na Solvalla, która zaczęła się

o szóstej. Taksówką jedzie się tam najwyżej kwadrans, miał jeszcze czas, żeby zrobić zakład.

– Czekał – przerwał mu Bäckström. – Coś mi mówi, że ten twój Laurén nie ma do końca równo pod sufitem.

– Jest upośledzony umysłowo, ale zna się na zegarku – potwierdził Alm. – Sprawdziłem.

– Mów dalej – mruknął Bäckström. Cóż za zbieg okoliczności, pomyślał. Już pierwszy świadek przesłuchiwany przez tego tępaka jest niespełna rozumu i obaj twierdzą, że znają się na zegarku.

Po pierwszym biegu Danielsson miał już na koncie pięćset koron zarobione na koniu z numerem sześć, Instant Justice. Szatan, który dał czterdziestokrotne przebicie na zakładach i bon, znaleziony przez policję w szufladzie biurka.

– Jesteście tego pewni? – spytał Bäckström, nie odpuszczając. Skurczybyk mógł go od kogoś dostać albo podwędzić, pomyślał.

Całkowicie, zdaniem Alma. Rozmawiał ze starym znajomym Danielssona, który zadzwonił do niego, żeby podzielić się tą wiadomością. To właśnie on polecił Danielssonowi Instant Justice. Były woźnica i instruktor jazdy konnej z Valla, obecnie na emeryturze, Gunnar Gustafsson. Znali się z Danielssonem jeszcze ze szkoły podstawowej.

– Gustafsson ma status legendy na Solvalla – podsumował Alm. – Zdaniem jednego z moich kolegów, żywo zainteresowanego końmi, jest powszechnie znany jako Gurra Woźnica i podobno nie rzuca słów na wiatr, więc bardzo możliwe, że rzeczywiście znali się z Danielssonem. Dawni koledzy z dzieciństwa w Solnie i Sundbyberg wołali na niego Kalle Księgowy. Tak czy owak – mówił dalej Alm, zerkając do swoich notatek – Gustafsson powiedział mi, że gdy siedział w restauracji na Solvalla z kilkoma przyjaciółmi, nagle do środka wszedł Danielsson w wyjątkowo dobrym humorze. Było około wpół do siódmej i gdy Gustafsson zaproponował, żeby się do nich dosiadł, Danielsson odmówił. Powiedział, że jedzie do domu spotkać się z innym dawnym kolegą ze szkoły na kolację. Mieli co świętować, bo zrzucili się razem na zakład.

– Jak się nazywa? – spytał Bäckström. – Ten, którego Danielsson zaprosił na kolację?

– Znamy go obaj – powiedział Alm. – To dawny kolega z klasy Danielssona. Ten sam rocznik, sześćdziesiąt osiem lat. Kiedy ty i ja mieliśmy z nim kontakt, pracował jeszcze w wydziale dochodzeniowym w Sztokholmie. Roland Stålhammar. Stalowy Rolle, Superman lub po prostu Stalowy. Jak zwał, tak zwał.

Tu cię mam, bratku, pomyślał Bäckström. Roland Stalowy Stålhammar, złapany jakby nie patrzeć na gorącym uczynku i od dawna pordzewiały między nogami, gdyby ktoś chciał znać opinię Bäckströma na ten temat.

– No proszę – powiedział. Odchylił się na krześle, splótł dłonie na brzuchu i uśmiechnął się zadowolony. – Czy mi się tylko zdaje, czy właśnie rozwiązaliśmy sprawę? Może powiesz coś więcej naszym młodszym kolegom o Rolandzie Stålhammarze – powiedział Bäckström i skinął rozbawiony w kierunku Alma.

Alm nie wyglądał, jakby podzielał jego radość, ale mimo to odpowiedział:

– Roland Stålhammar był jednym z tych legendarnych kolegów z dawnego wydziału zabójstw. Pracował w sekcji dochodzeniowej. Znał każdego chuligana w prowincji. Lubily go wszystkie łobuzy, choć w czasie swojej służby zamknął ich w areszcie całe setki. Przeszedł na emeryturę w pięćdziesiątym dziewiątym. Skorzystał z okazji, jaką mieli starsi stażem funkcjonariusze, i został emerytem w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat. Taa – mruknął Alm i z jakiegoś powodu westchnął. – Co jeszcze mogę powiedzieć? Urodzony i wychowany w Solnie. Mieszkał tam przez całe swoje życie. Interesował się sportem. Najpierw był zawodnikiem, a potem został trenerem. Kontaktowy. Dynamiczny. Łatwo nawiązywał więź z ludźmi. Zapaleniec, można powiedzieć.

– Chyba o czymś zapomniałeś – wtrącił Bäckström z szelmowską miną. – Wiemy o nim coś jeszcze, no nie?

– Tak – odparł Alm i skinął głową. – Stålhammar był w przeszłości bokserem. Swego czasu należał do pierwszej ligi.

Pod koniec lat sześćdziesiątych był mistrzem Szwecji w wadze ciężkiej przez kilka lat z rzędu. Raz nawet stanął na ringu naprzeciw Ingemara Johanssona podczas gali charytatywnej w Cirkus na Djurgården. Ingemar Johansson, Ingo, jak na niego mówili, nasz dawny mistrz świata wagi ciężkiej w boksie zawodowym – wyjaśnił Alm i skinął z jakiegoś powodu w stronę Felicii Pettersson.

– Aż mi się łezka w oku zakręciła – powiedział Bäckström. – Mówimy o tym samym Stalowym Rolle? Metr dziewięćdziesiąt wzrostu, sto kilo mięśni i najszybszy zapłon w policji? Ściągał na siebie więcej skarg za stosowanie przemocy niż my tu wszyscy razem wzięci.

– Słyszę, co mówisz, ale to nie jest takie proste – powiedział Alm. – Jak już mówiłem, Stålhammar był z natury zapaleńcem. Uratował wielu młodych ludzi, którzy zeszli na złą drogę. O ile dobrze pamiętam, tylko on pracował za darmo po godzinach jako kurator.

– O ile nie zalewał robaka, bo zdaje się, że w tej dziedzinie mimo wszystko przodował – powiedział Bäckström i poczuł, że rośnie mu ciśnienie. – Jak widać, niewiele się w tej kwestii zmieniło...

– Być może mógłbym uzupełnić ten opis – odezwał się aspirant Jan O. Stigson, lat dwadzieścia siedem, nieśmiało unosząc dłoń. – W zakresie obejmującym naszą sprawę oczywiście.

– Też byłeś kiedyś bokserem, Stigson? – zapytał Bäckström, bo czuł, że powoli ogarnia go wściekłość.

Policjant na miarę swoich czasów. Ogolona głowa, mięśniak, IQ na poziomie minus jeden, z niewiadomej przyczyny wypożyczony z działu prewencji, żeby pomóc w dochodzeniu w sprawie zabójstwa. Kto inny jak nie ten drwal Toivonen mógł wpaść na taki genialny pomysł, pomyślał Bäckström. Co gorsza, skurczybyk był z Dalarny, mówił, jakby gryzł krakersy. Koleś w bucikach z pomponikami, który wpadł w sam środek dochodzenia w sprawie zabójstwa.

– Proszę – powiedziała pewnym głosem Annika Carlsson – żebyśmy nie musieli już dłużej wysłuchiwać, jak Bäckström

i Lars spierają się o dawnego kolegę. Nikt z nas nie ma na to siły.

A ta co sobie, kurwa, myśli, warknął Bäckström w duchu, wbijając wzrok w Annikę. Będę musiał pogadać z nią w cztery oczy po naradzie, pomyślał.

– Podczas wczorajszego obchodu poczyniliśmy kilka obserwacji – zaczął aspirant Stigson. – Wydaje mi się, że niektóre z nich mogą mieć znaczenie w kontekście tego, co kolega Alm powiedział na temat naszego dawnego kolegi Rolanda Stålhammara.

– Słucham – powiedział Bäckström. – Na co czekamy? To jakaś tajemnica, czy co?

– Wdowa Stina Holmberg, lat siedemdziesiąt osiem – zaczął Stigson i skinął głową w stronę Bäckströma. – Zajmuje mieszkanie na parterze w budynku przy Hasselstigen jeden. Uroczą starszą panią. Jest emerytowaną nauczycielką, ale dobrze się trzyma, wszystko rozumie i nie ma problemów ze słuchem. Jej mieszkanie znajduje się bezpośrednio pod mieszkaniem Danielssona, a ponieważ w budynku łatwo rozchodzą się dźwięki, miała dla nas kilka ciekawych spostrzeżeń.

Stigson kiwnął zamyślony głową i spojrzał na Bäckströma.

Nie wierzę, kurwa, pomyślał Bäckström. Pomponiarz jest pewnie spokrewniony z tym Laurénem. Może to przyrodni bracia.

– Wciąż czekam – warknął, rozkładając bezradnie ręce.

Wieczorem w środę 14 maja w mieszkaniu Danielssona odbyło się przyjęcie. Zdaniem pani Holmberg zaczęło się około dziewiątej wieczorem: podniesione głosy, śmiechy i pobrzękiwanie szkłem, a jakąś godzinę później rozkręciło się na dobre. Danielsson i jego gość puszczały na cały regulator płyty gramofonowe, wyłącznie Everta Taube, i śpiewali refreny.

– *Eldarevalsen* i *Briggan Bluebird* Hull i Fritiof i *Carmencita* i już sama nie wiem, co jeszcze, ale to się nie chciało skończyć – dodała pani Holmberg.

Zresztą nie zdarzyło się to pierwszy raz, a ponieważ sama bała się pójść do Danielssona, zadzwoniła do sąsiadki z prośbą



o pomoc. Britt-Marie Andersson, młodej kobiety, która mieszkała na ostatnim piętrze.

– Ten Danielsson to był ciężki przypadek – wyjaśniła pani Holmberg. – Nawet jeśli nie powinno się mówić źle o zmarłym. Wielkie chłopisko, chlał od rana do nocy. Pamiętam, jak raz chciał mi pomóc przejść przez drzwi, ale był tak pijany, że się przewrócił i o mało co, a sama znalazłabym się na ziemi razem z moimi siatkami.

– A więc zadzwoniła pani do swojej młodszej sąsiadki, Britt-Marie Andersson, i poprosiła ją o pomoc – podsumował aspirant Stigson, który prowadził przesłuchanie, nagrał je na taśmę, a teraz czytał na głos.

– Tak, na nią można liczyć. Potrafi się postawić takim jak Danielsson, więc nie pierwszy raz poprosiłam ją o pomoc.

– Co zrobiła panna Andersson? – zapytał Stigson.

– Pani, nie panna. Jest rozwódką albo wdową, nie pamiętam. Poszła do niego i widocznie przemówiła mu do rozumu, bo chwilę później już się uciszyło.

– Czy pamięta pani, która była wtedy godzina? To znaczy o której znów zrobiło się cicho?

– To musiało być jakoś o wpół do jedenastej. To znaczy z tego, co pamiętam.

– Co potem pani zrobiła?

– Poszłam spać – powiedziała pani Holmberg. – Na szczęście. Gdybym wytknęła nos, nie byłoby mnie pewnie teraz na świecie.

– A ta młodsza sąsiadka, którą prosiła o pomoc? Co o niej mówi? – zapytał Bäckström.

– Britt-Marie Andersson. Huga, huga – powiedział aspirant Stigson rozanielony.

– Co za „huga, huga”.

– Boska kobieta – rozmarzył się Stigson. – Boska. Blondynka, niefarbowana, mogę się założyć. Co za ciało, co za nadbudowa. Huga, huga. Dolly Parton może się schować – wyjaśnił z błogim uśmiechem na twarzy.

– Mówić też potrafiła? – zapytał Bäckström.

– Jasne. – Stigson kiwnął głową. – Była bardzo miła, na

szczęście miałem magnetofon, bo to, jak wyglądała, no wiecie, to ciało...

– Do jasnej cholery – wtrąciła się Annika Carlsson. – Gadaj wreszcie, co powiedziała.

Miej się na baczności, pomponiarzu, pomyślał Bäckström. Carlsson pociemniało w oczach, za chwilę nogi mu z dupy powyrywa, pomyślał.

– Jasne, jasne – powiedział zarumieniony Stigson. Przewertował nerwowo notatki i zaczął czytać na głos.

Świadek Britt-Marie Andersson zeznała w skrócie, co następuje:

Około godziny dziesiątej w środę wieczorem pani Holmberg zadzwoniła do pani Andersson i poprosiła ją o pomoc w rozmowie z sąsiadem Danielssonem. Pani Andersson poszła do Danielssona i zadzwoniła do jego drzwi. Danielsson otworzył, wyraźnie pijany. Powiedziała mu, żeby się uciszeli, w przeciwnym razie zadzwoni na policję. Danielsson przeprosił, a następnie zamknął drzwi do swojego mieszkania. Pani Andersson stała jeszcze przez kilka minut pod drzwiami i nasłuchiwała, ale gdy ucichł gramofon, wsiadła do windy i wróciła do siebie. Jakiś kwadrans później Danielsson zadzwonił do niej na telefon stacjonarny. Zwyczywał ją i był agresywny. Powiedział, żeby się nie wtrącała w nie swoje sprawy. Potem rzucił słuchawką, a zdaniem pani Andersson było to około wpół do jedenastej wieczorem.

– To by się zgadzało – wtrącił Alm. – Przed naszym spotkaniem dostałem pierwsze bilingi. Zgodnie z bilingiem dla numeru telefonu ofiary, a nie mam jeszcze listy sąsiadów, dzwoniło na inny telefon stacjonarny o dziesiątej dwadzieścia siedem wieczorem. Podaj mi przesłuchanie z Andersson.

– Jasne – odparł Stigson i podsunął Almowi wydruk na kartce A4.

– Tak – mruknął Alm i skinął głową, rzuciwszy okiem na kartkę, którą dostał. – To jest numer telefonu stacjonarnego Andersson. Tak na marginesie, to ostatni telefon, jaki wykonał Danielsson.

Bo potem zostaje zamordowany i okradziony przez starego

zapalczywca Rolle Stålhammara, pomyślał Bäckström, z trudem ukrywając zachwyt.

– Coś innego mi tu nie pasuje. Może powiem od razu, zanim zapomnę – odezwał się Alm i spojrzał z jakiegoś powodu na Bäckströma.

– Może rzeczywiście – odparł ten i uśmiechnął się przyjaźnie.

– Kiedy szukałem informacji na temat Stålhammara, zwróciłem uwagę, że mieszka na Järnvägsgatan w Sundbyberg. To zaledwie kilkaset metrów od Ekensbergsgatan, gdzie ten Polak znalazł płaszcz, kaptcie i rękawice kuchenne. Po drodze, że tak powiem. Jeśli iść najkrótszą drogą do domu z Hasselstigen na Järnvägsgata, trzeba przejść Ekenbergsvägen mniej więcej w tym miejscu, gdzie ten Polak znalazł ubrania.

– Ciekawe – powiedział Bäckström z lekkim uśmiechem. – Kto by się spodziewał po starym wychowawcy młodzieży. Ty, Stigson – ciągnął. – Ta cała Andersson nie widziała, kto był u Danielssona? A może zapomniałeś jej zapytać, bo cała reszta, no wiesz...

– Skąd. Oczywiście, że ją o to zapytałem – powiedział Stigson i spojrzał nerwowo na komisarz Annikę Carlsson. – Wiadomo. Nie, nie widziała, kto to był, ale gdy rozmawiała z Danielssonem, słyszała, że ktoś jest w salonie. Nie weszła jednak do mieszkania, więc nie widziała, kto to jest.

– Co innego przyszło mi do głowy – powiedział Bäckström i spojrzał z jakiegoś powodu na Alma.

– Tak?

– Na początku powiedziałaś, że wielu kumpli Danielssona odezwało się zaraz po tym, jak dowiedzieli się, że został zamordowany.

– Zgadza się.

– Ale nie Roland Stålhammar?

– Nie – potwierdził Alm. – On się nie odezwał.

– Przecież on jako pierwszy powinien się odezwać. Stary glina, sami rozumiecie. Pił razem z ofiarą tuż przed jej śmiercią – stwierdził Bäckström zadowolony.

– Też mi się to nie podoba – przyznał Alm. – Zakładając, że wie, że Danielsson został zamordowany, i że to rzeczywiście on

był tam poprzedniego wieczoru, przecież nie mamy pewności mimo tego, co mówi Gurra Woźnica.

– Mhm – mruknął Bäckström, kiwając głową. Pętla się zaciska, pomyślał. Ciekawe, czy zdążę sobie jeszcze zafundować małe ciastko migdałowe i kawę ze śmietanką? – Co powiecie na krótką przerwę? – spytał, spoglądając na zegarek. – Piętnaście minut? – Niezbyt dobry moment na rozmowę dyscyplinującą, pomyślał, gdy koleżanka Carlsson wybiegła z sali, mrużąc oczy.

Nikt nie miał zastrzeżeń.

NO DOBRA, POMYŚLAŁ Bäckström, kiedy już usiedli z powrotem na swoich miejscach. Teraz trzeba tylko na spokojnie zebrać wszystko do jednego worka i zawiązać.

– Ty, Nadja – powiedział i kiwnął z uśmiechem głową w kierunku Nadji Högberg. – Udało ci się dowiedzieć czegoś więcej o naszej ofierze?

W zasadzie już koniec, stwierdziła Nadja Högberg. Została jeszcze tylko dawna spółka akcyjna Danielssona, ale tą zamierzała zająć się w weekend. Poza tym wszystko wskazywało na to, że istnieje skrytka bankowa, której jeszcze nie udało jej się znaleźć. Kluczyki pasowały do skrytki w jednym z oddziałów Handelsbanken na Valhallavägen w centrum Sztokholmu, tyle w każdym razie udało się ustalić. Problem w tym, że zdaniem banku ani Danielsson, ani jego spółka nie mieli oficjalnie skrytki w tym oddziale. Na kluczykach nie było numeru, a ponieważ w samym tylko tym oddziale znajdowało się setki skrytek, sprawa nie była taka prosta, jak by się mogło wydawać.

– Pracuję nad tym w porozumieniu z bankiem – powiedziała Nadja Högberg. – Na pewno ją znajdziemy.

Udało jej się natomiast wyjaśnić sprawę paragonów, które technicy znaleźli w mieszkaniu Danielssona.

– Strasznie tego dużo – stwierdziła. – Kupony z Solvalla na ponad pół miliona, rachunki za taksówki, rachunki z restauracji i cała masa innych faktur na wszystko od mebli biurowych po prace malarskie w magazynie we Flemingsberg. Rachunki opiewają łącznie na ponad milion koron, i to zaledwie za ostatnie kilka miesięcy.

– Skurczybyk musiał się nieźle dorobić na tych koniach – powiedział Bäckström, choć słuchał tylko jednym uchem. Pół miliona w ciągu kilku miesięcy, pomyślał.

– Nie wydaje mi się – powiedziała Nadja, kręcąc głową. – Zakłady na wyścigach to gra z sumą zerową. Jeśli masz szczęście i znasz się trochę na koniach, to z czasem być może ci

się wyrównuje. On tylko handlował kuponami. Część z nich pewnie kupił sam. Sprzedawał je komuś, kto musi tłumaczyć się przed urzędem skarbowym, za co kupił nowego mercedesa, skoro nie wykazuje żadnych dochodów. Podejrzewam, że podobnie było z paragonami za przejazdy taksówkami. Sprzedawał je osobom trzecim, żeby mogły je sobie wrzucić w koszty działalności. Odpowiednie kontakty wyrobił sobie z pewnością w czasie pracy jako księgowy i audytor, poza tym do tego nie potrzeba jakiejś specjalnej wiedzy.

Lepsze niż zbieranie pustych butelek, pomyślał Bäckström.

– Przepraszam – odezwał się Alm i zamachał nerwowo dłonią, bo zadzwoniła jego komórka. – Alm – powiedział i przez kilka kolejnych minut mruzczał coś do aparatu, a Bäckström wpatrywał się w niego z rosnącą wściekłością.

– Przepraszam – powtórzył, gdy już zakończył rozmowę.

– Nic się nie stało – powiedział Bäckström. – Nie chcieliśmy ci przeszkadzać. Rozumiem, że to było coś cholernie ważnego.

– Dzwonił Niemi – wyjaśnił Alm. – Telefonowałem do niego w czasie przerwy i powiedziałem o Rolle Stålhammarze.

– Pobrali od niego materiał genetyczny? – spytał Bäckström. – Dlaczego nie powiedziałeś?

– Nie – odparł Alm, kręcąc głową. – Nie, nie pobrali, ale okazało się, że Niemi przechowuje odciski palców Stålhammara z czasów dawnej sprawy zabójstwa w Sztokholmie. Stålhammar i jego kolega, chyba Brännström, odwiedzili w domu starego ćpuna, który mieszkał na Pipersgatan tuż obok komendy policji. Nikogo nie zastali, ale korzystając z okazji, przeszukali lokum. Brännström zwrócił uwagę na dziwny zapach unoszący się w powietrzu i wyciągnął szufladę spod wersalki stojącej w salonie. W środku leżał właściciel mieszkania. Zapakowany do swojej własnej wersalki ze szpikulcem do lodu wbitym w czaszkę. Gdy na miejscu zjawili się technicy, Rolle i Brännis musieli zostawić odciski, żeby można je było odsiać.

– Chyba że to oni zrobili. – Bäckström uśmiechnął się zachwycony. – Coś mi się przypomina, że Brännström jeździł na łyżwach turowych. – Kolejny palant, pomyślał. Rolle

i Brännis. Musiała być z nich ładna para. Dwóch ślepców, którzy prowadzą się na zmianę.

– To było w lipcu – powiedział Alm. – Ofiara leżała tam już od tygodnia i wybaczone, ale...

– Jasne – przerwał mu Bäckström.

– Wracając do tematu – powiedział Alm. – Niemi zadzwonił z informacją, że właśnie porównał odciski Stålhammara z odciskami, które znalazł między innymi na kieliszkach, butelkach i sztućcach w mieszkaniu Danielssona.

– I co? – zapytał Bäckström.

– Potwierdził. Odciski należą do Stålhammara.

– Można się było domyślić – skwitował Bäckström. Poczciwy staruszek.

– Zrobimy tak – powiedział Bäckström po namyśle, który zajął mu zaledwie pół minuty, co było niezbitym dowodem na to, że wracał do siebie. – Ty, Annika – rzucił i skinął na Carlsson. – Porozmawiasz z prokuratorem na temat tego, co mamy na Stålhammara. Byłoby dobrze, gdybyśmy mogli przetrzymać go przez weekend w areszcie, żeby zacząć znęcać się nad nim w poniedziałek rano. Trzy dni w areszcie bez kropli wódki zwykle dobrze robi starym pijakom.

– Załatwię to – odparła Annika Carlsson i nawet nie ściągnęła ust w dzióbek.

– A ty, Nadja, spróbuj znaleźć numer skrytki bankowej Danielssona. Podejrzewam, że jest zapchana starymi paragonami i innymi śmieciami. Pogadaj tylko najpierw z prokuratorem, żeby nie było potem gadania. Znajomi ofiary – ciągnął, kiwając głową na Alma. – Przygotuj ich zdjęcia, zrobimy jeszcze jedną rundkę po sąsiadach, może znajdziemy jakichś nowych świadków. Najlepiej takich, którzy widzieli Stålhammara kręcącego się po okolicy w kapciach, kuchennych rękawicach i zakrwawionym płaszczu.

– Jedenaścioro z nich już przesłuchałem – powiedział Alm i wyjął plastikowe etui ze swojej teczki. – Tu są ich zdjęcia z praw jazdy lub dowodów osobistych. Została jeszcze lista podejrzanych, możliwe, że będziemy musieli ją jeszcze uzupełnić, ale Stålhammar już na niej jest.

– Doskonale – pochwalił Bäckström. – Chętnie pożyczę od ciebie te zdjęcia – powiedział bez słowa wyjaśnienia. – I pamiętaj, gaz do dechy. Stålhammar to nasz numer jeden, cała reszta się nie liczy. Zrozumiano?

Alm skinął głową i wzruszył ramionami. Nawet przegrywać nie potrafi, pomyślał Bäckström.

– Pójdiesz ze mną – powiedział, mierząc swoim tłustym palcem w aspiranta Stigsona. – Podjedziemy pod dom Stålhammara, zapiścimy żurawia i sprawdzimy, co porabia ten skurczybyk. Na razie to wszystko.

– A co ze mną? – zapytała Felicia Pettersson i na wszelki wypadek pokazała palcem na siebie.

– A, ty – powiedział Bäckström, zawieszając celowo głos. – Zastanów się nad tym gazeciarem. Tym tam Sło... tym Akofeli. Coś mi w nim nie pasuje.

– Tylko co on ma wspólnego ze Stålhammarem? – spytała zaskoczona.

– Dobrze pytanie – powiedział Bäckström, stojąc już w drzwiach. – Poglówkuj przez chwilę – powtórzył. Nawet łysce coś się trafiło, pomyślał. Co do cholery mógł mieć Akofeli wspólnego z ich zabójcą? Pewnie nic a nic, pomyślał.

– Załatw samochód, Stigson – polecił Bäckström, gdy już znaleźli się w bezpiecznej odległości od wrażliwych uszu Anniki Carlsson.

– Załatwiony. Mam już adres Stålhammara. Järnvägsgatan numer...

– Potem się tym zajmiemy – przerwał Bäckström. – Zadzwoń do tej Andersson na Hasselstigen i zapytaj, czy możemy wpaść do niej z wizytą.

– Jasna sprawa – odparł Stigson. – Szef chce jej pokazać zdjęcia Stålhammara?

– Najpierw chciałem zobaczyć jej jabłuszka – powiedział Bäckström i od razu poczuł się lepiej. Na wszystko jest czas, nawet na zdjęcia Stålhammara, pomyślał.

– Jabłuszka – powtórzył Stigson, kręcąc ogoloną głową. – Szef sam zobaczy. To są prawdziwe arbuzy.



RANY BOSKIE, pomyślał Bäckström, gdy otworzyły się drzwi. Britt-Marie Andersson była starą babą co najmniej po sześćdziesiątce, zwłaszcza dla kogoś takiego jak on, mężczyzny w kwiecie wieku, który kończył pięćdziesiąt pięć lat dopiero jesienią.

Długie blond włosy, błękitne oczy, czerwone usta, zęby tak białe, że musiały być z porcelany, opalenizna z solarium, kwiecista sukienka z głębokim dekoltem kończąca się tuż nad kolanami. Pewnie trudno jej było spać na brzuchu. Co za życie, pomyślał Bäckström. Czasy, gdy zasługiwała na jego supersalami, minęły dla niej długo przed końcem minionego tysiąclecia.

Obraz uzupełniał piesek, który biegał wokół niej, głośno ujadając. Przypominał meksykańskiego karalucha, którego dałoby się utopić w filiżance herbaty i który, żeby nie było wątpliwości, nazywał się Pucio.

– No już, spokojnie – uciszyła pokrakę właścicielka, podnosząc ją z podłogi i dając jej buziaka w nos. – Pucio zawsze się denerwuje, gdy do pani przychodzą panowie – wyjaśniła i zamrugowała oczami, a jej karminowe usta rozświetlił szeroki uśmiech.

Tylko uważaj, żeby nie wyszedł ci trójkącik z nim i małym Stigsonem, pomyślał Bäckström, który lubił pofantazjować, gdy tylko nadarzała się okazja.

Następnie wyjął zdjęcia kolegów Danielssona, żeby zakończyć udrękę i jak najszybciej stamtąd wyjść. Gospodyni usiadła w niskim różowym pluszowym fotelu, a gości posadziła w kwiecistej sofie naprzeciwko. Tymczasem Pucio zrobił kilka kolejnych okrążeń, wściekle ujadając, na szczęście jego pani się nad nim zlitowała i wzięła go na kolana.

Pomponiarz był w siódmym niebie. Normalnie nekrofil, pomyślał Bäckström, i gdy Andersson pochyliła się nad stołem, żeby przyjrzeć się zapitym gębom towarzyszy Danielssona, małemu Stigsonowi oczy wyszły z orbit.

– Wydaje mi się, że rozpoznają ich wszystkich – powiedziała Andersson. Poprawiła się i na wszelki wypadek zrobiła głęboki wdech, obdarzając swoich gości promiennym uśmiechem. – To są dawni kumple Danielssona. Kręcili się tu, od kiedy pamiętam, i nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widziała któregoś trzeźwego. A ten to chyba jakiś glina – dodała, kładąc swój palec wskazujący zakończony długim, czerwonym paznokciem na zdjęciu paszportowym Rolanda Stålhammara.

– Tak – powiedział Bäckström. – Emerytowany.

– W takim razie to on wyprawiał hece z Danielssonem tego samego wieczoru, kiedy został zamordowany.

– Dlaczego tak pani sądzi? – zapytał Bäckström.

– Widziałam go, gdy byłam na spacerze z Puciem – wyjaśniła Britt-Marie Andersson. – Szedł od strony Råsundavägen. Około ósmej. Możliwe, że był w drodze do Danielssona.

– Nie widziała go pani jednak u Danielssona – powiedział Bäckström, rzucając wymowne spojrzenie Stigsonowi.

– Nie – przyznała. – Ale tyle razy wcześniej widziałam, jak wchodzi i wychodzi z mieszkania Danielssona. Ma chyba na imię Rolle?

– Rozpoznaje pani kogoś jeszcze? – zapytał Bäckström i pokazał głową stertę zdjęć.

– Ten tutaj to... mój były szwagier, Halvar Söderman – powiedziała Andersson i wskazała fotografię byłego sprzedawcy samochodów Halvara „Połówki” Södermana, lat siedemdziesiąt jeden. – Wysłałam za mąż za jego starszego brata, Pera Södermana, Pera A Södermana – dodała, akcentując wyraźnie środkowe „A”. – W ogóle niepodobny do swojego młodszego brata, straszny z niego niechluj. Muszą mi panowie uwierzyć na słowo, bo mój mąż zmarł niestety dziesięć lat temu.

Pewnie od nadmiaru dobra, pomyślał Bäckström. Zerknął raz jeszcze z ogromną estymą na niewątpliwie czarującą Britt Marie-Andersson, podziękował za pomoc, pociągnął za sobą Stigsona i się pożegnał. Stigson wyglądał, jakby Bäckström wyrwał mu serce z piersi, i łamiąc wszelkie możliwe zasady,

pochylił się i objął babsko, zanim wreszcie udało im się wyjść.

– Co za kobieta – westchnął Jan O. Stigson, gdy usiadł za kierownicą, żeby zawieźć ich na Järnvägsgatan, gdzie planowali rzucić dyskretnie okiem na mieszkanie Stålhammara.

– Nie przyszło ci do głowy, że mogłaby być twoją babcią? – zapytał Bäckström.

– Raczej matką – zaprotestował Stigson. – Wyobrażasz sobie, szefie, mieć taką matkę?

– Lubisz swoją mamusię – powiedział z wyrozumiałością Bäckström. Pewnie dobierała się do ciebie w dzieciństwie, pomyślał.

– Myślałem, że wszyscy lubią swoje matki. – Aspirant Stigson spojrział zaskoczony na swojego szefa. – To znaczy kochają.

Na pewno był molestowany. Biedne dziecko, pomyślał Bäckström i tylko pokiwał głową.

BÄCKSTRÖM DZIAŁAŁ zgodnie z regułami. Najpierw kazał Stigsonowi zrobić kilka kółek po kwartale, w którym mieszkał Stålhammar. Nigdzie nie było po nim śladu.

Następnie weszli do budynku i przyłożyli ucho do wrzutki na listy w drzwiach do jego mieszkania. Cisza.

Bäckström zadzwonił na telefon stacjonarny. Ze środka dobiegł dźwięk terkoczącego telefonu, ale poza tym nic, co by świadczyło, że ktoś jest w mieszkaniu.

Potem zadzwonił na komórkę.

– Rolle – warknął Stålhammar, ale Bäckström nie odezwał się ani słowem. – Halo – powtórzył. Bäckström zakończył połączenie.

– Mogę się założyć, że dał nogę – powiedział i w tej samej chwili otworzyły się drzwi sąsiedniego mieszkania, a w progu stanął sąsiad Stålhammara. Zaszuszony staruch po siedemdziesiątce, pomyślał Bäckström.

Takie sytuacje raczej nie zdarzały się w podręcznikach, ale i z nimi Bäckström umiał sobie poradzić.

– Wiesz, gdzie się podziewa Rolle? – zapytał wesoło. – To nasz kumpel, chcieliśmy z nim pogadać.

– Nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić – syknął staruch, gapiąc się na hawajską koszulę Bäckströma i łysą głowę Stigsona.

A potem zagroził, że zadzwoni na policję, jeśli natychmiast się nie wyniosą.

W drodze powrotnej na komendę Bäckström poinstruował Stigsona w kilku oczywistych kwestiach. Ma pogadać ze śledczymi, żeby zaczęli obserwację mieszkania Stålhammara i natychmiast powiadomili Annikę Carlsson, gdyby się pojawił. Ma przekazać numer telefonu komórkowego Stålhammara chłopakom, którzy zajmują się namierzaniem telefonów, żeby spróbowali znaleźć maszt, w pobliżu którego znajdował się Stålhammar, gdy odebrał telefon od Bäckströma.

– Zapisałeś godzinę, o której dzwoniłem? – zapytał

Bäckström.

– Czternasta czterdzieści pięć i dwadzieścia sekund. Spokojnie, szefie.

Gdy wysiadł z samochodu w garażu podziemnym, natknął się na Annikę Carlsson, która poprosiła go o rozmowę, obdarzając jednocześnie Stigsona surowym spojrzeniem.

– W czym mogę ci pomóc, Anniko? – zapytał Bäckström z łagodnym uśmiechem.

– Rozmawiałam z prokuratorem. Sprawę będzie prowadzić Tove. Świetna dziewczyna – zapewniła.

A więc ją też sprawdziłaś, pomyślał Bäckström. Nie zamierzał jednak powiedzieć tego na głos. Kto by chciał zacząć weekend od rozwalenia czaszki, pomyślał.

– Kto będzie pod telefonem przez weekend, ja czy ty? – zapytała Carlsson.

– Mogłabyś się tym zająć? – spytał Bäckström. – Wziąłem już tyle nadgodzin, żeby być dostępny na wypadek pożaru, że weekend wolałbym mieć wolny – skłamał.

– Nie ma sprawy – zapewniła Carlsson.

Gdy Bäckström wrócił do swojego pokoju, żeby wreszcie spakować rzeczy i wyjść, w drzwiach stanął nagle Niemi, który przyszedł podzielić się swoimi spostrzeżeniami.

– Mogę usiąść? – zapytał, nie czekając na odpowiedź.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – warknął Bäckström. Wieśniak, pomyślał.

Niewiele, stwierdził Niemi. Pytanie brzmiało raczej, co Niemi mógł zrobić dla Bäckströma.

– Pozwól, że dam ci dobrą radę.

– Słucham – powiedział Bäckström.

– Daj już sobie spokój z Rolandem Stålhammarem. On nie potrzebowałby pokrywki, żeby pozbyć się kogoś takiego jak Danielsson. Poza tym byli kumplami. To nie on.

– Ciekawe – odparł Bäckström, uśmiechając się pod nosem. – Popraw mnie, jeśli się mylę, ale najpierw ci dwaj balują do kwadrans po dziesiątej wieczorem. Potem przychodzi sąsiadka z awanturą. Zaraz potem Danielsson zostaje zabity. Jednak nie przez Stålhammara, bo ten już powlókł się do

domu, żeby nie mieć worków pod oczami następnego dnia. Za to chwilę później pojawia się jak gdyby nigdy nic nieznanymi sprawca, który znika bez śladu, bo ani ty, ani Fernandez nie znaleźliście żadnych odcisków, choć jakoś przecież musiał zatłuc Danielssona. Dobrze zrozumiałem?

– Wiem, że to dziwnie brzmi, ale... – odparł Niemi.

– Dobrze zrozumiałem? – powtórzył Bäckström, wbijając wzrok w Niemiego.

– No tak, moim zdaniem Rolle nie mógłby zrobić czegoś takiego koledze. Chociaż wiem, że nie brzmi to przekonująco.

– Nie podzielam twojego zdania – powiedział Bäckström. – A teraz wybacz.

Niemi wzruszył ramionami, życzył mu udanego weekendu i wyszedł. Bäckström kiwnął tylko głową, a potem opuścił ten dom wariatów, w którym przyszło mu pracować, i poszedł spacerem do domu.

GODZINĘ PÓŹNIEJ zalany potem Bäckström siedział przy stole w kuchni w swoim legowisku. Wyjął kartkę i długopis, chcąc nadać jakieś ramy swojemu nowemu życiu.

Co my tu mamy, zastanowił się, mocząc językiem końcówkę długopisu. Jeszcze przez dwa dni ścisły post: warzywa, woda i inne smakołyki. Jeśli nie pomylił się w obliczeniach, powinien, zgodnie z krzywą Bäckströma, móc zapisać się do nieprzytomności już w niedzielę. Z palcem w nosie, pomyślał.

Nie musiał nawet tak długo czekać, bo już w piątek wieczorem doznał olśnienia.

Najpierw wszedł pod prysznic, potem wytarł się do sucha ręcznikiem. Włożył szlafrok, usiadł w kanapie i obejrzał film, który dał mu lekarz. Do końca. Wciągnął dres, przeszedł przez pół Kungsholmen i zaraz po przekroczeniu progu mieszkania wlał w siebie trzy lekkie piwa. Nie pomogło. Orzeł znów zaplątał się w linię wysokiego napięcia.

W tej sytuacji nie miał wyboru. Połknął brązową i niebieską tabletkę, padł jak ogłuszona foka i gdzieś między jawą a snem doznał boskiego objawienia.

W sypialni było ciemno, spowijała ją jakaś tajemnicza mgła, gdy nagle przy jego łóżku stanął wysoki, szczupły mężczyzna w białym stroju i z brodą do pasa. Położył swoją żyłastą dłoń na jego ramieniu i przemówił:

– Synu mój. Synu mój, czy mnie słyszysz?

Tak, ojczu?, odpowiedział zaskoczony Bäckström, bo wysoki, szczupły starzec z siwą brodą ani trochę nie przypominał zapitego pajaca, który pracował jako starszy posterunkowy na posterunku w Maria i który, jak twierdziła jego szurnięta matka, miał swój udział w poczęciu Bäckströma.

O Boże, pomyślał Bäckström, bo nagle zrozumiał, co się dzieje. O Boże!

– Synu mój – powtórzył brodac. – Czy mnie słyszysz?

– Słucham, ojczu – zapewnił Bäckström.

– Twoje życie nie jest już całością, rozpadło się na kawałki –

wymamrotał starzec. – Zszedłeś na złą drogę, synu, podążałeś za fałszywymi prorokami.

– Wybacz, ojcze.

– Idź w pokoju, synu mój – powiedział starzec i poklepał go znów po ramieniu. – Zrób wszystko, by naprostować swoje ścieżki. Bądź znów w pełni człowiekiem.

– Obiecuję, ojcze – powiedział Bäckström i usiadł w łóżku, zupełnie wybudzony.

Przekaz był jasny. Wziął drugi prysznic, włożył spodnie, czystą koszulę i marynarkę. Gdy wyszedł na ulicę, wznosił oczy ku niebu rozpościerającemu się nad jego okrągłą głową i podziękował swojemu Panu i Stwórcy.

– Dziękuję, tato – powiedział Bäckström i już po dwóch minutach siedział przy swoim stoliku w swoim ulubionym lokalnym barze.

– Gdzieś ty się podziewał, Bäckström? – spytała kelnerka, z pochodzenia Finka, która od czasu do czasu gościła na jego materacu firmy Hästens, oczywiście pod warunkiem, że nie miał nic lepszego do roboty.

– Morderstwo bez sprawcy – odparł zwięźle i po męsku. – Głowiłem się nad nim przez cały tydzień, ale wreszcie udało się wszystko poskładać.

– *Vojne, vojne*. Co oni by bez ciebie zrobili, Bäckström. Zasłużyłeś na coś dobrego – powiedziała kelnerka i uśmiechnęła się po matczynemu.

– Właśnie – odrzekł. Potem zamówił duże piwo i porządną setkę.

Lekko wędzona kielbasa z buraczkami i duszonymi ziemniakami, a potem pasztet z wątróbki i kilka jajek sadzonych na osobnych talerzach. Wierny swoim starym przyzwyczajeniom uczcił weekend i gdy jechał taksówką do pracy około dziewiątej w poniedziałek rano, film od pocziwego doktora leżał już dawno w koszu na śmieci. Gdy dobrze się przyjrzeć, widać było wyraźnie, że on i ten koleś z filmu nie byli do siebie ani trochę podobni.

– Fałszywi prorocy – prychnął Bäckström.

– Słucham? – Taksówkarz spojrzał na niego zaskoczony.



– Komenda w Solnie, postaraj się, żebyśmy dojechali tam jeszcze dzisiaj – powiedział Bäckström. Znow był sobą.

GDY WSZEDŁ DO SWOJEGO POKOJU, na jego biurku leżała karteczka od kolegi, który zajmował się namierzaniem połączeń telefonicznych. Głuchy sygnał puszczoney do Stålhammara przez Bäckströma w piątek po południu został odebrany przez maszt po drugiej stronie Öresund, w centrum Kopenhagi.

– Mógłbym się, kurwa, założyć – mruknął Bäckström najuprzejmiej, jak potrafił. – Wygląda na to, że ten drań Stålhammar zwiął do Kopenhagi.

– Bynajmniej – powiedziała Annika Carlsson. – Przed chwilą dzwonił z ochrony, mówią, że siedzi w holu na dole. Chce z nami rozmawiać.

Dziesięć minut później Bäckström, Carlsson i Stålhammar siedzieli w pokoju przesłuchań w wydziale kryminalnym. Ten ostatni, sądząc po wyglądzie, miał za sobą wyjątkowo intensywny weekend. Trzydniowy zarost, przepocone, brudne ubranie i mieszanina woni po wcześniejszych i całkiem niedawnych balangach. Poza tym wyglądał jak zawsze. Wielki, potężny mężczyzna o ostrych, surowych rysach twarzy i bez najmniejszego wálka tłuszczu na muskularnym ciele.

– W głowie mi się to nie mieści, Bäckström – powiedział Stålhammar, trąc oko prawą ręką. – Co to za kowboje zabili Kallego?

– Miałem nadzieję, że ty nam powiesz – odparł Bäckström. – Od kilku dni cię szukamy.

– W czwartek rano pojechałem do Malmö – powiedział Stålhammar, rozcierając przekrwione oczy. – Z tego, co zrozumiałem, to się stało właśnie wtedy, tak?

– A co robiłeś w Malmö? – zapytał Bäckström. To ja tutaj zadaję pytania, pomyślał.

– Mam tam przyjaciółkę z dawnych lat. Niezła babka, więc po tym, jak nam się poszczęściło z Kalle w środę i nagle miałem dziesięć kawalków w kieszeni, pomyślałem, że nie ma co czekać, i wsiadłem w pociąg. Nie potrafię się przekonać do tych

cholernych samolotów. Ciasno jak cholera. Miejsca starcza chyba tylko Japończykom bez nóg. Do tego ta obsługa. Pojechałem porannym pociągiem. Byłem na miejscu zaraz po lunchu.

– Ma jakoś na imię? – zapytał Bäckström.

– Kto? – Stålhammar spojrział zaskoczony na Annikę Carlsson.

– Ta twoja panna w Malmö.

– No raczej – odrzekł. – Marja Olsson. Mieszka na Staffansvägen 4, jest w książce telefonicznej. Pracuje jako pielęgniarka w tamtejszym szpitalu. Odebrała mnie z dworca. Możesz do niej zadzwonić, jeśli mi nie wierzysz.

– Co potem robiliście? – zapytał Bäckström.

– Potem nie wychodziliśmy z łóżka aż do piątku, kiedy to pojechaliśmy do Kopenhagi na porządny lunch. Łaziliśmy tam cały dzień i pół nocy.

– A potem?

– No potem wróciliśmy, jakoś nad ranem. Do Malmö znaczy się. To znaczy do Marji, a potem zrobiliśmy sobie powtórkę z rozrywki. Zdążyłem jeszcze tylko zrobić zakupy w sobotę tuż przed zamknięciem monopolowego. Potem znów poszliśmy w tango.

– Poszliście w tango?

– No ba – powiedział Stålhammar i westchnął. – Ma kondycję dziewczyna, u mnie już nie to co kiedyś. Wyszliśmy z łóżka dopiero w niedzielę wieczorem, kiedy Piorun zadzwonił do mnie na komórkę i opowiedział, co się stało.

– Piorun?

– Björn Johansson. Kolega z budy. Może go znasz? Znany na mieście. Stara gwardia z Solny. Był właścicielem „Elektrycznego Pioruna” w Sumpan<sup>1</sup>, ale teraz interes przejął jego syn. No, powiedział, co się stało, to przecież nie mogłem bzykać się dalej w łóżku, tylko wsiadłem w nocny pociąg, żeby pomóc wam złapać tego skurwysyna, co zabił Kallego.

– Miło z twojej strony, Roland – powiedział Bäckström. Wygląda na to, że poczciwy Stalowy przemyślał sprawę między

---

1 Sumpan – pot. Sundbyberg.

jednym a drugim kieliszkiem i postanowił o sobie zawalczyć, pomyślał.

– No przecież, wiadomo, kurwa, że chcę pomóc. No to jestem.

Potrzebowali dwóch godzin, żeby sprawdzić, co takiego robił Stålhammar od czwartku rano, kiedy to pojechał do Kopenhagi, aż do poniedziałku rano, gdy zjawił się na komendzie w Solnie. Potem zrobili sobie przerwę na lunch.

Bäckström wolał najeść się na zapas, bo spodziewał się, że trochę im zejdzie. Pulpety i purée ziemniaczane z sosem śmietanowym, a na deser wyjątkowo ciastko z marcepanem i mazarin. Annika Carlsson zamówiła sałatkę z makaronem i wodę mineralną, a potem poszła sprawdzić, jak idzie Almowi i pozostałym weryfikowanie relacji Stålhammara z pobytu w Malmö i Kopenhadze. Stålhammarowi musiała wystarczyć kanapka i kubek kawy, które Annika przyniosła mu z kawiarni.

Jesteśmy coraz bliżej, pomyślał Bäckström, gdy zajęli swoje miejsca. Stålhammar zaczął się obiecująco pocić, a gdy unosił kubek z kawą, musiał pomagać sobie drugą ręką.

– Byłeś w Solvalla w środę w ubiegłym tygodniu, w środę czternastego maja – powiedział Bäckström. – Możesz nam o tym opowiedzieć?

Na miejscu był już o czwartej po południu, żeby popatrzeć na rozgrzewkę, przejść się trochę dookoła i posłuchać starych wyjadaczy.

– Rozgrzewkę? – zapytała Annika Carlsson, która przed lunchem niewiele się odzywała.

Stålhammar wyjaśnił. Przed gonitwą konie wyprowadza się na tor, żeby się rozgrzały.

– Taki stretching, wiecie. No, rozgrzewka. Przed właściwym wyścigiem – wyjaśnił.

Po mniej więcej godzinie zjawił się Kalle Danielsson. Rozmawiali z Gunnarem Gustafssonem, który zapewnił ich, że jego cynk z poprzedniego dnia jest aktualny. Instant Justice biegł znakomicie podczas pierwszej rozgrzewki. Stara rana najwyraźniej już się zagoiła.

– Zdaniem Gurry koń był jak nowo narodzony – powiedział

Stålhammar. – Może nie taki charakterny, ale ruchowo fenomenalny. Wspaniała maszyna, jeśli chcesz znać moje zdanie, Bäckström.

– W jaki sposób znaleźliście się na Valla? – zapytała Annika Carlsson. – Ustaliliście wcześniej, gdzie się spotkacie?

– Chyba zadzwonił do mnie na komórkę – odparł Stålhammar, kręcąc głową. – Tak mi się przynajmniej wydaje.

– A więc Kalle miał komórkę – stwierdziła Annika.

– Wszyscy chyba mają – powiedział Stålhammar i spojrzał na nią zdziwiony.

– Masz jego numer? Na komórkę? – dodał po chwili Bäckström.

– No skąd – powiedział Stålhammar i znów pokręcił głową. – Po co miałbym mieć jego numer na komórkę? Dzwoniłem na stacjonarny albo spotykaliśmy się na mieście. Jak go nie było w domu, zostawiałem wiadomość na sekretarce. Zwykle oddzwaniał. Miał mój numer.

– Zaczekaj, Roland – nie odpuszczał Bäckström. – Musisz mieć numer Danielssona. – Coś tu się nie zgadza, pomyślał.

– Nie – powtórzył Stålhammar. – Nie słyszysz, co mówię? – Łypnął ponuro na Bäckströma.

– Widziałeś, żeby Danielsson miał komórkę? – zapytała Carlsson. – Na pewno? – Coś tu nie pasuje, pomyślała.

– Teraz nie jestem już taki pewien – odrzekł Stålhammar.

Ech, pomyślał Bäckström, wymieniając spojrzenia z koleżanką. Postanowił zmienić wątek.

– Zajmiemy się tym później – powiedział Bäckström. – Podobno wygraliście z Danielssonem mnóstwo forsy.

On i Danielsson postawili pięćset koron na nowo narodzoną Instant Juice, podzielili się kuponem i dwie minuty po starcie byli już prawie o dwadzieścia tysięcy bogatsi.

– Co było potem? – spytał Bäckström.

– Kalle wypłacił pieniądze – powiedział Stålhammar – i zamówił taksówkę do domu, żeby przygotować kolację. I tak mieliśmy się spotkać u niego, żeby coś zjeść, więc uznałem, że to dobry pomysł. Nie chciałem, żeby mnie niepotrzebnie kusilo. Kiedy dobiega się siedemdziesiątki, człowiek zna już trochę

samego siebie. Zresztą się nie pomyliłem – mówił dalej Stålhammar – bo już po następnym biegu byłem całkiem splukany. Musiałem pożyczyć stówę od kumpla, żebym nie musiał iść pieszo do Kallego. Zresztą zbliżała się ósma, a lepiej nie jeść za późno. No, chyba że mówimy o after-party.

– Nazywa się jakoś? – zapytał Bäckström.

– Kto? – spytał Stålhammar, kręcąc zdziwiony głową. – Kalle?

– Ten, od którego pożyczyłeś stówę.

– Piorun – powiedział Stålhammar. – Nie mówiłem? Myślałem, że gadaliśmy o nim przed lunchem.

– Pojechałeś do Danielssona taksówką. Na Hasselstigen jeden – podsumował Bäckström, przywołując w myślach zeznania Britt-Marie Andersson.

– No tak – potwierdził Stålhammar i skinął głową.

– Na pewno? – zapytał Bäckström.

– Czekał, daj pomyśleć. Racja, ta stówka nie starczyła i ten skąpy Irakijczyk wyrzucił mnie na Råsundavägen. No ale stamtąd jest już tylko kilkaset metrów do domu Kallego, więc poszedłem na nogach.

– Wzięłeś rachunek?

– Planowałem – powiedział Stålhammar. – Zazwyczaj oddaję je Kallemu. Wciska je jakiemuś staremu kumpłowi, który handluje papierami. Ale ten kocmołuch po prostu odjechał.

– A więc ostatni odcinek przeszedłeś pieszo – podsumował Bäckström. Stary pojak nie jest taki głupi, pomyślał. – Co było potem? – zapytał.

Najpierw podzielili się pieniędzmi. Stålhammar dostał dziesięć tysięcy trzysta koron do ręki, dziesięć banknotów tysiąckoronowych i trzy stowy, ale ponieważ Danielsson nie miał drobnych, Stålhammar darował mu ostatnią dziesiątkę.

– To mój stary kumpel, więc to bez znaczenia – powiedział Stålhammar i wzruszył szerokimi ramionami.

Potem jedli, pili i rozmawiali. Zaczęli mniej więcej o wpół do dziewiątej od mięsa z fasolą, kilku piw i popitki. Gdy zjedli, Kalle zmieszał wódkę z tonikiem, a Stålhammar dalej pił czystą. Potem jeszcze rozmawiali, byli w doskonałych

humorach, a Kalle wyjął stare płyty Everta Taubego.

– Ten to się znał na rzeczy – rozmarzył się Stålhammar. – Nic dobrego nie powstało w tym kraju, od kiedy Evert kopnął w kalendarz.

– Jak długo graliście muzykę? – zapytała Annika Carlsson.

– Dość długo – powiedział Stålhammar i spojrzał na nią zaskoczony. – To była stara płyta LP, puszczałem ją co najmniej kilka razy. „Stary «Highland Rover», łajba z Aberdeen, zawiął do San Pedro, by zatankować gin” – zanucił Stålhammar. Sama słyszysz, Carlsson. Pamiętam wszystkie teksty – podsumował.

– Jak długo śpiewaliście? – zapytał Bäckström.

– Dopóki jakaś baba nie zadzwoniła z wrzaskiem do drzwi. Stałem wtedy w pokoju i nuciłem razem z Evertem, więc nie musiałem oglądać tej cholery, ale co się nasłuchałem, to moje.

– Która była wtedy godzina? – dążył Bäckström.

– Nie mam pojęcia – odparł Stålhammar i wzruszył ramionami. – Pamiętam za to, która była, gdy wróciłem do domu i dzwoniłem do Marii, bo wcześniej spojrzałem na zegarek. Przecież nie wydzwaniania się ludziom po domach.

– No to która była wtedy?

– Wpół do dwunastej, jeśli się nie mylę – powiedział Stålhammar. – Pamiętam, że pomyślałem, że to ostatni moment, żeby zadzwonić, poza tych chciało mi się pić. Zebrałem się więc na odwagę i wybrałem numer. Najpierw jednak zrobiłem sobie imprezę w domu. Miałem jeszcze jakieś resztki w barku, i to chyba wtedy postanowiłem, że powinienem jechać na południe.

– O której wyszedłeś od Danielssona? – zapytał Bäckström. Ciekawe, jak to sprawdzimy, pomyślał.

– Po tym, jak ta baba wpadła z awanturą, pomyślałem, że czas się zbierać. Pożegnałem się więc z Kallem i poczłapałem do domu. Zajęło mi to najwyżej dziesięć minut, choć nie cały czas szedłem prosto – powiedział Stålhammar, uśmiechnął się i pokręcił głową. – Impreza się skończyła, kiedy Kalle zadzwonił do tej baby, co przyszła się awanturować. Kiedy wychodziłem, kłócił się z nią przez telefon.

– Kiedy wychodziłeś, Danielsson klócił się z sąsiadką przez telefon – powtórzył Bäckström.

– Nie inaczej. Woląłem wrócić do domu, żeby mieć chwilę spokoju. Coś okropnego – dodał Stålhammar i potarł kąciki oczu kłykiem. – Kiedy ja leżę sobie spokojnie w domu i śnię o Marji, jakiś szajbus włamuje się do mieszkania Kallego, żeby go zabić.

– Dlaczego uważasz, że ktoś się włamał? – zapytał Bäckström.

– Tak twierdzi Piorun – odparł Stålhammar i spojrzał zaskoczony najpierw na Bäckströma, a potem na Annikę Carlsson. Zgodnie z tym, co słyszał, drzwi do mieszkania Kallego były uchylone. Jakiś skurwysyn włamał się do środka i go okradł. Zabił go, gdy już spał.

– Kiedy wychodziłeś – Bäckström zawiesił głos. – Pamiętasz, czy Kalle zamknął za tobą drzwi?

– Zawsze zamykał. Kalle był ostrożny. Nie żebym zwrócił na to uwagę, ale jestem pewien, że zamknął. Czasem mu z tego powodu dokuczałem. Ja się nigdy nie zamykam.

– Kogoś się bał? – zapytał Bäckström. – Skoro zawsze zamykał drzwi.

– Pewnie nie chciał, żeby ktoś wszedł do środka i go okradł. Miał sporo wartościowych rzeczy.

– Jakich na przykład? – spytał Bäckström, bo przecież był na miejscu i widział mieszkanie na własne oczy. Gadanie, pomyślał.

– Taa – powiedział Stålhammar; wyglądał, jakby naprawdę się zastanawiał. – Jego kolekcja płyt była pewnie sporo warta. A to jego biurko kosztowało fortunę.

– To, które stoi w jego sypialni – odpowiedział Bäckström. Ciekawe, jak niby mieliby je wynieść i jak to możliwe, że ktoś taki jak Stålhammar mógł zostać policjantem, pomyślał.

– Tak, to. – Stålhammar skinął głową. – Antyki. Kalle miał tego sporo. Prawdziwe dywany i dużo innych ładnych staroci.

– Nie do końca mi pasuje to, co mówisz – powiedział Bäckström. – Gdy go znaleźliśmy, drzwi były otwarte, nie było na nich śladów włamania. Od środka można je zamknąć



kluczem lub na zasuwę. Od zewnątrz tylko kluczem. Gdy nasi koledzy przyjechali na miejsce, drzwi były otwarte na oścież, bez śladów włamania. Technicy uważają, że po wyjściu sprawca zamknął za sobą drzwi, ale ponieważ drzwi balkonowe w pokoju były uchylone, zrobił się przeciąg i drzwi się otworzyły. Jak ty to widzisz?

– Jak ja to widzę? – zdziwił się Stålhammar. – Skoro tak mówią technicy, to tak pewnie jest. Mnie nie pytaj, ja jestem tylko starym śledczym, a nie technikiem. Zapytaj Pelle Niemiego albo kogoś z jego koleśki.

– Co innego przyszło nam do głowy – powiedział Bäckström i spojrzał na Annikę Carlsson. – Wydaje nam się, że Kalle Danielsson wpuścił sprawcę, bo był to ktoś, kogo znał i komu ufał. – Chciałeś, to masz, pomyślał.

– Teraz to przeszarżowałaś, Bäckström – Stålhammar pokręcił głową. – Kto niby, kurwa, z naszych kumpli miałby powód, żeby zabić Kallego?

– Nie przychodzi ci nikt do głowy? – zapytał Bäckström. – Mieliśmy z koleżanką Carlsson nadzieję, że coś wykombinujesz.

– Czy ja wiem, jedyny, który przychodzi mi do głowy, to Manhattan. Tylko on miał coś do Kallego.

– Manhattan? Ten w Nowym Jorku?

– No co ty, kurwa – sapnął Stålhammar. – Chodzi o ten obrzydliwy drink na whisky i likierze. Kto, kurwa, wlewa likier do whisky? To powinno być karalne.

– Manhattan – powtórzył Bäckström.

– Manne Hansson – wyjaśnił Stålhammar. – Koledzy nazywali go Manhattan. Pracował jako barman w starym Carltonie, kiedy jeszcze był na nogach. Kiedy się napił, był nie do zatrzymania. Za radą Kallego wszedł w jakiś interes, który nie wypalił. Nie był zadowolony.

– Manne Hansson – powtórzył Bäckström. – Gdzie go znajdziemy?

– Obawiam się, że nie będzie to takie proste – powiedział Råland Stålhammar i uśmiechnął się pod nosem. – Najlepiej sprawdźcie cmentarz na Solnie. Jego dzieciaki wysypały

pewnie jego prochy w parku umarłych, żeby nie przepłacić.

– Kiedy to było? – powiedział Bäckström. Czym ja sobie na to zasłużyłem?, pomyślał.

– Kiedy spłonął Diabelski Młyn – odparł Stålhammar. – Będzie jakieś dziesięć lat.

– Jedna rzecz mnie zastanawia, Roland – odezwała się Annika Carlsson. – Pracowałeś w policji, więc na sprawdzaniu telefonów znasz się pewnie równie dobrze jak ja.

– Coś tam pamiętam – powiedział z dumą Stålhammar.

– Gdy wychodziłeś od Kallego Danielssona, on stał przy telefonie i darł się na sąsiadkę. Sprawdziliśmy tę rozmowę. Dzwonił do niej tuż przed wpół do jedenastej. Mówisz, że poszedłeś prosto do domu i że zajęło ci to mniej więcej dziesięć minut. To by oznaczało, że przyszedłeś do domu mniej więcej za dwadzieścia jedenasta.

– Zgadza się – odparł Stålhammar, kiwając głową.

– Powiedziałeś też, że około wpół do dwunastej zadzwoniłeś do swojej przyjaciółki w Malmö.

– Tak, to zapamiętałem, bo wcześniej spojrzałem na zegarek. Tak jak mówiłem, nie chciałem dzwonić za późno.

– Co robiłeś w tak zwanym międzyczasie? Wracasz do domu za dwadzieścia jedenasta i dzwonisz do niej około wpół do dwunastej. Zostaje jeszcze pięćdziesiąt minut, prawie godzina. Co robiłeś?

– Przecież mówiłem – odrzekł zdziwiony Stålhammar.

– Skoro tak, musiałam zapomnieć – powiedziała Annika Carlsson. – Przypomnisz mi?

– Miałem jakieś resztki w barku. Miałem co świętować, to się napiłem. Potem zadzwoniłem do Marji. Racja. Pewnie siedziałem przez dłuższą chwilę z kieliszkiem – powiedział Stålhammar i uśmiechnął się krzywo.

– Pięćdziesiąt minut – powtórzyła Annika Carlsson, spoglądając na Bäckströma.

– To musiała być całkiem spora „resztką” – zauważył Bäckström.

– Czepiasz się – odrzekł Stålhammar. – Pewnie siedziałem i rozmyślałem o życiu.

– Z innej beczki – powiedział Bäckström. – Pamiętasz, czy Kalle Danielsson miał aktówkę? Elegancką, ze skóry i z mosiężnym zamkiem.

– Miał – Stålhammar kiwnął głową. – Z jasnobrązowej skóry, dyrektorzy takie noszą. Widziałem ją, gdy jadłem u niego kolację tego wieczoru, kiedy został zamordowany. Pamiętam na pewno.

– Pamiętasz – powiedział Bäckström. – Dlaczego to pamiętasz?

– Położył ją na telewizorze – odparł Stålhammar. – W salonie, tam, gdzie siedzieliśmy. Dziwne miejsce na odkładanie teczek. Co prawda nie mam takiej, ale gdybym miał, raczej nie kładłbym jej na telewizorze. A dlaczego właściwie pytasz?

– Zniknęła – powiedział Bäckström.

– Aha – mruknął Stålhammar i wzruszył ramionami. – Gdy wychodziłem, jeszcze tam była. Leżała na telewizorze.

– Gdy przyszliśmy rano, już jej nie było – stwierdził Bäckström. – Nie wiesz przypadkiem, co się mogło z nią stać?

– Daruj sobie – powiedział Stålhammar i spojrzał na Bäckströma głęboko osadzonymi oczami.

– Na razie przerwijmy – zaproponował Bäckström i skinął głową do koleżanki.

– Nie mam nic przeciwko – powiedział Stålhammar. – Muszę iść do domu i wziąć prysznic.

– Daj nam jeszcze kilka minut, Roland – powiedziała Annika Carlsson, uśmiechając się przyjaźnie. – Zanim wyjdiesz, musimy porozmawiać z prokuratorem.

– Okej – powiedział Roland Stålhammar, wzruszając ramionami.

Godzinę później zastępca prokuratora Tove Karlgren podjęła decyzję o zatrzymaniu byłego komisarza kryminalnego Rolanda Stålhammara. Przekonali ją do tego Bäckström i Carlsson i choć dotarły do niej różne głosy, przystała na ich wersję. Stålhammar miał dość czasu, żeby zabić Karla Danielssona i w drodze do domu wyrzucić ubrania i całą resztę do śmieci. Wiele przemawiało przeciwko niemu i należało to

sprawdzić. Był zasadnie podejrzany o morderstwo, więc lepiej było go zatrzymać w areszcie, gdy śledczy weryfikowali jego zeznania i przeszukiwali mieszkanie.

Przed wyjściem Bäckströma z komendy zadzwonił Peter Niemi. Na jego faks przyszła właśnie pierwsza odpowiedź z laboratorium dotycząca zakrwawionych ubrań.

– Krew Danielssona – stwierdził Bäckström, darując sobie słowo wstępne.

– Zgadza się – Niemi potwierdził.

Poza tym żadnych śladów, które nie należałyby do Danielssona, zdaniem CLK i Niemiego. Żadnych włókien, włosów czy odcisków palców. Zostały jeszcze ewentualne ślady DNA, ale na to potrzeba jeszcze trochę czasu.

Mniejsza z tym, pomyślał Bäckström i zadzwonił po taksówkę.

DZIEŃ PÓZNIEJ, we wtorek po lunchu, członkowie zespołu dochodzeniowego spotkali się po raz trzeci w pełnym składzie, łącznie z dwoma technikami. Tuż przed rozpoczęciem do pokoju wszedł jeszcze inspektor Toivonen, szef wydziału kryminalnego w Solnie. Skinął głową i potoczył ponurym wzrokiem po zebranych, a następnie zajął miejsce na końcu, w głębi sali.

Dziewięć osób i tylko jeden prawdziwy policjant, pomyślał Bäckström. Poza tym czysty Fin, wieśniak z północy, też Fin, Chilijczyk, Rosjanka, młoda łyska, lesba, pomponiarz i stary, poczciwy Lars Zakuta Pała Alm, od urodzenia głęboko upośledzony umysłowo. Do czego to wszystko zmierza?, pomyślał.

– Okej – powiedział. – Zaczynamy. Jak wam idzie przeszukanie mieszkania Stålhammara? – Skinął zachęcająco głową do Niemiego.

Zdaniem Niemiego byli już prawie gotowi. Ujmując rzecz krótko, nie znaleźli niczego, co by w jakiś sposób obciążało Stålhammara. Żadnych dziwnych wyciągów bankowych, żadnych spodni z plamami krwi, aktówki noszącej ślady młotka tapicerskiego.

Pewnie wszystko pochował, a potem posprzątał. Kasę gdzieś zakopał i przywalił kamieniem, pomyślał Bäckström. Czego się spodziewać po takim prymusie.

– To, co mamy, potwierdza raczej wersję Rollego – powiedział Niemi.

– Niby co takiego? – zapytał Bäckström. No proszę. Nagle mówimy „Rolle” o sprawcy, pomyślał.

Na łóżku w sypialni znaleziono przedmioty z pobytu Stålhammara w Malmö i Kopenhadze. Rozpakowaną częściowo sportową torbę z ubraniami, brudnymi i czystymi, neseser podróżny, wypitą do połowy butelkę z Gammeldansk. Były to rzeczy, które z dużym prawdopodobieństwem Stålhammar przywiózł z krótkiego pobytu w Malmö i Kopenhadze.

– Do tego etui z paragonami – powiedział Niemi. – Bilety na pociąg w obie strony do Malmö i Kopenhagi. Około dziesięciu paragonów taksówkowych i tym podobnych. Całkowite koszty wyjazdu na poziomie dziewięciu tysięcy koron szwedzkich. Godziny, które podał, zgadzają się z jego zeznaniami.

– Zachował je, żeby dać swojemu staremu kumplowi Karlowi Danielssonowi. Zaraz po powrocie do domu – powiedział Bäckström i uśmiechnął się pod nosem. Gdzie są granice głupoty, pomyślał.

– Zgadza się z tym, co sam mówi – wtrącił Alm. – Przesłuchiwałem go, to są jego słowa, ale rozumiem twoje wątpliwości, Bäckström.

– I co z tym zrobiłeś? – zapytał Bäckström z uśmiechem.

– Rozmawiałem z kobietą z Malmö, z którą spędził weekend. Przesłuchanie przez telefon – powiedział Alm. – Zapytałem ją o to samo. Odpowiedziała, że też na to zareagowała, kiedy byli razem w Kopenhadze. Zapytała go nawet, dlaczego zbiera paragony. Powiedział jej, że daje je koledze ze Sztokholmu.

– Wiadomo. – Bäckström się ucieszył. Stałowy Rolle ma gest, ale zbiera paragony, więc jego dziewczyna pyta, do czego są mu potrzebne. Bo przecież raczej nie jego byłemu pracodawcy.

– Tak jak powiedziałem – powtórzył Alm. – Rozumiem twoje wątpliwości.

– Masz coś jeszcze? – zapytał Bäckström. Zanim zakasze rękawy i wycisnę Rolle Stålhammara jak cytrynę, pomyślał.

– Chodzi o czas. Te pięćdziesiąt minut, kiedy, jak twierdzi, siedział w domu, rozmyślając, a potem dopiero zadzwonił do Marji Olsson z Malmö. Rzeczywiście do niej zadzwonił. O godzinie jedenastej dwadzieścia pięć wieczorem dzwoni ze swojego telefonu stacjonarnego na telefon stacjonarny Marji Olsson.

– Zostało jeszcze czterdzieści pięć minut na rozmyślanie – stwierdził Bäckström. – No i co z tym?

– Na początek przeszedłem się z Hasselstigen jeden, mijając kontener, w którym zostały znalezione ubrania na Ekenbergsvägen, do mieszkania Stålhammara na Järnvägsgatan. Droga zajmuje przynajmniej kwadrans, chyba

że biegniesz.

– Zostało pół godziny – stwierdził Bäckström. Wystarczy, by zatłuc Danielssona, zabrać kasę i przebrać się w czyste ubranie. Wyrzucić płaszcz, kapcie i rękawice kuchenne do kontenera w drodze do domu.

– To prawda – zgodził się Alm. – Jest tylko problem z sąsiadem. Jeśli to, co mówi, się zgadza, to nie mógł to być Stålhammar – powiedział.

Wiedziałem, pomyślał Bäckström. Powszechna mobilizacja, żeby za wszelką cenę wydobyć starego kumpla Rollego z tarapatów.

Sąsiad nazywał się Paul Englund i miał siedemdziesiąt trzy lata. Był emerytowanym stróżem z Muzeum Morskiego w Sztokholmie, a przy okazji tym samym, który zagroził Bäckströmowi i Stigsonowi, że zadzwoni na policję. Englund miał syna, który pracował jako fotograf w „Expressen” i już poprzedniego wieczoru zadzwonił do ojca, żeby mu przekazać, że jego sąsiad jest podejrzany o morderstwo i został zatrzymany. Czy kiedyś przez przypadek ten sąsiad nie zostawił u niego dodatkowego kompletu kluczy od swojego mieszkania, żeby można było teraz zrobić mały reportażyk z dziupli mordercy?

Ojciec Englund zdecydowanie zaprzeczył. Nie miał kluczy. Stålhammar był pijakiem i awanturnikiem, najgorszym sąsiadem, jakiego można sobie wyobrazić. Dawny stróż cieszył się każdą chwilą, gdy go nie było, i dlatego już następnego dnia zadzwonił na komisariat w Solnie, żeby podzielić się spostrzeżeniami dotyczącymi zachowania Stålhammara tego wieczoru, gdy został zamordowany Danielsson. Nareszcie miał okazję pozbyć się go na zawsze. Gdyby wiedział, jakie będą skutki jego zeznań, zapewne zamilkłby na zawsze.

– I co powiedział? – zapytał Bäckström.

– Że widział, jak Stålhammar wchodzi do budynku w środę wieczorem, mniej więcej za piętnaście jedenasta. Jest pewien, że to był Stålhammar, ale że za nim nie przepada, odczekał jakąś minutę, po czym sam wszedł do klatki.

– Gadanie – mruknął Bäckström. – Niby jak, kurwa, może

być tego taki pewien? Co robił na ulicy w środku nocy? Skąd wie, że było za piętnaście jedenasta? Był trzeźwy? Pewnie jest jak zwykle. Pomylił dzień albo spojrzął źle na zegarek. Albo widział jakiegoś innego sąsiada. Chyba że w ogóle wszystko zmyślił, bo chce zwrócić na siebie uwagę albo życzy najgorzej Stålhammarowi.

– Nie dajmy się ponieść wyobraźni, Bäckström – odparł Alm, delektując się każdą sekundą. – Jeśli rzeczywiście jest tak, jak mówi świadek, Stålhammar nie mógł zamordować Danielssona. W każdym razie nie mogło się to odbyć tak, jak nam się wydaje. To znaczy nie chwilę po wpół do jedenastej wieczorem. Ale po kolei – ciągnął Alm. – Codziennie po wieczornych wiadomościach na kanale czwartym, tych, które kończą się prognozą pogody około wpół do jedenastej wieczorem, Englund wychodzi na spacer ze swoim jamnikiem. Idzie zawsze tą samą trasą wokół kwartału i zajmuje mu to mniej więcej kwadrans. Choć nie tym razem, bo gdy ma skręcać w prawo w Esplanadę, został zatrzymany przez policjanta w mundurze, który mówi mu, żeby wracał tą samą drogą, którą przyszedł, i tak robi. Niechętnie, bo jest po ludzku ciekaw, co się stało. Ponieważ nic więcej się nie dzieje, stoi jeszcze przez chwilę na Järnvägsgatan i nasłuchuje, a potem wraca do domu i kiedy jest na wysokości sąsiedniego budynku, czyli jakieś dwadzieścia metrów od wejścia, widzi, jak Stålhammar wchodzi do budynku.

– Co o tej porze robi tam kolega z prewencji? – spytał Bäckström.

– Zamknęli Esplanaden przed planowanym wejściem oddziału interwencyjnego do mieszkania położonego jakieś sto metrów dalej. Mieli cynk, że znajduje się tam osoba zamieszana w strzelaninę w Bromma.

– Dokładne godziny – rzucił Bäckström. – Co to zmienia w sprawie czasu?

– Po pierwsze, to było o wpół do jedenastej w środę wieczorem czternastego maja. Nie ma innej możliwości. Interwencja została przeprowadzona właśnie o tej godzinie, a koledzy z prewencji zabezpieczali teren.



– Mógł tam stać z tym swoim kundlem nawet i pół godziny – zaproponował Bäckström. – Skąd masz, kurwa, pewność, że tak nie było?

– Całkowitej pewności nie można mieć nigdy – odparł Alm. – Przekazuję tylko to, co powiedział, a rozmawiałem z nim o tym przez dwie godziny.

– Co jeszcze mówi? – Chętnie posłucham, o ile zdążysz przed Wigilią.

– Mówi, że czeka kilka minut, potem idzie do domu, widzi, jak Stålhammar wchodzi do klatki, odczekuje jeszcze jakąś minutę, żeby nie musieć z nim rozmawiać, a potem sam wchodzi do budynku i jedzie windą na swoje piętro. Gdy tylko wchodzi do mieszkania, dzwoni do swojego syna. Dzwoni z komórki na komórkę. Ale syn i tak jest już na Esplanaden, bo gazeta dostała informację, co się dzieje. Dzwoni ze zwykłej ciekawości. Jest wtedy za dziesięć jedenasta, rano sprawdziliśmy połączenia wychodzące – zakończył Alm.

– Ciekawe – powiedział Bäckström, spoglądając ponuro na swojego rozmówcę. – Staruch ma telefon w mieszkaniu?

– Tak. Wiem, do czego zmierzasz, Bäckström. Powtarzam tylko to, co mi powiedział.

– To dziwne, że taki stary sknera dzwoni z komórki.

– Miał komórkę w ręku, gdy wchodził do mieszkania. To znów jego słowa – powiedział Alm. – Przykro mi, Bäckström – dodał, choć nie wyglądał, jakby mu było przykro. – Jak na razie wszystko przemawia za tym, że jest tak, jak mówi Stalis. Że wyszedł od Danielssona o wpół do jedenastej, poszedł prosto do domu i był u siebie za piętnaście jedenasta.

Bäckström zaproponował przerwę na rozprostowanie nóg. Technicy musieli już iść. Czekala ich robota. Nawet Toivonen skorzystał z okazji i zebrał się do wyjścia. Z jakiegoś powodu wydawał się znacznie weselszy niż na początku spotkania. W drzwiach pomachał Bäckströmowi.

– Gratulacje, Bäckström. Dobrze widzieć, że znów jesteś sobą – powiedział.

KOLEJNY OBLĄKANY ŚWIADEK, pomyślał Bäckström kwadrans później, gdy zebrali się znów po przerwie. W najgorszym razie było tak, że Stålhammar wrócił na Hasselstigen później, zamordował i okradł Danielssona. Czego innego można się spodziewać po kimś takim jak Stalis? Siedział na Järnvägsgatan, rozmyślając nad ostatnią flaszką, i nagle doznał olśnienia, bo dotarło do niego, że dwadzieścia tysięcy to dwa razy więcej niż dziesięć. Potoczył się z powrotem do Danielssona i oznajmił, że chce się bawić dalej. Włożył jego płaszcz, kaptcie i rękawice kuchenne i strzelił go w łeb jego własną pokrywką do garnka. Przecież tak też mogło być, pomyślał.

– Co wy na to? – spytał Bäckström, spoglądając na pięć osób zgromadzonych w pokoju. Pięć niezbyt lotnych umysłów, jeśli ktoś chciałby zapytać go o zdanie. Rosjanka, młoda łyska, lesba, pomponiarz, tępak, zakuty łeb i przekleństwo każdego szefa, pomyślał.

– Nie mam w każdym razie zamiaru wypuścić Stålhammara – stwierdziła Annika Carlsson, uśmiechając się wesoło do swojego szefa.

Że też musiałem usłyszeć to od lesby, pomyślał Bäckström.

– Słucham – powiedział.

– Czy nie wydaje wam się trochę dziwne, że zaraz po wyjściu Stålhammara w mieszkaniu Danielssona pojawia się ktoś inny? – spytała i spojrzała na Alma.

– Może czekał gdzieś w pobliżu, aż Stålhammar wyjdzie, żeby być sam na sam z Danielssonem – zasugerował Alm.

– A ten go wpuścił? – Carlsson nie dawała za wygraną. – To by sugerowało, że musiał to być któryś z kumpli Danielssona. Zdążyliśmy już ich wszystkich sprawdzić? – spytała.

– Jesteśmy w trakcie – odrzekł Alm, prostując plecy.

– Jestem skłonna zgodzić się z Bäckströmem i Anniką – odezwała się Nadja Högborg. – Dorastałam w dawnym Związku Radzieckim i nie wierzę w przypadki, a przecież nie

mamy nic, co by wskazywało na to, żeby ktoś obserwował mieszkanie Danielssona. Ten ostatni świadek nie wydaje mi się zbyt wiarygodny. Skąd ma pewność, że widział właśnie Stålhammara? Tego, którego tak nie cierpi? Czy naprawdę możemy wykluczyć, że nie widział tego, co chciał zobaczyć? To, że dzwoni do swojego syna tuż przed jedenastą, nie musi mieć zresztą nic wspólnego z naszą sprawą. Równie dobrze mogli go zaciekać ci policjanci na Esplanaden. Może chciał dać znać synowi, że coś się dzieje. Pamiętajmy, że jego syn jest fotoreporterem. No i dlaczego zadzwonił z komórki, skoro już był w mieszkaniu? Nie zapominajmy o tym. Jakoś nie mam przekonania do tego świadka.

Lesba i Rosjanka, pomyślał Bäckström. Ale sprytna, pomyślał.

– Tak to daleko nie zajdziemy – powiedział Bäckström. – Coś jeszcze?

– W takim razie przyjrzyjmy się kumplom Danielssona – zasugerował Alm. – Tym, o których pytałaś, Annika – dodał i skinął w stronę Carlsson.

– No to co o nich wiemy? – zapytał Bäckström.

Jakichś dziesięciu „chłopaków z Solny”, jak ich określił Alm. Dorastali, chodzili do szkoły i pracowali w Solnie i Sundbyberg. Rówieśnicy Danielssona lub starsi, trudno ich było uznać za morderców, zwłaszcza biorąc pod uwagę ich wiek.

– Nie zapominajmy, że morderca po sześćdziesiątce to raczej rzadkość – powiedział Alm. – Dotyczy to również zabójstw na tak zwanych żulach.

– Przyznasz, że Stålhammar jednak tu pasuje – zauważył Bäckström.

– Przyznaję. W ujęciu statystycznym i kryminologicznym pasuje najlepiej.

Cienias, pomyślał Bäckström.

– Jestem policjantem – powiedział. – Nie statystykiem ani kryminologiem.

– Podstarzali faceci, samotni, nadużywający alkoholu, opuszczeni przez żony, bez kontaktu z dziećmi. Fakt, niektórzy z nich są w naszych kartotekach, ale za pospolite wykroczenia,

jeden urządził rozbój w knajpie i został skazany za pobicie, chociaż był już po siedemdziesiątce – westchnął Alm, jakby myślał na głos.

– Niezły pistolet – uśmiechnął się Bäckström. – Jak się nazywa?

– Halvar Söderman, jesienią kończy siedemdziesiąt dwa lata. To było w jego lokalnej knajpie, chyba wściekł się na właściciela za coś, co zjadł tam tydzień wcześniej. Twierdził, że ktoś chciał go otruć. Söderman to stary rajdowiec, ma ksywę „Połówka”. Właściciel baru to Jugosłowianin, o dwadzieścia lat młodszy, co nie przeszkodziło Södermanowi przetrącić mu szczęki. Zdaniem starszych kolegów, z którymi rozmawiałem, Połówka Söderman to legenda wśród łobuzów z Solny. Król ridersów, kierowca rajdowy, właściciel firmy przeprowadzkowej, sprzedawca mebli i czego tylko dusza zapagnie. Wielokrotnie notowany w kartotekach i rejestrach wykroczeń. Karany z większości paragrafów od oszustw po pobicie. Zrobiłem małą kwerendę na jego temat; widnieje w naszych papierach od ponad pięćdziesięciu lat. Przez ten czas dostał pięć wyroków więzienia. Najdłużej siedział dwa i pół roku. To było w połowie lat sześćdziesiątych, kiedy został skazany za pobicie, oszustwo, jazdę po pijanemu i kilka innych drobiazgów. Przez ostatnie dwadzieścia pięć lat wyraźnie się uspokoił. Wiek, zdaje się, zrobił swoje. No, poza tą sprawą z Jugolem.

– Sam widzisz – powiedział Bäckström zadowolony. – Dać takiemu pokrywkę to położyć cały oddział interwencyjny. Pozwól, że zapytam z ciekawości: czy ma jakieś alibi na środe wieczorem czternastego maja?

– Tak twierdzi – powiedział Alm. – Rozmawiałem z nim przez telefon. Twierdzi, że ma.

– A konkretnie? – zapytała Annika Carlsson, wyraźnie zadowolona.

– Nie chciał powiedzieć – odparł Alm. – Powiedział, żebym spieprzał, a potem rzucił słuchawkę.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – Bäckström się skrzywił.

– Zamierzam jechać do niego do domu i go przesłuchać –

odrzekł Alm, choć nie wydawał się szczególnie szczęśliwy z tego powodu.

– Chcesz, to pojedę z tobą – zaproponowała Annika Carlsson, marszcząc brwi.

Biedny Połówka, pomyślał Bäckström.

– Coś jeszcze? – zapytał, głównie po to, żeby zmienić temat.

– Większość ma alibi – powiedział Alm. – Gunnar Gustafsson i Björn Johansson, Gurra Woźnica i Piorun, jak nazywają ich koledzy, mają alibi. Siedzieli w restauracji w Valla do około jedenastej. Potem pojechali do domu jeszcze innego kumpla, u którego grali w pokera. Mieszka w willi w Spånga.

– Ma jakoś na nazwisko? – powiedział Bäckström. – Ten ze Spånga.

– Jonte Ågren. Mówią na niego Jonte z Bällsta. Dawniej dekarz, jego firma miała siedzibę nad Bällstaån. Siedemdziesiąt lat. Niekarany, ale znany z tężyzny fizycznej. Podobno za młodu giął rury i blachy gołymi rękami. To jeden z niewielu, który wciąż jest żonaty, ale tego wieczoru, kiedy grali w pokera, żona pojechała odwiedzić siostrę w Nynäshamn. Podejrzewam, że nauczona doświadczeniem.

– Ktoś jeszcze? – powiedział Bäckström, mimo woli czując rosnące zainteresowanie.

– Mario Grimaldi, lat sześćdziesiąt pięć – powiedział Alm. – Imigrant z Włoch. Przyjechał tu w latach sześćdziesiątych, pracował w Saabie w Södertälje. Najlepszy kumpel Halvara Södermana, też kierowcy rajdowego, i jego dziesięć lat starszego brata, też kierowcy. Mówili na niego, wiadomo, „Cały”, ale ponieważ od dziesięciu lat nie żyje, wydaje mi się, że przynajmniej jego możemy skreślić. Za to Mario żyje. Odszedł z Saaba po kilku latach i zajął się robieniem pizzy. Według naszych informacji wciąż jest właścicielem kilku pizzerii i pubu w Solnie i Sundbyberg, choć w dokumentach nie ma jego nazwiska.

– Ma jakąś ksywę? – zapytał Bäckström.

– Koledzy nazywają go Ojcem Chrestnym – Alm pokręcił przepraszająco głową. – Z nim też jeszcze nie udało mi się spotkać, ale na pewno go znajdę.

– Sam widzisz – powiedział Bäckström wesoło. – Mamy jeszcze kilku potencjalnych kandydatów, choć ja dalej stawiam na naszego dawnego kolegę Stålhammara. Coś jeszcze? – spytał i spojrzał na zegarek.

– Znalazłam skrytkę Danielssona – powiedziała Nadja. – Nie było łatwo, ale się udało.

– Znalazłaś – powtórzył Bäckström. Sprytna bestia. Rosjanka, wiadomo, pomyślał.

– Kluczyk od skrytki położyłam ci na biurku – powiedziała Nadja.

– Doskonale – pochwalił Bäckström, który oczyma wyobraźni widział już drogę powrotną do domu i duże piwo.

NA BIURKU BÄCKSTRÖMA leżał kluczyk od skrytki, kopia decyzji prokurator, jak również napisana odręcznie karteczka od Nadji, na której widniały nazwisko i numer telefonu radcy prawnego banku, która miała im pomóc w kwestiach technicznych.

To wszystko, ale ponieważ Bäckström był ciekawski z natury, na odchodnym zajrzał jeszcze do pokoju Nadji Högberg.

– No to teraz powiedz, jak to zrobiłaś – powiedział Bäckström.

Nic wielkiego, stwierdziła. Najpierw zdobyła listę klientów, którzy mieli skrytkę w oddziale Handelsbanken na skrzyżowaniu Valhallavägen z Erik Dahlbergsgatan. W większości były to osoby fizyczne, ale oprócz nich jakaś setka osób prawnych. Małe firmy, spółki handlowe, komandytowe, akcyjne, kilka stowarzyszeń i dwa spadki. Na początek zajęła się największą grupą, czyli spółkami akcyjnymi.

Następnie wyszukała dane osób, które figurowały w zarządach, miały pełnomocnictwa do działań firmy albo w inny sposób były kojarzone z różnymi spółkami. Nigdzie ani śladu Karla Danielssona.

– Udało mi się za to znaleźć spółkę akcyjną, w której zarządzie zasiadali Mario Grimaldi i Roland Stålhammar, a Seppo Laurén, wiesz, ten młody sąsiad Danielssona z Hasselstigen, jest dyrektorem wykonawczym. Trochę za dużo jak na mój gust – powiedziała Nadja Högberg, kręcąc głową.

– Laurén? A to on nie jest opóźniony w rozwoju?

– Możliwe – powiedziała Nadja. – Tak twierdzi Alm, ja nie spotkałam go osobiście, w każdym razie jednak nie jest pozbawiony praw ani nie jest bankrutem, nie ma więc formalnych przeszkód, żeby był zatrudniony na stanowisku kierowniczym. Pewnie właśnie o to chodziło Danielssonowi.

– Nieźle – powiedział Bäckström. Ta Rosjanka powinna być szefową Säpo, pomyślał. Pogonić to towarzystwo.

– To kilkusobowa firma. Zawieszona od prawie dziesięciu

lat, nie prowadzi więc żadnej działalności. Nie wydaje mi się, żeby miała jakiegokolwiek dochody. W każdym razie nie takie, które byłyby warte odnotowania. Tak na marginesie, nazywa się Edytor SA. Zgodnie ze statutem zajmuje się pisaniem tekstów na rzecz osób fizycznych i przedsiębiorstw. Od folderów reklamowych po przemówienia z okazji pięćdziesiątych urodzin. Dwie założycielki tej spółki pracowały w jakiejś agencji reklamowej jako sekretarki i chciały sobie dorobić. Jednak wskutek braku zamówień po kilku latach spółka została sprzedana ówczesnemu komisarzowi kryminalnemu Rolandowi Stålhammarowi.

– Ciekawe – powiedział Bäckström z przebiegłą miną.

– Moim zdaniem Stålhammar i Grimaldi byli tylko słupami podstawionymi przez Karla Danielssona. I jeśli jest ziarno prawdy w tym, co słyszałam o Stålhammarze, to on raczej nie ma o niczym pojęcia.

– Po co Danielssonowi był ten Edytor SA?

– Też się zastanawiam – odparła Nadja. – Przecież nie prowadziła żadnej działalności. Wciąż jednak ma skrytkę bankową. Zadzwoniłam do banku – ciągnęła – trochę byli niechętni, ale poszperali w aktach swoich klientów i w końcu znaleźli stare upoważnienie na nazwisko Karla Danielssona, które dawało mu dostęp do firmowej skrytki. Ostatni raz otworzył ją w dniu swojej śmierci, po południu w środę czternastego maja. A poprzednio w połowie grudnia ubiegłego roku.

– Ciekawe – mruknął Bäckström. – Co jest w tej skrytce?

– To najmniejszy rozmiar skrytki – powiedziała Nadja. – Długa na trzydzieści sześć centymetrów, szeroka na dwadzieścia siedem i wysoka na ponad osiem centymetrów. Dużo się tam nie zmieści. Jak myślisz?

– Skoro używał jej Danielsson, to pewnie ma tam kupony na zakłady i stare paragony. A ty jak sądzisz?

– Może garnek złota – powiedziała Nadja z szerokim uśmiechem.

– Ciekawe skąd. – Bäckström pokręcił z powątpiewaniem głową.



– W czasach mojego dzieciństwa w Rosji, nie, przepraszam, w Związku Radzieckim, gdzie życie było ciężkie, smutne, a często niebezpieczne, mój stary ojciec pocieszał mnie słowami: Pamiętaj, Nadja, mówił, że na końcu tęczy stoi garnek pełen złota.

– Stare rosyjskie przysłowie – powiedział Bäckström.

– Nieprawda. Za takie przysłowie mogło cię zwinąć KGB. Jak chcesz, możemy się założyć o butelkę wódki – dodała i znów się uśmiechnęła.

– W takim razie stawiam na kupony i paragony – powiedział Bäckström. – A ty?

– Na garnek złota – odparła, nagle zamyślona. – Pewnie i tak nie zmieściłby się w takiej małej skrytce, ale nadzieja umiera ostatnia, jak mówimy w Rosji.

Sprytna, naprawdę sprytna, pomyślał Bäckström. Choć pewnie równie szalona jak wszyscy Rosjanie.

Następnie poprosił Annikę Carlsson, żeby zawiozła ich do banku. Kto by miał, kurwa, siłę słuchać ofiary molestowania z Dalarny, piejącego z zachwyty na temat tłustej blondyny, pomyślał Bäckström. Carlsson była na tyle uprzejma, że po drodze nie odezwała się ani słowem i już po piętnastu minutach od opuszczenia komisariatu w Solnie zaparkowali samochód pod drzwiami banku.

Pracownica banku okazała się wyjątkowo pomocna. Spojrzała na ich legitymacje, poprowadziła ich do skarbcza, otworzyła skrytkę swoim i Bäckströma kluczem, wyjęła niewielką, płaską kasetkę i postawiła ją na stole.

– Krótkie pytanie, zanim pani wyjdzie – powiedział Bäckström, zatrzymując ją uśmiechem. – Danielsson korzystał ze skrytki niecały tydzień temu, to chyba pani mu asystowała. Czy zapamiętała pani coś z tej wizyty?

Pokręciła niepewnie głową.

– Przepraszam, ale obowiązuje mnie tajemnica bankowa. – Uśmiechnęła się przepraszająco.

– Na pewno wie pani, że jesteśmy tu w związku z zabójstwem i że w takiej sytuacji nie obowiązuje tajemnica bankowa.

– Wiem – powiedziała. – Tak, pamiętam go.

– Dlaczego?

– To był taki klient, którego się pamięta, choć nie przychodził zbyt często. Zawsze taki ożywiony, aż za bardzo, poza tym czuć było od niego alkohol. Pamiętam, że żartowaliśmy sobie z tego przy którejś jego wizycie. Kiedy odwiedzi nas wydział do walki z przestępczością gospodarczą.

– Pamięta pani, czy miał ze sobą jakąś teczkę na dokumenty? Chodzi nam o aktówkę z jasnej skóry z mosiężnymi okuciami – spytała Annika Carlsson.

– Tak, pamiętam. Zawsze nosił ją ze sobą. Również w zeszłym tygodniu, kiedy przyszedł, żeby wyjąć rzeczy ze skrytki.

– Dlaczego tak pani sądzi? – zapytała Annika Carlsson. – To znaczy, że przyszedł, żeby wyjąć coś ze skrytki?

– Gdy wyjęłam skrzynkę, on otworzył teczkę. Była pusta. To znaczy był w niej tylko notes i kilka długopisów.

– Dziękuję – powiedział Bäckström.

– Chcesz? – spytała Annika Carlsson, wyjmując parę gumowych rękawiczek, gdy zostali sami.

– Po to, żeby wyjąć skrzynkę, na której i tak jest mnóstwo odcisków palców pracowników banku? – Bäckström pokręcił głową. – Nie żartuj. Tak się bawi tylko Niemi ze swoimi kolegami. – Kupony i stare faktury, pomyślał. – Okej, Annika – powiedział Bäckström i uśmiechnął się pod nosem, ważąc skrzynkę w dłoni. – Założymy się?

– Stowa, nie więcej. Nigdy się nie zakładam, no ale dobra, stawiam na kupony i paragony. A ty, Bäckström?

– Garnek złota. Słyszałaś chyba, że na końcu tęczy stoi garnek pełen złota – powiedział i otworzył skrzynkę.

Niech mnie szlag trafi, pomyślał, a jego oczy zrobiły się okrągłe jak jego głowa. Dlaczego, do cholery, nie przyjechałem tu sam? Do końca życia nie musiałbym nawet podcierać sobie tyłka, pomyślał.

– Jesteś jasnowidzem? – zapytała Annika Carlsson, wybałuszając oczy tak samo jak Bäckström.

JAKIEŚ PÓŁ ROKU WCZEŚNIEJ komendant główny policji Lars Martin Johansson zadzwonił do swojej współpracownicy, nadinspektor Anny Holt, i zapytał, czy da się zaprosić na kolację.

– Z przyjemnością – powiedziała Anna Holt, próbując ukryć zaskoczenie. Pierwszy raz, a przecież znamy się od ponad dziesięciu lat, pomyślała. Ciekawe, czego chce tym razem. Z doświadczenia wiedziała, że Johansson nie robił nic bez powodu i niemal zawsze miał jakiś ukryty interes. – A kiedy? – zapytała.

– Najchętniej dziś wieczorem. Najpóźniej jutro.

– Dziś akurat mogę – odparła Holt. Musi chodzić o coś ważnego, pomyślała.

– Doskonale – powiedział Johansson. – Widzimy się o siódmej, wyślę ci mailem adres knajpy. Weź taksówkę i poproś o rachunek, to zapłacę.

– Nie ma sprawy. Pozwól, że zapytam. Co chcesz, żebym zrobiła tym razem?

– Oj, Anna – westchnął Johansson. – Chcę, żebyś zjadła kolację ze swoim szefem. Mam nadzieję, że będzie miło. Wiem, o co pytasz, więc ci odpowiem: nie mam zamiaru prosić cię o przysługę. Chciałem za to podzielić się z tobą pewną tajemnicą. Chodzi wyłącznie o mnie, więc możesz być spokojna.

– Jestem spokojna – zapewniła Holt. – Cieszę się, że się zobaczymy. – Potrafi być przekonujący, pomyślała, odkładając słuchawkę.

Ciekawe, czego tak naprawdę chce, myślała, wsiadając do taksówki w drodze na spotkanie. Pomimo jego zapewnień nie mogła pozbyć się myśli, że wcale nie chodzi o jakąś tajemnicę. Johansson nie był z tych, którzy dzielą się tajemnicami. Zachowywał je dla siebie, a zwłaszcza te, które dotyczyły niego samego.

Niecałe pół roku wcześniej zaangażował ją i kilku innych

kolegów do nieoficjalnego zweryfikowania materiałów ze śledztwa w sprawie zabójstwa Olofa Palmego w nadziei, że uda im się znaleźć coś, co przeoczyli inni śledczy.

Biorąc pod uwagę objętość materiału dochodzeniowego i nierealność całego projektu, to, co się wydarzyło, można by z powodzeniem uważać za cud. Natrafili bowiem na trop dwóch nieznanymi wcześniej mężczyzn, którzy z dużym prawdopodobieństwem mogli być sprawcami zamachu. Jednego, który zaplanował zabójstwo, i drugiego, który trzymał broń. Ten pierwszy nie żył od wielu lat, ale ten drugi najwyraźniej miał się dobrze. Nie wiadomo było tylko, gdzie jest, bo najwyraźniej się zaszył. Nagle zrozumieli, co tak naprawdę się wydarzyło.

Udało im się ustalić wiele okoliczności obciążających obu podejrzanych. Znaleźli świadków i dowody rzeczowe, które potwierdzały podejrzenia. Na koniec namierzili żyjącego wciąż podejrzanego. Zaledwie kilka godzin przed planowanym zatrzymaniem padł ofiarą tajemniczego wypadku. Razem ze swoją łodzią został rozerwany na strzępy u północnych wybrzeży Majorki, zabierając ze sobą na dno wszystko to, do czego doszła Holt razem ze swoim zespołem. Dla Anny Holt i jej kolegów dochodzenie w sprawie zabójstwa premiera było zamkniętym rozdziałem.

Jeśli o tym mieli rozmawiać, to i tak nie była to już żadna tajemnica. Mieli poczucie, że znają prawdę, której nie są w stanie udowodnić, a jeśli się mylą, to tego też nie da się dowieść.

Opowiedzieć swoją tajemnicę? Takiego wała, pomyślała Anna Holt, wysiadając z taksówki.

Ulubiona knajpa Johanssona, niewielka włoska restauracja zaledwie kilka przecznic od jego mieszkania na Söder. Doskonale jedzenie, jeszcze lepsze wino, Johansson w szampańskim humorze. I obsługa, która traktowała go jak króla, a ją jak jego koronowaną małżonkę.

Na pewno już ich uprzedził, pomyślała Holt. Że jestem jego koleżanką, a nie jakąś „cholerną kochanką”.

– Powiedziałem im przed twoim przyjściem, że ze sobą

pracujemy – wyznał Johansson z uśmiechem. – Żeby niepotrzebnie nie kombinowali.

– Domyśliłam się. – Holt się uśmiechnęła. Człowiek, który widzi, co jest za rogiem, pomyślała.

– Prawda, jakie to dziwne – westchnął Johansson. – Że potrafię zobaczyć, co jest za rogiem.

– Czasem to trochę straszne. Choć teraz czuję się świetnie – dodała. Poza tym nie zawsze masz rację, pomyślała.

– Wędrowiec i jasnowidz. – Johansson pokiwał głową. – Chociaż nie zawsze mam rację. Czasem nawet ja się mylę.

– Czy to była ta tajemnica, którą chciałeś się ze mną podzielić?

– No coś ty! – powiedział Johansson z poważną miną. – W życiu bym się do tego nie przyznał. Moja norrlandzka wiarygodność wyparowałaby w mgnieniu oka. – Johansson znów się uśmiechnął, unosząc kieliszek.

– Dobrze się z tobą rozmawia, Lars, kiedy masz taki humor. Tyle że ja umieram z ciekawości...

– Odchodzę – przerwał Johansson. – Za tydzień odchodzę. Złożyłem wymówienie w trybie natychmiastowym.

– Mam nadzieję, że nic się nie wydarzyło – powiedziała Holt. Co on znów wymyślił, pomyślała.

Nic, zapewnił Johansson. Nic się nie stało i naprawdę niczego nie wymyślił. Doszedł jednak do pewnego wniosku. Czysto osobistego wniosku.

– Zrobiłem, co do mnie należy – stwierdził. – Na dobrą sprawę powinienem odejść za półtora roku, ale ponieważ zrobiłem, co do mnie należy, odchodzę z policji. I tak już oddałem jej czterdzieści lat życia. Nie ma powodu, żebym to ciągnął. Rozmawiałem z żoną – dodał. – Uważa, że to doskonały pomysł. Rozmawiałem z zarządem i komendantem głównym. Próbowali mnie przekonać, żebym jeszcze został. Podziękowałem im za ich zaufanie, ale grzecznie odmówiłem. Nie przyjąłem również kilku innych ofert pracy.

– Kiedy zamierzasz powiedzieć o tym zespołowi? – zapytała Holt.

– Oficjalna informacja pójdzie w czwartek po spotkaniu

zarządu.

– I co teraz będziesz robić?

– Będę uprawiał kapustę i spróbuję dobrze się zestarzeć – powiedział Johansson i pokiwał zamyślony głową.

– Ale dlaczego mi o tym mówisz? Skoro jeszcze nikt o tym nie wie?

– Bo chciałem cię o coś zapytać.

Wiedziała, pomyślała Holt. Wiedziała.

– Nie bój się, nie zaprosiłem cię tutaj, żeby prosić o rękę, nie obawiaj się. Co słyhać u twojego kolegi Jana Lewina?

– Dobrze – powiedziała Holt. – A u twojej żony Pii?

– To sens mojego życia – powiedział Johansson i nagle spowaźniał. – Czuję się jak pączek w maśle.

– Pytanie – przypomniała Holt. – Miałeś jakieś pytanie.

– A tak – zreflektował się Johansson. – Mam chyba jakieś zwanie w mózgu, bo jak tylko zmieniam temat, to...

– Bądź poważny, Lars. Spróbuj chociaż.

– Czy chcesz zostać komendantem rejonowym policji w Västerort? – zapytał Johansson.

Komendant rejonowy policji w Västerort? Przecież już miała pracę. Co więcej, pracę, którą lubiła. Zespół ludzi, z którymi się dobrze rozumiała, a od miesiąca z jednym z nich łączyło ją coś więcej. I tylko to mogłoby być powodem do ewentualnej zmiany miejsca pracy, pomyślała Holt. Związek w pracy nie służy miłości. Zresztą nie tylko miłości, pomyślała.

Dodatkowe dwadzieścia tysięcy miesięcznie. Spacerem do pracy. Jeden z najlepiej zarządzanych rejonów w prowincji. Wyzwanie polegające na kierowaniu setkami pracowników, z których wielu zaliczało się do najlepszych policjantów w kraju. Pomijając to wszystko, istniał tylko jeden powód, dla którego Johansson zwrócił się z tą propozycją właśnie do niej.

– Jest tylko jeden powód, dla którego cię o to pytam – powiedział Johansson. – Jeden – powtórzył, unosząc swój długi palec wskazujący.

– Jaki?

– Jesteś najlepsza. Tylko tyle.

– Pytanie natury praktycznej – powiedziała Holt. – Czy

naprawdę możesz oferować mi coś takiego? Czy nie decyduje o tym kierownictwo w Sztokholmie?

– Zarząd – odparł Johansson. – W porozumieniu z Komendą Główną i, w tym przypadku, z kierownictwem w Sztokholmie. Odezwie się w tej sprawie do ciebie komendant ze Sztokholmu. Niezależnie od tego, co teraz powiesz. Przemyśl to.

– Obiecuję, że przemyślę – powiedziała Holt. Wiedziała, że jest dobra, i w odróżnieniu od wielu kobiet nie miała problemu z powiedzeniem tego głośno, jeśli zachodziła potrzeba. Ale żeby była najlepsza? I żeby mówił to Johansson? Dziwne, zwłaszcza biorąc pod uwagę, ile się przez te lata ze sobą kłóciliśmy, pomyślała.

– W porządku – powiedział Johansson z uśmiechem. – Zostawmy to, czas na przyjemności. *No more business. Back to pleasure.* Wybierz temat, Anna.

– Powiedz... – zaczęła Holt. – Powiedz, dlaczego nagle postanowiłeś odejść z policji?

– Już mówiłem – Johansson się uśmiechnął. – Mieliśmy się dobrze bawić. *No more business.* Ale jeśli chcesz, mogę ci opowiedzieć, dlaczego zostałem policjantem i jak to się wszystko zaczęło.

– Dlaczego zostałeś policjantem? – Cały on, pomyślała Holt.

– Dlatego, że lubię szukać odpowiedzi – powiedział Johansson. – To była zawsze moja największa pasja.

I jeszcze Pia. Trzeba mieć szczęście, żeby spotkać kobietę swojego życia w połowie swojego życia.

A teraz, kiedy człowiek wie, kto zamordował premiera, szukanie odpowiedzi przestaje być zabawne, pomyślała Anna Holt. Została ci żona, bo wciąż ją kochasz, pomyślała.

TYDZIEŃ PÓŹNIEJ komendantka wojewódzka w Sztokholmie zadzwoniła do Holt z zaproszeniem na lunch. I to możliwie jak najszybciej.

– Chętnie – odparła Anna Holt. Ponieważ zasiadały w zarządzie tego samego związku policjantek, ponieważ lubiły się i szanowały i nie było najmniejszego powodu, dla którego miałyby odmówić. – Chętnie – powtórzyła Holt. – A kiedy?

– Co powiesz na piątek w przyszłym tygodniu? – spytała komendantka. – Może mogłybyśmy się spotkać u mnie na spokojnie w gabinecie.

– Doskonały pomysł.

Na szczęście ani trochę nie przypomina Johanssona, pomyślała, odkładając słuchawkę.

Tydzień później w piątek po raz kolejny usłyszała to samo pytanie.

– Co byś powiedziała na objęcie funkcji komendanta rejonowego policji w Västerort? Bardzo bym się cieszyła, gdybyś się zgodziła.

– Dobrze – powiedziała Holt i skinęła głową. – Bardzo chętnie.

– W takim razie ustalone. – Komendant nie wydawała się zaskoczona.

Nominacja została podana do publicznej wiadomości na początku stycznia, a w poniedziałek trzeciego marca Anna Holt objęła stanowisko. Powolna zazwyczaj machina urzędnicza tym razem zadziałała szybciej niż zwykle.

Zważywszy na charakter pracy, jakiej się podjęła, miesiąc miodowy trwał znacznie dłużej, niż tego mogła oczekiwać. Po sześciu tygodniach na stanowisku komendant rejonowej Västerort zadzwoniła do niej ponownie komendant wojewódzka.

– Musimy się spotkać, Anno – powiedziała. – Najlepiej od razu. Chciałabym prosić cię o przysługę.

Dlaczego mam wrażenie, jakbym słyszała Johanssona?,



pomyślała Anna Holt.

– Chciałaś mnie prosić o przysługę – zaczęła Anna Holt, gdy kilka godzin później usiadła w pokoju komendant wojewódzkiej.

– Tak – padła niepewna odpowiedź.

– Wykrztuś to wreszcie – namawiała Holt z uśmiechem.

– Evert Bäckström – rzuciła komendantka.

– Evert Bäckström – powtórzyła Anna Holt, nie kryjąc zaskoczenia. – Mówimy o inspektorze Evercie Bäckströmie, aktualnie zatrudnionym w sztokholmskim wydziale do spraw odzyskiwania mienia?

– Obawiam się, że tak – odparła przełożona i nawet ona się uśmiechnęła, choć chyba nieszczerze. – Masz wolne miejsce na stanowisku inspektora na wydziale kryminalnym. Chciałabym polecić ci na to miejsce Bäckströma – wyjaśniła.

– Ponieważ się znamy i darzę cię szacunkiem...

– Wiedz, że z wzajemnością... – wtrąciła komendant wojewódzka.

– ...rozumiem, że masz ku temu jakieś bardzo ważne powody.

– Gdybyś tylko wiedziała – odparła z przejęciem. – Pomyślałam, żeby podrzucić go wam na czas określony, żebyśmy uniknęli formalności i nie mieli związanych rąk, gdyby okazało się, że to błąd. Obiecuję, że się tym zajmę. Zostaw to mnie.

– Zaczekaj – powiedziała Holt, unosząc rękę, jakby chciała się bronić. – Zanim cokolwiek zrobimy, chciałabym poznać twoje argumenty. – Dopiero miesiąc w nowej pracy, pomyślała Holt. A tu Bäckström wpada mi prosto w ramiona. Jak upadły anioł albo raczej opasły, podstarzały cherubin z połamanymi skrzydłami.

– Mam ich całkiem sporo, jeśli masz siłę słuchać – powiedziała komendant wojewódzka i znów się spięła. – Masz?

– Jasne. Słucham – powiedziała Holt.

Początkowo Bäckström piastował dość wysokie stanowisko. Praktycznie był inspektorem w wydziale zabójstw wydziału kryminalnego Komendy Głównej Policji do czasu, aż jego

najwyższy przełożony wyrzucił go i doprowadził do jego przeniesienia do Sztokholmu, gdzie wcześniej pracował.

– Z nieznanymi mi bliżej powodów – powiedziała komendant wojewódzka. – W końcu nie jest złym śledczym. Rozwiązał wiele spraw dotyczących ciężkich przestępstw.

– No cóż – westchnęła Holt, bo miała okazję z nim pracować. – Zachowuje się jak słoń w składzie porcelany, niszczy wszystko, co napotka na swojej drodze. Ale wśród gruzów jego koledzy potrafią niejedno znaleźć. Biorąc pod uwagę jego sposób działania, mogę się nawet z tobą zgodzić. Z Bäckströmem trudno się nudzić.

– Tak, ma niespożytą energię – stwierdziła komendant wojewódzka i westchnęła głęboko.

– W co trudno uwierzyć, biorąc pod uwagę jego tryb życia i wygląd – odparła Holt.

– Miejsce, w którym teraz pracuje, nie zostało najszcześliwiej wybrane. Nie chodzi o to, żeby któryś z jego przełożonych miał do niego jakieś konkretne zastrzeżenia. Ale po korytarzach krążą straszne plotki. Uważam, że nie zrobiliśmy wszystkiego, żeby mu pomóc. Nie dostał też zadań, które by go interesowały. Bäckström czuje się traktowany nie fair. Niestety ma trochę racji, a związek zawodowy patrzy mi na ręce. Poza tym ma referencje. A nawet doskonałe referencje.

Tak zwane listy pochwalne na pożegnanie, pomyślała Holt. Ciekawe, jak to możliwe? Pokiwała tylko głową.

– Anno – odezwała się komendant wojewódzka i znów westchnęła. – Wydaje mi się, że tylko ty możesz sobie z nim poradzić. Jeśli tobie też się nie uda, obiecuję, że go zabiorę. Wyrzucę na zbity pysk, choć związek zawodowy już teraz żąda mojej głowy.

– Słucham dalej.

– Przez ostatnie pół roku gadał tylko o sprawie Palmego i o tym, że rzekomo odkrył jakiś spisek. Niepotrzebnie zleciłam mu opracowanie raportu dla prokuratora. Zapewniam cię, Anno...

– Wiem. Miałam okazję go wysłuchać.

– Było to absurdalne, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że jedna

z osób wskazanych przez Bäckströma jako uczestnicząca w spisku nieoczekiwanie do mnie zadzwoniła i poprosiła, żebym mu pomogła. Pomogła Bäckströmowi, rozumiesz. Wysoko umocowany parlamentarzysta. Twierdzi, że Bäckström padł ofiarą nadużycia władzy. A nawet wielokrotnego nadużycia.

– Chcesz, żeby zajął się czym innym – zasugerowała Holt.

– Tak – odpowiedziała komendant wojewódzka. – Interesują go tylko poważne przestępstwa z użyciem przemocy. A takich w Västerort wam nie brakuje.

– Dobra – powiedziała Anna Holt. – Obiecuję, że zrobię, co się da, ale zanim podejmę decyzję, chciałabym porozmawiać z osobą, która miałaby zostać jego bezpośrednim przełożonym. Jestem mu to winna.

– Tak zrób, Anno – powiedziała komendant wojewódzka. – Trzymam kciuki.

– Bäckström – powiedział inspektor Toivonen, naczelnik wydziału kryminalnego w Västerort. – Chcesz powiedzieć ten Evert Bäckström? Tutaj? U mnie?

– Tak – odparła Holt. Toivonen, pomyślała. Jedna z legend sztokholmskiej policji. Toivonen, który nigdy nie udawał, nigdy nie tracił czasu na kurtuazje. Który zawsze mówił, co myśli.

– Tak – powtórzyła. – Rozumiem, że masz wątpliwości.

– W porządku – odrzekł Toivonen, wzruszając ramionami. – Nie mam nic do Bäckströma. Jak zacznie podskakiwać, to sobie narobi problemów.

– W porządku – powtórzyła Holt. O czym on mówi?, pomyślała.

– No więc dobrze – powiedział Toivonen. – Od kiedy zaczyna?

Nareszcie, pomyślał, wychodząc z gabinetu swojej szefowej. Czekał na ten moment od dwudziestu pięciu lat. Powoli tracił już nadzieję, że będzie mu dane wyrównać dawne krzywdy. Poczekaj, tłuściochu, pomyślał, a epitet ten był skierowany pod adresem jego nowego pracownika, Everta Bäckströma.

Toivonen nie powiedział swojej szefowej wszystkiego. Ponad dwadzieścia pięć lat temu jako aspirant, „lis” – jak w tamtych

czasach nazywało się adeptów policji z pokolenia Toivonena – odbył trzymiesięczną praktykę w wydziale zabójstw komendy w Sztokholmie. Jako opiekuna przydzielono mu komisarza kryminalnego Everta Bäckströma.

Zamiast próbować nauczyć „młodego lisa” warsztatu pracy śledczego, Bäckström zrobił z niego osobistego niewolnika. Choć przodkom Toivonena, rolnikom od pokoleń i bohaterom z Karelii, nikt nigdy nie pluł w kaszę, to Bäckström traktował go jak ruskiego kmiotka. Zatrudnił go do porządkowania bałaganu na swoim biurku, opróżniania kosza na śmieci, zamykania podłogi, robienia kawy, kupowania bułeczek wiedeńskich, wożenia się po mieście samochodem służbowym w tajemniczych sprawach, rzadko kiedy mających coś wspólnego z obowiązkami służbowymi, i zajeżdżania pod budkę z hot-dogami, gdy był głodny. Za te ostatnie płacił zresztą ze swojej marnej aspiranckiej pensji, bo Bäckström za każdym razem zapominał portfela. Raz, kiedy zostali oddelegowani do ochrony ambasady, Bäckström polecił mu wypucować sobie buty, a już na miejscu przedstawił go strażnikowi jako „swojego osobistego lisa i fińskiego drwala w jednej osobie”.

Toivonen był kilkakrotnym mistrzem Szwecji w zapasach, zarówno w stylu wolnym, jak i klasycznym, i bez problemu mógłby połamać Bäckströmowi wszystkie kości, nie wyjmując nawet rąk z kieszeni. Myśl ta towarzyszyła mu od samego początku, ale ponieważ postanowił, że zostanie policjantem – prawdziwym policjantem w odróżnieniu od jego opiekuna – zagryzł wargi i dał sobie spokój. W końcu stały za nim pokolenia karelskich rolników i wojowników, którym nie raz zdarzało się jeść chleb z korą. Po dwudziestu pięciu latach nastąpiły lepsze czasy. Znacznie lepsze.

W nocy Toivonen miał piękne sny. Najpierw zmięczył grubaska zwykłym suplesem, potem wypróbował na nim nelsona i podwójnego nelsona, dodał jeszcze kilka technicznych smaczków, które były punktowane za jego czasów. Ponieważ Bäckström zdążył się już wystarczająco rozgrzać, Toivonen zaproponował mu kilka szybkich

przerzutów z większej wysokości. Na koniec dodał uchwyt nogą na krótką, tłustą szyję Bäckströma. Dwadzieścia pięć minut później jego prześladowca leżał bezradnie, siny na twarzy, wymachując swoimi pulchnymi rękami, a Toivonen z zadowoleniem cmokał ustami i z wolna zaciskał uścisk.

KILKA LAT PRZED OBJĘCIEM SŁUŻBY na komendzie w Solnie inspektor Evert Bäckström został relegowany ze swojego dotychczasowego miejsca pracy w wydziale do spraw zabójstw Komendy Głównej do sztokholmskiego wydziału odzyskiwania mienia. Lub też do policyjnego magazynu rzeczy znalezionych, jak wszyscy prawdziwi policjanci, nie wyłączając Bäckströma, nazywali tę ostoję skradzionych rowerów, zagubionych portfeli i zbłąkanych policyjnych dusz.

Bäckström padł ofiarą niegodziwych poczynań. Jego były szef Lars Martin Johansson, wieśniak z północy, amator zgniłych śledzi i kryptosocjalista, najwyraźniej nie poradził sobie z narzuconym przez Bäckströma tempem działań wymierzonych przeciwko zorganizowanej przestępczości. Zawiązał Bäckströmowi sznur na szyi i osobiście kopnął stojący pod nim taboret.

Praca w magazynie rzeczy znalezionych była oczywistą formą nagany. W ciągu kolejnych dwóch lat Bäckström był zmuszony szukać skradzionych rowerów, zaginionej koparki, niebezpiecznych dla środowiska odpadów i zwykłych kabin toaletowych. To mogło złamać najtwardszego, ale Bäckström się nie poddał. Wykorzystał sytuację najlepiej, jak potrafił. Odnovił stare znajomości z handlarzami dzieł sztuki, dostał znakomity cynk, odnalazł skradziony obraz wart pięćdziesiąt milionów, osobiście przyznał sobie znaleźne, podczas gdy jego debilni szefowie zadowolili się przypisaniem sobie zasługi. Zdążył się już do tego przyzwyczaić i mógł z tym żyć.

Gdy jesienią rok później ten sam człowiek przekazał mu interesujące informacje na temat zabójcy Olofa Palmego, nie zasypiał gruszek w popiele. W krótkim czasie wskazał zarówno narzędzie zbrodni, jak również powiązania pomiędzy czterema wysoko postawionymi ludźmi z całą pewnością mocno zaangażowanymi w morderstwo. Znali się jeszcze z lat sześćdziesiątych, kiedy to studiowali razem prawo na Uniwersytecie Sztokholmskim, a po zajęciach oddawali się,

łagodnie rzecz ujmując, perwersjom i działaniom na granicy prawa. Między innymi prowadzili tajne stowarzyszenie, które nazwali Klubem Przyjaciół Cipki.

Gdy Bäckström zdecydował się przesłuchać jednego ze zrzeszonych, który tak na marginesie był dawniej prokuratorem, a obecnie członkiem rządu z ramienia chrześcijańskich demokratów, mroczne siły, których działanie Bäckström starał się ujawnić, odpowiedziały atakiem wymierzonym bezpośrednio w niego. Jego odwieczny wróg Lars Martin Johansson, który przez całe życie był na ich służbie, nasłał na niego rządową jednostkę zawodowych morderców, Siły Szybkiego Reagowania. Próbowali uciszyć Bäckströma, między innymi za pomocą granatu ogłuszającego, którym trafili go prosto w głowę. Gdy ich plan spalił na panewce, zamknęli go w psychiatryku.

Mimo to Bäckström pozbierał się, wrócił i się zrehabilitował. Na przekór wszystkiemu. Przeciągnął na swoją stronę związek zawodowy, media i najwyraźniej również jakąś wpływową, anonimową osobę, która po cichu kibicowała jego walce o sprawiedliwość społeczną. Smutna prawda jest taka, że w pojedynkę ma się marne szanse, ale kolejny raz pokazał, że jest silniejszy od innych.

Do pracy wrócił już po kilku miesiącach. Czekwały na niego stosy papierów, ale też liczne okazje do kręcenia lodów dla tych, którzy na to zasługiwali. Sprawę zabójstwa premiera musiał chwilowo odłożyć na bok. Zwycięstwo nie miało go kosztować, ale miał dobrą pamięć, dużo czasu i wiedział, że prędzej czy później dostanie szansę domknięcia wszystkich zaległych spraw.

Wyglądało na to, że jego wrogowie zaczynają schodzić ze sceny. Wieśniak Johansson złożył wypowiedzenie ze skutkiem natychmiastowym, tak to się nazywało, gdy tacy jak on dostawali wymówienie, a zaledwie miesiąc temu szefowa działu kadr sztokholmskiej policji odezwała się do niego, proponując mu stanowisko inspektora śledczego w komendzie rejonowej Västerort. Nagle był znów pełnoprawnym członkiem policji z dojściem do smakowitych kąsków przechowywanych na

policyjnych dyskach. Mógł pomóc temu czy innemu koledze w potrzebie, a jak wiadomo, przezorny zawsze ubezpieczony. Nigdy więcej skradzionych latryn i zagubionych portfeli, teraz już tylko zwykli, normalni przestępcy, którzy odcięli głowę żonie, podziurawili z karabinu opiekunkę do dziecka jak sito albo dobierali się do nieletniej córki sąsiadów.

– Obiecuję, że się nad tym zastanowię – powiedział Bäckström z dumną miną i skinął głową do kadrowej.

– Byłoby dobrze, gdybyś się zgodził – powiedziała, przerzucając nerwowo kartki. – I nie zastanawiaj się za długo, bo jesteś im potrzebny. Toivonen, twój nowy szef, chce, żebyś dołączył do nich natychmiast.

Toivonen, pomyślał Bäckström. Fiński drwał, jego osobisty lis, którego nauczył podawać łapę już dwadzieścia pięć lat temu. Lepiej być nie może, pomyślał.

Plan przewidywał, że Bäckström stawi się w swoim nowym miejscu pracy na stanowisku śledczego w komendzie rejonowej policji w Västerort w poniedziałek 12 maja, kiedy to jego nominacja wchodziła w życie. Nie byłby jednak Bäckströmem, gdyby z tej okazji nie udzielił sobie krótkiego urlopu okolicznościowego. Zadzwoił na komendę, żeby przekazać, że tego dnia niestety nie może przyjść do pracy. Stara sprawa dotycząca składowania szkodliwych odpadów wylądowała w sądzie i musiał się stawić, żeby złożyć zeznanie.

Następnego dnia też nie mógł. Miał zaplanowane poważniejsze badanie kontrolne u lekarza pierwszego kontaktu z policji sztokholmskiej. Podejrzewał, że zajmie mu to praktycznie cały dzień.

Przyszedł dopiero w środę. Poprzedniego dnia dostał wiadomość, która o mało nie zwała go z nóg – od lekarza, który okazał się emanacją doktora Mengele. Kiedy w środę 14 maja dotoczył się na komendę w Solnie, czuł oddech śmierci na karku.

Niecały tydzień później znów był sobą.

*Bäckström is back, as always*, pomyślał, bo jak wiadomo, mówił płynną angielszczyzną, której nauczył się z telewizji.

W poniedziałek 12 maja miesiąc miodowy Anny Holt dobiegł



definitywnie końca i nie miało to nic wspólnego z Bäckströmem.

Przed południem dwóch napastników napadło na konwój w chwili, gdy ten wyjechał przez bramę dla VIP-ów lotniska Bromma. Gdy załadowali łup i chcieli odjechać, jeden z dwóch ochroniarzy za pomocą zdalnie sterowanego modułu zdetonował ampułki z farbą znajdujące się w worku z pieniędzmi. Potem wszystko wymknęło się spod kontroli. Napastnicy zrobili nawrót i ruszyli prosto na uciekającego ochroniarza. Jeden z nich wyskoczył z samochodu i oddał serię strzałów, zabijając jednego i ciężko raniąc drugiego konwojenta. Następnie odjechali, porzucając pojazd i worek z pieniędzmi niecały kilometr od miejsca zdarzenia. Zniknęli bez śladu.

Dla Anny Holt piekło dopiero się zaczęło. Tej samej nocy znany fiński przestępca został zastrzelony przed mieszkaniem swojej dziewczyny w Bergshamra, gdy wsiadał do samochodu. Nie wiadomo, dokąd planował jechać, ale w rękę miał niewielką torbę pełną niezbędnych rzeczy takich jak slipki, szczoteczka do zębów, pistolet kaliber dziesięć milimetrów i nóż sprężynowy. Nie można go było już o to zapytać. Dwa strzały w tył głowy, oczywiście śmiertelne.

Toivonen, prowadzący dochodzenie w sprawie napadu w Bromma, od dawna już nie wierzył w tego rodzaju zbiegi okoliczności. Te sprawy musiały mieć ze sobą związek i już następnego dnia potwierdzili to jego technicy. Ostatnia ofiara morderstwa miała ślady czerwonej farby na obu dłoniach. Trudno zmywalnej farby, której skład chemiczny odpowiadał substancji używanej przez firmy ochroniarskie zabezpieczające konwoje. Pobrano ją z odsłoniętego fragmentu skóry przedramienia napastnika, pomiędzy rękawiczką a rękawem czarnej kurtki.

Ktoś tu po sobie sprząta, pomyślał Toivonen.

Gdy dwa dni później pojawiła się sprawa „zabójstwa po pijaku”, Anna Holt poczuła niemal ulgę. Wreszcie jakaś normalna historia, pomyślała. Jak dar z nieba. Wkrótce jednak miało się okazać, że srodze się pomyliła.

– I CO TERAZ ZROBIMY, do cholery? – syknął Bäckström, spoglądając to na swoją współpracowniczkę, to na kasetkę.

– Najpierw musimy zadzwonić do szefostwa, żeby uniknąć podejrzeń – powiedziała Annika Carlsson. – Muszą tu przyjechać i zabezpieczyć...

– Zamknij tę cholerną kasetkę – powiedział, bo nie miał już siły patrzeć. Po jaką cholerę zabrał ze sobą tę formalistkę, skoro wreszcie został dopuszczony do skarbcza Ali Baby? Na domiar złego nie miał zasięgu w komórce.

– Ściany w takich skarbczach są pewnie dosyć grube – zauważyła Annika Carlsson. – Jak chcesz, mogę skoczyć na górę i zadzwonić – dodała, wyjmując telefon.

– Zrobimy tak – powiedział Bäckström, celując w nią krótkim i tłustym palcem wskazującym. – Zostań tutaj, nic nie rób, a jak ktoś wejdzie, to go zastrzel. I pilnuj tej cholernej kasetki.

Następnie przeszedł do sali głównej banku i zadzwonił do Toivonena. Wyjaśnił zaistniałą sytuację i poprosił o wytyczne. Lepiej się zabezpieczyć, pomyślał. Gdyby na tym świecie istniała sprawiedliwość, byłby już w drodze do Rio.

– Kto jest tam z tobą? – zapytał Toivonen, bez cienia emocji w głosie.

– Kaczka, Annika Carlsson.

– Jest z tobą Kaczka – powtórzył Toivonen. – O jakiej sumie mówimy?

– Kilka milionów – jęknął Bäckström.

– I wzięłeś ze sobą Kaczkę?

– Tak – odparł. Jaki ma, kurwa, dziwny głos, pomyślał. Może jest pijany? O tej godzinie?

– Okej. Zapytaj, czy mają jakąś papierową torbę, weźcie kasetkę i przyjeżdżajcie, a ja porozmawiam z Niemim, to załatwi resztę. – Kaczka, pomyślał Toivonen. Jest lepiej, niż myślałem.

– Nie chcemy żadnych podejrzeń – powiedział Bäckström. –

To znaczy...

– Nie będzie – przerwał mu Toivonen. – Kaczka przestrzega regulaminu co do litery, jest równie uczynna jak starej daty policjant z drogówki i uporządkowana jak kartka w kratkę. Tylko nie kombinuj, bo w jednej chwili wylądujesz w kajdankach.

Bäckström dostał papierową torbę od pracowniczki banku. Podpisał pokwitowanie odbioru kasetki, zaniósł ją osobiście do samochodu i trzymał na kolanach przez całą drogę na komendę w Solnie. Annika Carlsson prowadziła samochód; żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

Gdy tylko Toivonen skończył rozmowę, wyszedł na korytarz, zawołał najbliższych współpracowników i zaufanych ludzi, zaciągnął ich do swojego gabinetu i zamknął drzwi.

Następnie opowiedział w skrócie całą historię, jak zwykle zachowując najciekawsze na koniec.

– Jak myślicie, kogo wziął ze sobą nasz grubasek? – spytał, nie mogąc ustać w miejscu z radości.

Pokręcili niepewnie głowami.

– Kaczkę, Annikę Carlsson – dopowiedział, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Biedactwo – skwitował Peter Niemi, kręcąc głową. – Będziemy musieli mu zabrać broń, żeby czegoś sobie nie zrobił.

Kwadrans później Bäckström postawił papierową torbę z pieniędzmi na biurku Niemiego. Annika Carlsson towarzyszyła mu wiernie przez całą drogę z parkingu. Próbuje mnie zastraszyć?, pomyślał Bäckström, który na tym etapie nienawidził każdego włókna w umięśnionym ciele Anniki Carlsson. Nagle zaczęła chodzić jak jakiś ochroniarz,

– Jak myślisz, ile to może być? Kilka milionów? – spytał Niemi z niewinną miną.

– Myślałem, że ty mi powiesz – odrzekł Bäckström. – Zawołaj tu kogoś, kto umie liczyć, i pokwituj mi tę cholerną kasetkę. – Muszę stąd wyjść, pomyślał. Wyjść z tego budynku i napić się czegoś mocniejszego.

Dwie godziny później siedział w swojej ulubionej knajpie z drugim już kieliszkiem i drugim dużym piwem. Nie

pomagały, a od telefonu Niemiego też nie zrobiło mu się lepiej.

– Dwa miliony dziewięćset tysięcy koron – oznajmił Niemi. – Dwadzieścia dziewięć plików po sto tysięcy, to chyba tyle – powiedział z wyraźną obojętnością, jakby czytał z protokołu, który miał przed sobą. – Żadnych odcisków, w ogóle żadnych śladów, musiał być ostrożny i pewnie miał rękawiczki. A tak w ogóle to gratuluję.

– Czego? – zapytał Bäckström. Kpi sobie ze mnie, pomyślał.

– Tych pieniędzy, które znalazłeś. Wygląda na to, że Danielsson nie był jakimś tam zwykłym żulem – stwierdził Niemi. – Mogę ci jeszcze w czymś pomóc?

– Halo, halo, kiepsko cię słyszę – powiedział Bäckström, rozłączył się i zamówił następną kolejkę. – Nalej mi jeszcze jednego.

– *Vojne, vojne* – odparła jego fińska kelnerka, kiwając głową i uśmiechając się z matczyną wyrozumiałością.

KOLEJNA NARADA zespołu dochodzeniowego została zwołana w trybie natychmiastowym na godzinę ósmą rano. Toivonen chciał mieć informacje na temat aktualnej sytuacji. Żeby zdążyć, Bäckström musiał wstać w środku nocy. Taksówka, ćmiący ból głowy, postój po drodze, by uzupełnić płyny i zażyć dodatkowy listek tabletek na gardło plus dwie tabletki na ból głowy. Mijał już prawie tydzień od zabójstwa Danielssona. Gdyby nie ta lesba, byczyłby się teraz na plaży Copacabana z whisky w rękę i dwoma lokalnymi gejszami, po jednej na każdym kolanie.

Gdy siedział w taksówce, zadzwoniła prokurator i poinformowała go, że jeśli w czasie ich spotkania nie wyniknie „nic nowego, co mogłoby obciążać Rolanda Stålhammara”, wyda decyzję o zwolnieniu go po lunchu.

– Słyszę, co mówisz – powiedział Bäckström. – Martwi mnie tylko, że gdy wyjdzie, będzie miał w kieszeni niezłe kieszonkowe na podróż.

– Takim jak Stålhammar trudno się ukryć na dłużej – odparła prokurator. – Jeśli nawet wyjadą do Tajlandii, bo zazwyczaj tam jeżdżą, po jakimś miesiącu zwykle wracają do domu.

– Nie wiem – mruknął Bäckström. – Nie zadaję się z takimi jak Stålhammar. Ale skoro tak mówisz. Coś jeszcze? – zapytał.

– To chyba wszystko. A tak na marginesie, to uważam, że ty i twoi współpracownicy odwaliliście jak na razie kawał dobrej roboty – powiedziała pojednawczo.

Co ty wiesz o pracy w policji, dziewczynko, pomyślał Bäckström i się rozłączył.

Punkt ósma Toivonen wszedł do sali i tym razem wydawał się w doskonałym humorze.

– Jak jest, Bäckström? – spytał, poklepując Bäckströma po ramieniu. – Dobrze wyglądasz, mam nadzieję, że dobrze spałeś.

Głupi lis, pomyślał Bäckström.

– Może zaczniesz, Nadja – zasugerował. Nie dość, że sprzątnęli mi sprzed nosa prawie trzy miliony, to jeszcze ta Rosjanka orznęła mnie na butelkę wódki, pomyślał. Jak ja się teraz z tego wywinę?

Nadja Höberg przesłuchała dwie kobiety, które dwadzieścia lat temu założyły spółkę akcyjną Edytor SA i niemal od razu wykupiły firmową skrytkę na Valhallavägen w Sztokholmie.

– Pracowały w pobliskiej agencji reklamowej – wyjaśniła. – Zakładając firmę, liczyły na dodatkowy zarobek.

Pomysł nie wypalił. Od początku miały kłopoty z zamówieniami, a gdy ich szef zorientował się, czym się zajmują, wziął je na dywanik: albo odejdą z agencji, albo przestaną dorabiać na boku.

W tym czasie ich kapitał akcyjny na sumę pięćdziesięciu tysięcy koron został już w zasadzie wyczerpany. Rozmawiały z człowiekiem, który prowadził ich księgowość, Karlem Danielssonem; poprosiły go o pomoc. Danielsson podjął wyzwanie, sprzedał ich spółkę za koronę jednemu ze swoich klientów. Osobie, której zresztą nigdy nie spotkały i której nazwiska nigdy nie poznały. Danielsson przygotował wszystkie potrzebne dokumenty. Spotkały się z nim w jego biurze i podpisały co trzeba. Zrzekły się tej jednej korony, będącej równowartością ceny sprzedaży. To wszystko.

– On jednak miał gest – powiedziała Nadja. – Wyjął koronę i położył na stole.

– Ładnie z jego strony – przyznał Bäckström. – Masz coś jeszcze?

– Całkiem sporo – odpowiedziała – Nawet pomijając te dwa miliony dziewięćset, wydaje mi się, że kompletnie się pomyliliśmy w ocenie naszej ofiary – stwierdziła.

– Co znaczy „pomijając”? – zapytał Bäckström. Dwa miliony dziewięćset i mógłbym być teraz w Rio, pomyślał.

– Wydaje się, że jego spółka Karl Danielsson Holding AB zgromadziła znacznie więcej – powiedziała Nadja Höberg.

– Ten pijaczyna miał jeszcze więcej kasy? Ile dokładnie?

– Jeszcze do tego wrócę – odparła Nadja. – Chciałam zacząć od tego, ile mógł wyjąć ze skrytki w dniu swojej śmierci.

Skrytka ma najmniejszy z możliwych rozmiarów, trzydzieści sześć centymetrów długości, dwadzieścia siedem centymetrów szerokości i nieco ponad osiem centymetrów wysokości, ma więc objętość siedmiu tysięcy siedmiuset siedemdziesięciu sześciu centymetrów sześciennych, to znaczy prawie osiem litrów – mówiła dalej. – Jeśli założymy, że wypełniamy ją banknotami tysiackoronowymi w plikach po sto tysięcy, może zmieścić jakieś osiem milionów.

– Osiem baniek w takiej małej skrytce – powiedział Bäckström. Przecież to jest, kurwa, kryminał, pomyślał.

– Gdyby to było w euro, w najwyższych nominałach po pięćset euro, a pamiętajcie, że te banknoty są znacznie mniejsze niż nasze tysiackoronowe, choć są warte niemal pięć razy więcej, wtedy skrytka mogłaby pomieścić równowartość około pięćdziesięciu milionów – powiedziała Nadja i uśmiechnęła się pod nosem. – Gdyby natomiast znajdowały się w niej dolary o najwyższych nominałach, te po pięć tysięcy, z portretem prezydenta Madisona z przodu, to Danielsson miałby w swojej skrytce uzbierane blisko pół miliarda szwedzkich koron.

– Droczysz się z nami, Nadja – powiedział Alm, kręcąc głową. – Jak w takim razie wyjaśnisz, dlaczego nasi rabusie muszą taszczyć te wszystkie worki wypchane pieniędzmi?

– Danielsson był chyba najbogatszym żulem na świecie – rzekł Bäckström. Pewnie tak właśnie było, pomyślał.

– Banknoty o niższych nominałach – powiedziała Nadja. – Założmy, że stukoronówki. Jeśli wypełnimy naszą skrytkę banknotami stukoronowymi, mamy ponad milion. A jeśli weźmiemy dwudziestokoronówki, wychodzi niecałe trzysta tysięcy.

– A więc ten skurczybyk mógł mieć pół miliarda w tej swojej cholernej kasetce – powiedział Bäckström, nie mogąc usiedzieć z wrażeń.

– Nie sądzę. – Nadja pokręciła głową. – Wydaje mi się, że miał tam najwyżej osiem milionów. Odpowiadając na twoje pytanie, Bäckström, nie wydaje mi się również, żeby miał być najbogatszym żulem na świecie. Wiem natomiast, że wielu

najbogatszych mężczyzn świata często sięga po kieliszek.

– Co by oznaczało, że tydzień temu mógł wyjąć ponad pięć milionów – powiedziała Annika Carlsson. I zabrać do domu, pomyślała. W aktówce, którą położył w pokoju na telewizorze.

– Jeśli to jest aktówka czy też dyplomotka standardowej wielkości, a tak wynika z opisów, nie da się w niej zmieścić pięciu milionów w banknotach tysiąckoronowych – powiedziała Nadja. – Wszystkie te obliczenia opierają się na przypuszczeniach – stwierdziła. – Jeśli macie siłę, przedstawię wam moje założenia.

– Ja mam – odparł Toivonen, nie kryjąc zadowolenia.

– Po pierwsze, założyłam, że przyszedł tam, żeby wyjąć pieniądze – powiedziała Nadja. – Co prawda mógł wyjąć coś innego, jak chociażby notatki lub coś takiego, ale założyłam, że przyszedł po pieniądze. Po drugie, zakładałam, że chodziło o banknoty tysiąckoronowe w plikach po sto tysięcy, takie jakie znaleźliśmy w skrytce, a po trzecie, że włożył je do zwykłej aktówki.

– Ile to wychodzi? – zapytał Toivonen i z jakiegoś powodu uśmiechnął się szeroko do Bäckströma.

– Najwyżej trzy miliony – odrzekła Nadja. – Ale musiałby je dokładnie upchnąć, więc wydaje mi się, że było mniej. Może ze dwa miliony – dodała, wzruszając ramionami. – Mam nadzieję, że rozumiecie, że wszystko to są tylko spekulacje.

– Sprawdzał ktoś, czy Niemi kupił sobie nowy samochód? – powiedział Stigson, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Uważaj, kolego – upomniał Toivonen, spoglądając na niego wymownie. – Wspominałaś o jego firmie, Nadja. Ile tam jest pieniędzy?

– Jak wynika z rocznych raportów, spółka dysponuje kapitałem na ponad dwadzieścia milionów koron po opodatkowaniu. Zwróćcie uwagę, że najniższy dopuszczalny kapitał zakładowy spółki wynosi sto tysięcy koron. A Danielsson jest jej dyrektorem, prezesem zarządu i jedynym właścicielem. Pozostałymi członkami zarządu są jego dawny kolega Mario Grimaldi, a zastępcą członka zarządu jest Roland Stålhammar.



– No proszę – powiedział Toivonen i uśmiechnął się krzywo. – Ile z tego to powietrze?

– Znalazłam dziesięć milionów – stwierdziła Nadja. – Akcje, obligacje i inne papiery wartościowe zdeponowane w SE-Banken i Carnegie. Dalsze dziesięć milionów powinno leżeć w zagranicznych depozytach, ale ponieważ nie mam nakazu prokuratora, nie mogę ich o to zapytać. Mogę tylko zgadywać, że pieniądze rzeczywiście tam są. Raporty roczne są sporządzone zgodnie ze wszystkimi regułami sztuki. Problem jest w czym innym.

– W czym? – zapytał Toivonen.

– Nie mamy jego ksiąg rozrachunkowych. Ma obowiązek przechowywać je przez dziesięć lat, a nie znaleźliśmy ani jednej – stwierdziła Nadja, wzruszając ramionami.

– To może być raczej sprawa dla wydziału przestępstw gospodarczych – powiedział Toivonen.

– Też tak uważam – odparła. – Zwłaszcza jeśli chcecie, żebym miała czas jeszcze na coś innego.

– A więc zrobimy tak: przygotuj treść pisma, ja załatwię to możliwie szybko – powiedział Toivonen. – Jeszcze jedno pytanie. Od kiedy Danielsson zaczyna zarabiać na tych pieniądzech?

– Od ostatnich sześciu, siedmiu lat – odrzekła Nadja. – Wcześniej jego firma nie przynosiła kokosów. Ale sześć, siedem lat temu zaczyna iść coraz lepiej. Zarabia parę milionów rocznie na różnych inwestycjach, akcjach, obligacjach, opcjach i innych papierach wartościowych, a jeśli wziąć pod uwagę odsetki, zyski zawsze odpowiadały sytuacji giełdowej.

– Ciekawe – powiedział Toivonen, wstając. – Wygląda na to, że Danielsson nie był jakimś tam zwykłym pijakiem. – Uśmiechnął się i skinął z jakiegoś powodu głową w kierunku Bäckströma.

– MAMY COŚ JESZCZE? – zapytał Bäckström, odprowadzając wzrokiem wychodzącego Toivonena.

– To, o co szef prosił – powiedziała Felicia Pettersson, wykonując kurtuazyjny gest dłonią. – Wątpliwości dotyczące kuriera z gazetami. Tego, który znalazł ciało. Nazywa się Septimus Akofeli. Wydaje mi się, że znalazłam coś, co nie pasuje. Sprawdziłam jego listę połączeń i znalazłam coś, co odbiega od jego zeznań.

No proszę, pomyślał Bäckström. Łyska zniosła jajko. Choć jest dopiero pisklęciem.

– I co to takiego? – zapytał, choć myślał tylko o tym, by iść do łazienki, włączyć w siebie kilka litrów zimnej wody, dołożyć aspirynę i na koniec zagryźć miętówkę. Może powinien opuścić ten dom wariatów i pojechać do domu, do swojego legowiska, gdzie zarówno lodówka, jak i spizarka zostały przywrócone do dawnego stanu.

– Akofeli ma telefon na kartę – powiedziała Felicia Pettersson. – Do telefonu nie ma przypisanego abonenta. W czwartek piętnastego maja, gdy Danielsson został znaleziony, wykonał łącznie dziesięć połączeń. Pierwsze, sześć po szóstej rano, na policyjną centralę. Ta rozmowa trwa jakieś trzy minuty, zanim zostaje przerwana, sto dziewięćdziesiąt dwie sekundy, dokładnie rzecz ujmując – powiedziała i skinęła głową, patrząc na kartkę, którą trzymała w dłoni. – Zaraz potem, dziewięć minut po szóstej, dzwoni na inny numer telefonu, który też jest na kartę. Rozmowa zostaje przerwana po piętnastu sekundach, włącza się poczta głosowa. Dzwoni raz jeszcze na ten sam numer i również to połączenie urywa się po piętnastu sekundach. Mija minuta i znów dzwoni na ten sam numer. Jedenaście po szóstej, konkretnie mówiąc, i właśnie to jest ciekawe.

– Dlaczego? – zapytał Bäckström, kręcąc głową. – Co w tym takiego ciekawego?

– Właśnie wtedy pierwszy patrol wchodzi do budynku przy

Hasselstigen jeden. Wydaje mi się, że gdy Akofeli słyszy, jak ktoś wchodzi, przerywa rozmowę i chowa komórkę.

– A pozostałe rozmowy? – zapytał Bäckström, który mimo kaca starał się wyglądać na głęboko skoncentrowanego.

– O dziewiątej dzwoni do swojej pracy, żeby powiedzieć, że się spóźni – powiedziała Pettersson i spojrzała z jakiegoś powodu na Annikę Carlsson.

– Najpierw poprosił mnie o pozwolenie – potwierdziła Carlsson, kiwając głową.

– Następny telefon jest również do pracy. Dzwoni tuż przed dziesiątą, już po wyjściu z Hasselstigen jeden.

Najpierw telefon na centralę, potem trzy na jakiś cholerny telefon na kartę, potem dwa do pracy. Jeden plus trzy plus dwa daje..., pomyślał Bäckström, tracąc wątek.

– Siódmy telefon wykonuje zaraz po lunchu – ciągnęła Felicia Pettersson. – Dokładnie o godzinie dwunastej trzydzieści jeden. Dzwoni wówczas do przedsiębiorstwa obsługiwanego przez firmę, w której pracuje. Ma do odebrania paczkę, ale dostał zły kod do domofonu.

– Skąd to wiesz? – zapytał Bäckström.

– Klient jest na lunchu. Nie odbiera. Więc dzwoni po raz ósmy, tym razem do firmy kurierskiej, w której pracuje, żeby sprawdzić, czy mogą się dowiedzieć, jaki jest poprawny kod.

– Rozmawiałaś z nimi – powiedział Bäckström. – Jesteś pewna, że to był dobry pomysł? – Banda gówniarzy, pomyślał.

– Tak – powiedziała Felicia i skinęła głową. – Zaraz do tego dojdę.

O czym ta gęś gada?, pomyślał Bäckström. Zaraz ją wezmę na dywanik.

– Dziewiąty telefon wykonuje zaraz po pracy, o siódmej wieczorem, a dziesiąty i ostatni cztery godziny później. Piętnaście po jedenastej wieczorem. W obu przypadkach próbuje nawiązać połączenie z telefonem na kartę, na który dzwonił rano. Nie udaje mu się porozmawiać i oba połączenia zostają zerwane już po siedmiu sekundach, co zapewne oznacza, że użytkownik wyłączył telefon. Tak więc na dziesięć połączeń, które wykonał tego dnia, pięć razy próbował

porozmawiać z nieznanym nam właścicielem telefonu na kartę.

– Pewnie dzwonił do jakiegoś kumpla, żeby pochwalić się, co mu się przydarzyło – powiedział Bäckström ponurym głosem. – Oni wszyscy mają takie telefony na kartę. Pewnie o to w tym chodzi. Żeby nie było wiadomo, kto dzwoni.

– No tak, wiem. Też mam telefon na kartę. To nawet wygodne – powiedziała Felicia i spojrzała na Bäckströma bez cienia zakłopotania.

– Okej – odparł, próbując stonować głos, ponieważ oczy Anniki Carlsson niebezpiecznie się zwężyły. – Wybacz, Felicio, ale wciąż nie rozumiem, co w tym dziwnego?

– Otóż zaginął – powiedziała Felicia Pettersson. – Septimus Akofeli zaginął.

– Zaginął – powtórzył Bäckström. O czym ona mówi?, pomyślał.

– Zaginął. – Felicia skinęła głową. – Prawdopodobnie już w piątek. Rano jak zawsze rozniósł gazety, ale nie pojawił się już w firmie kurierskiej, w której pracuje. Zdarzyło mu się to po raz pierwszy, a pracował tam od ponad roku. Od piątku jest poza zasięgiem. Ma wyłączony telefon. Ostatni raz dzwoni piętnaście po jedenastej w czwartek wieczorem, na numer wyłączonego telefonu na kartę używanego przez nieznanego właściciela.

– Słucham – powiedział Bäckström, kiwając głową na zachętę. Murzynek Bambo sprzątnął torbę z pieniędzmi, pomyślał.

– W piątek dzwonił do niego kilkakrotnie z pracy – ciągnęła Felicia. – Po tym, jak nie zjawił się w poniedziałek, jeden z kolegów pojechał do niego do domu w Rinkeby, na Fornbyvägen siedemnaście, i zadzwonił do drzwi. Nikt nie otworzył. Wszedł więc na podwórze i zajrzał przez okno. Tamten mieszka w kawalerce na parterze, zasłony nie były zaciągnięte i jego kolega twierdzi, że mieszkanie wydawało się puste. O ile więc się nie ukrył, bo nie chciał otworzyć, to nie było go w domu. Jeszcze tego samego dnia jego szef w firmie kurierskiej zgłosił zaginięcie, a ponieważ mieszka w naszym okręgu, zgłoszenie trafiło tutaj. Znalazłam je, kiedy zaczęłam

szukać faceta w naszych bazach, i dopiero wtedy zadzwoniłam do niego do pracy. Może to odpowiedź na pytanie szefa – zakończyła Felicia Pettersson i spojrzała wymownie na Bäckströma.

– To nie wygląda dobrze – powiedział i pokręcił głową. – Musimy znaleźć tego... Akofeliego. Zajmiesz się tym, Annika?

– Razem z Felicią – powiedziała Carlsson, kiwając głową.

– W porządku – powiedział Bäckström i gwałtownie podniósł się z krzesła. – Informujcie mnie na bieżąco. Jeszcze jedno – dodał, zatrzymując się w drzwiach i tocząc władcym spojrzeniem po zebranych, żeby na koniec zatrzymać wzrok na Felicii Pettersson. – Nie podobają mi się te próby połączeń na telefon na kartę i to, że facet nagle znika. Musimy to sprawdzić i świetnie, że na to wpadłaś, Felicia. Ale nie to przeszkadza mi najbardziej. Coś innego nie pasuje mi w tym Akofelim – powtórzył.

– Co takiego? – zapytała Annika Carlsson.

– Nie wiem – odparł Bäckström. – Zastanawiam się nad tym – dodał i z uśmiechem pokiwał głową pomimo łupania w skroniach. Chcieliście, to macie, pomyślał, gdy wychodził na korytarz. Teraz brakowało mu tylko dużego i zimnego czeskiego piwa.

Nie miał siły przejmować się Murzynkiem Bambo. Przecież każdy głupi wie, że tacy jak on mają niejedno za uszami, zresztą pewnie to on zwinął aktówkę. Oczywiście pod warunkiem, że nie był to Niemi albo Hernandez. Bo że nie był to Stålhammar, wiedział każdy dzieciak. Jego uszczęśliwiła ta niewielka sumka, którą wyjął z portfela ofiary.

Stålhammar morduje Danielssona. Opróżnia jego portfel i wraca do swojego mieszkania na Järnvägsgatan. Nie zauważa aktówki wypełnionej milionami.

Akofeli znajduje ciało. Przeszukuje mieszkanie. Znajduje aktówkę. Ukrywa ją. Otwiera, gdy już sytuacja się uspokaja. Odkrywa, że nagle został milionerem. Daje nogę na Tahiti i tyle go widzieli. A jeśli to nie on, to z pewnością Niemi razem ze swoim Chilijczykiem, zresztą czas już najwyższy wrzucić coś na ruszt, pomyślał.

EKOKURIER MIAŁ SWOJE BIURO przy Alströmergatan na Kungsholmen. Po drodze Annika Carlsson i Felicia Pettersson porozmawiały o bieżących wydarzeniach. Wszystko inne byłoby dziwne i mogłoby zostać uznane za zaniedbanie ze strony dwóch prawdziwych funkcjonariuszek.

– Co o tym myślisz? – zapytała Annika Carlsson.

– Mam nadzieję, że się mylę – powiedziała Felicia – ale najbardziej prawdopodobne wydaje mi się, niestety, że Akofeli ukradł torbę i schował ją gdzieś, zanim zadzwonił na policję. Tylko od niego wiemy, że zadzwonił zaraz po tym, jak znalazł Danielssona.

– Tak, rzeczywiście mogło tak być.

– Co pewnie oznacza, że zdążył już wyjechać z kraju – stwierdziła Felicia.

– Rozmawiałam już z prokuratorem. Gdy tylko skończymy z firmą kurierską, zajmiemy się mieszkaniem Akofeliego.

– Muszę jeszcze załatwić klucze – powiedziała Felicia Pettersson.

– Rozmawiałam już z gospodarzem – odparła Carlsson z uśmiechem. – Za kogo mnie masz?

– Za kogoś, kogo lubię. Tak tylko się droczę, wiesz.

Biuro Ekokuriera znajdowało się na parterze, a znakiem rozpoznawczym był nie tylko szyld nad drzwiami, ale też firmowe rowery, którymi zastawiony był cały chodnik.

– Gdybyś chciała tu przejść z wózkiem, musiałabyś wyleźć na ulicę – stwierdziła Annika Carlsson, marszcząc brwi.

– *Cool it babe* – powiedziała Felicia Pettersson, uśmiechając się szeroko. – Może zostawimy to sobie na koniec?

– Ty będziesz rozmawiać – postanowiła Carlsson. – Jesteś w tym dobra.

Na początku spotkały się z szefem Akofeliego, Jensem Johanssonem – „jestem Jensa, tu wszyscy tak na mnie mówią” – który wyglądał jak typowy informatyk i zdawał się niewiele starszy od Akofeliego. Sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

Widać to było wyraźnie po jego oczach, choć przesłaniały je grube szkła okularów.

– To nie jest w stylu mister Seven – powiedział. – To znaczy Septimusa. Mówimy na niego Seven, ponieważ *septimus* to siedem po łacinie – wyjaśnił, potakując głową. – Odkąd zaczął tu pracować półtora roku temu, nie opuścił ani jednego dnia.

– Jak go oceniasz? – zapytała Annika Carlsson pomimo obietnicy złożonej przed pięcioma minutami.

– Świetny. Szatan na dwóch kółkach, znakomita kondycja, zawsze dociera na miejsce, nawet w najgorszą śnieżycę. Szczerzy, skromny, miły dla klientów. Doskonały pracownik. Dba o środowisko. To dla nas ważne.

– Jak myślisz, co się mogło stać? – odezwała się Felicia Pettersson. To ja tu zadaję pytania, pomyślała.

– To musi mieć coś wspólnego z tym cholernym zabójstwem. Może widział coś, czego nie powinien był widzieć. Może ktoś chciał się go pozbyć. Tak w każdym razie mówią u nas w firmie.

– Czy sprawiał wrażenie zaniepokojonego, gdy przyszedł do pracy w czwartek?

– Nie. Nie chciał o tym gadać. Ale i tak wszyscy go wypytywali. No wiecie, jak często zdarza się, że widzicie kogoś, kogo dopiero co zamordowano. Mnie się to w każdym razie nie zdarzyło – powiedział Jensa, przecierając nerwowo okulary. – Ani też nikomu z moich pracowników, żadnemu z moich znajomych. A potem nagle po prostu znika. Trudno to uznać za zbieg okoliczności. To znaczy, biorąc pod uwagę chronologię.

– Rozumiem – powiedziała Felicia. – Miał tu jakiegoś kumpla?

– Lawmana – powiedział Jensa. – Nisse Munck. Studiuje prawo. Jego ojciec to podobno wzięty prawnik. Jest tutaj. Siedzi w piwnicy i czyści swoją kolarkę. Jeździ na zawody. Ale do Giro d'Italia czy Tour de France jeszcze mu daleko – powiedział Jensa, ścisząc jednocześnie głos. – Chcecie z nim pogadać?

– Chętnie – odparła Felicia. – Jeśli może na chwilę oderwać się od roweru.

Lawman był zaskakująco podobny do swojego szefa, nosił

okulary i poza długimi umięśnionymi nogami niezbyt przypominał kolarza.

– Jasne, że pytałem – rzekł. – Prawo karne to mój konik. Chciałbym się w tym specjalizować, gdy skończę studia. Karnista z własną kancelarią.

– I co odpowiedział? – zapytała Felicia Pettersson.

– Że nie chce o tym gadać – wyjaśnił Lawman. – Trudno mu się zresztą dziwić. Gdy tylko wróciłem w czwartek do domu, zajrzałem do netu. To wyglądało jak jakaś masakra piłą mechaniczną. Chociaż w tym artykule pisali coś o siekierze.

– Ale nie rozmawialiście o tym, co mu się przydarzyło? – powtórzyła Annika Carlsson.

– Próbowałem rozmawiać. Ale Mister Seven nie chciał gadać. Okej, okej. Robota czeka. Ciągłe nowe zlecenia. Chyba nie będziemy tam jechać tandemem? Czy jak?

– To wszystko? – Annika Carlsson skinęła głową do Lawmana.

– W sumie tak.

– Nic więcej nie powiedział ani o nic nie pytał?

– Rzeczywiście zadał mi pytanie. To było chwilę przed tym, jak wyszedłem z pracy. Trochę dziwne, choć tutaj wszyscy ciągle mnie o coś pytają.

– W kwestiach prawniczych? – rzuciła Felicia.

– Yes – powiedział Lawman i skinął głową. – Niekończące się darmowe konsultacje. Najczęściej prawo rodzinne. Co się stanie, gdy dziewczyna wywali mnie z mieszkania, a mojego nazwiska nie ma w umowie najmu. Co się stanie z lodówką, którą kupiliśmy na spółkę. Tego typu pytania. Chociaż powtarzam, że zajmuję się prawem karnym.

– To dziwne pytanie, o którym wspomniałeś – przypomniała Felicia.

– Zapytał mnie, jak to jest z obroną konieczną – powiedział Lawman. – Jak to jest w Szwecji, jeśli ktoś cię napadnie, a ty próbujesz się bronić. To znaczy, jak daleko można się posunąć.

– Co odpowiedziałeś?

– Najpierw powiedziałem, że to cholernie dziwne pytanie. Potem zapytałem, czy to Seven zabił tego gościa, bo na niego



naskoczył, bo pomylił gazetę czy coś takiego. Niektórzy klienci potrafią być naprawdę męczący. Ale nie. Seven powiedział mi, że nic z tych rzeczy. *No way.*

– Pamiętasz, jak dokładnie sformułował pytanie? – drążyła Felicia.

– Jak daleko można się posunąć? Załóżmy, że ktoś próbuje cię zabić. Czy masz prawo zabić tę osobę? Tak to mniej więcej brzmiało.

– Co na to odpowiedziałeś? – powtórzyła Annika Carlsson.

– Że tak. I nie. Ale to już wy powinniście wiedzieć. Powiedziałem, że ma prawo użyć przemocy w stopniu odpowiadającym realnemu zagrożeniu. I dodatkowej, która może się okazać konieczna do odparcia ataku. I żeby nie przyszło mu do głowy nic innego. Na przykład dodatkowy kopniak na do widzenia, jeśli napastnik już leży na ziemi.

– Miałeś wrażenie, że pyta we własnej sprawie? Że sam znalazł się w sytuacji takiego zagrożenia?

– Żarty – powiedział Lawman. – Seven dorastał w Somalii. Co w jego przypadku znaczy znaleźć się w sytuacji zagrożenia? Sprawdźcie sobie w internecie. Halo, tu Ziemia, pani władzo.

– Miałam na myśli tutaj, w Szwecji – wyjaśniła Annika Carlsson. – Że przytrafiło mu się coś tutaj.

– Zapytałem go o to – powiedział Lawman. – Zaprzeczył, już mówiłem. Do rasistów zdążył się pewnie już przyzwyczaić. Powinno się ich wysłać z powrotem na prowincję.

– Miałeś wrażenie, że pyta w imieniu kogoś innego? – zasugerowała Felicia Pettersson.

– O to go nie zapytałem – odparł Lawman. – Biorąc pod uwagę to, co przeżył rano, to chyba nie takie dziwne, że założyłem, że chodzi o niego. Prawda?

– Ani trochę – odrzekła Felicia z uśmiechem.

Wyszły. Jensa ruszył z nimi na ulicę, a wtedy Annika Carlsson skorzystała z okazji, by potwierdzić plotki, jakie krążyły o niej na komendzie w Solnie.

– A propos bycia eko. Jak myślisz, czy można tędy przejść z wózkiem?

– Już, już, ja sprzątać – powiedział Jensa, unosząc obie ręce

w geście obrony.

– Dobrze – powiedziała Annika Carlsson. – Zakładam, że to zniknie do naszej następnej wizyty.

– Jak to rozumieć? Te jego pytania na temat obrony koniecznej – powiedziała Felicia. – Atmosfera gęstnieje, pani komisarz. Czas już, żebyś oświeciła młodszą koleżankę.

– Nie ma wątpliwości, że Danielsson zmarł wieczór przed tym, jak znalazł go Akofeli, nie ma wątpliwości – powiedziała Annika Carlsson.

– Lekarz sądowy – potwierdziła Felicia, kiwając głową.

– Nie tylko. Byłam tam przed siódmą i skorzystałam z okazji, że nie było jeszcze Niemiego i Chico, i go dotknęłam.

– Aj, aj, aj – powiedziała Felicia i uśmiechnęła się szeroko. – Palce nie służą do patrzenia. W szkole zawsze powtarzał mi to mój nauczyciel od techniki kryminalistycznej.

– Widocznie zapomniałam – odparła Annika Carlsson. – Zresztą miałam rękawiczki.

– I co?

– Był sztywny jak kij od szczotki – powiedziała Annika Carlsson. – Nie mam problemu z tym, co mówi pan doktor. Nie tym razem. Pełna zgoda.

– Skoro tak – odparła Felicia. – Może coś zjemy, zanim pojedziemy do Rinkan<sup>2</sup>. W Solna centrum dają niezłe sushi.

– Niech będzie – zgodziła się Annika Carlsson, choć myślami była już gdzieś indziej. O co tu chodzi, myślała, robi się coraz dziwniej.

---

<sup>2</sup> Rinkan – pot. Rinkeby.

W CZASIE GDY JEGO LUDZIE biegali dookoła jak kury z uciętymi głowami, Bäckström odwiedził dyskretną restaurację w Solna centrum. Zjadł polędwicę z duszonymi pieczarkami w śmietanie i krostki ziemniaczane, wypił też duże piwo. Po kryjomu wlał w siebie dwie setki, nie spuszczać wzroku z wejścia do lokalu. Nie mógł przecież wykluczyć, że Toivonen i Niemi będą próbowali wymknąć się na jedną kolejkę w godzinach pracy, a on nie miał zamiaru dać się zaskoczyć parze spragnionych drwali.

Po filiżance kawy i małej napoleonce, chwili medytacji i refleksji, wrócił na komendę. Wzmocniony zarówno na ciele, jak i na duchu, wybrał trasę przez garaż, gdzie natknął się na parkingowego, swojego starego druha i przyjaciela.

– Chcesz zdrzemnąć się chwilę w...? – zasugerował mężczyzna.

– A jest wolna? – odpowiedział pytaniem Bäckström.

– No ba. Chłopaki z narkotykowego siedzieli w niej przez noc na obserwacji, więc pewnie teraz chrapią smacznie w swoich łózkach.

– Obudź mnie za dwie godziny – powiedział Bäckström. – Byłem na nogach przez całą dobę, czas już zjechać na boczny tor.

Dwie godziny później siedział w swoim pokoju. Umysł miał krystalicznie czysty, język ostry jak brzytwa, a pierwszą osobą, która miała się o tym przekonać, była prokurator, gdy zadzwoniła, żeby poinformować go o zwolnieniu Rolanda Stålhammara z aresztu.

Sprawa się skomplikowała. Według pani prokurator Danielsson nie był zwykłym żulem, a ona nie posiadałaby się z radości, gdyby miała choć jedną dziesiątą jego pieniędzy.

To samo zresztą dotyczyło dawnego kolegi Bäckströma – Stålhammara, który również nie był zwykłym żulem. W świetle nowych faktów na temat ofiary można było sobie wyobrazić całkiem inne motywy zabójstwa niż pijacka awantura, jak

również poszerzyć krąg podejrzanych poza grono kumpli od kieliszka.

– Naturalnie – powiedział Bäckström. – Całkowicie się z tobą zgadzam. Niezależnie od tego, co się sądzi o pijakach takich jak Stålhammar, nie należy zapominać, że większość nigdy nikogo nie zabiła ani też nie została zabita. Co więcej, liczba pijaków, którzy zabili, jest równa liczbie pijaków, którzy zostali zamordowani.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała podejrzliwie prokurator.

– Że Stålhammar to nietypowy pijak – odparł Bäckström. A masz, taki teścik Mensy, pomyślał, odkładając słuchawkę.

Następnie wyjął kartkę i długopis i spędził kolejne dwie godziny na kreśleniu ram swojego śledztwa za pomocą zestawu grubszych i cieńszych linii. Na koniec przygotował listę dla swoich współpracowników, żeby nie musieli siedzieć beczynn timer. Czytać chyba potrafią, pomyślał i spojrział na zegarek. Zbliżała się piąta, czas zbierać się do domu, uznał, gdy z zamyślenia wyrwało go dyskretne pukanie do drzwi.

– Wejść – warknął.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała Nadja Högberg. – Wiem, że jest późno, ja też już wychodzę – dodała, wręczając mu plastikową torebkę, której kształt wskazywał na sporą butelkę. Litr rosyjskiej wódki, sądząc po etykiecie, nazwy ani nie znał, ani też nie potrafił przeczytać.

– Z jakiej to okazji? – ucieszył się. – Siadaj i zamknij drzwi, żeby niepotrzebnie nie gadali.

– Nasz zakład. Miałam z tego powodu wyrzuty sumienia.

– Myślałem, że to ja jestem winien ci butelkę. Planowałem nawet przejść przez monopolowy w drodze do domu – skłamał Bäckström. – Co za wyrzuty sumienia?

– Już kiedy się zakładaliśmy, domyślałam się, że Danielsson siedzi na grubej kasie – wyjaśniła Nadja. – Przyglądałam się jego firmie, więc ten pomysł z garnkiem pełnym złota nie wziął się znikąd. To ja jestem ci winna butelkę.

– Może chociaż łyka? – zapytał Bäckström, pokiwał głową i nagle poweselał. Doskonale uwieńczenie męczącego dnia

w pracy. Przebiegli ci Rosjanie, pomyślał. Siedzi taka przede mną i udaje, że nic się nie stało, i chce, żebym w to uwierzył. Następnego dnia dopadają ją wyrzuty sumienia i chce wszystko naprawić.

– No to symbolicznie – powiedziała Nadja. – Nie wiem, czy wiesz, ale to jest najlepsza wódka, lepsza niż Stolichnaya, Kubanskaya czy Moskovskaya. Nazywa się Standard, ale nie dostaniesz jej w sklepie. Moi krewni przywożą zawsze ze sobą kilka butelek, kiedy przyjeżdżają do mnie w odwiedzinach.

– Spodziewam się interesujących doznań smakowych – odrzekł koneser Bäckström, wyjmując kieliszki i torebkę pastylek na gardło z szuflady biurka. – Zobacz, mamy nawet szkło i zagryzkę – dodał, pokazując tabletki.

– Mam w lodówce słoik kiszonych ogórków – odpowiedziała Nadja, zerkając bez przekonania na torebkę pastylek miętowych. – Mogę przynieść.

Nie tylko kiszone ogórki, jak się okazało. Gdy wróciła, mieli nie tylko ogórki, ale też kilka kromek chleba, pieczoną kielbasę i szynkę wędzoną.

To pewnie przez te ich wszystkie wojny, pomyślał Bäckström. Prawdziwy Rosjanin ma zawsze pod ręką pełną spiżarnię, na wypadek jakichś historycznych perturbacji.

– Na zdrowie, Nadja – powiedział, odgryzł porządny kawał kielbasy i uniósł kieliszek.

– *Nazdarowie* – odpowiedziała Nadja, szczerząc w uśmiechu swoje złote zęby; odchyliła głowę i wlała w siebie cały kieliszek bez mrugnięcia okiem.

O kurwa, westchnął Bäckström kwadrans później po następnym kieliszku, całym ogórku kwaszonym i połowie kielbasy. Rosjanie to ludzie o wielkich sercach, trzeba tylko najpierw zdobyć ich zaufanie, pomyślał.

– Czego można chcieć więcej – rozmarzył się i wlał w siebie trzeci kieliszek. – No, może przydałaby się jeszcze tylko bałałajka i paru Kozaków skaczących po biurku.

– Nie jest źle. Za Kozaków podziękuję, ale bałałajka rzeczywiście by się przydała.

– Powiedz coś więcej o sobie, Nadjo – poprosił Bäckström. –

Jak tu się znalazłaś? W objęciach Matki Szwecji, na dalekiej Północy. – Wielkie serce, pomyślał, i w dodatku jego pierwszy w życiu partner do wódki. Muszę postarać się o skrzynkę, pomyślał.

– Masz siłę słuchać?

– Słucham – odchylił się na krześle i uśmiechnął, jak tylko potrafił najmilej.

Nadja opowiedziała o tym, że jeszcze jako Nadjesta Iwanowa opuściła chylące się ku upadkowi imperium sowieckie, trafiła do Szwecji i została Nadją Högberg, która od dziesięciu lat pracowała jako funkcjonariuszka służby cywilnej przy wydziale kryminalnym komendy w Västerort.

Nie zawsze miała z górki. Po zdaniu egzaminów dostała etat jako analityk ryzyka w energetyce jądrowej. Pracowała przy budowie kilku elektrowni jądrowych w regionie Morza Bałtyckiego.

Po raz pierwszy poprosiła o możliwość wyjazdu z kraju w 1991 roku, dwa lata po przemianach 1989 roku. Pracowała wówczas w elektrowni jądrowej na Litwie, zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od wybrzeży Morza Bałtyckiego. Nigdy nie dostała odpowiedzi. Tydzień później została wezwana do swojego szefa, który poinformował ją, że została przeniesiona do elektrowni położonej tysiąc kilometrów na północ od Murmańska. Kilku milczących mężczyzn pomogło jej spakować rzeczy osobiste, których zresztą nie miała zbyt wiele. Zawieźli ją do jej nowego miejsca pracy, a w ciągu dwóch dni podróży nie odezwali się do niej ani słowem.

Dwa lata później nie prosiła już o pozwolenie. Z pomocą „kontaktów” przedostała się przez granicę do Finlandii. Na miejscu spotkała kolejne „kontakty” i już następnego dnia rano obudziła się w domu na wsi gdzieś w Szwecji.

– To było jesienią dziewięćdziesiątego trzeciego – powiedziała, uśmiechając się do siebie. – Przez sześć tygodni mieszkałam u moich gospodarzy, jeszcze nigdy nikt się tak mną nie opiekował, a rok później, gdy już nauczyłam się szwedzkiego, dostałam obywatelstwo, mieszkanie i pracę.

Wojskowa służba wywiadowcza. Dobre chłopaki, nie jak ci

debile z Säpo, pomyślał Bäckström i poczuł, jak jego serce wypełnia patriotyczna duma.

– Co to była za praca? – zapytał.

– Zapomniałam. – Uśmiechnęła się. – Wkrótce jednak dostałam kolejną, zostałam tłumaczką na komendzie w Sztokholmie. To było w dziewięćdziesiątym piątym, więc pamiętam.

Säpo, pomyślał Bäckström. Żałośni debile, którzy nigdy nie wpadli na to, że Rosjanie mają wielkie serca, trzeba mieć tylko do nich odpowiednie podejście.

– A Högberg? – zaciekawił się.

– To już inna historia – odpowiedziała Nadja z uśmiechem. – Poznaliśmy się w sieci, a potem się z nim rozwiodłam. Był trochę zbyt rosyjski jak na mój gust, jeśli rozumiesz, co mam na myśli – dodała, unosząc kieliszek.

– Na zdrowie – powiedziała Nadja i znów się uśmiechnęła.

– *Nazdarowie* – powiedział Bäckström. Samo serce, pomyślał.

KOMISARZ KRYMINALNY Lars Alm i aspirant Jan O. Stigson spędzili większość dnia na przesłuchiowaniu dwóch starych kumpli Danielssona, Halvara „Połówki” Södermana i Mario „Ojca Chrzestnego” Grimaldiego. Mając w pamięci historię z właścicielem restauracji, Alm liczył na to, że pojedzie z nim Annika Carlsson, ale ponieważ wypadło jej coś pilnego, musiał zadowolić się towarzystwem Stigsona.

Zaczęli od Halvara Södermana, który mieszkał na Vintergatan w starej Solnie, tuż za stadionem piłki nożnej i zaledwie kilkaset metrów od miejsca zdarzenia. Najpierw zadzwonili na jego telefon stacjonarny. Nie odebrał. Pojechali więc do niego i zadzwonili do drzwi. Po kilku dzwoneczkach bez odpowiedzi drzwi otworzyły się nagle, wyraźnie wymierzone w głowę Stigsona. Alm był jednak szybszy. Gdy coś mignęło w wizjerze, odepchnął Stigsona na bok, chwycił za drzwi i pomógł sobie kopniakiem. Söderman wyładował tyłkiem na wycieraczkę. Nie wyglądał na zadowolonego.

– Oj! – krzyknął Alm. – To się mogło źle skończyć.

– Odwaliło wam? – wrzasnął Söderman.

– Policja! Chcielibyśmy z panem przez chwilę porozmawiać. Możemy tutaj albo na komendzie. Tylko proszę bez wygłupów, bo pana zamkniemy.

Söderman nie był durniem. Łypnął na nich spode łba i już dwie minuty później siedzieli przy stole w jego niewielkiej jadalni.

– A ciebie to skądś znam – powiedział, wbijając wzrok w Alma. – Nie pracujesz czasem w kryminalnym w Sztokholmie?

– Stare dzieje. Teraz pracuję w Solnie.

– A, to pewnie znasz Rollego. Może mógłbyś przemówić do rozumu tym debilom, którzy wsadzili go za kraty?

– Został wypuszczony godzinę temu – uciął temat Alm.

– A, to sorry – mruknął Söderman z uśmiechem. – Napiją się czegoś panowie?



- Nie trzeba. To zajmie tylko chwilę.
- Może jednak kawkę? Ja się napiję. Ekspres już się grzeje.
- No dobrze – powiedział Alm.
- A ty? – padło pytanie pod adresem Stigsona. – Pewnie wolałbyś banana?
- Niech będzie kawa.
- Kiedy się przerzuciliście? – zapytał Söderman, mrugając porozumiewawczo do Alma.
- Przerzuciliśmy? Nie rozumiem?
- No wiesz, z owczarków niemieckich na szympansy. – Zęby wyszczerzone w uśmiechu.
- Jakiś czas temu – odpowiedział Alm.

Söderman wyjął porcelanową zastawę. Postawił przed nimi cukier, mleko, śmietankę, a nawet kieliszki, na wypadek gdyby któryś z nich mimo wszystko nabrał ochoty. Szwedzką wódkę Renat miał zawsze w zapasie. Koniak niestety się skończył, ale zostało trochę likieru bananowego w spiżarni.

– Gdyby wpadły tu w gości jakieś panie – wyjaśnił, kiwając głową do Alma. – Ale i dla małpy coś się znajdzie. – Kiwnął głową w stronę Stigsona. – Pod warunkiem, że pan pozwoli.

– Dla mnie czarna – powiedział Alm. – Dla małpy też.

– Nastaly mroczne czasy – westchnął Söderman. – Kilka dni temu, w drodze na zakupy do centrum Solny, zacząłem ich liczyć. Wiesz, ilu naliczyłem na odcinku czterystu metrów?

– Dwudziestu siedmiu?

– Nie – odparł Söderman i nalał kawy do filiżanek. – Doszedłem do setki i dałem sobie spokój. A wiesz, ile miałem lat, kiedy zobaczyłem swojego pierwszego Murzyna? – dodał po chwili.

– Nie.

– Urodziłem się w trzydziestym szóstym – zaczął swoją opowieść Söderman. – Pierwszego Murzyna zobaczyłem, kiedy miałem siedemnaście lat, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim w centrum starej Solny, przed Lorrym. Tym barem, pamiętasz. Dopiero co go otworzyli. Człowieku, wiesz, co się tam działo? Wszyscy się pchali, żeby chociaż go klepnąć w plecy, powiedzieć coś po angielsku, potwornie żalona

angielszczyzną, i zapytać, czy zna Louisa Armstronga. Byłem tam wtedy z taką panną, Sivan miała na imię. Sivan Frisk, nie dużo jej było trzeba. Zanim stamtąd wyszliśmy, zmoczyła się po kostki.

– Inne czasy – skwitował Alm tonem pozbawionym emocji.

– Otóż to – westchnął Söderman. – Jeden jest okej, dwóch też ujdzie w tłoku. Zwłaszcza tutaj, w dawnej dzielnicy robotniczej. Pełno tu chłopaków ze starej gwardii mojego pokolenia. Ale trzech to już za dużo. Jeden jest okej, dwóch jest okej, trzech to o jednego za dużo.

– Zmieniając temat... – zaczął Alm.

– Pewnie chciałeś zapytać, co takiego robiłem w środę wieczorem w zeszłym tygodniu – przerwał mu Söderman. – Kiedy jakiś gałgan zabił Kallego.

– Tak. Co wtedy robiłeś?

– Już mówiłem. Dzwonił tu do mnie jakiś mądryla od was. Wczoraj albo przedwczoraj, nie pamiętam.

– I co mu powiedziałeś? – zapytał Alm, nie wyjaśniając, że to on dzwonił.

– Próbowałem tłumaczyć, że mam alibi, ale chyba ogłuchł na to ucho. No to powiedziałem, żeby spadał na bambus, i odłożyłem słuchawkę.

– W takim razie może teraz mi powiesz – zaproponował Alm. – Mógłbyś mi podać nazwiska osób, które mogą potwierdzić twoje alibi?

– Mógłbym. Ale nie podam.

– Dlaczego?

– Czternaście dni temu miałem lecieć do Sundsvall, żeby odwiedzić starego kumpla, z którym ostatnio nie jest najlepiej. Ma raka prostaty. I kiedy stoję już w bramce, gotowy do lotu, ta panna z obsługi prosi o mój dowód. Jestem trzeźwy, ogolony, więc o co chodzi? No to daję jej bilet, a ona swoje. Chce zobaczyć mój dowód. Tłumaczę jej, że niestety nie mam, kurwa, żadnego dowodu. Prawko zabrali mi twoi koledzy dziesięć lat temu, a paszport leży w domu w szufladzie. Zresztą kto by, kurwa, brał paszport na lot do Sundsvall. Próbuję się nie denerwować. Tłumaczę, że od ponad siedemdziesięciu lat

jestem pełnoprawnym obywatelem szwedzkim i że dopóki jestem u siebie w kraju i nie rozrabiam, nie potrzebuję nikomu pokazywać dowodu, a już na pewno nie po to, żeby lecieć do Sundsvall szwedzkimi liniami lotniczymi. To jest napisane w konstytucji, można sobie sprawdzić. No ale dupa. Pojawia się zaraz dwóch takich – Söderman pokazał głową na Stigsona. – No to sobie poleciałem do Sundsvall.

– Przykro mi – Alm pokręcił głową. – To wszystko przez tych terrorystów.

– Gadanie – odparował Halvar Söderman. – Twoim zdaniem wyglądam jak Osama bin Laden?

– Niekoniecznie – przyznał Alm, uśmiechając się pod nosem. – Ale...

– Właśnie wtedy podjąłem decyzję – przerwał mu Söderman. – Że się zemszczę. Gdybyś ty lub któryś z twoich kolegów znalazł choćby najmniejszy ślad, który by świadczył o tym, że zabiłem Kalle Danielssona, nie siedziałbyś teraz u mnie i gadał o jakimś alibi. Wtedy siedziałbym już u was w areszcie. Zresztą nie pierwszy raz, ale to już na pewno wiesz.

– Jak myślisz, dlaczego został zamordowany? – zapytał Alm. – Są przecież inne sposoby, żeby pozbawić kogoś życia.

– Z tego, co słyszałem, ktoś rąbnął go w głowę pokrywką do garnka.

– Od kogo to słyszałeś?

– Coś ci powiem – powiedział Söderman. – Mieszkam tu, od kiedy się urodziłem. Biegałem na Valla i Råsunda, laziłem po wszystkich knajpach, siedem dni w tygodniu, od samego początku. Sprzedawałem policjantom samochody, meble kuchenne i telewizory. Przenosiłem ich graty, kiedy stara wywaliła kóregoś z domu, albo znalazła sobie innego gogusia. Zawsze dostawali ode mnie rabat. Jak myślisz, ilu znam policjantów z komendy w Solnie?

– Pewnie sporo – powiedział Alm.

– Obawiam się więc, że daleko w ten sposób nie zajdziemy. To nie ja zabiłem Kallego. Niby dlaczego miałbym to zrobić? Kalle miał trochę za uszami, ale kto z nas nie ma? Gdybym chciał mu pomóc przejść na tamtą stronę, nie potrzebowałbym

do tego jakiejś głupiej pokrywki. Poza tym mam alibi, ale nie muszę go zdradzać i tego nie zrobię. Chyba że ty i twoi koledzy postaracie się, żebym mógł jechać do Sundsvall bez dowodu, wtedy zapraszam raz jeszcze, pogadamy jak człowiek z człowiekiem.

Söderman się zaparł i chociaż Alm spędził na rozmowie z nim kolejne pół godziny, nie posunęli się ani trochę do przodu. Gdy wrócili do samochodu i ruszyli do Grimaldiego, Stigson postanowił nieco odregować.

– Powiedział do mnie małpa. To jest znieważenie urzędnika państwowego.

– Szympanś – poprawił Alm. – To ja powiedziałem „małpa”.

– No tak, ale my jesteśmy kumplami. – Stigson spojrzął na niego zaskoczony. – To co innego.

– Nie myślałeś o tym, żeby zmienić fryzurę? – zapytał Alm z jakiegoś powodu.

– Powinniśmy zabrać kolesia do paki i połamać mu gnaty. – Stigson jakby go nie słyszał.

– Jeśli mówisz serio, proponuję, żebyś rzucił tę robotę.

Grimaldi był absolutnym zaprzeczeniem Södermana. Odebrał telefon i umówił się na spotkanie. Drzwi otworzył już po drugim dzwonku, podał rękę na powitanie i zaprosił ich do swojego schludnego mieszkania.

Usiedli na zestawie wypoczynkowym w salonie. Zgodnie z tradycją stron rodzinnych Grimaldi zaproponował im wodę mineralną, lemoniadę, włoską kawę i aperitif. A może lampkę czerwonego wina? Otworzył butelkę do obiadu i jeszcze sporo zostało, więc to żaden kłopot, zapewnił.

– Dziękujemy, ale my tylko na chwilę – powiedział Alm.

Co takiego robił Grimaldi tydzień temu w środę wieczorem, w czasie gdy jego przyjaciel Karl Danielsson został zamordowany w swoim mieszkaniu? Zaledwie pół kilometra od mieszkania Grimaldiego?

– Nie pamiętam. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że byłem w domu. Ostatnio dużo czasu spędzam w domu.

– Nie pamiętasz – powtórzył Alm.

– Zaraz wytłumaczę.

Rok temu postawiono mu diagnozę – wczesny alzheimer. Od tego czasu brał inhibitory, ale mimo to jego pamięć krótkotrwała pogorszyła się drastycznie w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Mogą zadzwonić do szpitala i potwierdzić to u lekarza. Nie pamiętał jego nazwiska, ale miał receptę i lekarstwa. Stoją w jego szafce w łazience, to też mogli sprawdzić.

– Nie przyszło ci do głowy, żeby zapisywać wszystko w notatniku? – zasugerował Alm.

Nie przyszło. A nawet jeśli ktoś by mu tak poradził, to pewnie by o tym zapomniał. Zastanawiałby się potem, dlaczego siedzi z kartką i długopisem w ręce.

– I nikt z twojego najbliższego otoczenia nie mógłby nam powiedzieć, co wtedy robiłeś? – spytał Alm.

– Całe szczęście nie – odparł Grimaldi i uśmiechnął się przyjaźnie. – Na szczęście jestem samotny. Kto chciałby narażać ukochaną osobę na widok kogoś takiego jak ja?

Dalsza rozmowa nie miała sensu. Wychodząc, zajrzeli jeszcze do szafki w łazience, spisali nazwę leku i nazwisko lekarza, który wypisał receptę.

– Ojciec Chrzestny, nie ma co – powiedział Stigson, gdy jechali samochodem na komendę. – Facet ma czystą głowę. Jak on się nazywał, ten szef mafii z Nowego Jorku? Ten, który odstawał podobne akcje i zgrywał świra. Jak on się nazywał?

– Nie pamiętam – powiedział Alm.

GDY ANNIKA CARLSSON i Felicia Pettersson przyjechały do mieszkania Akofeliego, na miejscu byli już Niemi i Hernandez.

– Wchodźcie, wchodźcie. W zasadzie już skończyliśmy – powiedział Niemi. – Dzwoniłem do ciebie na komórkę godzinę temu, ale miałaś wyłączoną. Wysłał nas tu Toivonen. Nie lubi, kiedy znikają mu z dochodzenia ważni świadkowie. A może zwyczajnie się starzeje i zaczyna wykazywać normalne ludzkie odruchy.

– Wyłączyłyśmy telefony – powiedziała Anna. – Chciałyśmy pogadać przez chwilę w spokoju.

– Takie tam ploteczki – dodała Felicia i zatrzepotała rzęsami do Chico Hernandeza.

– Pewnie na mój temat – odparł Chico, wzruszając ramionami, niekoniecznie na pokaz.

– Raczej o najładniejszej dziewczynie w całej komendzie – westchnęła Felicia. – Twojej siostrze Magdzie. Niezła czapka, Chico. Ukradłeś z działu mięsnego w spożywczym?

Wspomniana czapka była plastikowym nakryciem głowy jednorazowego użytku, które wkładał każdy szanujący się technik, jeśli nie chciał zabrudzić miejsca zdarzenia swoimi włosami i łupieżem. Noszenie jej w innych okolicznościach, na przykład podczas wizyty w lokalnej knajpie czy na planie tak ostatnio popularnych seriali o technikach kryminalnych, bywało zwykle mało opłacalne. Często powodowało też konkretne skutki: samotny wieczór i spadek oglądalności o połowę.

– Nie o czapkę tu chodzi – powiedział Chico, znacząco wzruszając ramionami, i wrócił do sprawdzania szafek kuchennych Akofeliego.

Pokój z kuchnią; aneks jadalniany, niewielki przedpokój i zaskakująco przestronna łazienka, w której zmieściły się toaleta, prysznic, wanna, pralka i suszarka. Bez zbędnych mebli, zadbane.

W pokoju, który był tylko nieznacznie większy od

przeciętnego pokoju w akademiku, znajdowało się łóżko, starannie zasłane narzutą w pasy z Ikei, szafa na ubrania, niewielka kanapa, telewizor z odtwarzaczem DVD, półka na książki, na której stały głównie podręczniki uniwersyteckie, około dwudziestu książek w wydaniu kieszonkowym, płyty DVD i CD, ławka treningowa obita zieloną tapicerką, sztanga, dwa hantle i stojak z obciążnikami. Niczego, co by świadczyło o afrykańskich korzeniach Akofeliego: żadnych dywanów, skór czy dekoracyjnych tkanin, żadnych figurek, masek ani innych ozdób. Ani jednego plakatu, ani jednego zdjęcia na ścianie.

W kuchni stały stół i dwa krzesła. Na podłodze pod stołem drukarka do komputera, ale ani śladu laptopa czy zwykłego komputera stacjonarnego. Stół w kuchni musiał mu służyć za miejsce do pracy, a biorąc pod uwagę, że mieszkanie znajdowało się na parterze, lepiej było nie zostawiać komputera na wierzchu podczas swojej nieobecności. Stół ustawiono bezpośrednio przy oknie wychodzącym na podwórze, a komputera nie było.

Nie znaleźli aktówki ani komórki Akofeliego. Brakowało również tego, czego zwykle brakuje, gdy ktoś opuszcza w pośpiechu mieszkanie: ubrań, butów, kluczy od mieszkania, pieniędzy, dowodu i karty kredytowej. Co ciekawe jednak, znaleźli paszport.

– Leżał wciśnięty za półkę na buty w szafie – powiedział Niemi. – Widać go ukrył, musiał być więc dla niego ważny.

– Myślisz, że zniknął z własnej woli? – zapytała Annika Carlsson.

– Wiele za tym przemawia – powiedział Peter Niemi. – Jeśli coś mu się stało, to na pewno nie tutaj. Jeśli się mylę, przysięgam, że zjem czapkę Chico – dodał i uśmiechnął się szeroko.

– A paszport? A komputer?

– Paszport mnie trochę zastanawia – przyznał Niemi. – Możliwe, że miał drugi. Musimy sprawdzić, czy ma wciąż swój stary paszport somalijski, choć na wycieczkę po Europie powinien był raczej wziąć szwedzki paszport. Jeśli chodzi o komputer, to nie widzę problemu. Pewnie to był laptop, który

po prostu zabrał ze sobą.

– Pozdrów ode mnie Magdę – powiedziała Felicia, zalotnie mrugając do Chico Fernandez, gdy wychodziły z Anniką z mieszkania. – Może miałyby ochotę wyskoczyć z nami na miasto?

W odpowiedzi Chico pokazał jej środkowy palec.

– Nie wiem, o co chodzi Chico – powiedziała Felicia, gdy już siedziały w samochodzie. – Zachowuje się, jakby nie kumał najprostszych rzeczy. Nie widzi, że go podrywam? Chyba myśli, że jestem lesbijką i uganiam się za jego siostrą.

– Wielu chłopaków tak ma. – Annika Carlsson się uśmiechnęła. – Zresztą nie tylko oni.

– Jak to?

– No, są trochę nieporadni. Nie mają wyczucia, mówią od rzeczy, robią nie to, co trzeba. Nie wiadomo, po co.

– Niektórzy osiągają w tym mistrzostwo. Myślimy o tej samej osobie? – zapytała Felicia.

– Domyślam się, o kogo ci chodzi.

– Wydaje mi się, że on się ciebie trochę boi – powiedziała Felicia. – Nie jest taki twardy, jakiego zgrywa.

– Tak myślisz?

– Gdy tylko na niego spojrzysz, grubasek od razu się prostuje – powiedziała Felicia.

– Uważaj, mówisz o swoim szefie.

– Ma szczęście. Gdyby nie to, powiedziałabym dużo więcej.

Gdy Niemi wrócił do komendy, Bäckströma już nie było. Spotkał się więc z Toivonenem, żeby zdać mu krótką relację.

– Znaleźliście jego paszport – rzekł Toivonen. – Nie ma komórki, komputera i tego, co zwykle. Dobrze zrozumiałem?

– Tak – powiedział Niemi. – Nie ma też żadnych rzeczy, które mogły należeć do Danielssona.

– A jego torba na gazety? Albo jakiś wózek dziecięcy, czy czego on tam używa do rozwożenia prasy. Przecież chłopak roznosi codziennie setki gazet. Chyba nie taszczy tego pod pachą.

– Nie pomyślałem o tym – przyznał Niemi z uśmiechem. – Niczego takiego nie znaleźliśmy. Sprawdziliśmy jego piwnicę,



ale jest pusta. Raczej nie miał roweru. Teraz sobie przypominam, że gdy rozmawiałem z nim na Hasselstigen, miał przy sobie taką materiałową torbę na ramię z gazetami w środku. Jej też nie znaleźliśmy. Może użył jej jako bagażu podręcznego. Chłopak, zdaje się, nie miał zbyt wiele rzeczy.

– I żadnej walizki na kółkach? Albo starego wózka? Albo balkonika?

– Nie – powiedział Niemi i pokręcił głową.

– Po co miałyby zabrać tę torbę? – zdziwił się Toivonen. – O ile rzeczywiście pojechał na południe.

– Nie mam pojęcia.

GDY BÄCKSTRÖM WRÓCIŁ do domu, była już ósma wieczorem. Miał doskonały nastrój, również dlatego, że przyniósł ze sobą pół litra rosyjskiej markowej wódki. Pierwszą połowę wypili z Nadją w jego biurze, próbując dotrzeć do prawdy, którą można znaleźć tylko na dnie butelki.

Śledztwo trwa, pomyślał Bäckström, w związku z czym udał się do kuchni, nalał sobie porządną setkę, wyjął piwo z lodówki i zrobił kanapkę z grubą warstwą pasztetu z wątróbki polaną sosem ogórkowym. Następnie ułożył wszystko na tacy i zaniósł na ławę przed telewizor. Muszę powiedzieć tej Rosjance, żeby przyniosła kilka browarów do roboty, pomyślał.

Potem rozebrał się, wziął prysznic, a na koniec wypachnił się i wyszorował zęby. W takich chwilach zawsze myślał o swojej matce. Dlaczego, nie wiedział. Będzie dobrze, Bäckström, pomyślał. Usiadł na kanapie i włączył wiadomości, żeby nadrobić zaległości z tych wszystkich nieszczęść, które w ciągu ostatniej doby wydarzyły się w kraju i na świecie, i przy okazji zjeść prostą kolację.

Widocznie zasnął, bo gdy się obudził, była już druga rano, a ktoś uparcie dzwonił do jego drzwi.

To pewnie ten pieprzony sąsiad. Na pewno wychlał już wszystko, co zabrał mi w zeszłym tygodniu, pomyślał Bäckström, przygotowując sobie niezłą wiązanekę. Niech nie myśli, że mu coś jeszcze sprzedam. A jak tylko spróbuje dotknąć mojej rosyjskiej wódki, to już nie żyje.

W drzwiach stała Annika Carlsson. W pełnym umundurowaniu i pełnej gotowości.

– Przepraszam, jeśli cię obudziłam, Bäckström – powiedziała. – Masz wyłączoną komórkę, a nie mieliśmy numeru twojego telefonu stacjonarnego, więc pomyślałam, że przyjadę do ciebie.

– Nie szkodzi. Właśnie miałem wstawać, rano zwykle biegam. – Bo chyba nie przyjechałaś tu, żeby dostać ode mnie numer telefonu, pomyślał.

- Rozumiem, że możesz być zaskoczony...
- Nic nie mów – przerwał Bäckström i na wszelki wypadek uniósł rękę. – Nie jestem głupi. Czekał, tylko się ubiorę.

AXEL STENBERG MIAŁ siedemnaście lat, sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, był dobrze zbudowany i wysportowany. Silniejszy od wielu dorosłych mężczyzn i zwinniejszy od niemal wszystkich, niezależnie od wieku. Urodzony sportowiec, choć zbyt leniwy, żeby trenować, mimo to jeden z najlepszych w szkole w piłce nożnej, hokeju na lodzie, gimnastyce i pływaniu. Miał skomplikowaną relację z nauczycielką wuefu. Dlaczego nie wykorzystywał swoich fizycznych walorów i talentu, z którym przyszedł na świat?

Axel miał jasne kręcone włosy, niebieskie oczy, białe zęby i często się uśmiechał. Już w podstawówce uganiały się za nim dziewczyny. Do wszystkich nauczycieli, poza tą od wuefu, miał określony, negatywny stosunek. Jak mógł tak po prostu zaniedbywać naukę? Przecież inteligencji mu nie brakowało.

Axel miał w życiu jedną pasję, dziewczyny. Jego ostatnia wybranka miała na imię Hanna, była jego rówieśniczką i niecały miesiąc temu wprowadziła się do budynku, w którym mieszkał.

Hanna Brodin miała siedemnaście lat, sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, była ładna, zgrabna i wysportowana. Miała długie ciemne włosy, brązowe oczy, białe zęby i szeroki uśmiech. Ponieważ od czasów podstawówki była najlepsza w klasie, miała nieskomplikowane i bardzo dobre relacje z nauczycielami. I to pomimo tego, że wszyscy chłopcy nieustannie walczyli o jej względy na wszelkie możliwe sposoby.

Ostatnio startował do niej Axel, a że jej mama wyjechała na konferencję ze swoimi nowymi znajomymi z pracy, znaleźli się w jej mieszkaniu, gdzie po raz pierwszy mogli pobyć sam na sam. Axel przystąpił do działania według dobrze znanego sobie scenariusza, ale że w grze, którą właśnie rozpoczęli, ona była równie wprawiona co on, nie miała najmniejszego problemu z wykonaniem uników.

Ponieważ jednak podobali się sobie nawzajem, wizyta się

przeciągała.

– Co powiesz na wieczorną kąpiel? – zapytał Axel. – W tym roku się jeszcze nie kąpałem.

– Nie jest za zimno? – zastanowiła się Hanna. – Zresztą nie wiem, gdzie mam strój. Ledwo zdążyliśmy się rozpakować.

– Pomyślałem, że wykapię się nago – dodał z uśmiechem.

– A to co innego – odparła Hanna. – Ale jeśli będzie za zimno, kąpiesz się sam.

Potem Axel zabrał ją na swoje kąpielisko, a dokładnie jego i kolegów. Znajdowało się zaledwie sto metrów od budynku, w którym mieszkali z Hanną. Potężna skała, łagodnie schodząca do wód jeziora Ulvsunda, usiana zacisznymi zagłębieniami wypełnionymi zielenią, sprzyjającymi intymnej bliskości. Świetne miejsce do skoku.

Axel dotrzymał obietnicy. Zrzucił ubranie i skoczył na główkę.

Hanna usiadła na skale i patrzyła. Nastąpiła północ, ale było wystarczająco jasno, żeby widzieć co nieco, a resztę potrafiła sobie wyobrazić.

Pewnie robił to już wiele razy, pomyślała Hanna, której podobało się to, co zobaczyła. Chłopcy, pomyślała. Czasem są tacy przewidywalni.

Axel robił to już wiele razy i zawsze z tego samego miejsca. Odpowiednio szerokie zagłębienie w skale, dwa metry nad wodą, dwa szybkie kroki, mocne odbicie, ciało wyprostowane, ręce wyciągnięte, dłonie płasko złożone i potem już tylko kręgi na wodzie, cichy plusk, gdy nurkował. Teraz łagodny skręt obu nóg, wygięcie pleców do tyłu, ramiona wyprostowane – a wszystko po to, żeby perfekcyjnie wykonać nawrót pod wodą i wypłynąć na powierzchnię.

Choć nie tym razem, bo nagle jego ręce w coś uderzyły. Coś miękkiego, wielkiego, opakowanego w materiał albo w brezent, co kołysało się i unosiło przy samym dnie, ale czego nie dało się zobaczyć w ciemnej wodzie. Wyciągnął ręce, pomacał, namierzył pierwszy uchwyt, potem drugi, wyprostował się, poczuł koło, a potem jeszcze jedno.

Torba do golfa, pomyślał, bo jego wuj stomatolog, gdyby

tylko mógł, grałby w golfa na pełny etat. Często zatrudniał swojego siostrzeńca jako caddiego, po osiemnastym dołku zabierał go na duże piwo, na koniec wciskał mu do ręki kilka stówek i mrugając do niego porozumiewawczo, wymuszał obietnicę, że o niczym nie powie jego siostrze. I że nie będzie wydawać pieniędzy na takie bzdury jak podręczniki, a tym bardziej książki.

Axel zawsze dotrzymywał obietnicy. Dziewczyn mu nie brakowało, najwyżej czasami nie starczało już pieniędzy na realizację wszystkich kosztownych pomysłów. Co za dureń wyrzuca torbę do golfa do wody? W torbie jego wujka leżały kije warte dobrego używanego samochodu.

Co on, kurwa, wyprawia, zdenerwowała się Hanna. Jest pod wodą już od dobrych kilku minut, pomyślała. I gdy wstała, żeby zdjąć bluzkę, wypłynął na powierzchnię. Pomachał do niej.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz? – krzyknęła.

– Jakiś wariat wrzucił torbę do golfa. Zaczekaj, zaraz zobaczysz – powiedział i znów zanurkował.

Torba nie była przytwierdzona do dna. Jak zresztą mogła być przytwierdzona, skoro nawet dwadzieścia metrów od brzegu dno było litą skałą. Złapał za jeden uchwyt i przeciągnął torbę pod wodą dziesięć metrów do miejsca, gdzie dno gwałtownie się podnosiło. Nie potrzebował nawet wypływać na powierzchnię, żeby nabrać powietrza. Hanna pomogła mu wyciągnąć torbę na brzeg. Dopiero teraz poczuł, jaka jest ciężka.

– To ma być torba do golfa? – zdziwiła się Hanna. – Mnie to wygląda na wózek, którym gazeciarze rozwożą gazety.

*Shit*, pomyślał Axel.

– Brawo – roześmiała się. – Właśnie zostałeś właścicielem dwustu przemokłych egzemplarzy „Dagens Nyheter”.

W morde, pomyślał Axel. Cała energia na marne, zero seksu przez cały wieczór, najwyżej jakieś podchody, a teraz jeszcze się wygłupił i co ma teraz zrobić z tym wózkiem? Sprawdzę najpierw, pomyślał, a potem najwyżej wyrzucę go w krzaki.

Najpierw rozwiązał worek i odsunął połę materiału. Zapakowana w czarny plastik zawartość wypełniała całą torbę.

Sprawdził rękoma. Twarde, okrągłe, z pewnością nie kije do golfa, ale też nie gazety. Rozerwał plastik, żeby sprawdzić.

– I co, będzie z tego jakieś znaleźne? – zawołała Hanna. Trochę jeszcze dzieciak z niego, pomyślała.

– *Shit!* – krzyknął Axel i odskoczył od torby. – *Shit, shit, shit* – powtórzył, wymachując w panice rękoma.

– Co ty wyprawiasz? – zdenerwowała się Hanna. Chce dostać Oscara?

– Kurwa! W tej torbie jest trup! – krzyknął, a potem pobiegł po swoje ubranie. Też goły, pomyślał.

– I co teraz, kurwa? – zapytał Axel, pokazując głową torbę, która została na brzegu. Nie miał zamiaru zaglądać do niej raz jeszcze, najchętniej zwałby gdzie pieprz rośnie. Na szczęście już się ubrał, ale i tak trząśł się z zimna jak osika, a jego franek wyglądał, jakby przeleżał w przerębli całą zimą.

– Spadamy – rzucił Axel. – Spadamy – powtórzył.

– Odbiło ci? – zdenerwowała się Hanna. – Musimy zadzwonić po gliny, nie rozumiesz?

Następnie Hanna Brodin, lat siedemnaście, wybrała numer alarmowy 112 na swoim telefonie i została przełączona na centralę komendy policji. Natychmiast, bo jej głos brzmiał dokładnie tak, jak zwykle brzmi głos osoby, która dzwoni, żeby powiedzieć, że przed chwilą znalazła trupa w wodzie.

– Pływa przy brzegu? – zapytała dyżurna. Biedactwo, pomyślała. Z własnego doświadczenia wiedziała, że topielcy to niemiły widok.

– Leży w torbie – powiedziała Hanna.

– W torbie w wodzie? – Co ona mówi, pomyślała.

– Leżała w wodzie. To znaczy ta torba. Mój chłopak skoczył do wody i o nią zahaczył. Wyciągnął ją na brzeg i zajrzał do środka. On. Ja nie.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła dyżurna. – Zostańcie na miejscu, nie podchodźcie do torby, nie rozłączaj się, wysłałam do was radiowóz, a my w tym czasie sobie porozmawiamy.

– Dziękuję – powiedziała Hanna.

Mój chłopak, pomyślał Axel. Czyli nie wszystko stracone,

choć jego mały skurczył się, a on sam trząsł się z zimna.

Pierwszy na miejsce dojechał radiowóz z Västerort z komisarz Holm i aspirantką Hernandez. Hanna i Axel nie musieli podnosić rąk do góry, ustawiać się w szerokim rozkroku, nie zostali nawet przeszukani. Holm poświecił na nich latarką, skinął przyjaźnie głową i przedstawił się.

– Nazywam się Carsten Holm. A to jest moja koleżanka Magda Hernandez.

Potem Holm podszedł do wózka, poświecił latarką, skinął na Hernandez i wyjął z kieszeni krótkofalówkę.

Hernandez zaprowadziła Hannę i Axela do samochodu, wyjęła koc z bagażnika i zaproponowała, żeby usiedli na tylnym siedzeniu.

– Żebyście nie marzli. Zaczekajcie tu chwilę, odwieziemy was do domu.

Jezu, ale glina, pomyślał Axel. Moja pierwsza jedenastka w skali od jeden do dziesięciu, pomyślał.



Prowadząc, Annika Carlsson relacjonowała sytuację: dwoje siedemnastolatków, dziewczyna i chłopak, mieszkają na Jungfrudansen w Solnie, na brzegu jeziora Ulvsunda. Około wpół do dwunastej wieczorem wyszli, żeby się wykapać. Ich dom znajduje się zaledwie sto metrów od kąpieliska.

– Chłopak wskoczył do wody, a dziewczyna została na brzegu. Z tego, co zrozumiałam, zanurkował i zahaczył o sporą torbę – powiedziała Annika Carlsson. – Przeciągnął ją na brzeg. Gdy zajrzał do środka, okazało się, że jest w niej ciało.

– Skąd wiadomo, że to Akofeli? – zdenerwował się Bäckström. Jest środek nocy, czarno jak w dupie, a w torbie jakiś ślodziak, pomyślał. Niby czemu akurat Akofeli? Przecież tu aż się roi od takich jak on, pomyślał.

– Holm i Hernandez przyjechali pierwsi na miejsce – wyjaśniła Annika Carlsson. – Holm jest niemal pewien, że to on. Poza tym twierdzi, że rozpoznaje torbę. To ta sama, której Akofeli używał do rozwożenia gazet. Taki większy model na kółkach.

– Holm i Hernandez, to już drugi raz w tym tygodniu. Trochę za dużo jak na mój gust – skrzywił się Bäckström. – Czy przypadkiem nie dorobiliśmy się dwójki seryjnych morderców, którzy rozbijają się po okolicy radiowozem?

– Tak źle chyba nie jest – uśmiechnęła się Annika Carlsson. – To wynika z ich grafiku, a sami go nie układali. W tym miesiącu pracują w nocy ze środy na czwartek.

– Dlaczego nikt nie może znaleźć trupa w ciągu dnia? – jęknął Bäckström. – Wtedy przynajmniej widać, co się znalazło.

– Przykro mi, że cię obudziłam. Pomyślałam, że lepiej, żebyś był przy tym od samego początku.

– I słusznie. Przy okazji zobaczyłaś, jak mieszkam. – Na wszelki wypadek, pomyślał.

– Zresztą i tak wychodziłeś pobiegać – powiedziała z uśmiechem. – Muszę przyznać, że trochę się zdziwiłam.

– Zdziwiłaś?

– Że ładnie mieszkasz. Masz ładne mieszkanie, przytulne, posprzątane.

– Lubię mieć wokół siebie porządek – skłamał Bäckström. *Vojne, vojne*, pomyślał, bo za każdy starty klak kurzu osobiście musiał zapłacić w swoim łóżku z Hästens.

– Większość kolegów mieszkających samotnie ma niezły chlew – stwierdziła Carlsson.

– Fleje – oburzył się Bäckström. Zresztą nie dziwię się, pomyślał. Kto ma, kurwa, siłę sprzątać, kiedy taka jak ty odbiła im dziewczynę.

– Jesteś człowiekiem o wielu twarzach, Bäckström – uśmiechnęła się Annika Carlsson.

Reszta drogi upłynęła im w ciszy. Carlsson przejechała przez most nad Karlbergskanalen i ostrożnie ruszyła dwukilometrową trasą prowadzącą po bulwarze nad brzegiem jeziora Ulvsunda. Wjechała ostro pod górę. Taśmy ostrzegawcze, radiowozy, latarki, na miejscu już pierwsi ciekawscy, choć był środek nocy.

– To tutaj – powiedziała, gdy wysiedli z samochodu, żeby dołączyć do kolegów przysłanych tam przez dowództwo.

– Czy z drugiej strony jest tak samo daleko? – zapytał Bäckström. – Od strony Huvudsta?

– Też o tym pomyślałam.

Żwirowa droga, różnice terenu, kilka kilometrów drogi, sprawca musiał mieć samochód, pomyślał Bäckström. To nie jest najlepsze miejsce do pozbycia się worka z ciałem, pomyślał.

NA POCZĄTEK W SKUPIENIU obejrzał ciało. Zgadza się, pomyślał, kiedy już się upewnił, że żaden nowy nieproszony Murzynek Bambo nie pojawił się w jego własnym dochodzeniu w sprawie morderstwa. To ten, pomyślał, choć wygląda jeszcze gorzej niż wtedy, gdy widziałem go na schodach przed mieszkaniem Danielssona.

W tej samej chwili dostrzegł Toivonena, który stał nieco dalej i przyglądał mu się podejrzliwie, trzymając ręce w kieszeniach. Bäckström podszedł do niego i zadał mu zagadkę:

– Co myślisz, Toivonen? Morderstwo, samobójstwo, nieszczęśliwy wypadek?

– Za dużo gadasz. Spróbuj choć raz się do czegoś przydać. Może wyjaśnisz mi, jak to możliwe, że chłopak skończył w ten sposób – powiedział Toivonen i spojrzał ze złością najpierw na Bäckströma, a potem na torbę z ciałem.

– Radzę ci się przejść i zażyć świeżego powietrza. – Bäckström uśmiechnął się przyjaźnie. – Sugerujesz, że nasz biedny denat mógłby mieć coś na sumieniu?

– A ty jak myślisz? – odpowiedział pytaniem Toivonen, pokazując głową torbę stojącą przy brzegu.

– Nic na to nie wskazuje. Wydaje się raczej, że Akofeli był zdolnym, ciężko harującym młodym człowiekiem. Pracował jako kurier, a w środku nocy rozwoził gazety, żeby dorobić. Choć miał dyplom i dobre wyniki w nauce. Można by nawet powiedzieć, że miał nieco altruistyczne nastawienie do życia. Mógł zająć naprawdę daleko – mówił dalej Bäckström. – Założę się, kurwa, że za jakieś dwadzieścia, trzydzieści lat mógłby sobie nawet kupić skuter.

– Jeśli nie masz ochoty na kąpiel, proponuję, żebyś się zamknął – powiedział Toivonen. – Zamordowano młodego chłopaka, a ty tu stoisz i pierdolisz głupoty.

– Wszystko jasne – powiedział Bäckström kwadrans później, zwracając się do Anniki Carlsson. – Mogłabyś odwieźć mnie do domu?

– Jasne. Pewnie chciałbyś pobiegać.

W drodze powrotnej do jego legowiska rozmawiali o bieżącym dochodzeniu.

– Powiedz Niemiemu i Hernandez, żeby jeszcze raz obejrzeni mieszkanie tego chłopaka – powiedział Bäckström. – Dopilnuj, żeby tym razem zrobili to porządnie.

– Rozumiem, co masz na myśli. W końcu znaleziono go w jego własnym wózku na gazety.

– Bystra jesteś, Annika – skrzywił się. – Jakoś trudno mi uwierzyć, że za każdym razem zabierał ten wózek do biura firmy kurierskiej. Raczej jechał najpierw do domu, żeby go zostawić.

– Też mi to przyszło do głowy. Zwykle koło szóstej kończył roznoszenie gazet. O dziewiątej zaczynał pracę jako kurier. Musiał też mieć chwilę na drzemkę. A może zaprosisz mnie na kawę? – zapytała Annika, gdy zatrzymali się przed domem. – Chciałabym z tobą o czymś porozmawiać.

– Jasne – powiedział Bäckström. Szaleją za mną, pomyślał. Nawet taka zatwardziała lesba jak Annika Carlsson próbuje uszczknąć coś dla siebie.

GDY STAŁ W KUCHNI, zajęty robieniem kawy w swoim nowym włoskim ekspresie, Annika Carlsson zapytała, czy może obejrzeć mieszkanie.

– Czuj się jak u siebie – odparł, bo nie miał się czego obawiać. Podczas weekendu jego fińska kelnerka, korzystając z dwóch dni wolnego, przeszła jak białe tornado przez jego mieszkanie. – Pozwól, że cię oprowadzę – zaproponował.

Najpierw pokazał jej swoją świeżo wyremontowaną łazienkę i nową kabinę prysznicową z hydromasażem, zestawem nagłaśniającym i małym rozkładanym taboretom, na którym można było w zadumie poddać się oczyszczającemu i ujędrniającemu ciało i duszę działaniu wody.

– Siłę strumienia wody ustawiasz na panelu, o tutaj – wyjaśnił.

– Nieźle – odparła Annika Carlsson z błyskiem w oczach.

Następnie poprowadził ją do swojego małego warsztatu, w którym w ostatni weekend odwdziaczył się białemu tornadu za sprzątanie porządnym rżnięciem w łóżku z Hästens.

– To Hästens, prawda? – zacięwała się Annika Carlsson. – Musiało kosztować majątek – powiedziała i dotknęła materaca, żeby się upewnić.

– Ładnie tu u ciebie, Bäckström – westchnęła, gdy pięć minut później usiedli w salonie, delektując się świeżo zaparzoną cappuccino i biszkopcikami. – Ten stolik też wygląda na drogi – dodała i pociągnęła dłonią po czarnym blacie. – To chyba marmur, prawda?

– Kolmård – wyjaśnił.

– Jakim cudem starcza ci na to wszystko z pensji policjanta? – zdziwiła się Annika Carlsson. – Łóżko z Hästens i plazma, a nawet dwie, skórzana kanapa, zestaw muzyczny Bang & Olufsen. Prawdziwe dywany na podłodze i ten zegarek, który masz na ręku. To chyba rolex? Dostałeś spadek czy wygrałeś w totka?

– Ziarnko do ziarnka, aż zbierze się miarka – odrzekł

Bäckström, bo nie miał zamiaru wyjaśniać, jak dorabia do pensji. Zwłaszcza koleżance Carlsson. – Chciałaś o czymś porozmawiać – przypomniał, żeby zmienić temat.

– Zbieram się na odwagę – powiedziała i uśmiechnęła się do niego przyjaźnie. – O niektórych sprawach trudno się rozmawia, jak pewnie wiesz.

– Słucham – powiedział Bäckström, uśmiechając się najmilej, jak potrafił.

– Czasem można odnieść wrażenie, że jesteś wypalony i masz milion uprzedzeń. Podobnie jak wielu naszych kolegów po fachu.

– Rozumiem, co masz na myśli – powiedział Bäckström, bo już wiedział, jaką zastosuje taktykę.

– Nie wierzę, że to takie proste – ciągnęła Annika Carlsson i pokręciła energicznie krótko ostrzyżoną głową. – Widziałam przecież, jak pracujesz. Jesteś najbardziej profesjonalnym śledczym, jakiego spotkałam. I to pomimo tego, co się o tobie mówi. Weźmy chociażby tę sprawę z Akofelim. Ty jako jedyny od razu wyczułeś, że coś z nim jest nie tak. A kiedy otworzyłeś skrytkę w banku, pomyślałam, że musisz mieć dar jasnowidzenia. Miałeś kogoś takiego w rodzinie?

– Rzeczywiście trafił się ktoś taki ze strony matki – skłamał Bäckström. Była pewnie najbardziej szurniętą kobietą na Söder, pomyślał.

– Tak myślałam. – Annika Carlsson pokiwała głową. – Tak właśnie myślałam.

– Poza tym jestem głęboko wierzący – westchnął Bäckström. – Nic wielkiego. Prosta dziecięca wiara, którą noszę w sobie, od kiedy byłem chłopcem.

– Wiedziałam – spojrzała na niego przejęta. – Wiedziałam. To ona daje ci siłę. Tę twoją nieokiełznaną moc.

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć – odrzekł i zamachał ręką, jakby chciał ją ponaglić. – ...to znaczy, kiedy mówisz o moim stosunku do otoczenia. Wydaje mi się, że to wypalenie, które prędzej czy później dopada nas wszystkich, powoli dopada również mnie. To przez nie, niestety, coraz częściej mówię co innego, niżbym chciał.

– Cieszę się, że mogłam zajrzeć pod powierzchnię – powiedziała Annika Carlsson z powagą w głosie.

– Skoro już jesteśmy przy takich tematach, to ja też chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

– Słucham.

– Nie bądź taka surowa dla młodego Stigsona.

– No ale przecież sam słyszałeś, jak się rozochocił, mówiąc o tej kobiecie z tym, no, biustem – odparła i żeby nie było wątpliwości, pokazała na swój biust.

– Wiem – powiedział Bäckström. – Czysty seksizm. Jeszcze nigdy nie spotkałem się z czymś takim w policji. Niestety da się to wytłumaczyć.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Obawiam się, że kolega Stigson jest ofiarą nadużyć seksualnych. I to we wczesnym wieku.

– O Boże – Annika otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. – Sam ci o tym powiedział?

– Nie – odparł Bäckström. – O takich rzeczach raczej się nie mówi, ale rozpoznaję typowe oznaki, a po tym, jak usłyszałem jego rozmowę z tą sąsiadką Danielssona, wiesz, z tą Andersson, tą cycatą, jestem niemal pewien, że to była jego matka. Nie zdziwiłbym się, gdyby okazało się, że matka Stigsona jest wierną kopią naszej świadek Andersson.

– Co z tym zrobimy? – zapytała Annika Carlsson.

– Czekamy. Mamy to w pamięci, jesteśmy czujni i gotowi, by ruszyć na odsiecz, ale czekamy.

SKĄD SIĘ ONE, KURWA, BIORĄ, pomyślał Bäckström, zamykając drzwi za Anniką Carlsson. Baby, jedna bardziej szalona od drugiej, pomyślał.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Bäckström zegnał się z Carlsson, Hanna i Axel szukali pocieszenia w łóżku.

Gdy tylko Axel w nią wszedł, od razu wytrysnął. Jednak nie dlatego, że był to ich pierwszy raz i że Hanna dostała co najmniej osiem punktów na jego dziesięciopunktowej skali. Na tym etapie życia Axel był już od trzynastego roku życia. Sprawa była trochę bardziej skomplikowana, bo choć był to jego pierwszy raz z Hanną, od kilku godzin nie mógł przestać myśleć o młodej policjantce o nazwisku Magda Hernandez. Pierwsza jedenastka w jego życiu, chociaż miał tylko dziesięciostopniową skalę.

Spróbował raz jeszcze zapomnieć choć na chwilę o Magdzie Hernandez, ale bliskość Hanny sprawiła, że znów wpadł do przerębli.

– Nie rozumiem – powiedział. – Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło – dodał, czując, że najchętniej by się rozpląkał, a zaraz potem zapadł pod ziemię.

– Nic się nie stało – powiedziała Hanna i przeciągnęła paznokciami po jego nagich, spoconych plecach. – Pewnie wciąż jesteś w szoku. – Biedactwo, pomyślała, bo dla niej to też nie był pierwszy raz. – Wiesz co? Chodźmy spać, jutro o tym pogadamy. Naprawdę nic się nie stało. – Ciekawe, ile razy już to słyszał, pomyślała.

Gdy się położyli, Axel udawał, że śpi, i kiedy tylko Hanna zasnęła, wymknął się z łóżka, ubrał po cichu i wyszedł z mieszkania. Może to i lepiej, pomyślała Hanna, kiedy usłyszała zatraskujący się zamek. Życie toczy się dalej, z Axelem czy bez, a poza tym za parę godzin mam szkołę.

Muszę tylko pamiętać, żeby zadzwonić do Magdy, żeby umówić się na ten debriefing, zdążyła jeszcze pomyśleć, a potem zasnęła.



W CZWARTEK RANO, osiem dni po zabójstwie Karla Danielssona, Lars „Dziabas” Dolmander przyszedł z wizytą do swojego spowiednika, inspektora Toivonena.

Dziabas stawiał się osobiście na komendzie i nie chciał rozmawiać z nikim oprócz „starego kumpla Toivonena”. Miał do przekazania ważne informacje dotyczące napadu w Bromma, a Toivonen był jedynym policjantem, do którego miał zaufanie.

Przez ostatnie dziesięć lat, które przeżył na granicy prawa i nieuchronnie się staczając, Dziabas wyrósł na zawodowego informatora. Nie było w okręgu policyjnym Västerort przestępcy, którego nie zadencjonowałyby chociaż raz, miał więc szczęście, że już na samym początku trafił na Toivonena.

Był już zbyt sterany, żeby utrzymywać się z samodzielnie popełnianych przestępstw. Jego renta kończyła się zwykle dzień po wypłacie i jeśli miał przeżyć do następnej, musiał się uciekać do denuncjowania innych. Świeże i zawsze tak samo „gorące” cynki, a ponieważ przynajmniej część z nich rzeczywiście była równie „gorąca” jak jego zapewnienia, Toivonen wciąż korzystał z jego usług.

– Dobrze wyglądasz, Dziabas – powiedział Toivonen. Pokryte tatuażami ciało wyglądało jak arras. Trzydzieści trzy lata – to cud, że jeszcze żyje, pomyślał.

– Odstawiłem ciężki towar. Przez ostatni rok trochę paliłem, no i piłem wódkę, ale to samo zdrowie w porównaniu z tym, co brałem przez całe życie.

– Jasne – powiedział Toivonen, bo sam żywił się głównie mięsem, owocami i warzywami. Chyba że wychodził z Niemim i innymi kawalerzystami z Pułku Fińskiego na miasto, żeby dać świadectwo swemu pochodzeniu. Od ostatniego razu minęło już jednak trochę czasu, pomyślał.

– Żeby nie przedłużać – rzekł Dziabas, przyjmując pozycję negocjacyjną. – Pamiętasz ten napad na konwój w Bromma? Wzeszły poniedziałek, stuknęli tam tych dwóch koleżków

z Securitas.

– Coś chyba słyszałem – powiedział Toivonen z krzywym uśmiechem.

– Wczorajem tego samego dnia ktoś sprzątnął Kari Viirtanena w Bergshamra. Mówili na niego Tok-Kari albo Tokariew. Wiesz, od tego ruskiego świra. Bez przerwy wymachiwał pistoletem kaliber dziesięć milimetrów.

– Jak zwał, tak zwał – powiedział Toivonen.

– Nieważne – wtrącił Dziabas. – Jest coś, co łączy zabójstwo Viirtanena z napadem w Bromma.

– To też słyszałem – uśmiechnął się Toivonen. – Skup się, Dziabas. Nie masz nic więcej?

– Chodzi o to – Dziabas nie zamierzał się poddać – że Viirtanen brał udział w napadzie w Bromma. Kiedy koleisie z ochrony odpalili ampułki z farbą, wpadł w szal. Kazał swojemu kierowcy zawrócić i rozwalił tych ochroniarzy. Potem obaj dali nogę, porzucili samochód i kasę. Nie chcieli, żeby czerwone banknoty utrudniały im życie. Grube ryby odpowiedzialne za napad wpadły w szal i sprzątnęły Tokariewa jeszcze tego samego wieczoru. Szofer też już pewnie do niego dołączył. Na twoim miejscu sprawdziłbym tego dzikusa, którego wyciągnęliście w nocy z Ulvsunda.

– Wczorajsze wieści – powiedział Toivonen i dla wzmocnienia efektu zerknął na zegar. Pewnie nawet nie wie, kim był Akofeli, pomyślał.

– Tak też myślałem – powiedział Dziabas. – Ale daj mi skończyć.

– Nie mogę się doczekać – westchnął Toivonen.

– Pamiętasz tego starego księgowego, który mieszkał na Hasselstigen, pod jedyneką. Nazywał się Danielsson, Kalle Danielsson. W zeszlą środe dali mu po garach. Jest coś, co łączy jego śmierć z napadem na konwój w Bromma.

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytał Toivonen. – I skąd znasz Danielssona?

– Spotkałem go w Valla. Kumplował się z Rolle Stålhammarem. Stalowy, pamiętasz, był kiedyś glina.

– Znasz go?

– Oczywiście oczywistość – prychnął Dziabas. – Pierwszy raz zwiął mnie, kiedy miałem czternaście lat. Stoję sobie i ściągam benzynę na Karlavägen w samym centrum miasta. Nagle zatrzymuje się samochód. Ze środka wypada chłop jak dąb. Chwyta czternastoletniego Dziabasa za ucho i ciągnie do radiowozu. Dziesięć minut później siedzę w areszcie w Sztokholmie i czekam na babkę z opieki, żeby mnie wypuścili. Zostawiłem, kurwa, otwarty samochód na Östermalmie. Co prawda ma pusty bak, ale to się załatwia w pięć minut.

– A więc pamiętasz Rolle Stålhammara – skwitował Toivonen.

– Jeden z przyjemniejszych gliniarzy, z jakimi miałem do czynienia. Zabrał mnie kilka razy na turniej bokserski, kiedy byłem jeszcze chłopcem. No ale i tak się spierdoliło. – Dziabas wzruszył ramionami.

– Spotkałeś Stålhammara i Danielssona w Solvalla – przypomniał Toivonen.

– Właśnie – powiedział Dziabas. – W zeszłą środę, około szóstej, czyli jakieś kilka godzin przed tym, jak Danielsson miał bliskie spotkanie trzeciego stopnia ze swoim garnkiem. Zamieniliśmy kilka słów ze Stalowym. Zapytał, co u mnie słyhać. Powiedział, że marnie wyglądam. Tak marnie, że przez chwilę nie wiedział, czy mnie przedstawić swojemu staremu kumpłowi ze szkoły. No, temu Danielssonowi. Ale chyba nie mówił poważnie. Obaj byli w świetnych humorach, więc Danielsson podał mi rękę i się przedstawił. Kalle Danielsson, powiedział, a ja z daleka wyczułem, że za kołnierz raczej nie wylewa. Gdybym siedział z nim w przedziale, pewnie bym zemdlął od samego chuchu. Był przesiąknięty wódką.

– Co odpowiedziałeś?

– Że jestem Dziabas. A ty co byś powiedział na moim miejscu?

– Wybacz głupie pytanie. Ale co to ma wspólnego z konwojem? Co ma do tego Danielsson?

– Ci kolesie stojący za napadem. Nie Tokariew ani jego kierowca. Mam na myśli grube ryby. Te, co sprzątnęły

Tokariewa i kierowcę za to, że tak namieszali. Wiesz, o kogo chodzi?

– Mamy pewne podejrzenia – powiedział Toivonen. – Ale słucham.

– Samir Parisafar.

Bingo, pomyślał Toivonen.

– Jego popieprzony braciszek Omar Parisafar.

Znów bingo.

– I ten ich paskudny kuzynek, diabeł wcielony. Gasan Talib – ciągnął Dziabas. – Samir Parisafar, Omar Parisafar, Gasan Talib – powtórzył.

Trzy na trzy, pomyślał Toivonen.

– Dlaczego uważasz, że to oni za tym stoją? – zapytał.

– Ludzie gadają – powiedział Dziabas. – Ludzie gadają, trzeba tylko uważnie słuchać – wyjaśnił, robiąc palcami trąbkę z uszu.

Ludzie gadają, pomyślał Toivonen, który sam już coś słyszał i miał możliwość, żeby wyrobić sobie własny pogląd na tę sprawę.

– Dalej nie rozumiem, co to ma wspólnego z Danielssonem.

– Znali się z Samirem.

– Teraz to już cię poniosło, Dziabas. Co ci przyszło do głowy? – O czym ten czubek gada, pomyślał.

– Zaraz do tego dojdę. No więc gdy Rolle i jego kumpel Danielsson się pożegnali, to znaczy jak już byliśmy na Valla, przypomniałem sobie, że widziałem go już tego dnia. Jakoś tak w porze lunchu. Szedłem sobie spokojnie od strony Råsundavägen, bo planowałem zajrzeć do mojej ulubionej pizzerii i wrzucić coś małego na żołądek. I kogóż to widzę trzydzieści metrów dalej gadającego z jakimś podstarzałym typkiem na rogu Hasselstigen? Jestem dwadzieścia metrów od pizzerii.

– No słucham.

– Samira Parisafara – powiedział Dziabas.

– Znasz go?

– Wyobraź sobie. Odsiadaliśmy w tym samym miejscu. Kumpel spod celi w Hall dziesięć lat temu. Jeśli mi nie

wierzysz, możesz sprawdzić w swoim komputerku. Samir Parisafar we własnej osobie, gorszego nie znajdziesz.

– No i co zrobiłeś?

– Obróciłem się na pięcie – powiedział Dziabas. – Samir jest z tych, co zabijają na wszelki wypadek, a ja wolałem nie ryzykować, skoro wyszedłem tylko na pizzę.

– Jesteś pewien, że człowiek, z którym rozmawiał, to był Kalle Danielsson?

– Na sto dwadzieścia – powiedział Dojan i skinął głową. – Na sto dwadzieścia procent – dodał.

– Skąd ta pewność? – nie odpuszczał Toivonen.

– Bo z tego żyję.

– Rozumiem – powiedział Toivonen. Ciekawe, jak się teraz, kurwa, uwolnię od Bäckströma, pomyślał.

– Co powiesz na tyśiaka?

– Może dwie dychy?

– To może spotkamy się gdzieś w połowie?

– Czyli dwieście – powiedział Toivonen.

– Skoro tak mówisz – powiedział Dziabas, wzruszając ramionami.

GDY TOIVONEN ROZMAWIAŁ w zaufaniu z Dziabasem, Bäckström prowadził nadzwyczajne spotkanie ze swoim zespołem dochodzeniowym w sprawie zabójstwa Septimusa Akofeliego.

Zaczął jak zwykle Niemi. Odwiózł zwłoki do gabinetu lekarza sądowego, a w tym czasie Chico Hernandez z innym kolegą wrócili do mieszkania Akofeliego, żeby przeprowadzić dodatkowe badania kryminalistyczne. W tej chwili obaj byli już z powrotem.

– Został uduszony. To była bezpośrednia przyczyna śmierci – zaczął Niemi. – Poza tym nie miał żadnych obrażeń na ciele. Był rozebrany. Uduszony sznurem, po którym został mu ślad. Myślę, że to stało się nagle i że wciąż był świadomy.

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytała Annika Carlsson.

– Ma wyraźne ślady na palcach. Powstają, gdy ktoś próbuje oswobodzić się z uścisku. Dwa paznokcie złamane, choć są dosyć krótkie.

– Co to za rodzaj sznura? – wtrącił Bäckström.

– Nie znaleźliśmy go, ale musiał być dosyć cienki. To mogło być cokolwiek, począwszy od sznurka, przez linkę do suszenia prania, może zwykły kabel, ale mógł to być też sznur od żaluzji. Najbardziej prawdopodobny wydaje mi się jednak cienki kabel.

– Dlaczego? – zapytała Annika Carlson.

– Bo jest najskuteczniejszy – odparł Niemi i uśmiechnął się krzywo. – Najłatwiej go zaciągnąć. Okręcasz i zaciskasz, po chwili jest po wszystkim.

– Chcesz powiedzieć, że to robota profesjonalisty? – powiedział Alm.

– Nie wiem – odrzekł Niemi, wruszając szerokimi ramionami. – Jakoś trudno mi w to uwierzyć. Ilu obywateli tego kraju zajmuje się profesjonalnie duszeniem? Wszyscy żołnierze zawodowi, koledzy z Sił Szybkiego Reagowania, weterani wojen na Bałkanach. Przynajmniej tak twierdzą, ale tutaj w Szwecji są raczej spokojni. Mogę w każdym razie

powiedzieć, że sprawca jest silny i wyższy od Akofeliego – powiedział Niemi.

– Podobnie jak ten, który udusił Danielssona – zauważył Bäckström.

– Też mi to przyszło do głowy.

– Kiedy to się mogło stać?

– Przypuszczalnie tego samego dnia, w którym zniknął – powiedział Niemi. – Czyli w piątek szesnastego maja, jakoś przed południem. W ciągu dnia albo wieczorem.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Co prawda nie znaleźliśmy śladów na ciele, które by to potwierdzały, ale tak to dzisiaj zwykle wygląda. Nie dzwonią, nie przychodzą do pracy, nie płacą kartą, zostaje przerwany ich rytm dnia. To sygnał, że coś się stało. Tak jest niemal zawsze – powiedział Niemi i pokiwał zamyślony głową.

Drwal nie jest taki głupi, pomyślał Bäckström, bo od trzydziestu lat kierował się tą samą zasadą.

– Ciało jest w dobrym stanie – mówił dalej Niemi. – Akofeli został uduszony, był nagi, jego ciało zostało zgięte w pół i zapakowane w czarną folię, oklejone zwykłą srebrną taśmą i wcisnięte do jego własnego wózka na gazety. Folia pochodzi z trzech różnych czarnych worków, zwykłych worków na śmieci. Standardowa srebrna taśma klejąca, niecałe pięć centymetrów szerokości. Wydaje mi się, że to stało się bardzo szybko, jeszcze przed wychłodzeniem ciała. W torbie jest jeszcze balast. Cztery obciążniki po pięć kilogramów, łącznie dwadzieścia kilo przymocowane tą samą srebrną taśmą. Ponieważ Akofeli ważył około pięćdziesięciu kilo, balast dwadzieścia, a torba jakieś dziesięć – dokładną wagę poznamy, gdy już wszystko wyschnie – to mówimy tu o łącznej masie około osiemdziesięciu kilogramów.

– Samochód – wtrącił Alm. – Ciało musiało zostać przewiezione z miejsca zabójstwa do miejsca, w którym zostało znalezione.

– Najprawdopodobniej – zgodził się Niemi. – Kilka dni temu czytałem ciekawy artykuł w czasopiśmie kryminalistycznym na temat sprawców, którzy porzucają swoje ofiary w terenie.

Bardzo rzadko zdarza się, żeby nieśli lub ciągnęli za sobą ciało dalej niż siedemdziesiąt pięć metrów.

– A jeśli mają wózek albo balkonik? – zapytał Bäckström.

– Najwyżej kilkaset metrów – odparł Niemi. – Przy większej odległości zwłoki najczęściej transportuje się razem z wózkiem w samochodzie.

– Miejsce zdarzenia – przerwał Bäckström.

– Masz na myśli mieszkanie Akofeliego na Fornbyvägen siedemnaście? – spytał Niemi, spoglądając na Hernandezę.

– Byliśmy tam znów dziś wcześniej rano – wtrącił Hernandez. – Tym razem też niczego nie znaleźliśmy, ale biorąc pod uwagę to, jak został zamordowany, bardzo możliwe, że stało się to właśnie tam, nawet jeśli nie znaleźliśmy żadnych śladów. Poza tym przemawiają za tym również inne okoliczności.

– Jakie? – zapytał Alm.

– Wózek na gazety, który z pewnością należał do ofiary, odważniki na balast. Jesteśmy niemal pewni, że należą do ofiary. Miał w domu ławkę treningową, sztangę i dwa hantle, ale dziwnie mało obciążników do sztangi.

Bäckström przytaknął.

– Ciekawe.

– To znaczy tych, które zostały w mieszkaniu – wyjaśnił Hernandez.

– Jaka to jest odległość? – zapytał Bäckström.

– Od mieszkania ofiary do miejsca, w którym zostało znalezione ciało, jest nieco ponad dziesięć kilometrów, droga niemal w całości przejezdna aż do tej skały, która schodzi prosto do wody. Od żwirowej ścieżki na koronie wzgórza do wody jest trzydzieści metrów. Różnica poziomów wynosi trzynaście metrów.

– Przecież nie można tam wjeżdżać samochodem – wtrąciła Annika Carlsson.

– Chyba że jest się policjantem albo pracownikiem zarządu dróg, albo pracuje się w ochronie parku, albo jest się robotnikiem, który jedzie tam w jakiejś innej sprawie. Jeśli jedzie się z południowego wschodu, to znaczy od



Kungsholmen, przejazd jest dozwolony w zasadzie na całym odcinku aż do miejsca, w którym zostały znalezione zwłoki. Potem jest jeszcze jakieś sto metrów do przejścia pieszo. Co prawda pod górę, ale jednak. – Hernandez wymownie wzruszył ramionami.

– Znaleźliście jakieś ślady kół powyżej miejsca znalezienia zwłok? – zapytała Annika Carlsson.

– Mnóstwo – roześmiał się Chico. – Trudno było z nich wyciągnąć coś sensownego.

– Chico – odezwał się Bäckström. – Wy tłumacz staremu ramolowi, co się w ogóle stało.

Ciekawe, co teraz powiesz, tancerzyku, pomyślał Bäckström, a koleżanka Carlsson pokiwała głową z aprobatą.

Hernandez był wyraźnie zaskoczony.

– Chcesz, żebym powiedział, jak moim zdaniem do tego doszło? – spytał.

– Tak – powiedział Bäckström i uśmiechnął się zachęcająco. Ciemniak jak wszyscy, musi zawsze pytać o pozwolenie, pomyślał.

– Okej, ale z zastrzeżeniem, że to tylko moje przypuszczenia – powiedział Hernandez. – Co do samego początku, zgadzam się całkowicie z Peterem. Ofiara zostaje zaatakowana z zaskoczenia, uduszona, rozebrana, zgięta wpół, a przecież, jak pamiętacie, Akofeli był szczupły i wysportowany, za życia na pewno potrafił dotknąć podłogi całymi dłońmi. Po zgięciu ciała wpół sprawca owija je taśmą, od nadgarstków przez plecy i ramiona i z powrotem. Następnie ciało zostaje zapakowane w folię z worków na śmieci, a na koniec oklejone tą samą srebrną taśmą. Sprawca wkłada paczkę do wózka na gazety. To taka duża torba na dwóch kółkach wyposażona w dwa uchwyty i wsparta na prostokątnej metalowej ramie. Na przodzie znajduje się worek z grubszej, wodoodpornej plandeki. W materiał wszyte są sznurki albo paski, które można zaciskać lub luzować, w zależności od tego, czy chcesz zamknąć, czy otworzyć worek. Od góry torba ma klapę z tego samego materiału, którą również zamyka się na pasek.

– Ile to zajęło czasu? – zapytał Bäckström. – Od uduszenia

do zawiązania torby z ciałem w środku?

– Jeśli jest się wystarczająco silnym i zręcznym i ma się wszystko co trzeba pod ręką, potrzeba najwyżej pół godziny – powiedział Chico. – Jeśli ma się kogoś do pomocy, wystarczy kwadrans.

– Sądzisz, że mogło być ich więcej? – zapytał Alm.

– Nie można tego wykluczyć. – Hernandez wzruszył ramionami. – Jeden wystarczy, ale dwóch uwinie się dwa razy szybciej. Więcej ludzi zaczyna sobie nawzajem przeszkadzać. No ale wiadomo.

Co pewnie zrozumieli wszyscy, z wyjątkiem tępaka, pomyślał Bäckström, posyłając Almowi wrogie spojrzenie.

– Co było potem? – zapytał.

– Najpierw wychodzi z mieszkania z torbą na kółkach. Do najbliższego miejsca, gdzie można zaparkować samochód, jest dziesięć metrów. Wrzuca worek do środka i odjeżdża. Łącznie godzina, ale taki transport organizuje się raczej nocą, a Akofeli został zamordowany najprawdopodobniej przed południem – właśnie wtedy przestaje dawać znaki życia – sprawca czeka więc z wrzuceniem torby do jeziora, aż się ściemni. Zamordował go, zapakował, przygotował do transportu, potem włożył wózek do samochodu i odjechał. Zaczekał, aż się ściemni. Lub też wrócił po niego tego samego wieczoru. Nie wydaje mi się, żeby chciał go przetrzymywać w mieszkaniu dłużej, niż to było absolutnie konieczne.

– Kiedy wrzucił ciało do jeziora? Jeszcze tego samego wieczoru?

Bäckström spojrział pytająco najpierw na Hernandeza, który w odpowiedzi pokręcił tylko głową, a potem na Niemiego, który po prostu spojrział w bok.

– Ciężko powiedzieć. Ciało zostało tak starannie zapakowane, że trudno to dokładnie stwierdzić. Mógł zostać wrzucony do wody już w piątek, ale równie dobrze mogło się to stać znacznie później. Nasi nurkowie od rana przeszukują dno, ale niczego nie znaleźli.

– Coś jeszcze? – zapytał Bäckström.

– Na razie nic. – Niemi pokręcił głową. – Odezwiemy się, gdy

tylko coś znajdziemy. Lub gdy nie znajdziemy – dodał i uśmiechnął się pod nosem.

– Okej – powiedział Bäckström, złakniony kawy i ciastek. – Jeszcze raz przejdziemy się po sąsiadach, tym razem interesuje nas przede wszystkim Akofeli. Budynek przy Hasselstigen jeden i mieszkanie Akofeliego przy Fornbyvägen. Chcę wiedzieć wszystko na temat Akofeliego i jego możliwych kontaktów z Danielssonem, plus wszystko inne, co jeszcze może nam się przydać. Mamy wystarczająco dużo ludzi?

– Dzielnicowi z Tensta obiecali, że pomogą nam na Fornbyvägen – odezwała się Annika Carlsson. – W końcu to ich teren, a oni mają dobre kontakty z mieszkańcami. Hasselstigen musimy chyba zająć się sami. Mogę to zrobić.

– W porządku – powiedział Bäckström.

Następnie poprosił Stigsona, żeby zaczekał chwilę po spotkaniu, a gdy zostali sami, poklepał go przyjaźnie po ramieniu, przyjmując oblicze tego Bäckströma, którego tej samej nocy miała okazję poznać koleżanka Carlsson.

– No, Edypie – powiedział. – Tym razem już bez obściskiwania się, dobra?

– Masz na myśli tę z... – powiedział Stigson, składając w kształt miseczki dłonie na klatce piersiowej.

– Tę z melonami – potwierdził Bäckström.

– Gadałem o tym z Kaczką – powiedział Stigson, a jego policzki oblały się rumieńcem.

– Doskonale. Podobna jest do twojej matki?

– Kto? Kaczka?

– Świadek Andersson. Dobrze wiesz, kogo mam na myśli. Ta od melonów.

– Ani trochę – powiedział Stigson. – Moja matka jest raczej płaska.

Typowe, pomyślał Bäckström. Najlepszy dowód. Wyparcie.

OD POCZĄTKU swojej działalności dzielnicowi z Tensta i Rinkeby przeznaczali znaczną część swojego budżetu na utrzymywanie dobrych stosunków z mieszkańcami dzielnicy, których dziewięćdziesiąt procent stanowili imigranci z najciężej doświadczonych rejonów świata. W większości uciekinierzy z krajów, w których nie dało się samodzielnie myśleć ani nawet żyć. Nie było to proste zadanie, a pracę lokalnej policji dodatkowo utrudniał fakt, że jej szeregi tworzyli w dziewięćdziesięciu procentach zwykli Szwedzi. Szwedzi od pokoleń lub imigranci najdalej w drugim albo trzecim pokoleniu. Będący częścią szwedzkiego społeczeństwa, zakorzenieni w szwedzkiej ziemi.

Egzekwowanie prawa odbywało się niejako przy okazji. Prowadzenie typowych działań przez policję nie wchodziło w rachubę. Chodziło raczej o budowanie mostów między ludźmi, tworzenie więzi. O coś, co mogłoby wydawać się oczywiste: umiejętność rozmowy z drugim człowiekiem.

– Damy radę – zapewnił dzielnicowy podczas odprawy z Anniką Carlsson. – Po prostu porozmawiamy.

Kolejne dwa dni spędzili na rozmowach z sąsiadami Akofeliego. Odwiedzili łącznie sto osób. Rozkleili plakaty z jego zdjęciem przy drodze prowadzącej z jego mieszkania przy Fornbyvägen do najbliższej stacji metra, w wejściach do budynków, na ścianach, słupach, tablicach ogłoszeniowych, po całej najbliższej okolicy. Postawili nawet budki policyjne na rynku w Rinkeby i Tensta, z Septimusem Akofelim w charakterze oferty specjalnej.

Nikt niczego nie widział, nikt niczego nie słyszał. Osoby, z którymi rozmawiali, kręciły tylko głowami. Większość nie rozumiała, co do nich mówią.

Obchód na Hasselstigen jeden poszedł – przynajmniej relatywnie – lepiej. Pettersson i Stigson, wspierani przez Annikę Carlsson i dwóch kolegów z wydziału prewencji w Solnie, rozmawiali ze wszystkimi mieszkańcami budynku.

Z wyjątkiem dwóch osób nikt nie rozpoznał Akofeliego. Nikt niczego nie widział ani nie słyszał. Wielu miało pytania, wielu wyraziło zaniepokojenie. Czy tu jeszcze jest bezpiecznie?

Pierwszy wyjątek stanowiła wdowa Stina Holmberg, lat osiemdziesiąt jeden.

Stina Holmberg wstawała wcześniej rano. Była przekonana, że miało to związek z jej wiekiem – im bliżej śmierci, tym człowiek śpi krócej, żeby lepiej wykorzystywać swój czas. W ciągu ostatniego roku kilkakrotnie widziała Akofeliego, jak wchodzi i wychodzi z budynku. Między wpół do szóstej a szóstą rano, o ile oczywiście nie wydarzyło się coś nieoczekiwanego, jak atak zimy albo awaria w metrze.

Przy jednej z tych okazji nawet z nim rozmawiała. Było to dzień po tym, gdy jej sąsiad został zamordowany.

– Chodziło o to, że nie dostałam jeszcze mojego egzemplarza „Svenska Dagbladet” – wyjaśniła pani Holmberg.

Tydzień wcześniej zrezygnowała z prenumeraty „Dagens Nyheter” na rzecz „Svenska Dagbladet”, która miała być jej dostarczana od najbliższego poniedziałku. Przez pierwsze cztery dni wciąż jednak dostawała „Dagens Nyheter”. W piątek wstała wcześniej, żeby złapać gazeciarza i rozmówić się z nim w cztery oczy. Próbowała co prawda dodzwonić się do działu prenumeraty DN i SvD, ale ponieważ nie miała telefonu z wybieraniem tonowym, nie udało jej się połączyć i w końcu dała za wygraną.

Akofeli obiecał, że jej pomoże, chociaż wydawał się spięty. Powiedział, że sam z nimi porozmawia. Potem dał jej egzemplarz „Svenska Dagbladet”, który „miał w zapasie”, nie wchodząc w szczegóły, dlaczego miał wydanie z poprzedniego dnia.

– Teraz wszystko działa już jak należy – stwierdziła pani Holmberg.

Co prawda w weekend nie dostała w ogóle gazety – widocznie była jakaś awaria, bo inni też nie dostali – ale od kilku dni znów wszystko działało bez zarzutu. Miała tylko taką uwagę, że nowy gazeciarz przychodzi pół godziny później niż chłopak, z którym rozmawiała.

– Naprawdę miły chłopiec – powiedziała pani Holmberg, kręcąc głową. – Ten ciemnoskóry. Trochę spięty, jak już mówiłam, kto by zresztą nie był, mając taką pracę, ale miły i pomocny. Nie wierzę, że mógł zrobić coś złego Danielssonowi – dodała.

– Dlaczego pani tak sądzi? – zapytał Stigson. – Że mógłby zrobić coś złego pani sąsiadowi? – Nie wie, że Akofeli został zamordowany, pomyślał.

– Jeśli byłoby inaczej, to dlaczego byście go szukali? Nawet dziecko by się domyśliło – odparła pani Holmberg i poklepała go po ramieniu.

Drugim wyjątkiem był Seppo Laurén, lat dwadzieścia dziewięć.

– To ten, co roznosi gazety. Jest kibicem Hammarby – powiedział, oddając zdjęcie Akofeliego aspirantowi Stigsonowi.

– Skąd to wiesz? – zapytał Stigson. Szkoda chłopaka, pomyślał. Głupek, choć tego po nim nie widać.

– Miałem na sobie koszulkę AIK.

– Miałeś na sobie koszulkę AIK?

– Grałem na komputerze. W piłkę. No i miałem na sobie koszulkę.

– W jakich okolicznościach spotkałeś gazeciarza?

– Wychodziłem na stację po coś do jedzenia. Mają otwarte przez całą dobę.

– I wpadłeś na gazeciarza.

– Tak, chociaż nie prenumeruję gazety. Nie czytam gazet.

– Czy to było tutaj, w budynku?

– Tak. – Seppo skinął głową. – Sąsiad ma prenumeratę.

– Skąd wiesz, że kibicuje Hammarby? – zapytał Stigson.

– Zapytał, czy jestem kibicem AIK. Pewnie zauważył moją koszulkę.

– A wtedy ty odpowiedziałeś, że tak. To znaczy, że jesteś kibicem AIK.

– Zapytałem, komu on kibicuje.

– Co odpowiedział?

– Że Hammarby – odrzekł Seppo i spojrzał zdziwiony na Stigsona. – Przecież już mówiłem. Hammarby.

– Czy to jedyny raz, kiedy z nim rozmawiałaś?  
– Tak.  
– Pamiętasz, kiedy to było?  
– Nie. – Seppo pokręcił głową. – Nie było śniegu. A więc nie w zimą.

– Jesteś pewien?  
– Miałbym wtedy na sobie kurtkę. Zimą nie wychodzi się na dwór w samej koszulce.

– Jasne, że nie – powiedział Stigson. – Masz rację. Nie wychodzi się.

– Można się przeziębnić – stwierdził Seppo.

– Bliżej nie jesteś w stanie określić? Kiedy dokładnie z nim rozmawiałaś?

– Niedawno, mama leżała już w szpitalu. Kiedy była w domu, nie mogłem grać do tak późna. No i było jedzenie.

– Rozumiem – powiedział Stigson. – Jakie wrażenie zrobił na tobie ten gazeciarz?

– Był miły.

Na koniec porozmawiali z Andersson. Annika Carlsson robiła za przyzwoitkę Stigsona, a Felicia Pettersson, jeszcze zanim zadzwonili do drzwi, uprzedziła go, że tym razem to ona będzie zadawać pytania.

Andersson nie rozpoznała Akofeliego. Nigdy go nie widziała, co nie było takie dziwne, bo zwykle spała do późna.

– Wstaję najwcześniej o ósmej. – Britt-Marie Andersson uśmiechnęła się. – Zaczynam dzień od kawy, czytam na spokojnie gazetę, a potem wychodzę z Puciem na poranny spacer. To okropne, co się wydarzyło – dodała. – Co tu się dzieje, czy tu jest jeszcze bezpiecznie?

Podejrzenie, jakoby jej sąsiad Karl Danielsson mógł mieć jakieś „konszachty” z gazeciarzem Akofelim, było jej zdaniem „bezzasadne”.

– Co prawda Danielssona znałam tylko z widzenia, ale nie wierzę, że mogłby utrzymywać kontakty z tym młodym człowiekiem.

– Dlaczego tak pani sądzi? – zapytała Felicia Pettersson.

– Danielsson był rasistą – powiedziała pani Andersson. – To

było widać.

Nie miała nic więcej do dodania, pożegnali się bez zbędnego przytulania. Kiedy świadek wyciągnęła dłoń i z szerokim uśmiechem pochyliła się lekko do przodu, kołysząc biustem, Felicia Pettersson posłała koledze Stigsonowi ostrzegawcze spojrzenie.

– Serdecznie dziękujemy pani za pomoc – powiedział Stigson, ściskając jej dłoń.

Grzeczny chłopak, pomyślała Felicia i wyszli.



GDY JEGO KOLEDZY rozmawiali z sąsiadami, komisarz Alm siedział w swoim pokoju, rozmyślając o tych wszystkich starcach, którzy mimo swojego wieku nagle znaleźli się w dochodzeniu w sprawie zabójstwa. Pogrążył się w myślach i na wszelki wypadek zamknął drzwi.

Choć nie miał tego w zwyczaju, wyjął kartkę i długopis, żeby naszkicować kilka hipotetycznych scenariuszy wydarzeń, w których dawni koledzy Danielssona pojawiali się jako potencjalni sprawcy. Jeden, dwóch lub kilku naraz, i to pomimo tego, że w głębi duszy nienawidził tych wszystkich nowych wynalazków jak profilowanie i analiza kryminalna.

Efekt przesłuchań, które przeprowadził z Södermanem i Grimaldim, był dalece niezadowolający. Pierwszy zwyczajnie odmówił odpowiedzi na pytania, a drugi nie pamiętał nawet, co robił. Zasłaniając się chorobą, której na dobrą sprawę nie mogli zweryfikować. W każdym razie nie Alm.

Porozmawiał z jednym z kolegów, który znał Grimaldiego, ale ten w odpowiedzi uśmiechnął się tylko do niego kwaśno i mrugnął okiem.

– Widziałem go jakieś dwa tygodnie temu, gdy byliśmy z żoną w tej nowej pizzerii w Frösunda, o której wszyscy mówią, że jest jej właścicielem, chociaż go nie ma w papierach. Nie wyglądał, jakby coś mu dolegało.

– To znaczy? – zdziwił się Alm.

– No wiesz, siedział i flirtował z jakąś blondyną, co najmniej o połowę młodszą od niego.

To my zbudowaliśmy ten kraj, pomyślał Alm. Czy to nie tak mówiły o sobie te staruchy, które groziły, że wysadzą parlament w powietrze? Dla kogoś takiego zabicie dawnego kumpla nie jest przeszkodą, i nieważne, co mówią na ten temat statystyki, pomyślał.

Do schematu nie pasowało zabójstwo Akofeliego i właśnie dlatego potrzebował kartki i długopisu.

Danielssona morduje któryś z jego dawnych kumpli. Zabiera

torbę z pieniędzmi. Z tego scenariusza nie można było nawet wykluczyć Rolle Stålhammara z tym jego kiepskim alibi, potwierdzonym przez tylko jednego świadka, który w dodatku go nienawdził. I który z pewnością zaprzeczyłby wszystkiemu, gdyby wiedział, co z tego wynikło.

Nie można było również wykluczyć, że w sprawę zamieszanych jest dwóch lub więcej sprawców działających w porozumieniu. I że Kalle Danielsson prowadził nielegalną bankowość na rzecz Grimaldiego. Że nie szło mu najlepiej i dlatego Grimaldi i jego kompan Halvar Söderman złożyli mu wizytę w domu, zabili go, a potem zabrali torbę z pieniędzmi.

Gdyby nie Akofeli.

Akofeli znajduje zwłoki Danielssona. Jego starzy kumple, którzy go zabili, zapomnieli o torbie z pieniędzmi. Gdy się orientują, wracają i odkrywają, że Akofeli zabrał torbę, jadą do niego do domu, mordują go, a potem wrzucają jego ciało do jeziora.

Jaja sobie robisz, powiedział Alm w myślach sam do siebie i grubą czarną kreską przekreślił swoją ostatnią hipotezę.

Akofeli morduje Danielssona i zabiera torbę z pieniędzmi. Starzy kumple Danielssona odkrywają to, jadą do mieszkania Akofeliego, zabijają go, zabierają torbę, a zwłoki wyrzucają.

Dlaczego?, pomyślał Alm. Dlaczego Akofeli miałby zamordować Danielssona? I jak do licha jego kumple miałby się zorientować, że zrobił to gazeciarz?

Coraz więcej znaków zapytania, pomyślał, westchnął głęboko i przeciągnął kolejną grubą, czarną kreskę w poprzek kartki.

Potem wrócił do domu, do swojej ukochanej żony. Zjadł smażone kotlety z jagnięciny z masłem czosnkowym, sałatką i pieczonymi ziemniakami. A że zbliżał się weekend – był już przecież czwartek – uczcili to po cichu butelką wina.

GDY JEGO TĘPI PODWŁADNI ganiłi jak kury z uciętą głową po Hasselstigen i Rinkeby, Bäckström oddał się bardziej wymagającym analizom intelektualnym w towarzystwie swojego jedyne go wartościowego współpracownika, Nadji Högberg, doktor matematyki i fizyki. Podobnie jak on koneserki i wybitnej znawczyni wódki. Cenny towarzysz rozmów w świecie, w którym człowieka otaczają sami debile, i to pomimo tego, że jest kobietą, pomyślał Bäckström.

Gdy Bäckström wrócił na komendę po zdrowym i zbilansowanym posiłku, Nadja zastukała do jego drzwi i zapytała, czy może wejść, żeby omówić z nim zawartość kieszonkowego kalendarza Danielssona. Miała ze sobą oryginał w plastikowej torebce, ale żeby zaoszczędzić im czasu, przygotowała dwa wydruki z komputera z zapiskami z kalendarza ułożonymi w porządku chronologicznym.

– Jego zapiski są skrótowe i dosyć tajemnicze – podsumowała. – Od pierwszego stycznia tego roku do czternastego maja, czyli przez dziewiętnaście i pół tygodnia, zrobił łącznie sto trzydzieści jeden różnych notatek. Średnio prawie jedną dziennie.

– Dalej – powiedział Bäckström, odłożył kartki na biurko, splótł dłonie na brzuchu i odchylił się w krześle. Ta kobieta ma głowę na karku, pomyślał.

– Pierwsza notatka pochodzi z pierwszego dnia roku, wtorku pierwszego stycznia, i brzmi, cytuję: obiad z chłopakami, Mario, koniec cytatu. Wczesny obiad, bo jak można sądzić z notatnika, zaczął się już o drugiej po południu.

– Nie chcieli ryzykować – uśmiechnął się Bäckström.

– Pewnie ich ssalo – zgodziła się Nadja. – Przedostatnia notatka jest z dnia jego śmierci, środy czternastego maja: „czternasta trzydzieści, bank”. Właściwie to jedyna notatka z całego tego okresu, która mówi o tym, że był w banku.

– Biorąc pod uwagę, ile wyjął pieniędzy, raczej nie musiał tam biegać codziennie – zauważył Bäckström.

– Najczęstsza notatka – ciągnęła Nadja – pojawia się łącznie trzydzieści siedem razy. Z grubsza w każdą środę i niedzielę w okresie od stycznia do maja zapisywał „Solvalla” albo „Valla”, albo „wyścigi”. Zgaduję, że odnoszą się do tego samego, czyli że bywał na torze wyścigowym Solvalla, żeby grać, i robił to zawsze, gdy odbywał się wyścig. Ostatnia notatka w kalendarzu jest z dnia jego śmierci: „siedemnasta zero zero, Valla”. Nie napisał więc nic, co miało się zdarzyć w najbliższych dniach, tygodniach ani miesiącach. Zdaje się, że nie wybiegał zbytnio w przyszłość.

– Żadnych innych torów wyścigowych poza Solvallą? – To by potwierdzało to, co już wiemy, pomyślał Bäckström.

– W każdym razie o żadnym innym nie pisał – powiedziała Nadja, kręcąc głową.

– No tak, kto by miał siłę jeździć do Jägersro po kupony.

– Sześćdziesiąt cztery notatki mają zróżnicowany charakter. Jedna wizyta w banku, o której już mówiłam, dwie wizyty u lekarza, takie tam, reszta to w zasadzie wyłącznie imiona jego dawnych kumpli. Rolle, Gurra, Jonte, Mario, Połówka i tak dalej. Jeden, dwóch lub kilku z nich naraz. Kilka razy w tygodniu.

– Bogate życie towarzyskie – zachichotał Bäckström. – Znalazłaś coś ciekawego?

– Znalazłaś coś ciekawego? – powtórzył.

– Tak mi się zdaje. Łącznie jakieś trzydzieści notatek.

Znowu, pomyślał Bäckström. Ostra jak brzytwa.

– Słucham.

– Pięć z nich powraca pod koniec każdego miesiąca, wypadają w różne dni, ale zawsze w ostatnim tygodniu miesiąca, i za każdym razem ta sama notatka. „R, dziesięć tysięcy”.

– Jak to rozumiesz?

– Że ktoś, kto ma R w imieniu lub nazwisku, dostawał co miesiąc dziesięć tysięcy od Danielssona.

– Kochanka – stwierdził Bäckström, bo nagle przypomniały mu się kondomy i viagra, które znaleźli w mieszkaniu Danielssona. Ja za seks płacić nie muszę, pomyślał

z zarozumiałą miną, choć nie miało to wiele wspólnego z prawdą.

– Też tak myślę – uśmiechnęła się Nadja. – Wydaje mi się, że R to pierwsza litera jej imienia.

– Nie wiesz, kto to może być?

– Pracuję nad tym. Dopiero zaczęłam. – Uśmiechnęła się.

– No dobrze – powiedział Bäckström i uśmiechnął się zadowolony. Skoro tak, to po południu poznamy imię tej panny, pomyślał.

– Jest jeszcze notatka z piątku czwartego kwietnia. „SL, dwadzieścia tysięcy”.

– SL – powtórzył Bäckström i pokręcił głową. – Jeśli kupił kartę miesięczną w Zarządzie Transportu Miejskiego w Sztokholmie za dwadzieścia tysięcy, powinna wystarczyć dla jego kolegów i sąsiadów.

– Ktoś o inicjałach SL dostał dwadzieścia tysięcy w piątek ósmego lutego. To też próbuję rozgryźć.

Dobrze słyszeć, że oprócz mnie jeszcze ktoś tu pracuje, pomyślał Bäckström, który sam dosłownie ugiął się pod nadmiarem roboty od prawie czternastu dni.

– Ale dopiero potem robi się naprawdę ciekawie – powiedziała Nadja. – Naprawdę ciekawie, jeśli chcesz znać moje zdanie, Bäckström.

Naprawdę ciekawie?

Mniej więcej raz w tygodniu, cztery do sześciu razy w miesiącu, łącznie dwadzieścia cztery razy w czasie tego okresu, powracają trzy sygnatury: „GT”, „OP” i „SP”, wszystkie pisane dużymi literami. Pojawiają się mniej więcej z tą samą częstotliwością i towarzyszy im zawsze numer. Każdej z sygnatur zawsze ten sam: „GT 5”, „OP 20”, „SP 50”. Wzór się powtarza z jednym wyjątkiem. Jeden raz przy sygnaturze SP pojawia się liczba 100 i litera U z wykrzyknikiem: „SP 100 U!”.

– Jak to rozumiesz? – zapytał Bäckström, wpatrując się w rozrzucone kartki i drapiąc się wolną prawą ręką po swojej okrągłej głowie.

– GT, OP i SP to moim zdaniem inicjały – powiedziała Nadja. – Liczby pięć, dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt i sto

oznaczają według mnie sumy, które zostają wypłacone. Musi to być jakiś prosty kod.

– Stary Danielsson nie przeplacał – roześmiał się Bäckström. Piątka tu, dwudziestka tam, od czasu do czasu jakaś pięćdziesiątka, tak to nawet ja potrafię, pomyślał Bäckström. Od wielkiego dzwonu jakaś stowa, byle nie za często. Na to jednak nie wygląda. Tylko jeden raz.

– Myślę inaczej. – Nadja pokręciła głową. – Wydaje mi się, że to są wielokrotności.

– Wielokrotności – powtórzył Bäckström. *Nazdarowie? Njet? Da?* O czym ona mówi?, pomyślał.

– Wydaje mi się, że sygnatura SP, która dostaje pięćdziesiąt, dostaje dziesięć razy tyle co sygnatura GT, która dostaje pięć. Z wyjątkiem tego jednego razu, kiedy dostaje sto, a więc dwadzieścia razy więcej.

– Otóż to – powiedział Bäckström. – Oczywiście – dodał po chwili. – A ten goguś OP, który dostaje dwadzieścia za każdym razem, dostaje cztery razy więcej niż ten GT, ale zaledwie połowę tego, co dostaje SP...

– Czterdzieści procent z wyjątkiem tego jednego razu, kiedy SP dostaje sto – poprawiła go Nadja.

– Dokładnie, właśnie to chciałem powiedzieć. A to „Bea” tutaj? Po każdej takiej wypłacie jest zawsze napisane Bea – powiedział Bäckström i na wszelki wypadek pokazał listę. – Przykładowo „SP, pięćdziesiąt, Bea” albo „GT, pięć, Bea”. Jak to rozumiesz?

– Wydaje mi się, że to skrót od słowa „płacić” – powiedziała Nadja. – Tacy jak Danielsson używają często tego rodzaju skrótów. Na przykład „bet”, co znaczy, że już „zapłaciłeś”. Albo „bea”<sup>3</sup>, które być może znaczy, że masz do zapłacenia pewną sumę.

– Aha – powiedział Bäckström, pogładził się po brodzie, robiąc przebiegłą minę. – Jaka to może być kasa? O jakiej kasie mówimy? – powtórzył na wszelki wypadek, bo obliczenia matematyczne, którymi się zajmowali, były dosyć skomplikowane.

---

3 *Betala* (szw.) – płacić.

– Pamiętaj, że to są czyste spekulacje – uprzedziła Nadja.

– Słucham – powiedział Bäckström, odłożył na wszelki wypadek kartki i odchylił się na krzesło. Korzystaj, Nadja, pomyślał. Rozmawiasz z jedyną osobą w policji, która jest w stanie zrozumieć, co mówisz.

– Jeśli założymy, że Danielsson wyjął dwa miliony koron w dniu, w którym został zamordowany, i zwrócimy uwagę, że od jego ostatniej wizyty w banku minęło prawie pół roku i że wówczas wyjął tyle samo, to wydaje mi się, że każdego miesiąca wypłacał około siedemnastu tysięcy koron GT, blisko siedemdziesiąt tysięcy OP i blisko sto siedemdziesiąt tysięcy SP. Czyli łącznie około dwustu pięćdziesięciu tysięcy miesięcznie – mówiła dalej. – W sześć miesięcy daje to półtora miliona. Jeśli uwzględnimy inne wydatki, które z pewnością ponosił w związku z tą działalnością, plus sto siedemdziesiąt tysięcy, które SP dostał w dniu, w którym przy jego inicjałach dopisano 100 U i wykrzyknik, dochodzimy do około dwóch milionów. W zaokrągleniu – podsumowała Nadja z językową swobodą, która stawała się częścią jej nowej szwedzkiej tożsamości.

– Wiem, co masz na myśli – powiedział Bäckström, który rozumiał przynajmniej to, co najważniejsze. Gdybym robił w wywiadzie kryminalnym, powiesiłbym się w szafie po jednym takim spotkaniu z Nadją, pomyślał. – Co z tym zrobimy? – zapytał. W końcu to ja tu jestem szefem, pomyślał.

– Pomyślałam, żeby zrobić z tego materiał dla sekcji wywiadu – powiedziała Nadja. – Może ktoś z nich miałby coś do dodania.

– Tak zrób – powiedział Bäckström, potakując dobrotliwie. Ciekawe, co te barany miałyby wniesić do sprawy na takim poziomie abstrakcji, pomyślał. – W najgorszym razie będziemy musieli rozgryźć to sami – dodał.

Trzydzieści minut później inspektor Toivonen wpadł do pokoju Bäckströma. Miał wypieki na twarzy i wymachiwał listem od ludzi z wywiadu, który przed chwilą wydrukował ze swojego maila.

– Co ty wyprawiasz do cholery, Bäckström! – warknął.

– Doskonale. Dziękuję, że pytasz. A ty jak się czujesz? – Mój mały lisek, pomyślał.

– GT, OP i SP – powiedział Toivonen i zamachał kartkami. – Co ty do cholery wyprawiasz?

– Właśnie sobie pomyślałem, że ty mi powiesz. – Bäckström uśmiechnął się łagodnie. Nie miałem racji? Drwał, pomyślał.

– GT jak Gasan Talib, OP jak Omar Parisafar, SP jak Samir Parisafar – powiedział Toivonen i wbił w niego wzrok.

– Nic mi to nie mówi. – Bäckström pokręcił głową. – Co to za ćwoki?

– Nigdy nie słyszałeś tych nazwisk? Myślałem, że znają je nawet w biurze rzeczy znalezionych, gdzie ostatnio pracowałeś. Nasi parkingowi wiedzą, kto to jest, a ty nie wiesz?

– Gdybym wiedział, nie wysyłałbym tego do wywiadu – odrzekł Bäckström. – Głupi jesteś czy co? – Tak zwane pytanie retoryczne. I co ty na to, drwalu, pomyślał i uśmiechnął się szeroko.

– Pilnuj się, Bäckström – powiedział Toivonen.

A potem zwyczajnie wyszedł.



PRZED WYJŚCIEM Z KOMENDY Toivonen zobaczył się jeszcze z komendant rejonową Anną Holt, która poprosiła go o nieformalne spotkanie w cztery oczy. Bez wody mineralnej, protokołów i innych zbędnych przedmiotów.

Po spotkaniu z Bäckströmem udał się bezpośrednio do Nadji. Powiedział jej, jak wygląda sytuacja, i poprosił ją, żeby zwracała baczną uwagę na wszystkie informacje, które mogły dotyczyć napadu w Bromma.

– Przepraszam – powiedziała Nadja. – Nie miałam pojęcia, że może istnieć związek między naszą sprawą i napadem. Gdybym o tym wiedziała, pierwsza przyszedłbym z tym do ciebie.

– W porządku – powiedział Toivonen ostrzejszym tonem, niż zamierzał. – Jutro wdramy plan działań w sprawie braci Parisafar i ich kuzyna. Nie chciałbym, żeby to wyciekło i żebym potem czytał o tym w gazetach.

– Nie przejmuj się Bäckströmem – powiedziała Nadja i poklepała go po ramieniu. – Obiecuję, że będę mieć na niego oko.

– Na ciebie zawsze można liczyć.

Następnie ruszył na szybki spacer wokół Solny, żeby obniżyć ciśnienie przed wizytą u swojej przełożonej.

– Siadaj – powiedziała Anna Holt. – Napijesz się czegoś?

– Dziękuję, nie trzeba – powiedział Toivonen i usiadł.

– Opowiadaj – powiedziała Holt.

– Istnieje związek między napadem w Bromma i zabójstwem Kari Viirtanena. Wydaje mi się nawet, że techniczni będą mogli to potwierdzić, gdy tylko uwiną się z furgonetką, której użyto do napadu. To Viirtanen zastrzelił ochroniarzy. Nie wiemy natomiast, kto siedział za kierownicą, choć mamy, jak się pewnie domyślasz, do wyboru kilka nazwisk. Pracujemy nad tym.

– Dlaczego ich zastrzelił?

– Bo ten biedak, który zginął, zdetonował ampułki z farbą,

znajdujące się w workach. Kari się wściekł, bo nie spodziewał się, że w tym worku będą jakieś ampułki.

– Mów dalej – powiedziała Holt.

Pieniądze przyszły z Londynu. Szwedzkie, duńskie i norweskie banknoty, które zostały wymienione w Anglii i Szkocji. Oprócz tego angielskie funty, zamówione przez szwedzkie banki i kantory wymiany walut. Przyleciały z Londynu na lotnisko Bromma zwykłym prywatnym samolotem z dwuosobową obsługą i czterema brytyjskimi biznesmenami na pokładzie. Nie mieli pojęcia, że w ostatniej chwili dorzucono im bagaż w postaci jedenastu milionów zapakowanych do niewielkiego materiałowego worka.

– Agencje ochrony mienia coraz częściej tak robią. Przy niedużych sumach dorzucają przesyłki do pozaplanowych transportów. Ze względów bezpieczeństwa obowiązujących w samolocie nie wolno wkładać ampułek z farbą do toreb. Mogą eksplodować wskutek zmian ciśnienia lub z innych powodów, co podczas lotu samolotem jest szczególnie niebezpieczne.

– Wyobrażam sobie – powiedziała Holt.

– Ponieważ ochroniarze nie mogą otwierać worków po dotarciu na miejsce – to wymóg, który udało się przepchnąć związkowi, żeby uniknąć podejrzeń o kradzieżę ze strony pracowników – zwykle jest tak, że gdy pieniądze docierają na miejsce, zostają przewiezione samochodem do depozytu bez ampułek z farbą. Te transporty odbywają się często w zwykłych nieoznakowanych samochodach, a ponieważ depozyt docelowy znajduje się zaledwie kwadrans drogi od lotniska Bromma, a przesyłana suma była stosunkowo niewielka – jedenaście milionów – przewożono ją właśnie w taki sposób.

– To jest niewielka suma? To jaka jest duża? – zapytała z uśmiechem Holt.

– Trzy lub czterocyfrowa, w milionach – powiedział Toivonen i również się uśmiechnął.

– Co więc poszło nie tak?

– Ochroniarz, który został zastrzelony, był niestety zbyt ambitny. Nie pytając szefa o pozwolenie, zabrał dodatkowy

pusty worek, który zawierał ampułki z farbą, i włożył do niego worek z pieniędzmi z Londynu. Gdy złodzieje zaczęli uciekać z workiem, zorientował się, co się dzieje, i zdetonował ampułki za pomocą pilota. Pilot ma zasięg dwustu pięćdziesięciu metrów, ale najwyraźniej mu się pospieszyło, bo ampułki wybuchły już po pięćdziesięciu metrach.

– Tylko czy to wystarczyło, żeby zabarwić banknoty znajdujące się w drugim worku? – przerwała Holt.

– Nie – powiedział Toivonen i uśmiechnął się kwaśno. – Nie wystarczyło, a na banknotach, które znaleźliśmy w porzuconym samochodzie, nie było właściwie żadnych przebarwień. Poza tym zaparkowali samochód dwadzieścia metrów od siedziby Hells Angels, niecały kilometr od lotniska. Pewnie chcieli zagrać im na nosie i prysnąć.

– Tyle że Kari Viirtanen nie wiedział, że banknoty nadawały się do użytku – stwierdziła Holt.

– No nie – powiedział Toivonen, kiwając głową. – Wkurzył się tak, jak tylko on potrafił. Kierowca robi nawrót, Kari opuszcza szybę i zaczyna strzelać do ochroniarzy, którzy próbują uciekać. Kierowca potrąca tego, który ucieka z lewej strony, co nie świadczy o nim najlepiej.

– Czy wiemy, co to za broń? – zapytała Holt.

– Pistolet maszynowy uzi kaliber dwadzieścia dwa – powiedział Toivonen. – Technicy od broni palnej są w tej kwestii niemal pewni. Najmniejszy magazynek mieści sześćdziesiąt nabojów, a na miejscu znaleziono jakieś trzydzieści łusek. Zabity ochroniarz dostał pięć strzałów w plecy, które utkwiły w jego kamizelce kuloodpornej, i trzy w głowę, od których zginął na miejscu. Ten drugi dostał dziesięć razy, ale żaden ze strzałów nie okazał się śmiertelny. Pozostałe dziesięć to pudła – stwierdził Toivonen.

– To mi wygląda na krecią robotę – rzekła Holt.

– Zgadza się – odpowiedział Toivonen. – Nasi brytyjscy koledzy szukają go swoimi kanałami, a my swoimi. Gdy tylko uda nam się coś ustalić, dalej będzie już z górki.

– Czy Viirtanen został zlikwidowany przez tych, którzy stali za napadem? – zapytała Holt.

– Tak, nie on jeden się wkurzył.

– A ten, co prowadził?

– Niedługo sam się pewnie znajdzie – powiedział Toivonen i uśmiechnął się ironicznie.

– Jeśli dobrze cię zrozumiałam wczoraj na spotkaniu, podejrzewacie braci Parisafar i ich strasznego kuzynka.

– Ludzie zawsze dużo gadają. Taka akcja wymaga przygotowania i zaangażowania wielu ludzi. Trzeba ukraść samochody, tablice rejestracyjne dostosowane do modelu samochodu, dowód rejestracyjny, opracować trasę ucieczki. Zawsze ktoś puści farbę. Bracia Parisafar i Gasan Talib to nasi faworyci. Trzeba zawsze stawiać na pewniaka – powiedział Toivonen, który bywał na torze w Solvalla również w czasie wolnym.

– A jaki jest związek Danielssona ze śmiercią gazeciarza?

– Jeśli to sobie ułożymy po kolei, wszystko wskazuje na to, że istnieje związek między Danielssonem i gazeciarzem. Tym biedaczyskiem, którego w nocy wyłowili z jeziora Ulvsunda. Kolega Niemi idzie o zakład, że to może być ten sam sprawca albo ci sami sprawcy. Jeden, dwóch albo nawet więcej.

– Tylko czy zabójstwo Danielssona i Akofeliego ma coś wspólnego z naszym napadem?

– Gdybyś zapytała mnie o to rano, zaprzeczyłbym, ale teraz nie jestem już taki pewien – powiedział Toivonen, podając jej kartkę w koszulce.

– Przeczytaj sama – powiedział. – Moja rozmowa z anonimowym informatorem plus informacje, które Nadja Högberg znalazła w kalendarzu Danielssona, uzupełnione o jej własne wnioski.

– Okej – powiedziała Holt. – Daj mi pięć minut.

– Zgadzam się z tobą – powiedziała cztery minuty później.

– Podobnie jak wszyscy, którzy myślą tak jak my – powiedział Toivonen. – Pozostaje jeszcze to poskładać w całość, ale już teraz możemy założyć, że Karl Danielsson pełnił rolę prywatnego bankiera braci Parisafar i ich kuzyna.

– Których niecałe dwa dni po napadzie łapie nagła potrzeba gotówki w wysokości dwóch milionów szwedzkich koron –

stwierdziła Holt.

– Sprzątanie po sobie sporo kosztuje – powiedział Toivonen.

PO SPOTKANIU Z TOIVONENEM Holt wróciła spacerem do swojego mieszkania przy Jungfrudansen w Solnie, a po drodze zrobiła zakupy. Jej mieszkanie znajdowało się zaledwie parę kilometrów od komendy i jeśli tylko miała okazję, wołała wracać pieszo. Tym bardziej w taki dzień. Bezchmurne niebo, dwadzieścia sześć stopni, jak środek szwedzkiego lata, choć był dopiero koniec maja.

Od kiedy została szefową komendy rejonowej policji okręgu Västerort, coraz częściej myślała o nim jak o swoim królestwie, a może raczej księstwie, i o tym, jak ważne jest być dobrym i oświeconym monarchą otaczającym troską mieszkańców i stojącym na straży prawa i sprawiedliwości. Holt County, pomyślała, to by się tak chyba nazywało, przynajmniej w języku gminu, gdyby była panią szeryfową w jakimś stanie na środkowym albo południowym zachodzie.

Ponad trzysta pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych ziemi i wody między Mälaren na zachodzie a Edsviken i Saltsjön na wschodzie. Między rogatkami Sztokholmu na południu a Norra Järva, Jakobsberg i szkierami Mälaren na północy. Księstwo zamieszkane przez ponad trzysta tysięcy mieszkańców. Pół tuzina miliardów, kilkuset milionerów i kilkadziesiąt tysięcy żyjących z zasiłku. A do tego wszyscy tak zwani zwykli obywatele.

Pięciuset policjantów, spośród których wielu zasłużenie zaliczano do najlepszych w kraju. Do tego sporo zwyczajnych, normalnych kolegów. I jeszcze Evert Bäckström.

I nagle ziejący ogniem smok wbił szpony w jej ziemię, w jej włości. Cztery morderstwa w ciągu jednego tygodnia, czyli tyle, ile zwykle zdarzało się w ciągu całego roku na terenie zaliczanym do najbardziej niebezpiecznych w kraju.

Potrzebuję rycerza na białym rumaku, który zabije dla mnie smoka, pomyślała Holt i zachichotała na myśl, co by się stało, gdyby powiedziała to głośno na jakimś spotkaniu z członkiniami związku zawodowego policjantek, w którego

zarządzie zasiadała.

Ten, kto zabije smoka, dostanie pół królestwa i królową za żonę, pomyślała i uśmiechnęła się pod nosem, bo przyszła jej na myśl Magda Hernandez, która doskonale nadawałaby się do tej roli. Zwłaszcza gdyby mieli o tym decydować koledzy.

Ja już jestem za stara, jesienią stuknie mi czterdzieści osiem lat, pomyślała Holt i westchnęła. Zresztą miała już męża, z którym żyło jej się coraz lepiej i w którym pewnie była zakochana, a może nawet go kochała, choć do tej pory starała się o tym nie myśleć. Wystarczy, jeśli mój biały rycerz zabije dla mnie smoka, pomyślała.

Ten, kto zabije smoka, dostanie pół królestwa i królową za żonę, postanowiła Anna Holt i uśmiechnęła się do siebie w myślach.

Lepiej, żeby się pospieszył, pomyślała szefowa komendy rejonowej policji w Västerort.

W PIĄTEK KOMISARZ kryminalny Alm zamierzał wyrwać się chwilę wcześniej z pracy. Za parę godzin zaczynał się weekend, a jego czekała jeszcze masa przygotowań przed kolacją z przyjaciółmi, których zaprosili z żoną do siebie.

Wydawało się, że śledztwo toczy się swoim rytmem najwyraźniej bez jego udziału. Nieoczekiwana śmierć Akofeliego co prawda skomplikowała sprawę, ale wierzył, że wszystko się ułoży, gdy tylko znajdzie chwilę, żeby się nad tym dobrze zastanowić. Niestety jego nadzieje zostały brutalnie rozwiane i nie zdążył już do monopolowego, jak wcześniej zamierzał. Musiał zadzwonić do żony i prosić ją tak długo, aż zgodziła się zrobić to wszystko, co obiecał zrobić sam.

Godzinę po lunchu, gdy już zdążył się spakować i przygotować do ewakuacji wyjściem przez zaplecze, do jego gabinetu wszedł niezapowiedziany gość. Kiedy wreszcie udało mu się dotrzeć do domu, wszyscy czekali już na niego w salonie. Jego żona stała w kuchni, pobrzękując talerzami i szklankami, a spojrzenie, którym go zmierzyła, nie miało w sobie nic z łagodności.

– Cześć, kochanie – powiedział i pochylił się, żeby dać jej buziaka. Chociaż w policzek, pomyślał.

– Gdyby pan komisarz zechciał zająć się naszymi gośćmi, to ja zrobię coś do picia – powiedziała żona i odwróciła głowę.

– Dobrze, kochanie – powiedział Alm. Co za straszny dzień, pomyślał.

– W czym mogę ci pomóc, Seppo? – Alm skinął przyjaźnie do Seppo Lauréna i spojrzał odruchowo na zegarek. Może powinienem włączyć nagrywanie, pomyślał i położył swój mały dyktafon na stole. Koleś ma nierówno pod sufitem, lepiej się zabezpieczyć. – W czym mogę ci pomóc, Seppo? – powtórzył z uśmiechem.

– Czynsz – powiedział Seppo. – Co teraz będzie z czynszem? – zapytał, wręczając rachunek Almowi.

– Jak robiłeś do tej pory? – zapytał przyjaźnie Alm, zerkając



na wezwanie. Ponad pięć tysięcy koron. Sporo jak za dwupokojowe w tym budynku, pomyślał.

– Płaciła mama – powiedział Seppo. – Ale zachorowała, więc dawałem je Kallemu. No ale ktoś go zamordował. Co teraz?

– Kalle Danielsson pomagał ci w opłacaniu czynszu – powtórzył Alm. – Od czasu choroby twojej mamy – dodał. Muszę ściągnąć kogoś z opieki społecznej, pomyślał i zerknął jeszcze raz na zegarek.

– Tak, i dawał mi pieniądze na zakupy – powiedział Seppo. – Kalle. Od kiedy zachorowała mama.

– Kalle był miły i ci pomagał – stwierdził Alm. Przecież musi być jakiś rodzaj emerytury albo renty, pomyślał Alm.

– Powiedzmy – odparł Seppo, wzruszając ramionami. – Kłócił się z mamą.

– Kłócił się z twoją mamą?

– Tak. Najpierw na nią nakrzyczał. Potem ją popchnął. Potknęła się i uderzyła w głowę. O stół w kuchni.

– Popchnął ją – powtórzył Alm. – U was w domu. I uderzyła się w głowę? – O czym ten chłopak mówi, pomyślał.

– Tak – powiedział Seppo.

– Dlaczego to zrobił?

– Potem się rozchorowała i zemdląła w pracy, i musiała jechać do szpitala. Karetką.

– Co zrobiłeś, gdy Kalle kłócił się z twoją mamą?

– Uderzyłem go – wyznał Seppo. – Karate. Potem go kopnąłem. Poleciała mu krew z nosa. Byłem zły. Rzadko jestem zły.

– A co zrobił Kalle po tym, jak go uderzyłeś?

– Pomogłem mu wejść do windy. Żeby wrócił do siebie.

– I to się stało dzień przed tym, jak twoja mama zachorowała i trafiła do szpitala?

– Tak.

– Co się potem stało? Po tym, jak twoja mama trafiła do szpitala?

– Dostałem nowy komputer i dużo gier.

– Od Kallego?

– Tak. Przeprosił. Umówiliśmy się, że nie będziemy się już

bić. Obiecał, że będzie mi pomagał do czasu, kiedy mama wyzdrowieje i wróci do domu.

– Odtąd już nigdy więcej go nie uderzyłeś.

– Uderzyłem – powiedział Seppo i pokiwał głową. – Uderzyłem go jeszcze raz.

– Dlaczego? – zapytał Alm.

– Bo ona już nigdy nie wróci do domu – powiedział Seppo. – Leży w szpitalu i nie chce ze mną rozmawiać, kiedy do niej przychodzę.

Co tu się dzieje? Muszę znaleźć Carlsson, pomyślał.

OD TOIVONENA DOSTAŁA trzy nazwiska: Gasan Talib, Omar Parisafar i Samir Parisafar, odpowiadające literom GT, OP i SP w kalendarzu Danielssona. Zostają dwa, pomyślała Nadja Högberg, włączając komputer w piątek o ósmej rano. Ponad pięć godzin przed tym, gdy jej kolega komisarz Lars Alm został zaszczycony nieoczekiwaną wizytą u siebie w pokoju.

„SL” i „R”, imię i nazwisko oraz imię, pomyślała.

Najpierw wyjęła listę wszystkich osób, które pojawiły się w czasie prowadzonego przez nich dochodzenia w sprawie Karla Danielssona i Septimusa Akofeliego. Ofiary, rodzina, przyjaciele i znajomi, koledzy z pracy, sąsiedzi, świadkowie, podejrzani i osoby postronne. Gdy wystukała na klawiaturze imiona i nazwiska trzystu szesnastu osób, otrzymała trzy wyniki: Susanna Larsson, lat osiemnaście, Sala Lucik, lat trzydzieści trzy, i Seppo Laurén, lat dwadzieścia dziewięć.

Susanna Larsson pracowała w Ekokurierze i była koleżanką Akofeliego. Nazwisko Sali Lucik mieszkającej nad Akofelim znajdowało się na liście z obchodu, ale nie można się z nią było skontaktować, ponieważ od czternastu dni siedziała w areszcie podejrzana o poważne przestępstwa narkotykowe. Seppo Laurén był sąsiadem Danielssona. Tym samym młodym człowiekiem, który zdaniem Bäckströma „miał nierówno pod sufitem”.

Łatwizna, pomyślała Nadja Högberg i wyświetliła akta personalne Seppo Lauréna. Najbliższa krewna, Ritwa Laurén, lat czterdzieści dziewięć, od kilku miesięcy leżała w szpitalu na skutek wylewu krwi do mózgu. Ojciec nieznany, przeczytała Nadja.

Czy to może być aż takie proste?, pomyślała.

Na to wygląda, uznała, kiedy pięć minut później wyświetliła zdjęcie paszportowe Ritwy Laurén na ekranie swojego komputera. W chwili wykonania fotografii miała czterdzieści dwa lata. Blondynka, ładna, powściągliwy uśmiech, ujęcie z półprofilu, nie wyglądała na starszą niż trzydzieści pięć lat.

Mieszkała w tym samym mieszkaniu na Hasselstigen przez ponad dwadzieścia dziewięć lat. Gdy się do niego wprowadzała ze swoim trzymiesięcznym synem, nie miała jeszcze dwudziestu lat. Wówczas jej o dwadzieścia lat starszy sąsiad Karl Danielsson mieszkał już w tym samym budynku od pięciu lat. Nie wierzę w przypadki, pomyślała Nadja Högborg.

Niecałe cztery miesiące temu, w piątek ósmego lutego, „SL” dostał dwadzieścia tysięcy koron od Karla Danielssona. Dzień wcześniej, w czwartek 7 lutego, matka Seppo Lauréna, Ritwa, została znaleziona nieprzytomna w toalecie w pracy, odwieziona karetką na oddział ratunkowy w szpitalu Karolinska i w ciągu kilku godzin operowana na oddziale neurochirurgii. Miesiąc później przeniesiono ją do ośrodka rehabilitacyjnego. Odzyskała przytomność, ale nic poza tym.

Pięć minut później Nadja Högborg wertowała już stertę dokumentów, które technicy znaleźli w mieszkaniu Danielssona. Jednym z nich była faktura za komputer, akcesoria i oprogramowanie, jak również sześć gier komputerowych na łączną sumę dziewiętnastu tysięcy osmiuset siedemdziesięciu pięciu koron; wszystko zakupione w sklepie komputerowym w centrum Solny i opłacone gotówką w piątek ósmego lutego.

Ojciec nieznany, pomyślała Nadja Högborg. Mężczyźni to świnie, pomyślała. Przynajmniej niektórzy, poprawiła się doktor filozofii Nadjesta Iwanowa. Tym razem potrzebowała zaledwie godziny, żeby znaleźć jednego z nich.

Resztę dnia spędziła na szukaniu miejsca, w którym można było ukryć księgi rozrachunkowe z dziesięciu lat. Tym razem to nie skrytka bankowa, pomyślała Nadja, bo takie księgi zajmowałyby przynajmniej kilka szuflad. Musiał wynająć gdzieś depozyt. Nie za blisko, ale też nie za daleko. Danielsson był człowiekiem pragmatycznym i cenił sobie wygodę, a życie organizował sobie według własnych potrzeb. Nie dalej niż kurs taksówką, pomyślała. Zaczęła stukać w klawiaturę.

Tuż przed godziną piątą Annika Carlsson i Lars Alm wpadli zdyszani do jej pokoju. Podczas przesłuchania Seppo Lauréna po południu wyszły na jaw nowe, wcześniej nieznane

okoliczności. Obciążające.

– Słucham – powiedziała Nadja Högberg, odchyliła się na krzesło i splotła dłonie na swoim niewielkim, zaokrąglonym brzuchu. Właśnie, ciekawe, gdzie on się podział?, pomyślała, bo nie widziała Bäckströma od rana.

– Przyznaje się do wcześniejszego pobicia Danielssona. Chyba uważał, że to przez Danielssona jego mama trafiła do szpitala. Jego relacje z Danielssonem wyglądają zupełnie inaczej, niż na początku sądziliśmy. O tym, że tylko czasem coś mu załatwiał, możemy zapomnieć. Danielsson najwyraźniej płacił czynsz za mieszkanie i dawał chłopakowi pieniądze na zakupy. I na wiele więcej. Z daleka pachnie mi tu zemstą – podsumował Alm.

– I jeszcze kupił mu komputer za kilka ładnych tysięcy – dodała Carlsson.

– Co może nie jest takie dziwne, skoro jest ojcem Seppo – odparła Nadja.

– Słucham? – Annika Carlsson wybałuszyła oczy ze zdziwienia.

– O czym ty, kurwa, mówisz? – spytał Lars Alm.

– Proponuję, żebyśmy zrobili tak – powiedziała Nadja Högberg, podnosząc ręce, żeby ich uciszyć. – Annika, pobierz próbkę materiału genetycznego od Seppo, żebyśmy mieli załatwiony temat ojcostwa. DNA Danielssona już mamy. Na wyniki badań DNA Lauréna pewnie poczekamy ze dwa tygodnie, ale obiecuję, że gdy tylko pobierzecie próbkę, powiem wam, o co chodzi. A ty, Lars, jedź w tym czasie do jego domu i wymontuj z komputera twardy dysk – dodała.

– Do czego jest ci potrzebny? – zdziwił się Alm.

– O ile się nie mylę, sam ci powiedział na przesłuchaniu, że przez cały wieczór i noc grał na komputerze – odparła Nadja Högberg. Banda debili, nagle prowadzę dochodzenie, choć jestem tylko szeregowym pracownikiem służby cywilnej, pomyślała.

Uwinęli się w półtorej godziny. Najpierw Nadja opowiedziała, co udało jej się znaleźć na temat Karla Danielssona, Ritwy i Seppo Lauréna. Kiedy skończyła, Alm i Carlsson spojrzeli

najpierw po sobie, następnie na Nadję i w końcu z oporem przytaknęli.

– Tylko dlaczego przez tyle lat ukrywał, że jest jego ojcem? – zdziwiła się Annika Carlsson.

– Żeby nie płacić alimentów – odparła Nadja. – W ten sposób Karl Danielsson zaoszczędził kilkaset tysięcy koron.

– Ale dlaczego nie powiedział o tym nawet swojemu własnemu synowi? Seppo najwyraźniej nie ma pojęcia, że Danielsson był jego tatą – dodał Alm.

– Pewnie się go wstydził. Może nie był dla niego wystarczająco dobry – stwierdziła Nadja. Niektórzy faceci to świnie, pomyślała.

Potem w trójkę udali się do pokoju Alma, gdzie siedział Seppo Laurén w towarzystwie Felicii Pettersson. Pił coca-cole i wyglądał, jakby świetnie się bawił.

Nadja podłączyła jego twardy dysk i razem sprawdzili, co takiego robił od środy po południu 14 maja do czwartku rano 15 maja. Seppo siedział przy swoim komputerze od kwadrans po szóstej w środę po południu do kwadrans po szóstej w czwartek rano. Około trzeciej rano zrobił sobie przerwę na osiem minut. Poza tym klikał bez przerwy, dwanaście godzin z rzędu.

– Zgłodniałem – wyjaśnił. – Zrobiłem sobie przerwę, zjadłem kanapkę i wypilem szklanek mleka.

– Co robiłeś potem? Gdy już skończyłeś grać? – zapytał Alm, bo nie miał zamiaru się poddać, chociaż Nadja posłała mu kilka ostrzegawczych spojrzeń.

– Zasnąłem – odpowiedział Seppo i zerknął zdziwiony na Alma. – A ty co byś zrobił?

BÄCKSTRÖM ZACZAŁ PIĄTEK od telefonu do swojej szefowej, Anny Holt, by poprosić o wsparcie. Nagle miał na głowie podwójne zabójstwo, a skład zespołu dochodzeniowego, od początku zbyt mały, pozostał niezmienny.

– Słyszę, co mówisz – powiedziała Holt, która coraz częściej mówiła jak jej dawny szef Lars Martin Johansson. – Problem w tym, że nie mogę dać ci nikogo więcej. Już teraz ledwo zipiemy.

– Toivonen ma trzydziestu ludzi do rozwiązania sprawy napadu. Ja mam pięciu do sprawy podwójnego zabójstwa, którego sprawcy nie znamy. Dziwne tu macie priorytety – powiedział Bäckström i uśmiechnął się łagodnie. Masz, chuda szkapo, pomyślał.

– To ja je ustaliłam. I się ich trzymam. Jeśli pojawi się więcej poszlak wskazujących na to, że organizatorzy napadu zlikwidowali również Danielssona i Akofeliego, wtedy włączę was do dochodzenia Toivonena.

– To nie byłoby najlepsze posunięcie – powiedział Bäckström. Nie tylko chuda, pomyślał.

– Dlaczego?

– Jakoś trudno mi uwierzyć, że bracia Parisafar mieliby zabić kogoś, kto pomógł im ukryć ich pieniądze. Jeszcze trudniej mi uwierzyć, że Danielsson próbował ich oszukać. Może był pijakiem, ale raczej nie samobójcą. Wiesz, z czym mam największy problem?

– Nie – odparła Holt i uśmiechnęła się nerwowo. – Może mi powiesz?

– Nawet jeśli to oni zabili Danielssona, bo próbował ich okantować, to powinni byli coś zrobić z kasą, która została w jego skrytce.

– Wiesz co, Bäckström? Mam wrażenie, że do czegoś zmierzasz. Może nawet masz pomysł, kto zabił Danielssona i Akofeliego?

– Tak. Daj mi jeszcze tylko tydzień.

– Nie ma problemu – powiedziała Anna Holt. – W takim razie czekam, a teraz wybacź. Mam jeszcze sporo roboty.

Może uda się upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, pomyślał Bäckström i ruszył prosto do Anniki Carlsson, żeby dowiedzieć się, jak im idzie.

– Na razie nic specjalnego – westchnęła. – Obchód nie przyniósł na razie nic nowego. Technicy wciąż coś tam dłubią, nie mamy nic z CLK ani od lekarza sądowego. Sami też trochę nie wiemy, co dalej.

– Akofeli – powiedział Bäckström i pokręcił swoją okrągłą głową. – Coś tu się nie zgadza.

– Myślałam, że Felicia już to sprawdziła – odparła Annika Carlsson i spojrzała na niego zaskoczona. – Zresztą sam naprowadziłeś ją na trop.

– Nie mam na myśli jego telefonów – odrzekł, kręcąc głową. – Coś innego mi nie pasuje.

– Wciąż nie wiesz co?

– Właśnie. Czuję to w kościach, ale wciąż nie wiem, co to jest.

– I sądzisz, że to może mieć znaczenie w śledztwie.

– Znaczenie! – prychnął Bäckström. – To wyjaśni wszystko. Zarówno w sprawie Danielssona, jak i Akofelięgo.

– O Boże – stęknęła Annika Carlsson i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

Heloł *and Good bye*, jak można być tak głupim, pomyślał Bäckström.

– Musisz mi pomóc – powiedział z poważną miną. – Wydaje mi się, że tylko ty będziesz w stanie to zrobić.

– Spróbuję – powiedziała Annika Carlsson.

Żebyś się nie nudziła w weekend, w czasie gdy ja będę odpoczywał, pomyślał.

Następnie Bäckström odprawił wszystkie tradycyjne piątkowe rytuały. W automatycznej sekretarce swojego telefonu nastawił informację o wyjściu w sprawach służbowych. Wyłączył komórkę. Wyszedł z komendy. Pojechał taksówką w bezpieczne miejsce na Kungsholmen i zjadł porządny lunch. Następnie przeszedł się spacerem do swojego legowiska, uciął sobie zasłużoną drzemkę i w ramach



ostatniego punktu piątkowego programu odwiedził swoją masażystkę.

Wyjątkowo świadomą ciała Polkę, Elżbietę, lat dwadzieścia sześć, która prowadziła gabinet odnowy niedaleko jego mieszkania, zawsze przyjmowała Bäckströma w piątki jako ostatniego klienta, zawsze realizowała pełny program i kończyła sesję, dając jego supersalami przedsmak weekendowych uciech.

Wieczorem planował zjeść kolację ze swoim starym znajomym, znanym handlarzem dziełami sztuki Gustafem G:son Henningiem, któremu Bäckström nieraz już pomógł, a który odwdzięczał się, zapraszając go na kolację.

– Co powiesz na knajpę w podziemiach Opery o wpół do ósmej? – zapytał Henning.

Zamożny siedemdziesięcioletek, przyprószonego siwizną, ubrany w równo skrojony garnitur, znany z telewizyjnych programów o antykach. Na mieście i w kręgach opiniotwórczych był znany jako GeGurra i w niczym nie przypominał młodocianego chuligana Juhy Valentina Anderssona-Snyga, urodzonego w roku 1937, którego akta personalne zniknęły z archiwów sztokholmskiej policji już wiele lat temu.

– Może o ósmej? – powiedział Bäckström, bo zamierzał spędzić chwilę dłużej na rytuałach pokrzepiających ciało i duszę.

– Jesteśmy umówieni – zgodził się GeGurra.

INSPEKTOR TOIVONEN nie miał trzydziestu ludzi do prowadzenia śledztwa w sprawie zabójstwa konwojentów, jak twierdził Bäckström. Już w piątek rano nadeszły posiłki z Komendy Głównej, Sił Szybkiego Reagowania i prewencji, z komendy wojewódzkiej w Sztokholmie i innych rejonów w województwie. Nawet policja ze Skanii wysłała mu trzech śledczych ze specjalnej wojewódzkiej grupy dochodzeniowej. W tej chwili dysponował ponad siedemdziesięcioma śledczymi, własną grupą szybkiego reagowania i wystarczyło, że kiwnie palcem, a znaleźliby się kolejni. Toivonen dostawał teraz każdego, kogo wskazał, a potem razem ze swoimi zastępcami przez cały dzień planował podział zadań.

Rozpisano pełny program czynności. Śledztwo wewnętrzne i zewnętrzne, obserwacja, podsłuch połączeń, namierzanie telefonów, ukryty podsłuch, zwiększenie presji, odgradzanie i odsiewanie wszystkich *hang-arounds* i *wannabes* w otoczeniu braci Parisafar i ich kuzyna Gasana Taliba. Wsadzić ich do aresztu, przesłuchać, zabezpieczyć ich samochody, przeszukać przy najbliższej okazji, a jeśli trzeba, spuścić im lanie, gdyby powiedzieli coś nieodpowiedniego, wykonywali nerwowe ruchy albo robili cokolwiek innego.

– Jedziemy. Czas już, żeby panowie Parisafar trafili za kraty – powiedział Toivonen z ponurą miną, spoglądając na swoich współpracowników.

O godzinie szóstej wieczorem inspektor Jorma Honkamäki i jego koledzy z Sił Szybkiego Reagowania wraz ze sztokholmskim oddziałem prewencji przeprowadzili łącznie dziesięć nalotów na mieszkania w Huddinge Botkyrka, Tensta-Rinkeby i Norra Järva. Nie prosili o pozwolenie, drzwi wejściowe do mieszkań poszły w drzazgi. Jeśli ktoś był akurat w środku, został zakuty w kajdanki i wyprowadzony. Wpuszczono psy do wykrywania narkotyków i bomb i zwykłe psy policyjne, sprawdzono meble i wszystkie sprzęty domowego użytku, ruchome i zamocowane, wyburzono ścianę

działową w sklepie we Flemingsberg, znaleziono pieniądze, narkotyki, broń, amunicję, ładunki wybuchowe, moduły zapłonowe, granaty dymne, kolczatki, kominiarki, kombinezony, rękawiczki, tablice rejestracyjne oraz skradzione pojazdy. Gdy słońce wstawało, przynosząc nowy dzień w najpiękniejszej stolicy świata, dwadzieścia trzy osoby siedziały w areszcie, a to był dopiero początek.

Linda Martinez została mianowana inspektorem w wydziale kryminalnym Komendy Głównej Policji, wypożyczoną przez Toivonen i odpowiedzialna za śledztwo zewnętrzne w sprawie braci Parisafar i ich kuzyna. Starannie dobrała członków swojego zespołu i znała słabości przeciwnika.

– Ani jednego Svenssona jak okiem sięgnąć – stwierdziła Martinez, gdy instruowała swoich ludzi. – Sami czarni, brązowi i granatowi – powiedziała i się roześmiała.

Zanim Toivonen wyszedł z komendy w Solnie, spotkał się jeszcze ze swoją szefową Anną Holt, żeby zdać raport z najświeższych ustaleń służb wywiadowczych na temat ewentualnych powiązań Karla Danielssona z braćmi Parisafar i Gasanem Talibem. Teraz, gdy już wiedzieli, czego szukają, łatwiej było cokolwiek znaleźć. Między innymi materiały z dochodzenia sprzed dziesięciu lat, z którego wynikało, że Karl Danielsson mógł brać udział w praniu pieniędzy po wielkim napadzie w Åkalla na północ od Sztokholmu. Ponieważ posiadane przez nich informacje nigdy nie pozwoliły na postawienie komukolwiek zarzutów, z czasem sprawa została umorzona, a potem zapomniana.

W marcu 1999 roku, przed ponad dziesięcioma laty, co najmniej sześciu zamaskowanych i uzbrojonych napastników napadło na depozyt firmy konwojenckiej w Åkalla. Wjechali piętnastotonowym wózkiem widłowym prosto w ścianę, za którą mieścił się skarbiec. Zmusili personel do położenia się na podłodze i kiedy po pięciu minutach stamtąd prysnęli, mieli ze sobą ponad sto milionów w nieoznaczonych szwedzkich banknotach.

– A dokładnie sto jeden milionów sześćset dwanaście tysięcy koron – powiedział Toivonen, czytając na wszelki wypadek

z kartki.

– Niezła dniówka – stwierdziła Holt. – To się dopiero nazywa napad.

– Tyle że nam się wszystko posypało.

Nie udało się odzyskać nawet korony. Nie udało się doprowadzić do skazania ani jednego z uczestników napadu, choć wiadomo było, kim są, jaki mieli plan i jak przeprowadzili skok. Jedynym pocieszeniem w tych okolicznościach było to, że nikt nie ucierpiał, choć akurat to była zasługa raczej napastników, a nie policji.

Mózgiem operacji był dobrze znany gangster marokańskiego pochodzenia Abdul Ben Kader, urodzony w 1950 roku, a więc w czasie napadu mający pod sześćdziesiątkę. Mieszkał w Szwecji od ponad dwudziestu lat, a jego nazwisko pojawiało się w związku z wieloma zdarzeniami o charakterze przestępczym, począwszy od nielegalnej działalności salonów gier i knajp z alkoholem, przez burdele, kradzieże i rozboje po oszustwa ubezpieczeniowe i napady.

Wiecznie podejrzany, trzykrotnie zatrzymany i aresztowany. Nigdy jednak nie został skazany, nigdy nie musiał spędzić choćby dnia w szwedzkim zakładzie karnym.

– Kilka miesięcy po napadzie w Åkalla skurczybyk przeszedł na emeryturę i wrócił do Maroka – powiedział Toivonen z kwaśnym uśmiechem. – Podobno jest tam teraz właścicielem kilku klubów i co najmniej dwóch hoteli.

– Co mają z tym wspólnego bracia Parisafar i ich kuzyn? – zapytała Holt.

Wszyscy trzej brali udział w napadzie. Toivonen i jego koledzy nie mieli co do tego wątpliwości. Samir, który w chwili napadu miał dwadzieścia osiem lat, dowodził całą operacją. Młodszy od niego o trzy lata kuzyn prowadził wózek widłowy, a jego młodszy brat Omar, zaledwie dwudziestotrzyletni, zebrał migiem kasę, choć miał na sobie kombinezon, rękawiczki i kominiarkę zakrywającą całą twarz.

– Ben Kader był dla Samira kimś w rodzaju mentora. Samir był jego ulubieńcem, chociaż nie pochodzi z północnej Afryki, tylko z Iranu. Obaj są muzułmanami i całkowitymi

abstynentami – dodał Toivonen z jakiegoś powodu. – Samir przyjechał tu ze swoją rodziną w wieku trzech lat. Jego młodszy brat urodził się już w Szwecji. Ben Kader nie ma własnych dzieci, a ponieważ mały Samir dobrze się zapowiadał, miał do niego słabość. Utrzymują ze sobą kontakt, nie dalej jak kilka tygodni temu dostaliśmy informacje od naszych francuskich kolegów z Interpolu, że w marcu tego roku spotkali się na Riwierze.

– Danielsson – przypomniała Holt.

– Ben Kader zatrudniał go jako księgowego, audytora i doradcę finansowego na potrzeby legalnych gałęzi swojego biznesu. Był właścicielem między innymi sklepu spożywczego w Sollentunie, trafiki i pralni z punktem krawieckim tu, w Solnie. Teraz już wiemy, że Danielsson nie zajmował się tylko tym, ale ponieważ niczego nie znaleziono, przesłuchano go jedynie w celu zebrania informacji.

Gdy Ben Kader wrócił do Maroka, Samir przejął sklep spożywczy i Danielssona. Wciąż jest właścicielem butiku w Sollentunie. Zatrudnia w nim swoją rodzinę, ale to on jest właścicielem. Natomiast Danielsson zniknął ze wszystkich dokumentów.

– Akofeli – powiedziała Holt. – Co on ma z tym wspólnego? Raczej nie brał udziału w napadzie w Åkalla, miał wtedy zaledwie szesnaście lat.

– Szczerze mówiąc, nie mam bladego pojęcia – odparł Toivonen i pokręcił głową. – Nie wydaje mi się, żeby miał coś wspólnego z Danielssonem albo braćmi Parisafar. Być może znalazł się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie i poślizgnął się na skórce od banana. Nie wierzę, żeby to on zabił Danielssona.

– A bracia Parisafar i Gasan Talib? Czy oni mogli zamordować Danielssona i Akofeliego?

– Nie mam pojęcia – westchnął Toivonen.

– Może się niebawem okaże – powiedziała Holt z uśmiechem. – Bäckström obiecał, że niedługo skończy. Powiedział, że potrzebuje jeszcze tylko tygodnia.

– Nie mogę się doczekać – prychnął Toivonen.

Następnie Toivonen ruszył do domu w Spånga. Zrobił obiad dla swoich dwóch nastoletnich synów, bo jego żona pojechała do Norrland, żeby odwiedzić swojego chorego ojca. Po obiedzie chłopcy wyszli, żeby spotkać się z kolegami. Toivonen nalał sobie duże piwo i małą whisky i zainaugurował weekend przed telewizorem. Gdy jego najmłodszy syn wrócił do domu około jedenastej, ojciec leżał na kanapie i przysypiając, oglądał kanał sportowy.

– Lepiej się połóż – powiedział syn. – Kiepsko wyglądasz, tato.

PANOWIE BÄCKSTRÖM i GeGurra spotkali się w restauracji w podziemiach Opery krótko po ósmej; wyjątkowo uprzejmy kierownik sali poprowadził ich do stojącego na uboczu stolika na tarasie. Przyjął zamówienia, uklonił się raz jeszcze i szybko oddalił. Również tym razem zapraszał GeGurra.

– Cieszę się, że widzę inspektora – powiedział, uniósł duży kieliszek dry martini i nadział ostrożnie oliwkę, którą dostał na talerzyku obok.

– Też się cieszę, że cię widzę – przytaknął Bäckström, wznosząc kieliszek wypełniony podwójną wódką z lodem. Choć coraz bardziej wyglądasz jak zwykły fagas, pomyślał.

Następnie złożyli zamówienie. Bäckström wystąpił w roli eksperta, dzięki czemu również GeGurra zjadł jak człowiek. Przynajmniej z grubsza rzecz ujmując.

– Najpierw poproszę tost Skagen z marynowanym łososiem na dodatkowym talerzu, następnie befszytk à la Rydberg z dwoma żółtkami. Piwo i wódkę na bieżąco, a resztę za chwilę.

– A pan dyrektor czego się napije? – zapytał kelner, wychylając się jeszcze kilka centymetrów dalej w prawo.

– Czeskie piwo i rosyjską wódkę. Macie tu Standard? – Co znaczy „dyrektorze”, pomyślał.

– Niestety nie – z ubolewaniem w głosie odpowiedział kelner. – Ale mamy Stolichnaya. Cristal i Gold.

– Stolichnaya – poprawił go Bäckström, od niedawna znawca kultury rosyjskiej. – W takim razie zacznę od Gold do ryby, a potem Cristal do steku – postanowił, ponieważ był również koneserem.

– Trzydziestka czy sześćdziesiątka?

Jaja sobie robi?, pomyślał Bäckström. Mam pić z naparstka?

– Osiemdziesiątka – odparł Bäckström. – Tylko bez ściemniania.

GeGurra pochwalił Bäckströma za jego doskonały wybór. Zrezygnował z dodatkowego łososia i drugiego żółtka, zadowolili się trzydziestką do przystawki i poprosił o kieliszek

czerwonego wina do mięsa.

– Macie jakieś dobre Cabernet Sauvignon na kieliszki?

Naturalnie, zapewnił kierownik sali. Wyjątkowy amerykański rocznik 2003, Sonoma Valley, i dziewięćdziesiąt procent Cabernet.

– I jeszcze mały kieliszek Petit Verdot, dla podrasowania smaku.

Pedały, pomyślał Bäckström, skąd oni to wszystko biorą? Podrasują, podpicują, a najlepiej od tyłu.

Mimo wszystko spędzili miło czas. GeGurra miał niewątpliwie gest. Podziękował Bäckströmowi za niedawną pomoc, bo ten poinformował go o działaniach policji w związku z aferą na rynku dzieł sztuki, które trwały całą zimę. Jak zwykle upośledzeni koledzy Bäckströma dali ciała, a nazwisko GeGurra nie pojawiło się nawet we wstępnych opracowaniach.

Była to jak dotąd ostatnia pomoc Bäckströma w poszukiwaniu rzeczy zagubionych, a że chwilowo nie miał dostępu do potrzebnych informacji, zalogował się na komputer swojego głęboko upośledzonego kolegi, byłego technika kryminalnego, który od czasu, gdy próbował otruć swoją żonę, pracował na pół etatu. Bäckström nagrał dwie dodatkowe płyty – jedną dla GeGurry, a drugą dla siebie, na wszelki wypadek.

– Nie ma sprawy – powiedział Bäckström skromnie.

– Czy wpłaty pojawiają się regularnie? – zapytał GeGurra z jakiegoś powodu. – Czy są satysfakcjonujące?

– Wszystko w porządku – zapewnił Bäckström, bo niezależnie od jego pożał się Boże orientacji nie można było odmówić GeGurrze hojności. Trzeba pedałowi oddać sprawiedliwość, pomyślał.

– Skoro już się widzimy... – zaczął GeGurra. – Widziałem w telewizji ten okropny napad w okolicy Bromma, podczas którego zastrzelono tych biednych ochroniarzy – dodał po chwili. – Ci napastnicy wydawali się bezwzględni. To musieli być profesjonalści. W telewizji wyglądało to jak akcja jakiejś grupy komandosów.

– Rzeczywiście, nie cackali się – przyznał Bäckström,



któremu właśnie przypomniały się wczesne dokonania Juhu Valentina w stołecznych parkach i ogrodach.

– Rozmawiałem z moim dobrym znajomym, który ma kilka sklepów w City. Jego ludzie chodzą codziennie do banku z całkiem sporymi pieniędzmi. Naprawdę się martwi.

– Miasto to dżungla – pokiwał głową Bäckström. – Słusznie się martwi.

– Może mógłbyś mu jakoś pomóc? Przyjrzeć się stosowanym przez niego procedurom, coś mu doradzić? Na pewno ci się odwdzięczy.

– Potrafi trzymać język za zębami? Nikt nie lubi, jak się dorabia na boku.

– Naturalnie – zapewnił GeGurra, unosząc swoją szczupłą, żylastą dłoń w obronnym geście. – To wyjątkowo dyskretny człowiek.

– Możesz mu dać mój numer – powiedział Bäckström, bo już planował odświeżenie swojej garderoby przed nadchodzącym latem.

– I do tego bardzo hojny – dodał GeGurra i wznosił toast za swojego gościa.

Podczas deseru ich towarzystwo nieoczekiwanie się powiększyło. GeGurra, wierny swojej orientacji, zamówił świeże jagody, a Bäckström zadowolił się dobrym koniakiem. Kolejną do towarzystwa okazała się „stara, dobra przyjaciółka”, która podobnie jak on związana była z rynkiem sztuki.

Stara jak stara, pomyślał Bäckström. Najwyżej trzydzieści pięć. I co za donice! Całe szczęście, że nie ma ze mną pomponiarza, uznał.

Gdy starzy przyjaciele wycelowali się po policzkach, GeGurra przystąpił do prezentacji.

– Mój serdeczny przyjaciel Evert Bäckström – powiedział – a to moja urocza przyjaciółka Tatiana Thorén. Dawniej żona jednego z moich byłych kontrahentów, który widać nie wiedział, co dla niego najlepsze – wyjaśnił.

Co taka kobieta robi w towarzystwie takich jak ty?, pomyślał Bäckström. Wyciągnął dłoń do męskiego uścisku i obdarzył ją swoim szerokim uśmiechem à la Clint Eastwood.

– Jestem policjantem – powiedział Bäckström z dumą w głosie.

– Policjantem, no proszę – ucieszyła się Tatiana i otworzyła szerzej swoje wielkie ciemne oczy. – A czym zajmujesz się w policji?

– Morderstwami, ciężkimi przestępstwami, jestem inspektorem. To całe moje życie. – Clint może się schować, pomyślał.

Następnie przyglądali się, jak Tatiana zaspokaja swój pierwszy głód kanapką z łososiem i kieliszkiem szampana, poświęcając przy tym Bäckströmowi dziewięćdziesiąt procent swojej uwagi.

– Coś takiego – powtórzyła, a jej czerwone usta i białe zęby rozpromieniły się w uśmiechu. – Jeszcze nigdy nie spotkałam prawdziwego śledczego. Widziałam tylko w telewizji.

Bäckström uraczył ją kilkoma historyjkami z jego bogatego życia legendy policji. Supersalami poruszyło się, a gdy już drgnęło, nie mogło przestać.

GeGurra zapłacił rachunek i pożegnał się. W jego wieku człowiek potrzebował więcej czasu na nocny odpoczynek. Tatiana i Bäckström przeszli do klubu nocnego Café Opera, który znajdował się za ścianą restauracji, i zamówili dodatkowe drinki, żeby jeszcze trochę się rozgrzać. Na co mi to teraz, pomyślał Bäckström, bo jego supersalami zdecydowanie się ożywiło. Dobrze, że nie stoję tu goły z jakąś głupią czapeczką bejsbolisty na głowie, pomyślał i pochylił się nad barem. Wyglądałbym jak wielkie F, pomyślał. Wypiął pierś i wlał w siebie cały kieliszek.

– Woho, inspektorze – powiedziała Tatiana i pogładziła go po klatce piersiowej. – To mi nie wygląda na jakiś tam zwykły sześciopak.

Tatiana mieszkała w niewielkim dwupokojowym mieszkaniu przy Jungfrugatan na Östermalmie. Dziewczyna musi mieć poczucie humoru, pomyślał Bäckström, który zgubił spodnie już w przedpokoju, reszty pozbył się w drodze do sypialni i gdy rzucał się na szerokie łóżko, wyglądał jak litera T. Następnie wykonał wszystkie rutynowe czynności, należące do

obowiązków patrolu, który jako pierwszy pojawia się na miejscu zdarzenia. Bäckström stękał i charczał, a Tatiana darła się wniebogłosy. Na koniec zmienił pozycję i zafundował jej kilometrową przejażdżkę windą w górę i w dół, aż razem dojechali do celu.

Potem zasnął, a gdy się ocknął, słońce jaśniało już wysoko na błękitnym niebie nad Jungfrugatan. Tatiana przygotowała śniadanie. Dała mu swój numer telefonu i wymogła na nim obietnicę, że spotkają się, gdy tylko wróci z urlopu w Grecji.

W PIĄTEK PO POŁUDNIU inspektor kryminalny Jan Lewin z zespołu do spraw zabójstw wrócił z narady zespołu dochodzeniowego w Östergötland. Pojechał prosto do domu, do swojej dziewczyny Anny Holt, i gdy włożył klucz do zamka, czekała już na niego za drzwiami. Wzięła go za rękę i przytrzymała.

– Dobrze, że jesteś, Jan – powiedziała.

Moja dziewczyna jest komendantką policji, pomyślał Jan Lewin, gdy usiadł na kanapie, żeby przejrzeć stos kartek, które mu podała. Morderstwo, usiłowanie morderstwa, napad na konwój, morderstwo jednego z biorących udział w napadzie, zabójstwo starego alkoholika, i gdyby jeszcze komuś było mało – zabójstwo gazeciarza, który go znalazł. Tylko co to ma wspólnego ze mną i Anną?, pomyślał.

– Co o tym myślisz, Jan? – zapytała Holt i przysunęła się bliżej do niego.

– Co mówi Toivonen?

– Że nie ma pojęcia – powiedziała i zaśmiała się nerwowo.

– Skoro tak, to pewnie tak jest. – Lewin uśmiechnął się do niej. – Ja też nie mam pojęcia.

– Chyba cię to nie interesuje – mruknęła, wyjęła mu kartki z ręki i położyła je na stoliku.

– Jestem gdzie indziej myślami – przyznał.

– Jesteś myślami gdzie indziej? – powtórzyła.

– Już od prawie pół godziny jestem u najpiękniejszej kobiety na świecie. – Lewin spojrział na zegarek i pokiwał wymownie głową. – Na wejściu dostałem buziaka oraz gruby plik kartek, który włożyła mi do ręki. Siedzimy razem na kanapie. Ja czytam. Ona na mnie patrzy. To chyba zrozumiałe, że myślę o czymś innym. – Lewin spojrział na Holt.

– No to o czym myślisz?

– Żeby ci rozpiąć bluzkę – powiedział Jan Lewin.

OKOŁO JEDENASTEJ wieczorem Samir i jego brat Omar wyszli z willi w Sollentunie, w której mieszkali ze swoimi rodzicami, trzema siostrami i najmłodszym bratem Nasirem, lat dwadzieścia pięć. Młody gdzieś przepadł. Nie dawał znaku życia już od tygodnia i Toivonen domyślał się powodów.

Wsiedli do czarnego lexusa Samira, który został już wyposażony w odpowiednie nadajniki. Nieco wcześniej tego samego wieczoru Farshid pozwolił sobie na chwilę nieuwagi i zostawił auto na parkingu obok centrum handlowego NK, po czym razem z Talibem zjechał windą do delikatesów w podziemiach budynku. Pięć minut, w sam raz, żeby zrobić małe zakupy dla ukochanej matki.

Ludzie Lindy Martinez potrzebowali zaledwie minuty, żeby zainstalować w jego samochodzie nadajnik GPS, i teraz mogli już spokojnie podążać wzrokiem za Alfą I – czerwona elektroniczna strzałka z cyfrą jeden – na monitorach w swoim samochodzie zwiadowczym.

Za kierownicą siedział Omar, a Samir zajęty był rozmową przez telefon. Zatrzymali się przed libańską restauracją przy Regeringsgatan i zabrali stamtąd Gasana Taliba, który też nie wykazał się daleko posuniętą ostrożnością. Zanim usiadł na tylnym siedzeniu lexusa, otworzył bagażnik srebrnego mercedesa zaparkowanego na ulicy i wyjął z niego komórkę, którą włożył sobie do kieszeni na piersi marynarki.

Kamery w samochodzie zwiadowczym jadącym za lexusem pracowały na pełnych obrotach.

– Bingo – powiedziała Linda Martinez, bo właśnie znaleźli nowy, wcześniej im nieznaną samochód i gdy pięć minut później założyli w nim nadajnik, była już szczęśliwą kobietą. Alfa 3, Martinez postawiła krzyżyk w swoim cyfrowym notatniku.

To jest prawdziwe życie, biuro wypada blade w porównaniu z ulicą, pomyślała Martinez. Choć to właśnie w biurze powinna teraz siedzieć. Po co do cholery zostałam inspektorem,

pomyślała. Gdyby nie to, że jej najwyższy przełożony Lars Martin Johansson właśnie zegnał się z zawodem, pokazałaby mu środkowy palec, bo to był jego pomysł.

Jej koledzy w drugim samochodzie podążali za celem. Dojechali do Café Opera w Kungsträdgården. Widzieli Omara, jak parkuje równolegle dwadzieścia metrów od wejścia. Widzieli przyjacielskie poklepywanie się po plecach z ochroniarzami przed wejściem do klubu nocnego.

Bisurmańskie pieski, powieszę Beduinów za jaja, pomyślał Frank Motoele, lat trzydzieści, wpatrując się w wizjer kamery.

– Frank nie przepada za muzułmanami – wyjaśniła Sandra Kovac, lat dwadzieścia jeden, Magdzie Hernandez, lat dwadzieścia pięć, która zajmowała miejsce obok kierowcy, odkąd zyskała sympatię Lindy Martinez, która przeniosła ją z wydziału patrolowego do dochodzeniowego. – Frank to zwykły rasista – stwierdziła Kovac, kiwając głową do Magdy. – Nienawidzi wszystkich dookoła, to dlatego jest taki ponury.

– Nie ciebie, Magdo – powiedział Frank z uśmiechem. – Zdejmij tę czerwoną koszulkę, to pokażę ci, jak bardzo cię lubię.

– Jest też seksistą – dodała Kovac. – Nie mówiłam? No i ma najmniejszego w całej Afryce.

– Zostań w samochodzie, Sandro, a my z Magdą wyjdziemy – postanowił Motoele, bo nie musiał już tego słuchać, zwłaszcza że koleżanka Kovac już po imprezie gwiazdkowej w pracy ponad rok temu dobrze wiedziała, jak się sprawy mają.

W świecie, w którym żyła Linda Martinez, nie było kolegów, którzy wchodziliby do modnych klubów, pokazując legitymację bramkarzowi. Tę sprawę rozwiązała już we własnym zakresie i Magda Hernandez nie potrzebowała nawet korzystać z jej usług. Wystarczyło, że się uśmiechnęła i lekkim krokiem ominęła kolejkę, sunąc w swojej czerwonej koszulce i krótkiej spódniczce.

Frank Motoele został zatrzymany w drzwiach, sprawy potoczyły się jak zawsze.

– Przykro mi – powiedział ochroniarz, kręcąc głową. – O tej godzinie wpuszczamy już tylko członków. – Metr

dziewięćdziesiąt, sto kilo mięśni i wzrok, którego nie dało się zapomnieć. Dlaczego mu się to zdarzało, kiedy próbował robić, co do niego należy. Za kurtkę tego czarnucha dałby milion. Mógłby stać tu w kapciach i piżamie, a ludzie i tak by mu się kłaniali.

– Lista gości – powiedział Motoele i wskazał głową kartkę w rękę drugiego ochroniarza. – Motoele – powiedział Frank. Pewnego zimnego, ponurego dnia spotkamy się w smaganym strugami deszczu więzieniu na Kronoberg, przyszło mu na myśl, bo choć nie wyglądał na poetę, w czasie wolnym pisał wiersze.

– Proszę bardzo – powiedział drugi ochroniarz i z wymuszonym uśmiechem zrobił krok w bok.

– Jeden raz się nie liczy – powiedział Motoele i wejrzał w głąb siebie. Jeszcze się kiedyś spotkamy, pomyślał. Wcześniej jednak spotkam się z innymi tobie podobnymi.

Co za koleś, pomyślał ochroniarz, odprowadzając wzrokiem policjanta znikającego w głębi klubu.

– Widziałeś klatę tego czarnucha?

– Założę się, że zjada swoje ofiary żywcem – odpowiedział jego kolega, kręcąc głową.

Bez problemu znaleźli braci Parisafar i ich kuzyna. W zatłoczonym lokalu wygolona głowa wielkiego Taliba świeciła niczym latarnia.

– Rozdzielamy się – zdecydował Frank i uśmiechnął się, jakby powiedział coś zabawnego.

Magda Hernandez też się uśmiechnęła. Dygnęła, przechylając głowę. Wysunęła zalotnie koniuszek języka.

Mógłbym cię zjeść żywcem, pomyślał Motoele i powiódł za nią wzrokiem. Czy panienka Magda chciałaby mieć ze mną dziecko?, pomyślał.

Wróciła po pięciu minutach. Założyła ciemne okulary, choć w lokalu panował mrok.

– Cześć, Frank – powiedziała Magda i pogładziła go po ramieniu, a spojrzenia stojących obok mężczyzn krążyły między jej kusą czerwoną spódniczką a czerwonymi ustami. – Zdaje się, że mamy problem – szepnęła mu do ucha, obejmując

go za szyję.

– Okej – powiedział Frank. – Zmień się z Sandrą. Pogadaj z Lindą i dowiedz się, czy może nam tu przysłać jakiegoś dobrego fotografa.

– Do zobaczenia, kochanie – powiedziała, wyciągnęła się na palcach i dała mu całusa w policzek.



SANDRA KOVAC, lat dwadzieścia siedem, była imigrantką mieszkającą w Tensta. Jej tata pochodził z Serbii, miał silnie owłosioną klatkę piersiową, zostawił jej mamę, gdy Sandra miała dwa lata, i przysporzył kłopotów swojej córce siedemnaście lat później, gdy zdawała do szkoły policyjnej w Solnie.

– Rozumiem, że jesteście świadomi, że Sandra Kovac jest córką Janko Kovaca – powiedział prowadzący rozmowę kwalifikacyjną funkcjonariusz policji, uśmiechając się nerwowo do szefowej działu kadr.

– Nigdy nie wierzyłam w grzech pierworodny – powiedziała kadrowa. – To czym zajmował się twój ojciec? – dodała, spoglądając z zaciekawieniem na aspirantkę.

– Był wiejskim pastorem – odpowiedziała aspirantka.

– Naturalnie – skwitowała kadrowa.

W dniu, w którym Sandra Kovac ukończyła szkołę policyjną, do drzwi jej mieszkania w Bergshamra zadzwonił wysportowany mężczyzna po czterdziestce. Kolega, pomyślała. Przyszły kolega, ale – choć była w samym szlafroku i szykowała się do wieczornej imprezy ze znajomymi z roku – otworzyła drzwi.

– O co chodzi? – zapytała Sandra Kovac i odruchowo złapała za pasek od szlafroka, żeby sprawdzić, czy nie zapomniała się szczelnie owinąć.

– Nazywam się Wiklander – odpowiedział mężczyzna z przyjaznym uśmiechem i wyjął legitymację. – Pracuję w Säpo. Jestem inspektorem. Jesteś nam potrzebna.

– *Surprise, surprise* – odparła Sandra Kovac.

Tydzień później ona również zaczęła tam pracę. Po pięciu latach później przeszła razem ze swoim szefem do Komendy Głównej, bo ich najwyższy przełożony awansował jeszcze wyżej, obejmując pieczę nad całym wydziałem kryminalnym, Siłami Szybkiego Reagowania, helikopterami, wywiadem zagranicznym i wszystkim tym, co znajdowało się i rozciągało

między utajnioną domeną zastrzeżoną dla Säpo i domeną publiczną.

– Idziesz ze mną, Wiklander – powiedział Lars Martin Johansson dzień przed oficjalną nominacją. – Bez ceregieli.

– Mogę wziąć ze sobą Sandrę?

– Córkę Janko?

– Tak.

– Trudno o lepszy wybór – powiedział Johansson, bo widział to, co jest za rogiem.

Magdalena Hernandez, lat dwadzieścia pięć, była dzieckiem imigrantów z Chile. Jej rodzice uciekli z kraju jeszcze tej samej nocy, kiedy Pinochet przejął władzę i nakazał karłom dyktatury zamordować demokratycznie wybranego prezydenta Salvadora Allende. Długa podróż na północ, którą zaczęli marszem przez granicę z Argentyną, skończyła się dopiero, gdy doszli najdalej, jak tylko się dało, z Valparaiso w Chile.

Magda urodziła się i wychowała w Szwecji. Gdy skończyła dwanaście lat, wszyscy napotykanii mężczyźni szybko przestawali patrzeć jej w oczy i spuszczaali wzrok na wysokość jej piersi. Wszyscy między siódmym i siedemdziesiątym rokiem życia, przez co jej starszy o siedem lat brat codziennie ścierał kostki do krwi.

W dniu swoich piętnastych urodzin postanowiła odbyć z nim poważną rozmowę.

– Usunę je, Chico – powiedziała. – Obiecuję.

– Wolałbym, żebyś tego nie robiła – powiedział, kręcąc z powagą głową. – Zrozum to, Magda – dodał. – To boski dar dla nas, mężczyzn, a nie wolno zmieniać tego, co zostało nam dane.

– No dobra.

Dziesięć lat później spotkała Franka Motoele, lat trzydzieści. Zeszła ze zmiany o godzinie szóstej rano i chociaż marzyła o tym, żeby przespać się we własnym łóżku, poszła z nim do jego mieszkania.

– Czy panienka Magda chciałaby mieć ze mną dziecko? – zapytał, unosząc ją w łóżku, żeby ich oczy znalazły się na tej samej wysokości.

– Chętnie – odparła. – Tylko bądź ostrożny.

– Obiecuję – powiedział Frank Motoele. – Nigdy cię nie zostawię – dodał. Mój ogień płonie najsilniej na Północy, pomyślał.

Frank Motoele był wychowankiem domu dziecka w Kenii. Rodziców poznał dwadzieścia pięć lat temu. Ojciec Gunnar był stolarzem z Borlänge, zatrudnionym przy budowie hotelu w Kenii przez Skanska. Przyjechał tam z żoną Ullą i został na dwa lata. Zabrał Franka z domu dziecka tydzień przed powrotem do Szwecji.

– Co z papierami? – zapytała Ulla. – Powinniśmy je chyba najpierw załatwić?

– Wszystko się ułoży – uspokoił ją stolarz Gunnar Andersson. Wzruszył szerokimi ramionami i zabrał żonę z synem do domu.

Co prawda spędzili blisko dwadzieścia cztery godziny na lotnisku Arlanda, ale w końcu to też się ułożyło i mogli jechać z powrotem do Borlänge.

– To białe tam to śnieg – powiedział Gunnar Andersson, wskazując przez okno wypożyczonego samochodu. – *Snow* – wyjaśnił.

– *Snow* – powtórzył Frank i pokiwał głową. Jak na szczycie Kilimandżaro, pomyślał, bo opowiadała mu o tym wychowawczyni z domu dziecka. Pokazywała nawet zdjęcia, więc teraz bez problemu rozpoznał śnieg, choć miał wtedy zaledwie pięć lat. Wygląda jak lody, dużo lodów, pomyślał.

W swoje siedemnaste urodziny Frank Andersson odbył rozmowę z tatą Gunnarem. Wyjaśnił, że chce wrócić do swojego nazwiska rodzinnego. Zmienić Andersson na Motoele.

– Chyba że masz coś przeciwko temu.

– A skąd – odparł Gunnar. – Wyrzekając się swego pochodzenia, wyrzekłbyś się sam siebie.

– A więc nie ma tematu? – spytał Frank. Lepiej wiedzieć na wszelki wypadek, pomyślał.

– Tylko pamiętaj, że to ja jestem twoim ojcem – powiedział Gunnar.

– Spałaś z Frankiem, co? – zapytała Sandra Kovac

następnego dnia, kiedy czekały na parkingu na byłego wychowanka domu dziecka z Nairobi, który już kwadrans spóźnił się na ich zmianę.

– Tak. – Magda skinęła głową.

– Nie do pobicia – westchnęła Sandra Kovac. – Ale możesz być spokojna – dodała. – Raz się nie liczy – powiedziała, bo w końcu była córką Janko Kovaca i wyglądało na to, że żyje na innej planecie niż Magda Hernandez.

– Chce mieć ze mną dziecko – powiedziała Magda.

– Myślałam, że miałaś zacząć u nas, w dochodzeniowym – powiedziała córka Janko. – Tak w każdym razie mówiła mi Linda.

– No, tak w każdym razie powiedział – wyznała. – Do mnie – dodała.

– Skoro tak powiedział, to na pewno miał to na myśli – powiedziała Sandra. A ze mną, kurwa, nie chciał mieć dzieciaka, pomyślała.

– Odpowiedziałam mu, że na wszystko przyjdzie czas – rzekła Magda.

– Jak zareagował?

– Jak typowy romantyk – odparła Magda z uśmiechem. – I seksista – dodała, uśmiechając się szerzej.

– Ano – skwitowała Sandra.

JUŻ W SOBOTEĘ RANO Prosiak, lat trzydzieści sześć, odbył szczerą rozmowę z inspektorem Jormą Honkamäki, lat czterdzieści dwa, kierownikiem operacyjnym w wydziale śledczym Toivonena, a na co dzień zastępcą szefa oddziału interwencyjnego.

Nie jedyną w ostatnim czasie, ponieważ trzy dni wcześniej odbył podobną rozmowę ze swoim dawnym kumplem Fredrikiem Åkare, lat pięćdziesiąt jeden, który wszedł do jego warsztatu, czerwony ze złości. Jaki miał wybór, on, zwykły mechanik samochodowy i ojciec dwójki dzieci.

– Słuchaj, Prosiak, gadaj, gdzie znajdę małego Nasira, bo inaczej dam ci się napić z tej miski olejowej – zagroził Åkare i żeby nie było wątpliwości, że mówi serio, kopnął w miskę, wylewając jej zawartość na wypucowaną betonową podłogę w warsztacie Prosiaka.

Prosiak wyznał wszystko, co wiedział. Był prostym człowiekiem, ale rozumiał, kiedy należy się opowiedzieć po którejś ze stron. Prosiak nie nazywał się oczywiście Prosiak. Co więcej, pochodził ze szlachty. Miał na imię Stig po ojcu i Świnka po matce, która odmówiła przyjęcia nazwiska Nilsson po ojcu Prosiaka. Synowi trudno się było z tego cieszyć, zwłaszcza że pomimo swojego znamienitego pochodzenia nie miała przy duszy złamanego grosza, którym mogłaby mu zrekompensować ciężki, jakie zbierał od życia.

Już w przedszkolu koledzy wołali na niego Prosiak, co miało też swoje plusy, bo przez całe życie mógł się obzerać do woli i już wkrótce zasłużył sobie w pełni na swoje przezwisko. W dzieciństwie ojciec nazywał go Patyk. Gdy Prosiak zwierzył się matce, że zamierzają z kolegą otworzyć warsztat samochodowy w Norra Järva, przestała z nim rozmawiać. Ojciec dalej nazywał go Patykiem. Być może było mu wszystko jedno lub zwyczajnie chciał dopiec swojej żonie. Pewnie chodzi o matkę, pomyślał Prosiak, który właśnie skończył siedemnaście lat i został absolwentem szkoły zawodowej

w Solnie.

Warsztat działał sprawnie, również dzięki pomocy jego dawnych kumpi, a w szczególności Samira Parisafara, z którym znali się jeszcze z podstawówki w Sollentunie. I jego licznych kolegów, których Samir już wtedy zaliczał do swojego dworu.

Åkare spotkał dużo później. Jednego dnia podjechał lawetą, z której zrzucił starą furgonetkę i powiedział, żeby ją zełomował przed zachodem słońca. Prosiak spełnił prośbę i zdobył kolejnego klienta.

Krótko mówiąc, interes się kręcił. Czasem tylko dochodziło do jakiejś awantury, po warsztacie kręciły się gliny, ale dało się z tym żyć. Aż do godziny siódmej poprzedniego wieczoru, kiedy to rozpętało się prawdziwe piekło.

Leżał sobie spokojnie pod swoim największym skarbem – chevroletem bel air z 1956 roku – kręcąc zabytkowymi nakrętkami dla własnej przyjemności. Nagle otworzyły się drzwi do warsztatu i zanim zdążył się poruszyć, ktoś złapał go za nadgarstki i gwałtownie pociągnął. Istny cud, że nie rozbił głowy o podwozie chevy'ego.

– Prosiak – powiedział Jorma Honkamäki z uśmiechem, mrużąc oczy. – Zadzwoń do swojej starej i powiedz, żeby nie czekała z obiadem, zjesz ze mną hot-doga w areszcie.

W porównaniu z Åkare to i tak było ludzkie zachowanie, a że czasem warto zabezpieczyć się po raz drugi, znowu pozwolił sobie na chwilę szczerości.

Honkamäki od razu przystąpił do ataku. Widać znalazł to i owo, stalowe druty, pastę lutowniczą, wszystkie potrzebne narzędzia, dziesięć modułów zapłonowych, które zdążył już skręcić, ale o nich zapomniał, kilka starych tablic rejestracyjnych, które zawsze było dobrze mieć pod ręką, choć w innej sytuacji wszystko to wywołałoby jedynie wzruszenie ramion.

Gdyby nie ta cholerna stugramowa torebka, którą na prośbę Nasira przechowywał od zeszłego poniedziałku...

– Tylko na dziś – zapewniał Nasir. – Po południu mam coś do załatwienia, a gdyby miało się zjebać – to... – Nastąpiło

wymowne wzruszenie ramionami.

– Okej – powiedział Prosiak, bo przecież można było na nim polegać, poza tym chciał, żeby w miarę możliwości jego klienci byli zadowoleni. Zwłaszcza jeśli mieli starszego brata o nazwisku Samir Parisafar. Poza tym Nasir obiecał, że do wieczora odbierze torebkę. Po pracy miał jechać z dziewczyną do Kopenhagi na imprezę i spotkać się z ich wspólnym znajomym. Odprężyć się, zapalić.

– Nie chleję jak ty i reszta Szwedów – stwierdził Nasir.

– Sto gramów koksu – powiedział Honkamäki. – Jeden gram to dwa tygodnie, na torebce są twoje odciski, Prosiak. Chyba ci odbiło.

Cztery lata, pomyślał Prosiak, bo liczyć potrafił. Nadeszła chwila szczerości.

– Uspokój się, Jorma. Rozmawiasz ze zwykłym szeregowcem w wielkiej armii przestępców. Skąd ktoś taki jak ja miałby wziąć kasę na coś takiego?

Wszystko przez tego pieprzonego springer spaniela, pomyślał. Najpierw tylko biegał w kółko jak wszystkie kundły, które chodziły na smyczy za takimi jak Honkamäki, ale potem zatrzymał się i zaczął ujadać przed największą z misek olejowych leżących w warsztacie. Taką, której nawet Åkare by nie kopnął, a już tym bardziej nie wkładał do niej rąk, jak to od razu zrobił właściciel tego kundla.

Właśnie dlatego po raz kolejny pozwolił sobie na chwilę szczerości i opowiedział, jak było. W porównaniu z Åkare, Honkamäki zachowywał się choć trochę jak człowiek. Nie zaczął rozmowy od podduszania ani wkładania mu w nos palca wskazującego.

Nasir i Tokariew uciekali na złamanie karku po strzelaninie w okolicy Bromma. Po przejechaniu pięciuset metrów porzucili furgonetkę jakieś dwadzieścia metrów od wejścia do świątyni Hells Angels, ich własnego klubu, który znajdował się tuż za lotniskiem.

Dlaczego, nie wiedział. Może dlatego, że przez boczną szybę wciąż sączył się czerwony dym? Czy może raczej chcieli wkurzyć konkurencję? A może po prostu znaleźli wolne miejsce

parkingowe? Nasir głupio zrobił, że zdjął już kominiarkę, kiedy dwie przecznice dalej mijali jednego z wielu ludzi Åkare, a w tle wyły już pierwsze syreny.

– Nasir jeździ jak złodziej samochodów – podsumował Prosiak.

– Mały Nasir – powtórzył Honkamäki. Ciekawe, ile kasy tym razem musiał wydać jego braciszek, żeby zapewnić mu wikt i opierunek, pomyślał.

– Głupi smarkacz – skwitował Prosiak. – Wiesz, co ten gnojek powiedział, kiedy już dostał swoje zapłony, a ja dla świętego spokoju obiecałem, że przechowam jego koks? Wiesz, co ten gnojek powiedział, wychodząc?

– Nie.

– Chrum, chrum.

– Nie masz lekko, Prosiak.

– No nie. – Nikt nie mówił, że będzie lekko, pomyślał.

– Wspominałeś o tym komuś jeszcze?

– Skąd. – Pokręcił głową. Są jakieś granice, pomyślał.

– Wróble ćwierkają, że przyszedł do ciebie z wizytą Åkare – powiedział Honkamäki, choć zabrzmiało to, jakby głośno myślał.

– *No way.* – Czego on chce?, pomyślał.

– Dogadamy się.

– Co z tymi odciskami na torebce? Tej z koksem Nasira?

– Jakimi odciskami? – Honkamäki pokręcił głową. – Nie wiem, o czym mówisz.

Prosiak został w areszcie na własne życzenie. Chociaż do poniedziałku, żeby uniknąć niepotrzebnych plotek.

– Czuj się jak u siebie – powiedział Honkamäki.

Potem zadzwonił do Toivonena, żeby zdać mu relację.

– Po co ten smarkacz miałby wybierać się do Kopenhagi – dociekał Toivonen. Są tam przecież HA w zarządzie gminy, pomyślał.

– Rozmawiałem z naszymi duńskimi kolegami – powiedział Honkamäki. – Obiecali, że będą mieć na niego oko. Może jeszcze żyje.

Gorzej, jeśli nie żyje, pomyślał Toivonen.



MNIEJ WIĘCEJ w tym samym czasie, gdy Prosiak pozwolił sobie na chwilę szczerości wobec Honkamäkiego, Alm udał się na zakupy do Solna centrum. Przed monopolowym wpadł na wściekłego Rolle Stålhammara, który wyglądał, jakby mógł zabić wzrokiem. Mimo to Alm zdobył się na proste pytanie.

– Co słyhać, Rolle?

– A jak, kurwa, myślisz.

– Seppo. Seppo Laurén. Wiesz, ten chłopak, który pomagał Kalle Danielssonowi.

– A, Einstein.

– Einstein? – O czym on gada, pomyślał Alm.

– Tak go nazywaliśmy – wyjaśnił Stålhammar. – Miły, uprzejmy, trochę wycofany, taki inny. Kalle zabierał go czasem na tor, gdy miał fantazję. Biegał i robił za nas zakłady, a my w tym czasie mogliśmy napić się spokojnie piwa.

– I jak mu szło?

– W porządku. Nigdy nie było problemu. Chłopak ma głowę do liczb. Tylko mówić nie potrafi.

– Chłopak ma głowę do liczb – powtórzył Alm. Pewnie jest napruty, pomyślał.

– Pamiętam, jak raz, na zawodach, dzień przed Wielką gonitwą, Kalle zabrał ze sobą Seppo. Ten był wtedy jeszcze mały. Przed jednym z biegów wyrwało mi się, że to otwarte zakłady i że każdy może wygrać. Dziesięć koni, jeden faworyt i dwa z drugiego wyboru. Przebiecie od dwóch do pięciu razy na zakładach. Pozostałe siedem koników dawało ponaddwudziestokrotne przebiecie. Największe było grubo ponad sto.

– Aha – powiedział Alm. Jak nic napruty, pomyślał.

– Chłopak miał wtedy najwyżej dziesięć lat. Poprosił Kallego, żeby pożyczył mu siedemset koron. Kalle miał dobry humor i był lekko na gazie. W poprzednim biegu obstawił czarnego konia. Dał Seppo tysiąc koron. Seppo poprosił, żebym postawił sto czterdzieści dwie korony i osiemdziesiąt sześć öre na

każdego z siedmiu dających ponaddwudziestokrotne przebicie. On był jeszcze za młody, żeby grać. Ledwo sięgał okienka. Wytłumaczyłem mu, że nie można grać za dwie korony i osiemdziesiąt sześć öre. W takim razie postaw sto czterdzieści, mówi Seppo. No to go posłuchałem. I wygrał jeden z tych siedmiu, Night Runner. Przebicie osiemdziesięciosześciokrotne. Wiesz, co na to chłopak?

– Nie – powiedział Alm. Tylko co to ma wspólnego ze sprawą?, pomyślał.

– Daj mi moje dwanaście tysięcy czterdzieści koron.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Bo jesteś głupi, Alm – powiedział Stålhammar. Zawsze byłeś. Seppo nie jest głupi. Jest inny. Gada jak kretyn i wygląda jak kretyn, ale głupi nie jest. I dlaczego nagle mam ochotę dać ci w mordę?

– Nie wydaje ci się, że Kalle mógł przelecieć jego matkę? – spytał Alm, bo poczuł, że czas zmienić temat.

– Nie mam po... pojęcia – odpowiedział Stålhammar z krzywym uśmiechem. – Może sam ją o to zapytasz? Jeśli Kalle ją zerznął, to na pewno pamięta.

A więc to tak, pomyślał Alm.

– Nie wydaje ci się, że Kalle mógł być ojcem Seppo?

– Że też go o to nie zapytasz – odparł Stålhammar z uśmiechem. – Nie pytaj chłopaka, bo ten za wiele nie mówi. Ale ty i Bäckström moglibyście przecież przesłuchać Kallego. Postarajcie się o jakieś medium, mają tego dużo w telewizji. Jakąś profesjonalną wróżkę, która się zajmuje nawiązywaniem kontaktu z tymi po drugiej stronie. Zapytajcie Kallego, mówię ci. Jak się wam poszczęści, może ściągniecie z niego jakieś dawne długi.

A więc to tak, pomyślał Alm i zanim zdążył podziękować za rozmowę, Stålhammar obrócił się na pięcie i odszedł.

W PONIEDZIAŁEK WCZEŚNIE RANO Linda Martinez przekazała Toivonenowi informacje na temat stanu śledztwa w sprawie braci Parisafar i ich kuzyna Gasana Taliba.

Wszystko toczyło się zgodnie z planem, a nawet lepiej, niż się tego spodziewali. Trzy samochody należące do rodziny Parisafar zostały wyposażone w nadajniki, udało się też namierzyć wcześniej nieznanego mercedesa, którym jeździł Gasan Talib. I jeśli sokole oczy bóstw wywiadu spojrzwałyby na sprawę życzliwie, Martinez mogłaby ustalić numery ich telefonów już po południu.

– Odjechali, każdy w swoją stronę. Talib wrywa pannę w Café Opera i jedzie do niej taksówką. Dziewczyna mieszka we Flemingsberg. Samir i Omar wychodzą z kawiarni zaraz po nim i jadą do willi w Sollentunie. Gdy Talib wysiada z taksówki pod domem dziewczyny, wybiera numer na swojej komórce, a kilka sekund później, gdy Samir stoi przed willą w Sollentunie, dzwoni mu telefon. Chłopaki od podsłuchów odseparowali kanał master, a ponieważ mają ich lokalizację i dokładny czas, uważają, że im się uda.

– Jasne, że się uda – powiedział Toivonen. Jest wojna, musi się udać, pomyślał. – Masz coś jeszcze? – zapytał.

– Możliwe, że mamy pewien problem – powiedziała Linda Martinez. – Spójrz na te zdjęcia, to zrozumiesz, co mam na myśli – dodała, podając mu plastikową torebkę ze zdjęciami zwiadowczymi.

Wystarczył jeden rzut oka na pierwsze zdjęcie. Zabije tłuściocha, pomyślał Toivonen.

– Mów.

Okolo jedenastej Samir i Omar wyszli z mieszkania w Sollentunie. Dwadzieścia minut później zabrali Taliba z Regeringsgatan w City. Następnie cała trójka pojechała do Café Opera.

– Dokładnie o wpół do dwunastej wchodzi do restauracji – powiedziała Linda Martinez. – Dwoje moich ludzi idzie za

nimi. W środku jedno z nich zauważa, że kolega Bäckström stoi przy barze z jakąś dziewczyną. Bracia Parisafar i Talib stoją kawalek dalej i zdaniem kolegi, nazywa się Frank Motoele, widać wyraźnie, że obserwują Bäckströma. Motoele ma również wrażenie, że Samir próbuje nawiązać kontakt wzrokowy z kobietą, która towarzyszy Bäckströmowi. Nic jednak nie wskazuje na to, żeby Bäckström zauważył nasze trzy obiekty obserwacji. Zdaje się całkowicie pochłonięty swoją towarzyszką.

Pół tuzina zdjęć Bäckströma i jego towarzyszki i znacznie więcej trzech obiektów obserwacji. Dwa zdjęcia z Bäckströmem i jego towarzyszką w tle, z Samirem Parisafarem na pierwszym planie. Odwróceniu plecami do aparatu.

Bäckström przy barze. Roześmiany, żywo gestykulujący w stronę pięknej kobiety u boku. Uśmiecha się szeroko, wyraźnie zafascynowany swoim rozmówcą.

– Coś o niej wiemy? – zapytał Toivonen.

– Owszem – powiedziała Martinez. – Sandra Kovac weszła do środka i od razu ją rozpoznała z czasów, kiedy pracowała w Säpo. Ma na imię Tatiana Thorén. Z pochodzenia Polka, obywatelka Szwecji, po byłym mężu Thorén. Z zawodu dama do towarzystwa, podobno jedna z droższych. Od dziesięciu do dwudziestu tysięcy koron za noc. Mieszka przy Jungfrugatan na Östermalmie. Rzadko zaprasza tam klientów. Zwykle do hotelu.

– Co było potem?

– Zaraz potem Thorén i Bäckström wychodzą z restauracji. Jadą do domu Thorén, gdzie spędzają noc. Bäckström wychodzi z jej mieszkania dopiero około dziesiątej następnego dnia. Minutę po tym, jak Bäckström i Thorén wychodzą z kawiarni, wychodzą również bracia Parisafar. Jadą prosto do willi w Sollentunie samochodem Samira. Tym czarnym lexusem, za którego kierownicą siedzi jak zwykle Omar. Nie próbują jechać za Bäckströmem. Talib wychodzi pół godziny później w towarzystwie młodej kobiety. Jak już mówiłem, jadą do niej do domu taksówką. Ona również została rozpoznana; Josefine Weber, dwadzieścia trzy lata, pracuje w sklepie

z dzinsami na Drottninggatan. Żadnych poważniejszych dokonań. Głównie rozbija się po knajpach i spotyka się z takimi jak Talib. Byłoby dobrze, gdyby udało nam się namierzyć jej telefon. To nie powinno być aż takie trudne.

– Jak to rozumiesz? – powiedział Toivonen.

– Że jada do Caféet, żeby przyjrzeć się Bäckströmowi. Że ta Thorén poderwała Bäckströma i powiedziała im, gdzie będą. Wygląda mi to na zwykłą przymiarke do werbunku i jeśli chcesz znać moje zdanie, to wydaje mi się, że naszego tak zwanego kolegę Everta Bäckströma mają już częściowo po swojej stronie. Nie wybrali go przypadkowo. Pewnie słyszeli, co się o nim mówi.

– Też tak uważam – powiedział Toivonen. Zabiję tłuściocha, pomyślał.

BÄCKSTRÖM NIE WIEDZIAŁ, o czym rozmawiano w pokoju Toivonena, przyszedł więc do pracy w wyśmienitym humorze. Co więcej, wyjątkowo wcześniej, ponieważ był umówiony w dziale zaopatrzenia po odbiór broni służbowej. Tej, której zamierzali go pozbawić jego wysoko postawieni wrogowie, chcąc pozbawić go życia w najbardziej prymitywny sposób.

Bäckström rzadko nosił przy sobie broń. Mężczyzna obdarowany takim przyrodzeniem jak on nie potrzebował substytutów, a poza tym kabura go obcierała, i to niezależnie od tego, czy nosił ją pod lewym ramieniem, czy przy pasie. Próba zlikwidowania go podjęta przez Siły Szybkiego Reagowania połączona z tak zwanym nalotem ponad sześć miesięcy temu kazała mu jednak zmienić przyzwyczajenia. Wówczas udał się z wizytą do siedziby rządu, aby przeprowadzić przesłuchanie przedstawicieli władz państwa zamieszanych w zabójstwo premiera Olofa Palmego. Zamiast tego został oskarżony o próbę uprowadzenia przesłuchiwanego.

Bäckström był rycerzem bez skazy i nie miał najmniejszego zamiaru paradować z bronią po korytarzach szwedzkiego parlamentu; walczył z otwartą przyłbicą, czego nie można było powiedzieć o jego przeciwnikach. Gdy go napadli, używając bomb i granatów, musiał się bronić gołymi rękami.

Gdy z czasem pozwolono mu opuścić szpital Huddinge, natychmiast zażądał zwrotu broni, którą jego chytry przeciwnicy mu odebrali, gdy leżał przygwożdżony do szpitalnej pryczy. Próbował użyć pozwolenie na noszenie broni poza służbą i w tym celu załączył odpowiednie podanie.

W odpowiedzi dostał jedynie zdawkową odmowę opartą na kuriozalnych przesłankach formalnych. Podczas kontroli pracodawca odkrył, że Bäckström nie zaliczył rocznego testu strzeleckiego – co było kryterium uzyskania pozwolenia na noszenie służbowej broni – od kiedy trzy lata temu przestał pracować w zespole do spraw zabójstw. Tak naprawdę robił to

regularnie co roku i nie było powodu, dla którego jego pracodawca miałby się interesować tym, że formalności załatwił za niego jego stary kumpel Rogersson. To była sprawa między nim a Rogerssonem, a te wszystkie tak zwane kontrole mogli sobie wsadzić w tyłek.

Bäckström znowu musiał zdać egzamin ze strzelania. Zaliczył go z wyróżnieniem już przy trzeciej próbie, chwilę przed przenosinami do Västerort. Pracodawca ugiął się dopiero po tym, jak Bäckström zwrócił się o pomoc do związku. Wiadomość, że znów jest pełnoprawnym członkiem policji, z prawem do noszenia broni, a nawet zabijania, jeśli wymagałaby tego sytuacja, przyszła tydzień przed przeprowadzką i Bäckström nie zwlekał ani sekundy. Natychmiast zadzwonił, żeby ustalić termin odebrania broni, i oto właśnie termin nadszedł.

Poczynił również pewne przygotowania. Z prywatnych środków zakupił w sklepie z bronią kaburę do mocowania na kostce, taką samą jak jego amerykański kolega Popeye nosił w klasycznej roli policjanta we *Francuskim łączniku*. Następnie odebrał od krawcy szykowny płócienny garnitur składający się z luźnej marynarki i szerokich spodni. Nie dało się nosić szortów do kabury przy kostce, a że lato zapowiadało się ciepłe i słoneczne, nie chciał niepotrzebnie się pocić.

Ubrany w idealnie skrojony żółty płócienny garnitur, z kaburą pod lewą łydką, stawiał się o dziewiątej rano w składzie broni policji w Västerort.

– Pistolet służbowy, sig sauer, dziewięć milimetrów, służbowa kabura, standardowy magazynek na piętnaście naboii, służbowa amunicja jeden komplet, dwadzieścia strzałów – powiedział pracownik działu zaopatrzenia, wykładając po kolei wszystkie skarby na blat. – Podpisz tutaj – dodał, podając pokwitowanie.

– Czekaj, czekaj – powiedział Bäckström. – Dwadzieścia? Co ty pieprzysz?

– Standardowy przydział – odpowiedział zaopatrzeniowiec. – Jeśli chcesz go zwiększyć, musisz przedstawić pismo od komendanta.

– Daruj sobie – powiedział Bäckström. – A ten bądziej możesz sobie zatrzymać – powiedział, oddając kaburę. Schował pistolet, magazynek i amunicję do kieszeni marynarki, bo nie miał zamiaru pokazywać, gdzie będzie nosił broń.

Ten Bäckström sprawia wrażenie niezrównoważonego, pomyślał zaopatrzeniowiec, wiodąc wzrokiem za żółtym płóciennym garniturem. I jeszcze ubiera się jak jakiś mafioso. Może zadzwonić i ostrzec chłopaków z Sił Szybkiego Reagowania, pomyślał.

Zamknął drzwi do swojego pokoju i zabrał się do ćwiczeń. Wsunął broń do kabury, podskoczył, żeby płócienne spodnie swobodnie się ułożyły, dynamicznie przykucnął na prawej nodze i jednocześnie podciągając lewą ręką lewą nogawkę, płynnym ruchem prawej ręki wyjął broń, wymierzył i nacisnął.

*Suck on this, motherfucker*, pomyślał Bäckström.

Praktyka czyni mistrza, pomyślał i powtórzył wszystko od początku. Przysiadł na nodze, zaskoczony wróg strzela mu nad głową, Bäckström wyciąga broń, mierzy go wzrokiem, uśmiecha się kaśliwie.

– *Come on, punk! Make my day, Toivonen* – syknął.

– Boże, jak się wystraszyłam! – krzyknęła Nadja Högberg, wchodząc z naręczem kartek do jego pokoju.

– Ćwiczę – powiedział Bäckström i uśmiechnął się po męsku. – W czym mogę ci pomóc? – spytał.

– Dokumenty, o które prosiłeś – powiedziała Nadja, kładąc plik na jego biurku. – Na temat braci Parisafar i ich kuzyna Gasana Taliba. Miałam ci też przypomnieć, że za kwadrans mamy spotkanie z zespołem.

– *Yes* – powiedział Bäckström. Postawił lewą nogę na biurku i wsunął broń do kabury.

Pokiwała głową dopiero, gdy zamknęła za sobą drzwi. Jak dzieci, pomyślała.

Przed wyjściem na spotkanie Bäckström naładował magazynek. Piętnaście strzałów z rzędu i jeden dodatkowy. Pozostałe cztery schował na wszelki wypadek do prawej kieszeni. Następnym razem, gdy będzie przechodził koło sklepu z bronią, kupi sobie do domu dużą skrzynkę.



Kiedy mijał zamknięte drzwi do pokoju Toivonena, musiał się powstrzymać, żeby nie wyważyć ich kopniakiem i nie wystrzelić salwy prosto w sufit. Nie żeby miał od razu strzelać mu w głowę, ale kilka strzałów w sufit jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Zresztą sobie zasłużył, pomyślał Bäckström.

– WITAJCIE WSZYSCY – zaczął, wypinając mężnie pierś. Uśmiechnął się najcieplej, jak potrafił, i usiadł przy krótszym boku stołu.

Miał dobry humor, a co więcej, był uzbrojony. Potajemnie uzbrojony, pomyślał, bo żaden z jego szurniętych kolegów nie miał pojęcia, co takiego skrywa nogawka idealnie skrojonych żółtych spodni.

– Pomyślałem, że na początek przedyskutujemy kilka spraw – zaproponował. Żeby nie posypało się już na samym początku, subtelnie podsunął im wątek. – Powiązania – dodał po chwili. – Czy coś łączy zabójstwo Karla Danielssona i Septimusa Akofeliego?

– Oczywiście – odezwała się Nadja Högberg. – Zabójstwo Karla Danielssona doprowadziło do zabójstwa Akofeliego.

Potakiwanie ze strony Kaczki, słodziaka i pomponiarza. Bardziej niepewne kręcenie głową ich pokładowego Tępaka.

– Nie wydajesz się przekonany, Alm – stwierdził Bäckström. – Słucham.

Alm zastanawiał się nad postacią Seppo Lauréna. Po pierwsze, chłopak przyznał się przecież, że wcześniej już dwukrotnie pobił Danielssona. Po drugie, łączyły ich więzy rodzinne, a zabójstwo Danielssona było wyjątkowo okrutne.

– Sprawca dosłownie roztrzaskał mu głowę – wskazał Alm. – Jakby próbował go zetrzeć z powierzchni ziemi. Moim zdaniem Seppo pasuje do tego obrazka. Zwłaszcza jeśli sądzi, że to przez Danielssona jego matka trafiła do szpitala. Jak dla mnie to jest typowe ojcobójstwo.

– Co potem? – zapytał Bäckström i uśmiechnął się przebiegle. – Co dzieje się potem? – Alm działa jak płachta na byka, pomyślał.

– Wydaje mi się, że sprawa jest prosta. Akofeli przeszukuje mieszkanie Danielssona. Znajduje torbę z pieniędzmi. Zabiera ją ze sobą do domu i zostaje zamordowany. Pewnie się zastanawiacie, kto to zrobił.

– Nie da się ukryć – odparł zadowolony Bäckström. Kto go morduje? Zabawa na całego, wystarczy, że Tępak otworzy usta, pomyślał.

– Nie komplikujmy niepotrzebnie – powiedział Alm. – Nie zapominajmy, gdzie on mieszka – przecież tam aż roi się od kryminalistów. Jego rozmowy telefoniczne – myślę, że ma współnika. Spotykają się w mieszkaniu Akofelięgo, żeby podzielić się łupem. Dochodzi do kłótni, następnie do rękoczynów, Akofeli zostaje zamordowany, morderca porzuca ciało.

– Aha, aha – powiedział Bäckström. Kaczka, słodziak i ofiara molestowania z Dalarny zrobili pełne powątpiewania miny, a Nadja Högberg wywróciła oczami i dla wzmocnienia efektu głośno jęknęła. – Nadjo, nie wydajesz się przekonana? – Rosjanka zaraz odgryzie mi głowę, pomyślał.

– Myślę, że Akofeli został zaskoczony i uduszony od tyłu – powiedziała. – Zresztą Seppo Laurén nie mógł zamordować Danielssona. W czasie gdy zostało popełnione morderstwo, siedział przy komputerze. Seppo Laurén ma tak zwane alibi. To słowo pochodzi z łaciny i znaczy „w innym miejscu”, co akurat w tym przypadku oznacza, że Seppo Laurén siedzi przed komputerem w swoim mieszkaniu na ostatnim piętrze. Nie ma go więc w mieszkaniu Danielssona na pierwszym piętrze tego samego budynku.

– Tak zwane alibi. Moim zdaniem niewiele warte – odparł Alm. – Skąd możemy mieć pewność, że to on siedzi przy komputerze? Wiemy tylko, że ktoś siedział przy jego komputerze. Niekoniecznie on sam.

– Kto inny miałby to być? – spytała Nadja. Kolega Alm musi być kompletnym idiotą, choć pod tym względem nie różni się od wielu tu zatrudnionych, pomyślała.

– Ktoś z jego znajomych – odrzekł Alm. – Zaplanował zbrodnię, wziął jakiegoś kumpla, który potwierdzi jego alibi, przecież nie możemy nawet wykluczyć, że pomagał mu w tym Akofeli. Laurén przyznał się przecież, że znał Akofelięgo.

– Rozmawiał z nim raz, gdy Akofeli roznosił gazety – sprostowała Nadja.

– Ale to są jego własne słowa – zaprotestował Alm. – Znajdźmy tego, który siedział przy komputerze Lauréna, a wtedy będziemy mieć rozwiązanie całej tej zagadki.

– Postaram się udowodnić swoją hipotezę – powiedziała Nadja Högborg i wzięła głęboki oddech, żeby zmobilizować siły.

– Słucham – powiedział Bäckström. Był już bierze rozbieg, pomyślał.

– Przy komputerze Seppo mógł siedzieć tylko on. Nie mógł to być nikt inny.

– Dlaczego tak uważasz, Nadjo?

– Dlatego, że Seppo jest wyjątkowy. Prawdopodobnie nie ma drugiego takiego jak on.

O czym ona, kurwa, gada?, pomyślał Bäckström. Przecież chłopak jest niedorozwinięty.

– Tej nocy siedział i rozwiązywał sudoku, wicie, te japońskie matematyczne łamigłówki, których teraz pełno w gazetach. Różnica polega na tym, że te, które rozwiązywał, są trójwymiarowe, coś jak kostka Rubika. Z plików rejestru wiem, jakie miał zadanie i jak je rozwiązał. Sposób, w jaki je rozwiązuje, i tempo, w jakim to robi, świadczą o wyjątkowej inteligencji. Podejrzewam, że jest tylko jeden taki Seppo na świecie.

– Przecież ten chłopak ma nierówno pod sufitem – odezwał się Alm.

– Nie – zaprzeczyła Nadja. – Nie jestem co prawda lekarzem, ale podejrzewam, że ma jakiś rodzaj autyzmu, który objawia się skrajną racjonalizacją języka. Wydaje nam się, że mówi jak dziecko, tak naprawdę jednak nie mówi nic ponad to, co jest niezbędne do przekazania treści. Podobnie mówią małe dzieci, zanim rodzice nie nauczą ich całej masy niepotrzebnych słów, ironii, sarkazmu i zwykłych kłamstw.

– A więc ten chłopiec jest geniuszem? – O czym ona, kurwa, gada, pomyślał Bäckström.

– Z pewnością geniuszem matematycznym – odpowiedziała Nadja. – Wydaje nam się upośledzony społecznie, bo przykładamy do niego naszą miarę. Gdy przywalił Danielssonowi w szczękę po raz pierwszy, mówi, że zrobił to,

bo się zezłościł, że ten popchnął jego matkę. Następnym razem zrobił to, bo się zezłościł, że nie może nawiązać kontaktu z matką. Trudno to chyba lepiej ująć. Kiedy pomaga Danielssonowi wejść do windy po pierwszym razie, mówi, że Danielsson pojechał windą do domu. Nie mówi, że Danielsson wcisnął guzik i wrócił do swojego mieszkania na pierwszym piętrze. I że potem wszedł do mieszkania i zamknął za sobą drzwi. A właśnie tak powiedziałby każdy dorosły człowiek, nawet niespecjalnie się nad tym zastanawiając. Przeczytaj własne przesłuchanie, Lars – powiedziała Nadja.

– Jesteś tego pewna? Tego, co teraz mówisz? – odezwała się Annika Carlsson.

– Całkowicie. Dziś rano wysłałam mu mailem sudoku w 3D, nad którym siedzę już od trzech tygodni. Dostałam je mailem zwrotnym – dodała po chwili. – Wytłumaczył mi nawet, co i jak powinnam zrobić. Na swój dziecinny sposób.

– Okej – powiedział Bäckström. – Nie wydaje mi się, żebyśmy teraz mogli coś więcej z tym zrobić. Została nam jeszcze masa roboty.

– Słucham – powiedziała Annika Carlsson, pochylając się nad notesem.

– Robimy trzeci obchód po Hasselstigen jeden – powiedział Bäckström. – Weźmiemy kilka dobrej jakości zdjęć braci Parisafar i Gasana Taliba i sprawdzimy, czy ktoś ich tam widział. A zwłaszcza czy ktoś widział ich w towarzystwie Karla Danielssona.

– Uważasz, że coś łączy nasze dwa zabójstwa i sprawę Toivonena? – spytała Annika Carlsson.

– Nie wiem – odrzekł Bäckström. – Zdaje się, że Toivonen tak uważa. A ponieważ jestem miłym i uczynnym kolegą, pomyślałem, że możemy to sprawdzić.

– No to do dzieła – powiedziała Annika Carlsson i podniosła się nagle z krzesła.

– Pomyślałem, że się przyłączę – powiedział Bäckström, który od kilku godzin nosił zabójczą broń przy lewej kostce i rwał się do dżungli rozciągającej się za murami komendy.

– Mogę usiąść? – zapytała Nadja, gdy weszła do pokoju

Bäckströma zaledwie dwie minuty po spotkaniu.

– Jasne – powiedział z uśmiechem. – Wiedz, że dla ciebie moje drzwi stoją zawsze otworem. – Ciekawe, co będzie z tą wódką, którą obiecała załatwić, pomyślał. – W czym mogę ci pomóc?

– W tym – odpowiedziała, wskazując czarny kalendarz Karla Danielssona.

– Myślałem, że z tym już skończyliśmy?

– Nie jestem tego taka pewna.

– No to mów – powiedział, przyjmując swoją ulubioną pozycję i na wszelki wypadek uzupełniając ją oparciem nóg na stole, żeby mogła zobaczyć chociaż lufę małego siggego.

– Coś tu się nie zgadza.

– Masz na myśli twoje obliczenia dotyczące pieniędzy, które im przekazywał?

– Nie. One raczej są w porządku, o ile nie przyjął błędnych założeń, że rzeczywiście chodzi o pieniądze.

– No to słucham – powiedział Bäckström. Ostra jak brzytwa, pomyślał.

– Rys psychologiczny nie pasuje do obrazu Danielssona. Jeśli rzeczywiście jest tak, że niemal co tydzień wypłacał pieniądze Samirowi Parisafarowi, Omarowi Parisafarowi i Gasanowi Talibowi, to znaczy sygnaturom SP, OP i GT, to nie rozumiem, dlaczego miałby ryzykować i pisać o tym w swoim kalendarzu.

– Może chciał dać jakiś punkt zaczepienia takim jak ty i ja na wypadek, gdyby coś mu się stało? Może to rodzaj dodatkowego ubezpieczenia?

– Też o tym pomyślałam. Ale dlaczego nie wpisuje kwot ryczałtowych? Dlaczego wyjawia, że Samir dostaje dziesięć razy tyle co Gasan, a raz nawet dwadzieścia razy więcej, i że Omar dostaje cztery razy więcej niż Gasan?

– To chyba naturalne. Samir jest ich przywódcą, Omar jego młodszym bratem, a Gasan to tylko zwykły kuzyn ze wsi, który zwyczajnie się do nich przyłączył.

– Wszystkim wydaje się, że pieniądze pochodzą z napadu w Akalla dziewięć lat temu, kiedy to wyczyścili niemal cały depozyt – powiedziała Nadja. – Samir dowodzi całą operacją,

Gasan bierze na siebie najcięższe zadanie i wjeżdża wózkiem w ścianę, młodszy brat Omar ma być pod ręką i ładować worki. Zgoda, Samir być może dostał najwięcej, ale przecież Ben Kader powinien był odpalić z łupu dużo więcej Gasanowi Tamalowi niż Omarowi Parisafarowi.

– Być może przechowywali różne sumy u bankiera Danielssona – zasugerował Bäckström i uśmiechnął się przebiegle.

– Możliwe. – Nadja wzruszyła ramionami. – Możliwe też, że wszystko źle zrozumieliśmy, i to pomimo tego, co wiemy od Toivonena.

– Nie rozumiem?

– Że skróty SP, OP i GT dotyczą czegoś zupełnie innego. Innych osób, może nawet nie ludzi, po prostu czegoś innego – powiedziała i na wszelki wypadek wzruszyła kolejny raz ramionami.

– Ale przecież pieniądze daje się tylko ludziom – zaprotestował Bäckström. – Przecież sama mówisz, że jesteś pewna, że chodzi o pieniądze, a te inicjały pasują do ich nazwisk. To nie są zresztą jakieś tam zwykłe nazwiska. Moim zdaniem niepotrzebnie się martwisz.

– Wcześniej też zdarzały mi się pomyłki – powiedziała Nadja i wstała.

– Rozwiążemy to – rzekł Bäckström i skinął głową, by natchnąć pozytywną energią i wiarą swojego jedyne go wartościowego współpracownika, który właśnie zaczął pękać.

– Też jestem o tym przekonana – odparła Nadja.

PRZED OPUSZCZENIEM FORTECY Bäckström przejrzał jeszcze imponującą stertę papierów, które dostał od Nadji.

Raczej nie śpiewa w kościelnym chórze, pomyślał, gdy już skończył czytać.

Samir Parisafar miał trzydzieści siedem lat, a do Szwecji przyjechał jako czterolatek. Ojciec, matka, dwie starsze siostry i babcia w podeszłym wieku. Łącznie sześć osób, wszyscy uciekli z Iranu z powodów politycznych.

W Szwecji rodzina powiększyła się o dwóch młodszych braci Samira. Omar, lat trzydzieści dwa, i najmłodszy Nasir, lat dwadzieścia pięć. Babcia zmarła już rok po przyjeździe do Szwecji, dwie starsze siostry wyszły za mąż i opuściły dom rodzinny, więc w wielkiej willi w Sollentunie zostało pięć osób. Trzech braci Parisafar i ich rodzice, choć od trzech lat, kiedy ich ojciec dostał wylewu, faktyczną głową rodziny był Samir.

Z moralnego punktu widzenia niezbyt udana głowa rodziny. W roku, w którym skończył piętnaście lat, zabił kolegę z równoległej klasy. Skazany za napaść, został przekazany opiece społecznej. Nie wpłynęło to zbyt korzystnie na jego życie. Być może tylko zrobił się bardziej sprytny, bo potrzeba było dziesięciu lat, zanim po raz pierwszy został skazany na wyrok więzienia. Dostał cztery lata za napad, a większą część kary odbył pod specjalnym nadzorem na tym samym oddziale, na którym osadzony został najcenniejszy informator Toivonena.

Kilka miesięcy przed wyjściem na wolność przewieziono go do zwykłego więzienia, żeby mógł przygotować się do życia poza murami. Na niewiele to się zdało.

Po tygodniu jeden ze współwięźniów Samira został znaleziony uduszony liną do bielizny w oddziałowej pralni i wszystko wskazywało na to, że zrobił to Irańczyk, który w ten sposób pozbył się kapusia. Brakowało tylko ostatecznego dowodu, a Samir milczał jak zakłęty.

Gdy tylko wyszedł na wolność, niemal od razu został



oskarżony o napad na konwój w Akalla. Spędził trzy miesiące w areszcie, nie powiedział ani słowa i został zwolniony z powodu braku dowodów. Samir był człowiekiem owianym legendą, spadkobiercą Ben Kadera, pomimo że Ben Kader był Marokańczykiem, a Samir Irańczykiem. Muzułmaninem, abstynentem, wolnym od nałogów, nienawiązującym przypadkowych kontaktów z kobietami, w ogóle z żadnymi kobietami, jeśli nie liczyć matki i dwóch sióstr. Przed wszystkim jednak nigdy nie dostał mandatu za parkowanie czy przekroczenie prędkości, nigdy nie urządzał awantur ani bójek w mieście. Śmiertelnie niebezpieczny, milczący; jedynymi osobami, którym ufał, byli jego dwaj młodsi bracia Omar i Nasir oraz kuzyn Gasan Talib.

Dwaj młodsi bracia, którzy, sądząc po rejestrze wykroczeń, szli w ślady Samira, z większym lub mniejszym powodzeniem. W oczach lokalnej społeczności to raczej ten najmłodszy, Nasir, był czarną owcą w rodzinie, ponieważ już w wieku dwudziestu pięciu lat odsiedział cztery wyroki łącznie na cztery lata. Pobicie, gwałt, napad. Jak wynikało z policyjnych notatek znajdujących się w rejestrze śledztw i dochodzeń, nieobce mu były seks i narkotyki bez względu na ich postać. Ale stronił od alkoholu i pod tym względem był prawym muzulmaninem. Nie jakimś tam zwykłym Szwedem, który chlał i gadał co mu ślina na język przyniesie każdemu, kto tylko miał siłę słuchać.

Ponad sto przesłuchań na policji w ciągu ostatnich lat. Pierwsze w towarzystwie matki i przedstawiciela opieki społecznej. Milczący Nasir.

– Nazywam się Nasir Parisafar – powiedział i wyrecytował z pamięci swój numer PESEL. – Nie mam nic do dodania.

– Zupełnie jak twój starszy brat Samir – stwierdził kolejny już funkcjonariusz prowadzący przesłuchanie.

– Mówisz o moim najstarszym bracie, więc z szacunkiem.

– Oczywiście. W takim razie na początek porozmawiamy może przez chwilę o twoim najstarszym bracie, Samirze Parisafarze. W końcu znany jest z tego, że okazuje szacunek innym ludziom.

– Nazywam się Nasir Parisafar, osiemdziesiąt trzy zero dwa

zero sześć...

W towarzystwie policji na tym się zwykle kończyło. Na mieście bywało inaczej. Zdjęcia, podsłuchane rozmowy i świadkowie, którzy mogli niejedno opowiedzieć. Nawet to, że Samir przy kilku okazjach natarł swojemu bratu uszu w niemal starotestamentowy sposób, chociaż obaj byli muzułmanami.

Gasan Talib był kuzynem ze wsi w przenośnym, jak i dosłownym tego słowa znaczeniu. Uciekł do Szwecji z rodziną kilka lat po rodzinie Parisafar. Swoje pierwsze lata w nowej ojczyźnie spędził u rodziny w Sollentunie. Trzydzieści sześć lat, z czego trzydzieści trzy w Szwecji. Skazany za zabójstwo, pobicia, napady, groźby karalne, szantaż. Podejrzany o zabójstwo, kilkakrotne napady, kolejne zabójstwo i próbę zabójstwa. Trzy wyroki więzienia łącznie na dziesięć lat, z czego odsiedział osiem. Ochroniarz i prawa ręka Samira w jednym. Przeróżająca postać wysoka na dwa metry, ważąca sto trzydzieści kilogramów, z ogoloną głową, ciemnymi, głęboko osadzonymi oczami, czarnym jednodniowym zarostem i szczękami, które wyglądały, jakby bez przerwy coś miały.

Takiemu to mały sigge z radością zrobi na głowie przedziałek, pomyślał Bäckström. Podniósł się z krzesła i podskoczył w miejscu, żeby jego płócienne żółte spodnie swobodnie się ułożyły.

– *Come on, punks, come on all of you, make my day* – syknął inspektor kryminalny Evert Bäckström.

PUKANIE DO DRZWI. Trzeci obchód na Hasselstigen jeden, tym razem w związku z osobami Samira Parisafara, Omara Parisafara, Gasana Taliba i ich ewentualnych powiązań z Karlem Danielssonem. Dysponowali dobrej jakości zdjęciami, wykonanymi z ukrycia i uzupełnionymi o zdjęcia kilku innych postaci, które wyjątkowo nie miały nic wspólnego z tą sprawą. Wierni współpracownicy Lindy Martinez. Jeden ciemnoskóry, żadnych brązowych, czarnych ani niebieskich, chociaż Frank Motoele zgłosił się na chętnego, gdy pomagał swojej szefowej w kompletowaniu materiałów do przeprowadzenia konfrontacji.

Seppo Laurén niczego nie widział, choć Alm próbował mu pomóc na wszelkie możliwe sposoby.

– Nie widziałem ich – powiedział i pokręcił głową.

– Spójrz raz jeszcze – przekonywał Alm. – Interesują nas cudzoziemcy, to znaczy imigranci.

– Nie rozumiem – odparł chłopak, znowu kręcąc głową.

Prawdziwy mały geniusz, pomyślał Alm. Westchnął, zbierając zdjęcia.

– Rzeczywiście, przecież to są sami cudzoziemcy, to znaczy imigranci, jak to się chyba teraz mówi – stwierdziła Stina Holmberg.

– I nie rozpoznaje pani żadnego z nich? – zapytał Jan O. Stigson.

– Przecież w Solnie mieszkają głównie tacy – odpowiedziała i skinęła przyjaźnie do Felicii Pettersson. – Tylko co to ma wspólnego ze sprawą? – dodała.

Większość sąsiadów nikogo nie rozpoznała.

Irakijski imigrant z trzeciego piętra, który pracował jako bileter w metrze, korzystając z okazji, wyraził swoje uznanie dla działań policji.

– Moim zdaniem jesteście na właściwym tropie – powiedział, patrząc na Annikę Carlsson.

– Dlaczego pan tak sądzi? – zapytała.

– Przecież widać, że to Irańczycy. Banda wariatów, nigdy nie wiadomo, co im do łba strzeli.

Bäckström dołączył do nich dopiero po wstępnej rozmowie z Carlsson.

– Byłoby lepiej, gdybyśmy to my porozmawiali z tą Andersson – powiedział. – Z uwagi na młodego Stigsona.

– Rozumiem.

W rzeczywistości Bäckström miał w planach własny projekt badawczy, który nie miał nic wspólnego z kolegą Stigsonem. Po spotkaniu z Tatianą Thorén, z którego mogło wynikać coś na przyszłość, bo wyglądało na to, że kobieta oszalała na jego punkcie, przyszedł czas na krótkie studium porównawcze.

Baby robią się z czasem strasznie namolne, pomyślał.

Britt-Marie Andersson miała dla nich grudkę złota. A nawet dwie.

Musi mieć chyba jakąś konstrukcję ze stali, pomyślał Bäckström pół godziny później, gdy z Carlsson usiedli na kanapie, żeby pokazać jej zdjęcia. Choć Britt-Marie Andersson miała podobnie imponującą masę, co dwukrotnie od niej młodsza Tatiana.

Jak ona zdejmuje stanik, zastanowił się Bäckström. Kładzie się najpierw na plecach?

– Tego rozpoznaję – ucieszyła się Andersson i wskazała zdjęcia Samira Parisafara. Na wszelki wypadek nachyliła się do Bäckströma i dotknęła zdjęcie palcem zakończonym czerwonym paznokciem.

Niesamowite, pomyślał Bäckström, próbując skupić wzrok na wskazanej fotografii.

– Jest pani pewna? – zapytała Annika Carlsson.

– Całkowicie – odpowiedziała Andersson i skinęła głową do Bäckströma.

– Kiedy widziała go pani po raz ostatni? – zapytał Bäckström.

– W dniu, w którym zginął Danielsson. Jakoś przed południem, kiedy byłam na spacerze z Puciem. Stali na ulicy przed domem, rozmawiali.

– Całkowicie pewna – powtórzyła Annika Carlsson

i spojrzała porozumiewawczo na Bäckströma, któremu wreszcie udało się odzyskać nad sobą kontrolę i który na wszelki wypadek odchylił się na kanapie. Unieść nóg nie mógł, bo kobieta mogłaby dostać zadyszki z podniecenia na widok lufy małego siggego, pomyślał.

– Tego też – powiedziała i wskazała palcem Gasana Taliba. – Prawda, że jest wysoki?

– Dwa metry – zapewnił Bäckström.

– W takim razie to był on. Stał oparty o samochód po drugiej stronie ulicy i patrzył na Danielssona i tego drugiego, z którym rozmawiał.

– Widziała pani, co to był za samochód? – zapytała Carlsson.

– Na pewno czarny. Taki długi i drogi. Może mercedes albo bmw.

– A może lexus?

– Nie wiem – powiedziała Andersson. – Nie znam się na samochodach. Mam prawo jazdy, ale od wielu lat nie mam samochodu.

– Ale pamięta pani tego wielkiego mężczyznę, który tam stał? – zapytał Bäckström.

– Tak. Gapił się na mnie, co tu dużo mówić. Kiedy przypadkiem na niego spojrzałam, zrobił coś takiego językiem – wyjaśniła Andersson i poczerwieniała.

– Nieprzyzwoitą minę? – zapytała jak zawsze pomocna Annika Carlsson. – Powiedziałyby pani, że to było obsceniczne?

– Tak. – Kobieta wzięła głęboki wdech. – Coś okropnego. Od razu wróciłam do domu.

Brama do nieba, pomyślał Bäckström. Babeczka ma niezłą pamięć.

– Mimo to nie zgłosiła pani tego? – zapytała Carlsson.

– Zgłosiła? Ale czego? Za to, co zrobił językiem?

– Napastowanie seksualne.

– Nie – powiedziała Britt-Marie Andersson. – Wiem z gazet, że to nie ma sensu.

Kończ już, pomyślał Bäckström.

– Skoro tak, dziękujemy pani za pomoc – powiedział.

– Możesz być spokojna, Nadjó – powiedział Bäckström, gdy pół godziny później wrócił do swojego biura. – Mam na myśli ten kalendarz. Mamy świadka, który widział Samira i Taliba, jak rozmawiali z Danielssonem przed jego domem, i to przed południem w dniu zabójstwa.

– Rozumiem – powiedziała Nadja Högberg.

Nie zawsze z niej taka ostra brzytwa, pomyślał Bäckström i dla pewności potrząsnął spodniami, żeby swobodnie opadły.

PRZED WYJŚCIEM BÄCKSTRÖM zajął jeszcze do gabinetu Toivonena i poinformował go o zeznaniach Andersson. Drwalowi przyda się każda pomoc, pomyślał. Poza tym jako jego dawny opiekun poczuwał się do odpowiedzialności.

Toivonen nie wydawał się szczególnie zainteresowany.

– Wczorajsze wieści – powiedział. – Ale doceniam.

– Daj znać, jeśli będziesz potrzebował pomocy – powiedział Bäckström, wyraźnie rozweselony. – Słyszałem podczas lunchu, że nad tą sprawą pracuje stu ludzi, ale że niespecjalnie wam idzie.

– Ludzie za dużo gadają – odparł Toivonen. – Dajemy sobie radę, nie musisz się martwić o braci Parisafar i ich małego kuzyna. A tobie jak idzie?

– Daj mi tydzień.

– Nie mogę się doczekać wyników. Kto wie? Może dostaniesz medal, Bäckström.

Ciekawe, czego naprawdę chciał ten tłuścioch, pomyślał Toivonen, gdy Bäckström zniknął za drzwiami. Muszę pogadać z Lindą Martinez.

Dać takiemu palec, to zje całą rękę, pomyślał Bäckström, wychodząc z pokoju Toivonena. Nie ze mną te numery. Ciekawe, co tym razem knuje?

Wbrew informatorom Toivonena, wbrew świadkowi Bäckströma z Hasselstigen jeden, Nadja Högberg nie potrafiła przestać myśleć o kalendarzu Karla Danielssona. Poza tym przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

Nie tylko ludziom daje się pieniądze, pomyślała. Przecież płaci się też za towary i usługi. Zwykle nawet nie zastanawiając się nad tym, kto je wyprodukował lub zrobił.

Warto spróbować, pomyślała i zapukała do drzwi Bäckströma, na wypadek gdyby wciąż bawił się sam ze sobą w policjanta i złodzieja. Pusto, a jego komórka była jak zwykle wyłączona.

Muszę z nim porozmawiać jutro z samego rana, pomyślała Nadja. W pierwszej kolejności.

Na dobrą sprawę minął blisko tydzień, zanim nadarzyła się okazja. Jeszcze tego samego wieczoru w mieszkaniu Everta Bäckströma – w jego przytulnym legowisku na Kungsholmen – miały się bowiem wydarzyć rzeczy, które poruszyły cały naród i sprawiły, że osoba inspektora stała się tematem rozmów wszystkich mężczyzn i kobiet, a inspektor Toivonen o mało nie zszedł na wylew i zawał, choć był przecież okazem zdrowia.



TYM RAZEM GASAN TALIB był obecny od samego początku, gdy czarny lexus odjechał spod willi w Sollentunie około ósmej wieczorem. Samochód obserwacyjny jechał daleko w tyle, na równoległej ulicy, ponieważ policjanci mogli śledzić swój obiekt na ekranie komputera i nie musieli niepotrzebnie ryzykować.

Zbliżyli się dopiero po przejechaniu rogatek City. Ruch się zageścił, za kierownicą siedziała Sandra Kovac i gdy lexus skręcił w lewo na końcu Sveavägen, zrozumiała natychmiast, co się święci. Największy parking w centrum miasta, pomyślała. Setki miejsc i trzy piętra pod ziemią. Cztery wyjazdy, tuzin wejść i wyjść dla pieszych.

– Cholera jasna. Sukinsyny chcą nawiać.

Magda Hernandez złapała krótkofalówkę, wyskoczyła z samochodu i stanęła przy zjeździe na parking, na wypadek gdyby tamci chcieli tylko zrobić kółko, a potem wyjechać.

Kovac i Motoele kręcili się po parkingu, szukając czarnego lexusa, i kiedy wreszcie go znaleźli, był pusty, elegancko zaparkowany na najniższym poziomie przy jednym z wielu wyjść. Kovac połączyła się z Lindą Martinez na szyfrowanym kanale.

– Uspokój się, Sandro – powiedziała Martinez. – Takie rzeczy się zdarzają. Zróbcie kółko po okolicy i rozejrzyjcie się za którymś z ich pozostałych samochodów.

– Co o tym wszystkim myślicie? – powiedział Toivonen pół godziny później. – Chcą wyjechać i poopalać brzuszki?

– Nie wydaje mi się – odpowiedziała Martinez. – Cały dzień był spokój, żadnej wzmożonej aktywności na telefonach, które wczoraj namierzyliśmy. Od kiedy wyszli z garażu, ich komórki są nieaktywne, co może oznaczać, że są razem i że nie muszą do siebie dzwonić. Na pewno jednak coś knują. Ciekawe tylko co.

– Samoloty, promy, pociągi? – zapytał Toivonen.

– Już zrobione – odparła Martinez. – Koledzy zostali ostrzeżeni, obiecali, że zrobią wszystko, co w ich mocy.

– Cholera – mruknął Toivonen, bo nasza go pewna myśl. – Bäckström. Musimy sprawdzić, co z tym tłusciochem.

– Myślisz, że jestem głupia? Obserwujemy go, od kiedy wyszedł z komendy cztery godziny temu, a dokładnie cztery godziny i trzydzieści dwie minuty temu.

– I co robi?

– Za siedemnaście piąta wszedł do swojego mieszkania. Co potem robił, nie jest do końca jasne, ale sądząc po wydobywających się stamtąd dźwiękach, oddał się popołudniowej drzemce. Półtorej godziny temu zjawił się w swojej ulubionej knajpie i dalej tam siedzi.

– I co robi?

– Pije piwo i sznapsa, pochłania nieprzyzwoite ilości ziemniaków z marchwią i cebulą i zaleca się do kelnerki. Kształtna blondynka, ma na imię Saila, twoja rodaczka.

Życie jest niesprawiedliwe, pomyślał Toivonen.

Jakieś pół godziny przed północą na numer alarmowy sztokholmskiej policji dotarło zgłoszenie, jedno z kilku tysięcy w ciągu ostatniej doby i niestety aż nadto podobne do wielu z nich.

– I co, znowu ktoś dzwoni i zakłóca ciszę nocną, co? – odezwał się głos w słuchawce.

– Jak się pan nazywa i w czym mogę panu pomóc? – zapytał dyżurny. Pijany, pomyślał.

– Nazywam się Hasse Ahrén. Dyrektor Hasse Ahrén, dawniej szef kanału trzeciego.

– W czym mogę panu pomóc? – Pijany jak świnia, pomyślał dyżurny.

– U mojego sąsiada strzela jakiś wariat.

– Jak się nazywa pański sąsiad?

– Bäckström. Mały tłusty skurczybyk, policjant. Chleje jak świnia, więc jeśli pan posterunkowy pyta, to myślę, że to on urządził strzelaninę.

BÄCKSTRÖM ODZYSKAŁ BRONŃ dopiero za trzecim podejściem, a przecież prawo do jej posiadania było jednym z podstawowych praw szwedzkiego policjanta.

Za pierwszym razem nie pozwolono mu nawet oddać strzału.

Na strzelnicę na południe od miasta pojechał taksówką. Spotkał się tam z instruktorem, który wyglądał jak każdy inny instruktor i którego zmarszczone brwi przechodziły naturalnie w krótko ostrzyżone włosy. Wziął broń do ręki, załadował pełny magazynek, odbezpieczył, a potem obrócił się, żeby zapytać, którą z tablic strzelniczych ma podziurawić.

Twarz instruktora zrobiła się biała jak tabletki na ból głowy; odskoczył w bok i wrzasnął, żeby natychmiast rzucić broń. Bäckström usłuchał.

– Byłbym wdzięczny, gdybyś nie wymachiwał mi nad pępkiem naładowaną i odbezpieczoną bronią. Bardzo wdzięczny – powiedział instruktor, wyraźnie zdenerwowany.

Następnie instruktor złapał za pistolet, odbezpieczył go i wyjął magazynek, a przed włożeniem do kabury sprawdził raz jeszcze palcem wskazującym.

– Żebyś nie narobił w spodnie – powiedział Bäckström najuprzejmiej, jak potrafił.

Na niewiele to się zdało, bo tego dnia więcej już nie strzelał. Instruktor pokręcił tylko głową i odszedł, zostawiając go samego.

Za drugim razem jego instruktorem była kobieta. Gdy tylko ją zobaczył, od razu wiedział, co zamierzają jego wrogowie. Babsztyl włożył kamizelkę i hełm i stał za nim przez cały czas, bez przerwy go instruując. Nie miał nawet siły jej słuchać, zresztą jak miałby coś słyszeć, skoro kazała mu założyć słuchawki ochronne? Spróbował skoncentrować się na zadaniu: uniósł broń, wymierzył, przymknął lewe oko, zmrużył prawe i oddał serię strzałów w kierunku papierowej postaci stojącej w oddali.

Pierwsza klasa, pomyślał, gdy minutę później oglądał wyniki.

Przynajmniej połowa strzałów była celna i choć nie był lekarzem, wiedział, że większość byłaby również śmiertelna.

– No to gdzie mam się zgłosić po broń? – zapytał.

Najpierw pokręciła głową, blada jak jej poprzednik, a gdy się odezwała, w jej głosie dało się wyczuć tę samą nerwowość.

– Szwedzki policjant w sytuacji zagrożenia życia, mówię o sytuacji wyjątkowej, powinien mierzyć w nogę napastnika. Poniżej kolana, ponieważ nawet jeden strzał w udo niesie ze sobą wysokie ryzyko obrażeń śmiertelnych – wyjaśniła.

– Popraw mnie, jeśli się mylę – odparł Bäckström. – Jeśli jakiś szaleniec idzie na ciebie z nożem, ty starasz się strzelić mu w kolano.

– Pod kolano – skorygowała. – Odpowiedź brzmi „tak”, bo takie są zasady użycia broni palnej.

– Ja to bym raczej zapytał, czy nie chce buziaka – powiedział Bäckström z uśmiechem. Następnie pokręcił głową i odszedł. Z taksówki zadzwonił do swojego kuzyna, który udzielał się w związku zawodowym policjantów.

– Chcesz powiedzieć, że pracodawca odmawia ci prawa do twojego małego siggego? – podsumował kuzyn, który nagle poczuł taki sam zew krwi, jaki czuł Bäckström.

– Nie inaczej – odpowiedział Bäckström. – Pytanie, co z tym, kurwa, zrobisz?

Wszystko, co należy zrobić w takiej sytuacji, stwierdził kuzyn. Między innymi zwrócić się do pewnego uczynnego kolegi, który przed laty piastował funkcję rzecznika praw policjantów przy związku, a teraz pracował jako instruktor strzelectwa w Wyższej Szkole Policyjnej i miał pełne uprawnienia do podpisywania wszelkich potrzebnych zaświadczeń.

– Pogadam z nim, to zadzwoni do ciebie i się umówicie.

– Powinienem się jakoś przygotować?

– Weź jakąś siedemdziesiątkę.

Chcąc zaoszczędzić na czasie, Bäckström przekazał butelkę swojej najlepszej whisky już na początku spotkania na strzelnicy w WSP.

– A dziękuję, dziękuję – powiedział uczynny kolega i oblizał wargi. – Chyba czas już przytulić małego siggego – dorzucił

i podał Bäckströmowi swojego siga sauera.

– Czujesz? – zapytał i skinął do Bäckströma, który ważył broń w rękę.

– Co czuję?

– Taki odlot może dać tylko mały sigge – powiedział z miną równie radosną jak w chwili, gdy Bäckström wręczał mu prezent.

Jakiś nienormalny, pomyślał Bäckström i na wszelki wypadek upewnił się, czy tamten nie stoi za jego plecami z jakimś zapasowym pistoletem.

Potem starannie wycelował, dla pewności przymknął lewe oko, zmrużył prawe i oddał zwyczajową serię strzałów.

– O kurwa, Bäckström – jęknął instruktor, nie kryjąc podziwu. Zbój nie miał wiele więcej do powiedzenia.

Zanim Bäckström odszedł z zaświadczeniem w kieszeni, jego nowy przyjaciel udzielił mu kilku rad na nową drogę życia.

– Coś sobie pomyślałem...

– Tak?

– Niby się nie wychylasz, a i tak możesz daleko zajść.

– Jasne.

– Może tylko spróbuj strzelać w to niewielkie wzniesienie przed tarczą – zaproponował instruktor. – Lepiej uważać na te baby z dyscyplinarnego.

Jeszcze czego, fagasio, pomyślał Bäckström, od tej chwili pełnoprawny obywatel i policjant. Niech tylko ktoś podniesie na mnie rękę, to odstrzelę mu łeb.

BÄCKSTRÖM WYSZEDŁ ze swojej ulubionej knajpy jeszcze przed północą. Tego wieczoru jego białe tornado z Jyväskylä nie miało szans się rozpędzić, bo po pracy przyjechał po nią facet. Co gorsza, gapił się na Bäckströma. W tej sytuacji Bäckström mógł już tylko powlec się do domu. Otworzył drzwi do swojego przyjemnego legowiska, ziewnął i wszedł prosto do środka.

Niech chociaż małego siggego przytulę, pomyślał i nagle zorientował się, że nie jest sam.

– Witaj w domu, inspektorze – powiedział Samir Parisafar z uśmiechem.

Jego wielki kuzyn nie odezwał się ani słowem, patrzył tylko na Bäckströma swoimi czarnymi, głęboko osadzonymi oczami. Gdyby nie poruszająca się miarowo dolna szczęka, jego twarz wyglądałaby jak wykuta w kamieniu.

– W czym mogę panom pomóc? – No i co teraz, pomyślał. – Może się panowie czegoś napiją? – zapytał, ruchem głowy wskazując kuchnię.

– Nie pijemy – odrzekł Samir Parisafar. Rozparł się wygodnie w ulubionym fotelu Bäckströma, a jego kuzyn stał dalej pośrodku pokoju i tylko patrzył. – Spokojnie, inspektorze. Przychodzimy w pokojowych zamiarach, mamy też pewną ofertę biznesową.

– Słucham – powiedział Bäckström, próbując jak najdyskretniej strząsnąć nogawki, bo miał wrażenie, jakby przykleiły mu się od potu, a nogi zaczęły trząść się w niekontrolowany sposób.

– Interesuje nas, czym tak naprawdę zajmują się pańscy koledzy – powiedział Samir. – Z tego, co widzę, istnieją dwie możliwości – dodał, a zabrzmiało to, jakby myślał na głos.

Następnie włożył rękę do kieszeni, wyjął plik banknotów tysiackoronowych i położył je na stoliku. Plik był podobny do tych, które Bäckström znalazł w garnku na końcu tęczy. Następnie z jakiegoś powodu wyjął z kieszeni nóż sprężynowy,

rozłożył dwustronne ostrze i zaczął czyścić sobie paznokcie.

– Z tego, co widzę, istnieją dwie możliwości – powtórzył Samir Parisafar, wciąż przyjaznym głosem. Zdawał się pochłonięty robieniem manikiuru, a jego kuzyn wciąż coś przeżuwał.

No to Bäckström 2.0, postanowił Bäckström. A że nie miał wiele do stracenia, od razu dał pełny gaz.

– Nie róbcie mi krzywdy! – wrzasnął, wykrzywił twarz i wyciągnął przed siebie ręce złożone w błagalnym geście. Następnie opadł na prawe kolano przed wielkim Talibem, jakby miał zamiar mu się oświadczyć.

Szczeka Taliba zastygła, cofnął się o pół metra i spojrzał z politowaniem na klęczącego u jego stóp Bäckströma. Następnie wzruszył ramionami, obrócił głowę i zerknął na swojego szefa wyraźnie speszony.

– Bądź mężczyzną, Bäckström. – Samir pokręcił głową i wycelował w niego ostrze noża.

W tej samej chwili Bäckström zaatakował.

MNIEJ WIĘCEJ w tym samym czasie, gdy Bäckström zasiadał w swojej ulubionej knajpie na Kungsholmen, policja w Kopenhadze dostała cynk. Anonimowa „osoba płci męskiej”, sądząc po głosie rdzenny Duńczyk w średnim wieku, zadzwoniła na centralę i zostawiła wiadomość.

W głębi rozległego parkingu na Fasanvejen, dwieście metrów za dawnym hotelem SAS i zaledwie pięć minut od centrum, stał kontener na śmieci. Leżało w nim ciało zapakowane w zwykły worek jutowy, w którym wcześniej znajdowała się pasza dla świń. Mężczyzna raczej nie wszedł do worka sam, a ci, którzy pomogli mu tam wejść, zostawili jego stopy wystające na zewnątrz, żeby znalazła go nawet duńska policja.

– No, to by było tyle – stwierdził mężczyzna, a potem zakończył połączenie z telefonu na kartę, który był nie do namierzenia i niezwykle pomocny w pewnych sytuacjach.

Trzy minuty później na miejscu były już pierwsze radiowozy, a po pół godzinie dwóm funkcjonariuszom oddziału prewencji towarzyszyło już kilkunastu kolegów z wydziału kryminalnego kopenhaskiej policji i wydziału techniki kryminalistycznej.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Bäckström zamówił jednego głębszego do podwójnego espresso, na miejscu zdarzenia otwarto worek, w którym znajdowało się nagie ciało. Na szyi denata zawiązana była karteczka ze słowami: „Nasir Parisafar, adresat: wydział kryminalny policji w Sztokholmie”, a w jego gardło ktoś wcisnął kwitek parkingowy. Obrażenia na ciele świadczyły o tym, że chłopak umierał wyjątkowo długo i w męczarniach.

Wiadomość do muzułmańskiego napastnika, który zawałił robotę, porzucając samochód, nie mogła być bardziej jednoznaczna, a ponieważ kopenhaska policja wiedziała, że coś się szykuje, Duńczycy zadzwonili do szwedzkiego kolegi, inspektora Jormy Honkamäki z wydziału interwencyjnego sztokholmskiej policji. Honkamäki odebrał telefon, gdy stał na ulicy przed domem Bäckströma i przyglądał się finałowi jego



przedstawienia.

Najstarszy brat Nasira, Samir, wnoszony był właśnie do karetki. Dwóch sanitariuszy dźwigało nosze, pielęgniarka trzymała kroplówkę, a Samir zawodził w języku, z którego Honkamäki nie rozumiał ani słowa. Jego spodnie były opuszczone do kostek, przesączone krwią.

Jego kuzyn Gasan Talib odjechał właśnie drugą karetką. Nieprzytomny, z założonym kołnierzem ortopedycznym, w towarzystwie trzech sanitariuszy, lekarza i pielęgniarki, próbujących utrzymać go przy życiu.

Wydawało się, że w najlepszym stanie jest drugi brat Nasira, Omar. Co prawda miał rozbity nos, jego ręce były wygięte do tyłu i słał się na nogach, ale poza tym wyglądał tak jak zwykle.

– Zrobię wam z dupy miazgę! – wrzasnął Omar, gdy dwóch kolegów Honkamäkiego pomagało mu wejść do radiowozu.

Co tu się, kurwa, dzieje, pomyślał Honkamäki, kręcąc głową.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – powtórzył inspektor Toivonen minutę później, gdy wysiadając z samochodu służbowego, dostrzegł Honkamäkiego.

GDY TYLKO TALIB, speszony niezbyt męskim zachowaniem policjanta, odwrócił wzrok, Bäckström zaatakował. Błyskawicznie chwycił go za nadgarstki i z całej siły szarpnął.

Talib poleciał do tyłu jak ścięta sosna, choć może nie było to najlepsze porównanie, biorąc pod uwagę to, gdzie się urodził. Machając bezradnie rękoma, zwałił się jak długi na plecy i uderzył głową w stół, robijając na kawałki blat z pierwszorzędnego marmuru Kolmard.

Bäckström migiem wyjął siggego, z pewnym wysiłkiem stanął na nogach i na wszelki wypadek od razu przymknął lewe oko, jednocześnie mrużąc prawe.

Samir również wstał, uniósł ręce w obronnym geście i upuścił nóż, który wbił się ostrzem prosto w cenny dywan Bäckströma.

– Spokojnie, inspektorze – powiedział i zamachał pokojowo uniesionymi rękami.

– *Make my day, punk* – ryknął Bäckström i oddał porządną salwę, próbując nie zadrasnąć świeżo położonego parkietu.

SĄSIAD BÄCKSTRÖMA nie musiał dzwonić na centralę, bo policja i tak znajdowała się na miejscu.

Tuż po jedenastej wieczorem biały mercedes Alfa 3 zaczął nagle przemieszczać się na ekranie komputera Sandry Kovac. Wcześniej tego samego wieczoru stał zaparkowany na najwyższym piętrze tego samego parkingu, na którym stał porzucony lexus.

Samochód obserwacyjny z siedzącymi w środku Kovac, Hernandez i Motoele znajdował się w pobliżu i po zaledwie kilku minutach jechał już sto metrów za mercedesem, który najwyraźniej kierował się na Kungsholmen. Prowadził Omar, obok niego siedział Samir, a Gasan Talib zajął całe tylne siedzenie.

Kovac skontaktowała się z Lindą Martinez przez radio. Martinez poprosiła o wsparcie drugiego patrolu, który wcześniej tego samego wieczoru obserwował Bäckströma, a teraz odpoczywał przy kawie w McDonalddie, zaledwie kilka przecznic od ulubionej knajpy Bäckströma.

Komisarz kryminalny Tomas Singh, adoptowany jako dziecko z Malezji, i jego kolega aspirant Gustav Hallberg, wbrew temu, co można by sądzić po nazwisku, adoptowany z RPA, wskoczyli do samochodu i wrócili do knajpy, gdzie kwadrans wcześniej zostawili Bäckströma, siedzącego przy lampce koniaku. Gdy wrócili, siedział wciąż w tym samym miejscu. Raczej nie zamawiał drugiej kolejki, ponieważ stojący przed nim kieliszek był pusty.

– Co teraz? – zapytał Hallberg.

– Czekamy – powiedział Singh.

Pięć minut później Bäckström zamachał na kelnerkę, wstał, wyjął pokaźny plik banknotów z kieszeni, zgniótł rachunek, wysupłał banknot pięćsetkoronowy i pokręcił głową, gdy kelnerka chciała wydać mu resztę.

– Widać kolega Bäckström nie narzeka na brak gotówki – stwierdził aspirant Hallberg.

– A myślisz, że czemu tu, kurwa, siedzimy? – odpowiedział komisarz kryminalny Singh, który był pięć lat starszy stażem i wiedział już, co w trawie piszczy.

Gdy Bäckström podnosił się, żeby zapłacić, biały mercedes zatrzymał się dwadzieścia metrów od wejścia do budynku, w którym mieszkał Bäckström. Z samochodu wysiedli Samir i Talib, Omar zaparkował, zgasił światła i został w środku, a jego brat i kuzyn zniknęli w wejściu do klatki.

– Co teraz robimy? – zapytała Magda Hernandez.

– Bäckström jest chyba w drodze – powiedziała Kovac, która miała połączenie z Singhiem. – Tomas i Gustav idą za nim – dodała i skinęła głową do Hernandez.

– Coś tu się nie zgadza – stwierdził Motoele.

– Co się nie zgadza? – zdziwiła się Hernandez.

– Mam przecucie. Wydaje mi się, że Bäckström nie wie, że chcą się z nim spotkać.

– *Dirty cop* – prychnęła Kovac. – Nie wierzę.

– Przecież od południa ma wyłączony telefon – zaprotestował Motoele.

– Może ma drugi albo jakoś inaczej umówili się na spotkanie – powiedziała Kovac.

Cztery minuty później Bäckström zniknął w wejściu do budynku.

– Niech ci nawet nie przyjdzie do głowy, żeby podsłuchiwać pod drzwiami – powiedziała Kovac i spojrzała ostrzegawczo na Motoele. – Nie mam zamiaru niepotrzebnie ryzykować.

– Ale tu gorąco. Mogę otworzyć okno, mamusiu? – zapytał, odkręcając szybę.

– Myślałam, że tacy jak ty lubią ciepło. Uważaj, żebyś się nie przeziębiał, Frank.

– No to chyba jednak nie był umówiony – powiedział Motoele, bo usłyszał stłumiony odgłos strzału w oddali. Gdy wyskoczył z samochodu i biegł ulicą, padały kolejne strzały. Ten sam stłumiony dźwięk, który słyszał tysiące razy, gdy stał na strzelnicy w słuchawkach i ćwiczył z bronią służbową.

Omar Parisafar nic nie widział ani nie słyszał. Założył słuchawki od swojego iPod'a, zamknął oczy i kiwał głową

w rytm muzyki, delektując się chwilą, gdy nagle ktoś otworzył drzwi, złapał go za gardło i wszystko potoczyło się inaczej, niż zaplanowano. Instynktownie sięgnął po nóż, który tkwił między siedzeniami. Chwilę później leżał na brzuchu na asfalcie, ktoś stanął mu na dłoni i kopnął w nóż, kiedy próbował się podnieść. Ktoś pociągnął go za włosy, odgiął mu głowę do tyłu, kantem dłoni uderzył go w nos, aż zrobiło mu się ciemno przed oczami. I jeszcze raz, a potem jeszcze, aż wokół zapadła ciemność, a głosy stały się ledwo słyszalne.

– Daj spokój, Frank! – krzyknęła Sandra Kovac. – Chcesz go zabić? – Odepchnęła Motoele, przygwoździła Omarowi plecy kolanem i złożyła mu ręce na plecach; najpierw prawą, potem lewą.

– Odbiło ci, kurwa.

– Ten mongol próbował dźgnąć mnie kosą. – Motoele wskazał głową nóż leżący w rynsztoku po drugiej stronie ulicy.

– Opanuj się. Nie miał noża, kiedy na niego skoczyłeś.

Frank Motoele nie wyglądał, jakby coś z tego usłyszał. Wzruszył ramionami, chwycił za broń i zniknął w budynku Bäckströma.

SAMIR POLECIAŁ DO TYŁU jak sflaczały worek już po pierwszym strzale. Widocznie dostał w lewą nogę, chociaż Bäckströmowi nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby celować w tak idiotyczne miejsce.

Bäckström strzelił jeszcze kilka razy na wszelki wypadek, trafiając tu i ówdzie, po chwili jednak zrobiło się cicho. Talib leżał nieruchomo na wznak, oczy miał półotwarte, ale wzrok nieobecny, a jego dolna szczęka się nie poruszała. Z uszu i nosa sączyła się krew, nogi dziwnie drżały. Bäckström pochylił się nad nim i wyjął mu zza pasa czarny pistolet, który zatknął sobie za spodnie.

Następnie podszedł do leżącego Samira, który jęczał, obejmując dłońmi lewą nogę. Krwawił jak świeżo zarżnięta świnia, plamiąc wyjątkowo drogi dywan Bäckströma.

– Przestań beczeć – powiedział Bäckström, a skoro już stał nad nim, wymierzył mu mocnego kopniaka w nogę, do której zdążył się już dobrać mały sigge.

Samir wywrócił oczami i zemdlął. Bäckström schował plik banknotów w bezpieczne miejsce i rozejrzał się po mieszkaniu. Nareszcie chwila spokoju, pomyślał i w tym samym momencie usłyszał dzwonek telefonu stacjonarnego.

– Bäckström – warknął do słuchawki, tocząc wzrokiem po polu bitwy.

– Jak jest? – odpowiedział kobiecy głos. – Z tej strony Kovac.

– Spoko.

– Stoimy z kolegami pod twoimi drzwiami, mógłbyś otworzyć?

– Nie chcę tu tych idiotów od szybkiego reagowania – odparł, bo nie miał zamiaru popełnić raz jeszcze tego samego błędu.

– Normalni, porządni koledzy.

– Okej. Dajcie mi minutę.

Następnie schował pieniądze w bezpieczne miejsce, nalał sobie duży kieliszek whisky i zatknął się sauera za pas, gdzie zrobiło się już trochę ciasno.

To chyba tyle, pomyślał i raz jeszcze rozejrzał się dookoła. Na wszelki wypadek.

Potem otworzył drzwi i wpuścił ich do środka, a sam usiadł na kanapie i wychylił kieliszek. Na wszelki wypadek nalał sobie jeszcze jeden. Co się, kurwa, dzieje ze szwedzką policją, pomyślał. Przez co najmniej piętnaście minut toczył bój na śmierć i życie, własnymi rękami zaprowadził spokój i porządek, a jego pracodawca miał mu do zaoferowania najwyraźniej tylko pięciu gówniarzy, którzy zjawili się, gdy było już po wszystkim. Dwie baby, dwóch Murzynów i jakiś Mulat, któremu w szkole na pewno dokuczali koledzy. Co się, kurwa, dzieje ze szwedzką policją.

Gdy Peter Niemi zjawił się pół godziny później, stanął w drzwiach i westchnął głęboko. Kiedyś to może było miejsce przestępstwa, pomyślał. Z formalnego punktu widzenia wciąż nim było, choć od momentu zdarzenia przeszło tędy co najmniej pięćdziesiąt osób z pogotowia ratunkowego i policji, które poprzesuwały wszystko, co było do ruszenia, i zabrudziły paluchami całą resztę.

– Okej. Proszę wszystkich o opuszczenie mieszkania, chciałbym zabrać się z kolegą do roboty.

– Zapomnij, Niemi – odezwał się Bäckström. – Ja tu mieszkam.

– Oj Bäckström, Bäckström. – Pewnie wciąż jest w szoku, pomyślał Niemi.

– Masz tu pistolet Taliba – powiedział Bäckström, kładąc broń na resztkach tego, co do niedawna było stolikiem z blatem z kolmårdzkiego marmuru. – Tu masz mój – dodał.

– A tamten nóż na podłodze? – zapytał Niemi, pokazując głową.

– Należy do Samira Parisafara. Możesz go sobie wziąć.

– A otwory po pociskach?

– Wszystko, co się stało, stało się tutaj – powiedział Bäckström. – Sukinkoty musiały otworzyć drzwi wytrychem, bo gdy wszedłem, już tu byli. Potem zrobiła się jatka – dorzucił, wzruszając ramionami. Reszty domyśl się sam, warknął w duchu.

– Czy oprócz ciebie ktoś jeszcze strzelał? – zapytał Chico Hernandez.

– Nie mam pojęcia – skłamał Bäckström. – Wszystko stało się bardzo szybko, zrobiło się zamieszanie. A teraz wybaczenie – dodał. – Czujcie się jak u siebie. Muszę się na chwilę położyć.

Poszedł do sypialni i zamknął za sobą drzwi. Niemi i Hernandez spojrzeli na siebie i wzruszyli ramionami.

Godzinę później Bäckströma odwiedziły Anna Holt i Annika Carlsson.

– Jak się czujesz? – zapytała pierwsza.

– Wyśmienicie – odpowiedział, choć bywało, że czuł się lepiej. Poza tym czuł się dziwnie nieobecny, jakby to nie jego dotyczyło.

– Mogę coś dla ciebie zrobić? Badania lekarskie, debriefing, zamówiłam ci pokój w hotelu.

– Nie ma mowy – odpowiedział i na wszelki wypadek pokręcił głową.

– Może zostanę i będę do ciebie co pewien czas zaglądać? Ogarnę salon. Rozmawiałam z Niemim, powiedział, że nie ma problemu – zapewniła.

– Proszę bardzo. – Bäckström spojrział na nią zaskoczony. Lesba, a chce sprzątać komuś takiemu jak ja. Do czego to, kurwa, zmierza?, pomyślał.

– Obiecuję, że będę spać na kanapie – powiedziała z uśmiechem.

– W porządku. – Co ona, kurwa, mówi, pomyślał.

– Na zewnątrz jest co najmniej pięćdziesięciu dziennikarzy – dodała. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, że postawiłam przed wejściem kilku kolegów z prewencji.

– Jasne. – Bäckström wzruszył ramionami.

– Do jutra. Daj znać, gdybyś czegoś potrzebował.

Wszedł pod prysznic. Przez chwilę stał pod strumieniem ciepłej wody. Wytarł się, włożył szlafrok, wziął brązową i niebieską pastylkę przepisane mu przez pracującego dla policji doktora Mengele. Następnie położył się do łóżka. Zasnął, gdy tylko przytknął głowę do poduszki, i obudził go dopiero zapach świeżo palonej kawy i świeżych bułeczek z masłem



i serem.

– Dzień dobry, Bäckström – powiedziała Annika Carlsson i uśmiechnęła się szeroko. – Chcesz zjeść w łóżku czy wolisz w kuchni?

– W kuchni. – Lepiej nie ryzykować, pomyślał.

WTORKOWE PRZEDPOŁUDNIE Anna Holt i Toivonen spędzili na analizie bieżącej sytuacji.

Gasan Talib był w ciągu nocy dwukrotnie operowany na oddziale neurochirurgii szpitala Karolinska. Doznał licznych pęknięć krwionośnych naczyń mózgowych i lekarze długo walczyli o jego życie. W tej chwili leżał na oddziale intensywnej terapii.

Gasan Talib miał dwa metry wzrostu, sto trzydzieści kilogramów mięśni i kości, dorastał w sztokholmskim podziemiu i siał postrach nawet wśród takich jak on. Runął do tyłu i uderzył głową o stół. Gdyby był zwykłym zbrojnym z ekranu kinowego albo telewizyjnego, otrząsnąłby się, wstał, a następnie zrobił z Bäckströma leguminę. Ponieważ jednak był człowiekiem z krwi i kości, nie wiadomo było, czy przeżyje.

Samir Parisafar również spędził noc na stole operacyjnym, choć jedyna kula, która go trafiła, przeszła podręcznikowo tuż pod lewym kolanem. Najpierw, czego się można było spodziewać, przebiła obie golenie – kość piszczelową i strzałkową. Potem jednak wydarzyło się coś, czego nie przewidziano w regulaminie. Pocisk należał do nowego typu pocisków, które pęcznieją po trafieniu w cel, żeby zmniejszyć ryzyko przebicia go na wylot i rykoszetów za względnie niską cenę większej rany w ciele postrzelonej osoby. W tym przypadku płaszcz kuli rozpadł się na kawałki, z których jeden przemieścił się wzdłuż kości udowej i uszkodził tętnicę udową. Gdy Samir Parisafar trafił do szpitala, zdążył już stracić trzy litry krwi. W karetce dwukrotnie nastąpiło zatrzymanie akcji serca. Dziesięć godzin później leżał na oddziale intensywnej terapii. Rokowania były niepewne.

Jego młodszemu bratu postawiono szybką diagnozę jeszcze na ulicy przed domem Bäckströma. Złamana kość nosowa, podejrzenie złamania nogi i palców prawej ręki. Nic, z czym nie poradziłby sobie personel medyczny w areszcie. W czasie krótkiej drogi radiowozem na komendę zemdlał i osunął się na

podłogę. Z początku pomyśleli, że udaje, ale potem jego również odwieźli do Karolinska i godzinę później Omar leżał na stole operacyjnym. Kilka pękniętych żeber z prawej strony, przedziurawione płuco, zapaść płuc, choć przecież był w znacznie lepszym stanie niż jego starszy brat i kuzyn.

– Wyjdzie z tego – stwierdził chirurg w rozmowie z Honkamäkim. – Oczywiście pod warunkiem, że nie pojawi się nic nowego – dodał, jak to mają w zwyczaju lekarze.

Nasir Parisafar nie żył. Torturowano go czymś, co wyglądało na zwykłą lutownicę, a jego czaszka została zmiażdżona tępym narzędziem, którego nie potrafili rozpoznać. Na wszelki wypadek uduszony grubym sznurkiem, którym również przywiązano do jego szyi kartkę z adresem. Po południu ciało miało trafić na stół lekarza sądowego w Solnie na wypadek, gdyby szwedzcy lekarze chcieli rzucić okiem na to, co ich duńscy koledzy na oddziale medycyny sądowej szpitala Rigshospitalet mieli okazję już sprawdzić.

Na wszelki wypadek Samir Parisafar, Omar Parisafar i Gasan Talib zostali również aresztowani w charakterze podejrzanych. Dwie próby zabójstwa inspektora kryminalnego Everta Bäckströma i komisarza kryminalnego Franka Motoele, przestępstwo z użyciem broni i pewnie jeszcze więcej. Dużo więcej.

Choć żaden z nich nie mógł poruszać się o własnych siłach i wszyscy leżeli przykuci do szpitalnych łóżek, objęto ich wyjątkowo ścisłym dozorem policyjnym. Pilnowało ich około dwudziestu umundurowanych policjantów z Sił Szybkiego Reagowania, oddziału interwencyjnego i prewencji i jakieś pół tuzina śledczych, którzy niespodziewanie znaleźli chwilę wolnego czasu.

Inspektor Toivonen nie był zadowolony.

– Wytłumacz mi, jak do cholery można było dać temu tłuściochowi podziurawić całe dochodzenie? – zapytał, wbijając przekrwione oczy w swoją szefową. – Myślałem, że jesteśmy w Szwecji?

– No cóż – odparła Anna Holt. – Jesteśmy, ale to nie jest takie proste.

– Nasir nie żyje, Samir, Talib i Omar leżą na OIOM-ie – powiedział Toivonen i na wszelki wypadek policzył na palcach...

– No cóż – powtórzyła Holt. – Pamiętaj jednak, że kolega Bäckström nie miał raczej nic wspólnego z zabójstwem Nasira. Chyba będziesz musiał porozmawiać o tym z Åkare i jego kolegami.

Żarty sobie robi, pomyślał Toivonen, który w czasie swojego długiego życia zawodowego miał okazję przeprowadzić wiele bezsensownych rozmów z Fredrikiem Åkare i jego kompanami z Hells Angels. Ostatnim razem Åkare poklepał go nawet po ramieniu, a potem zniknął w towarzystwie swojego lalusiowatego adwokata.

– A ty nie jesteś czasem z Finlandii? – zapytał Åkare.

– A co to ma do rzeczy? – odpowiedział Toivonen, próbując nie zważać na jego pogardliwy uśmieszek.

– W takim razie na pewno znasz naszego dawnego przewodniczącego. On też jest Finem. Przekazuje pozdrowienia. Daj znać, jak będziesz chciał przejechać się na motorze albo wyskoczyć na piwo.

Toivonen nie skorzystał z zaproszenia. Teraz jednak nie miał wyboru, choć wcale nie palił się do tego spotkania.

– Niemi twierdzi, że Samir miał klucz od mieszkania Bäckströma w kieszeni spodni – powiedział Toivonen, bo nie zamierzał poddać się tak łatwo.

– Z tego, co zrozumiałam, został dorobiony niedawno – odparła Holt, która również rozmawiała z Niemim.

– Nie zastanawia cię, że mieli klucz akurat od mieszkania Bäckströma?

– Wiem, co sugerujesz. Wiem też, co się mówi o Bäckströmie, ale gdyby chcieli dać mu w łapę, mogliby po prostu zapukać. Jeśli taki był cel ich wizyty, nie wygląda na to, że negocjacje przebiegły zgodnie z planem. Delikatnie mówiąc – dodała Holt, bo była też prawdziwą policjantką.

– Może wzięli za mało kasy. Niemi twierdzi, że Samir nie miał przy sobie nawet korony.

– No już, wystarczy. Nie ma co wyciągać pochopnych

wniosków. Jak na razie wszystko wskazuje na to, że Samir i Talib weszli do mieszkania Bäckströma bez jego wiedzy. Chcieli go zabić, pogrozić mu, zaszantażować albo zmusić do współpracy. Albo dać mu łapówkę. Na dobrą sprawę nie wiemy. Wydaje się, że Bäckström miał pełne prawo do samoobrony, a strzał w nogę Samira jest podręcznikowy.

– A co powiesz o pozostałych pięciu pociskach, które Niemi wydułbał ze ścian i sufitu?

– Pewnie zrobiło się zamieszanie. Bäckström twierdzi, że rzucili się na niego, gdy wszedł do mieszkania: Talib z pistoletem, a Samir z nożem. Bäckströmowi udało się wyciągnąć broń. Padają strzały. Z czym masz problem?

– Popraw mnie, jeśli się mylę. – Toivonen wziął głęboki oddech, żeby zapobiec oderwaniu się górnej części jego czaszki pod wpływem rosnącego ciśnienia. Jestem spokojny, pomyślał. – Bäckström powala Taliba, rozbraja i sprowadza do parteru. Jego pistolet przypadkowo wypala kilka razy. Gdy Talib zostaje unieszkodliwiony, strzela Samirowi w nogę – idealny strzał, tuż pod lewym kolaniem. Samir rzuca się na niego z nożem. Dobrze zrozumiałem?

– Mniej więcej. – Holt wzruszyła ramionami. – Koleżanka Carlsson, która jadła dziś śniadanie z Bäckströmem, mówi, że przewrócił Taliba dzięki jakiejś sztuczce z nogami, której nauczył się jeszcze jako młody chłopak, gdy trenował dzudo. Niestety Talib upadł dość niefortunnie i uderzył głową o stół. Trudno jednak mieć o to pretensje do Bäckströma, zwłaszcza biorąc pod uwagę okoliczności. Samir rusza na niego z nożem, więc Bäckström strzela mu w kolano.

– Tak twierdzi Bäckström.

– Rozmawiałam z Niemim i Hernandezem. Z ich badania technicznego nie wynika nic, co by zaprzeczało wersji Bäckströma. Wersję z Talibem kupili od razu. Pociski w ścianach utkwily w taki sposób, że nie mogły zostać wystrzelone przez kogoś, kto stał w jednym miejscu. To by się zgadzało z zeznaniami Bäckströma.

– Jakie badanie techniczne! – parsknęła Toivonen. – Przecież sama widziałas, jak to wyglądało. Przez to mieszkanie przeszło

całe stado ludzi.

– Między innymi ty i ja. I jeszcze nasi koledzy. O to również trudno winić Bäckströma.

– Oczywiście! Może jeszcze dacie tłuściochowi medal i trzynastkę? Widziałas, jakie on ma meble?

– Uspokój się, Toivonen.

– Dobrze. – Jestem spokojny, pomyślał.

– Czy mi się zdaje, czy jesteś trochę zazdrosny o starego, poczciwego Bäckströma? – zapytała z uśmiechem. Jak dzieci, pomyślała, gdy Toivonen wymaszerował z pokoju.

Już w pierwszych porannych wiadomościach Bäckström został obwołany bohaterem narodowym. Wielu kolegów drapało się po głowach, zastanawiając, jak to możliwe. Większość wolała zagryźć wargi i potulnie kiwać głowami. Pojedynczy wyrazili swoje wątpliwości.

Jednym z nich był Jorma Honkamäki, który wpadł na Franka Motoele w wejściu do szpitala Karolinska.

– Ciekawe, co się tam naprawdę wydarzyło – mruknął.

– Do czego pijesz? – zapytał Motoele, a jego oczy zrobiły się czarne jak zimowa noc na sawannie.

– No wiesz, u tłuściocha.

– Uważaj, co mówisz – powiedział Motoele, mrużąc oczy. – Mówisz o bohaterze. Szacunek.

BÄCKSTRÖM I ANNIKA CARLSSON wymknęli się przez tylne drzwi na podwórko. Przed wejściem do budynku od strony ulicy rozgrywał się istny cyrk, a funkcjonariusze z wydziału prewencji mieli ręce pełne roboty. Dziennikarze i zwykli gapie, z których wielu próbowało za wszelką cenę dostać się do budynku. Chociażby po to, żeby upewnić się, że Bäckström naprawdę istnieje. Strumień listów, kwiatów i paczek, łuna od płonących zniczy, choć był środek lata.

– Dwie sprawy – powiedziała Annika, gdy wsiedli do samochodu. – Musisz poddać się debriefingowi i porozmawiać z kolegami z biura spraw wewnętrznych.

– Dlaczego? – nasrożył się Bäckström.

– Im szybciej będziesz mieć to z głowy, tym lepiej. Od czego chcesz zacząć?

– Sama zdecyduj.

– Dobrze mówisz. – Uśmiechnęła się i poklepała go po ramieniu.

Debriefing poszedł mu wyjątkowo szybko. Prowadził go kolega, którego Bäckström znał jeszcze z czasów w Komendzie Głównej, a który wypalił się, przeszedł kryzys, a potem znalazł powołanie w policyjnej sekcji kształcenia ustawicznego.

– Jak się czujesz, Bäckström? – zapytał i dla wzmocnienia efektu przechylił głowę.

– Doskonale. Dawno nie czułem się lepiej. A ty? Słyszałem, że miałeś kryzys? – Nieudacznik, pomyślał.

Wyszedł po pięciu minutach.

– I co ja teraz napiszę w raporcie? – zapytał kolega.

– Rusz głową – poradził Bäckström.

Wizyta w sztokholmskim oddziale biura spraw wewnętrznych zajęła godzinę. Bäckström bywał tam już przy różnych okazjach, wówczas jednak trwało to znacznie dłużej i towarzyszyła temu głośna wymiana poglądów, wyrażanych bezpośrednio i jednocześnie. Tym razem już w wejściu zaproponowali mu kawę, a nadinspektor przywitał go osobiście

i zapewnił, że w żadnym wypadku nie jest o nic podejrzany. Bäckström rzucił krótkie spojrzenie stojącej obok niego Annice Carlsson, żeby w razie czego mogła zaświadczyć o tym, co zostało powiedziane, zwłaszcza że była rzecznikiem związkowym w rejonie Västerort.

Wszystko, co do tej pory dało się ustalić, przemawiało jednoznacznie za wersją Bäckströma. Koledzy z działu technicznego, Peter Niemi i Jorge Hernandez, zabezpieczyli liczne ślady, które potwierdzały jego wersję. Sandra Kovac, Frank Motoele, Magda Hernandez, Tomas Singh i Gustav Hallberg, którzy jako pierwsi przyjechali na miejsce, jednogłośnie świadczyli na jego korzyść.

– Przed godziną rozmawialiśmy z Motoele. Wszedł do mieszkania jako pierwszy i dał nam poruszający opis tego, co zastał. To cud, że żyjesz. Nie wiem, czy słyszałeś, że jeden z napastników rzucił się na Motoele z nożem przed wejściem do twojej klatki, kiedy ten próbował się przebić do środka, żeby cię wesprzeć.

– Straszna historia – przyznał Bäckström. – Taki młody chłopak. Jak on się czuje? Wesprzeć, to ci dopiero. – Banda gówniarzy, pomyślał.

– Nieźle, biorąc pod uwagę okoliczności – powiedział nadinspektor, nie wchodząc w szczegóły. – Na dobrą sprawę mamy tylko cztery pytania – dodał.

– Słucham – powiedział Bäckström, a Annika Carlsson niepokojąco zmrużyła oczy.

Kiedy wchodził do mieszkania o wpół do dwunastej w nocy, miał przy sobie broń służbową. Dlaczego?

– Byłem na służbie – wyjaśnił Bäckström. – Ze względu na obecną sytuację zarówno ja, jak i moi koledzy nie wychodzimy z budynku bez broni. Przyszedłem do domu, żeby zmienić koszulę i coś przegryźć przed powrotem na komendę w Solnie.

– W tej chwili pracujemy praktycznie całą dobę – wtrąciła Annika Carlsson. – Mamy dwa podwójne morderstwa, które zdają się mieć związek z napadem w Bromma, i poważne braki kadrowe. Sześciu ludzi na dwa zabójstwa bez podejrzanego.

Co jest, kurwa?, pomyślał Bäckström. Chyba się we mnie nie



zakochała?

– Rzeczywiście straszne – zgodził się nadinspektor i pokiwał swoją posiwiałą głową. Już teraz ciągniemy językami po ziemi.

Samir Parisafar miał zapasowy klucz od mieszkania Bäckströma. Czy Bäckström podejrzewa, w jaki sposób mógł wejść w jego posiadanie?

– Na pewno nie dostał go ode mnie – odparł Bäckström. – Nigdy wcześniej go nie spotkałem. Mam dwa klucze: jeden, który przechowuję w biurku w pracy, i drugi, który noszę ze sobą. Chyba jeszcze dozorca ma trzeci.

– Nie wiesz, skąd Parisafar mógł wziąć twój klucz?

– Nie – skłamał Bäckström, bo domyślał się już, jak się sprawy mają, ale zamierzał omówić to bezpośrednio z GeGurą i Tatianą Thorén. – Nigdy go nie zgubiłem, jeśli o to ci chodzi. Gdyby tak się stało, natychmiast zmienilibyśmy zamki.

– A gospodarz domu?

– Rzadko z nim rozmawiam.

– A ten, co go trzymasz w biurku? Zamykasz szufladę?

– Chwila. Nie chcesz chyba powiedzieć, że ktoś z naszych mógłby przekazać mój klucz komuś takiemu jak Parisafar i Talib.

– Są jeszcze sprzątaczk.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy w ten sposób daleko zaszli – wtrąciła Annika Carlsson. – Zresztą to nie nasz kłopot, że tak powiem.

– Racja – zgodził się nadinspektor.

Muszę pamiętać, żeby włożyć klucz do szuflady, pomyślał Bäckström. Na wszelki wypadek. Ciekawe tylko, skąd wezmę taki, co wygląda podobnie, a nie pasuje?, pomyślał.

Bäckström pił w mieszkaniu alkohol. Dlaczego?

– Napilem się whisky – przyznał. – Miałem jakieś dwieście pulsu, musiałem to zbić jednym głębszym. Stwierdziłem, że nie będę już tego dnia więcej pracował, a broń oddałem Niemiemu, gdy tylko się pojawił.

Nadinspektor zrozumiał również to, zresztą na jego miejscu pewnie zrobiłby to samo.

No proszę. Stary, ale jary, pomyślał Bäckström.

Bäckström oddał łącznie sześć strzałów. Jeden z nich trafił Samira Parisafara. Czy domyśla się, który to był strzał?

– Ostatni – powiedział Bäckström. – Teraz, kiedy zdążyłem się nad tym w spokoju zastanowić, jestem tego niemal pewien.

Najpierw ten olbrzym Talib rzucił się na niego z wyciągniętą giwerą. Bäckström próbował się bronić, udało mu się wyjąć pistolet, który kilka razy wystrzelił, gdy siłował się z Talibem, w końcu jednak powalił go na ziemię i rozbroił.

– W tym samym momencie ten drugi rzucił się na mnie z nożem. Wymierzyłem i strzeliłem mu pod lewe kolano.

– No cóż – westchnął nadinspektor. – To już wszystko. Ktoś chyba czuwa nad nami policjantami.

– Na co masz teraz ochotę, Bäckström? – zapytała Annika Carlsson. – Chcesz jechać do domu i chwilę odpocząć? Może coś zjesz?

– Jedziemy na komendę, najwyżej zjemy jakiegoś burgera po drodze – odpowiedział. – Mamy jeszcze śledztwo do dokończenia.

– Ty tu jesteś szefem, Bäckström.

NADJA PRZYTULIŁA GO i wyszeptała mu do ucha:

– Włożyłam ci do szuflady torebkę.

Bäckström poczuł, jak ogarnia go wzruszenie.

– Dziękuję, Nadjó. – Rosjanie, sentymentalne łotry, pomyślał.

Młody Stigson zerwał się z krzesła i oddał honory, choć nawet nie miał na sobie munduru.

– Witaj z powrotem, szefie.

– Cześć – powiedział Bäckström i poklepał go po ramieniu. Ciekawe, czy ojciec też się do niego dobierał, pomyślał.

– Dobrze, że tak to się skończyło, Bäckström – powiedział Alm.

– Dziękuję – odparł Bäckström. Pieprzony lizus, pomyślał. Nie dość, że stuknięty, to jeszcze lawirant.

– Cieszę się, że szef żyje – powiedziała Felicia Pettersson i mocno go przytuliła. Jak gdyby nigdy nic objęła go rękoma za szyję i uścisnęła.

– Dobrze już, dobrze – mruknął Bäckström. Oszaleli na moim punkcie, pomyślał.

– Wracamy na ziemię. Jak wygląda sytuacja?

Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Przynajmniej z grubsza. Niestety obchód po Rinkeby niewiele przyniósł. Nie przyniósł nic interesującego, chociaż dzielnicowi bardzo się starali – zapewniła Annika Carlsson.

Trudno było również ustalić coś więcej na temat znajomych Danielssona. Wielu jego dawnych przyjaciół nie chciało rozmawiać, a Alm zaczął nabierać wątpliwości co do kilku spośród nich.

– Nasz dawny kolega Stålhammar cierpi chyba na zaburzenia osobowości.

– Zmieniłeś zdanie – powiedział Bäckström z przyjaznym uśmiechem.

– Czy ja wiem – zamyślił się Alm. – Od początku miałem wątpliwości.

Nadja Högberg szukała ksiąg rachunkowych Danielssona. Przygotowała kilka zasadzek na firmy, które wynajmowały powierzchni magazynewe. Na razie niczego nie znalazła.

Toivonen porozmawiał z nią pod nieobecność Bäckströma. Był ciekaw, jak jej idzie z ustalaniem związków łączących Samira Parisafara z Danielssonem. Zaoferował pomoc. Mógł oddelegować dwóch funkcjonariuszy ze swojego zespołu zajmującego się sprawą napadu. Nadja uważała jednak, że wszystko się ułoży, gdy tylko wróci jej szef. Zresztą i tak nie była osobą decyzyjną w takich kwestiach.

– O kogo chodziło? – zaciekawiał się Bäckström. – Kogo chciał na nas nasłać?

– Lufta z wydziału kryminalnego Komendy Głównej i Aspha ze Sztokholmu – westchnęła.

Kołek i Matólek, pomyślał Bäckström, bo znał ich obu. Wystarczy mi jeden Tępak na pokładzie, pomyślał.

– Poradzimy sobie bez nich. – Co mam, kurwa, powiedzieć?, pomyślał. Jak jedni na mnie polują, to drudzy prześwietlają moje dochodzenie. – Coś jeszcze?

– Chyba coś znalazłam – odezwała się Felicia Pettersson.

– Słucham.

Felicia sprawdziła telefon Akofeliego. Zamówiła wykazy połączeń z ostatnich trzech miesięcy. Numer telefonu, pod który dzwonił pięć razy w ciągu ostatniej doby przed zniknięciem, pojawiał się praktycznie każdego dnia.

– Dzwonił w zasadzie codziennie – powiedziała Felicia Pettersson. – Często wcześniej rano, między wpół do szóstej a szóstą rano, kiedy roznosił gazety. Do nikogo nie dzwonił tak często.

– I wciąż nie wiemy, kto ma ten numer? – spytał Bäckström.

– Nie wiemy. Nie jest to jednak nikt z jego pracy, bo z nimi rozmawiałam. Nikt z jego rodziny nie rozpoznaje tego numeru. Żaden z jego kolegów, zresztą nie miał ich zbyt wielu. Ci, z którymi się spotykał, to głównie pracownicy firm korzystających z usług jego firmy kurierskiej i znajomi z czasów studiów. Kilku dawnych kumpli z liceum, jeden sąsiad. Nikt z nich nie rozpoznaje tego numeru.

- A odbiorca? Gdzie on jest? – zapytał Bäckström.
  - Tu w Solnie. Solna, Sundbyberg, zawsze ten sam maszt.
  - Kontaktowałeś się z wywiadem?
  - Jasne. Nie mają tego numeru w rejestrze wojewódzkim. To znaczy teraz już mają, bo go tam wprowadziłam.
  - No tak. – Bäckström pogładził się po brodzie. – Coś mi się nie podoba w tym Akofelim.
  - Ale szef ciągle nie wie, co to takiego? – zapytała Felicia.
  - Starzeję się – stwierdził Bäckström. – Działamy dalej zgodnie z planem. Prędzej czy później to rozgryziemy. Pracuj dalej nad Akofelim, Felicia. Mam pewne przeczucia. Chciałbym być bardziej konkretny, ale na razie to tylko przeczucia.
- Chcieliście, to macie, pomyślał Bäckström, bo powoli wracał do siebie. Co znaczy „przechucia”? Trzeba coś zjeść. Tylko jak się teraz uwolnię od tej Carlsson?, pomyślał.

PO POŁUDNIU KOMENDANT wojewódzka zwołała dodatkową naradę swojego wielkiego sztabu. Presja ze strony mediów rosła. Tłum domagał się zobaczenia swojego bohatera, inspektora Everta Bäckströma. Nie pamiętała takiej sytuacji od czasu zabójstwa Anny Lindh, choć wtedy to nie ona była na celowniku mediów, lecz ówczesny szef wydziału kryminalnego komendy wojewódzkiej, którego obecne zadania miały już inny i mniej publiczny charakter, choć potrzeba było czasu i wysiłku, żeby zapewnić mu spokój i dać odpocząć od nadmiernej ekspozycji w mediach masowych.

Nowy szef działu kadr zainicjował burzę mózgów interesującą propozycją. W przeszłości udzielał się w think tanku Umiarkowanej Partii Koalicyjnej, pracował jako zastępca rzecznika prasowego premiera, a nie dalej jak miesiąc wcześniej wziął udział w interesującej weekendowej konferencji w pałacu Gimo. Nie widział powodu, żeby w ich wąskim gronie nie miał uchylić rąbka tajemnicy.

Spółeczeństwo domagało się błyskotek i splendoru, na co wskazywały przeprowadzone ostatnio liczne badania opinii publicznej. „Współczynnik afirmacji” jeszcze nigdy nie był tak wysoki w ciągu ostatnich trzydziestu lat, a krzywe statystyczne pięły się ostro do góry.

Wojskowi i policjanci, nawet zwykli celnicy, straż ochrony wybrzeża i strażacy domagali się zwiększenia liczby stopni, tytułów zawodowych, epoletów, insygniów, medali i odznaczeń. Zwykli ludzie domagali się zwiększania roli rodziny królewskiej w szwedzkim społeczeństwie, żądano przywrócenia komisji do spraw odznaczeń, a większość kwalifikowana domagała się, by system przyznawania orderów i odznaczeń objął również zwykłych obywateli, a nie tylko pięknoduchów i generałów.

W ostatnim dniu burzliwych dyskusji na konferencji premier wyszedł z wyjątkowo interesującą propozycją. Była to propozycja śmiała, godna wielkiego myśliciela i niewątpliwie jedna z najbardziej inspirujących, jakie nowy szef kadr miał

kiedykolwiek okazję usłyszeć. W istocie.

– Umieram z ciekawości – powiedziała komendant wojewódzka.

– Szlachta. Premier chciał przynajmniej poddać pod dyskusję pomysł przywrócenia tytułów szlacheckich. Przeliczono już tę ideę na pieniądze i okazało się, że każdego roku można by w ten sposób zaoszczędzić miliardy na pensjach, wynagrodzeniach i odprawach pieniężnych.

– Gonimy wiatr w polu. Czym jest *fifteen minutes of fame* wobec możliwości pokazania tyłka w programie reality-show – stwierdził szef działu kadr.

– Masz dla nas jakieś konkrety? – zapytała radca prawna komendy wojewódzkiej, szczupła kobieta w wieku swojej szefowej, która miała na niego oko od jego pierwszego dnia w pracy.

– Złoty Medal za Zasługi dla Policji – stwierdził szef działu kadr. – Dawno już zapomniane najważniejsze odznaczenie w policji.

Ostatni raz temat medalu pojawił się blisko trzydzieści pięć lat temu, po napadzie na bank na Norrmalmstorg, kiedy to dwóch „bohaterów z Norrmalmstorg”, komisarz kryminalny Jonny Johnsson i Gunvald Larsson, uwolniło zakładnika przetrzymywanego w skarbcu i wyprowadziło sprawców w kajdankach na parę ładnych godzin przed składaniem numerów w redakcjach i emisją wieczornych wiadomości. Natrafili na las mikrofonów i kanonadę fleszy.

Wówczas jednak nie przyznano im medali. Ówczesnemu komendantowi, starszawemu kandydatowi z ramienia Partii Ludowej, który objął posadę z braku lepszego rozwiązania, zwyczajnie brakowało przebojowości.

– To było w środku kampanii wyborczej, rządu socjaldemokratów i tak dalej, Palme szalał, więc komendant stchórzył. Facet nie miał jaj – stwierdził szef działu kadr.

Ostatni raz medal został przyznany prawie sześćdziesiąt lat temu. Otrzymał go ówczesny starszy posterunkowy Viking Örn za zasługi w czasie tak zwanych zamieszek margarynowych w listopadzie 1948 roku.

– Złoty Medal za Zasługi dla Policji – zastanowiła się komendant wojewódzka, a jej głos zabrzmiał, jakby trzymała medal w ustach. Ona sama myślała o czym innym, co zamierzała zostawić dla siebie. Przynajmniej na razie. – Może mogłabyś na to spojrzeć, Margareta – powiedziała do swojej radcy prawnej. – Opracuj to i porozmawiamy o tym jeszcze jutro rano na spotkaniu.

– Chętnie – powiedziała radca prawna i z jakiegoś powodu kiwnęła przyjaźnie głową do nowego szefa działu kadr. – Z największą przyjemnością – dodała.

Kim był Viking Örn?

Czym były zamieszki margarynowe?



### KIM BYŁ VIKING ÖRN?

Viking Örn urodził się w 1905 roku w Klippan w Skanii. Był synem młynarza Tora Baldera Örna i jego żony Fidelii Josefiny, z domu Markow. Policjantem i legendarnym zapaśnikiem. Na olimpiadzie w Berlinie w 1936 roku zdobył złoty medal w stylu klasycznym wagi ciężkiej i już wtedy mówiono, że jego herkulesowa siła była efektem biegania w górę i w dół po stromych schodach młyna w Klippan z dziewięćdziesięciokilogramowymi workami mąki.

Gdy Viking Örn został przyjęty jako aspirant w policji sztokholmskiej w 1926 roku, mieszkańcy Klippan i całej Skanii pograżyli się w żalobie. Klippan było bowiem kolebką wszystkich szwedzkich zapaśników, a Viking Örn zdążył zdobyć wiele mistrzowskich tytułów dla swojego klubu, który teraz zamierzał opuścić na rzecz sekcji zapaśniczej sztokholmskiej policji.

W legendarnym finale olimpiady w 1936 roku, w Berliner Sport-Halle, pokonał wielkiego syna i bohatera Trzeciej Rzeszy, barona zapaśnika, Clausa Nicholausa von Habenixa. Już po minucie Örn sprowadził Habenixa do parteru, zmienił chwyt, objął go swoimi krzepkimi ramionami w pól i podniósł się, trzymając barona obróconego do góry nogami. Na koniec szwedzki Viking wydał z siebie przerażający okrzyk, rzucił do tyłu i cisnął przeciwnika w trzeci rząd trybun.

Dwanaście lat później został odznaczony Złotym Medalem za Zasługi dla Policji.

Viking Örn był w tym czasie starszym posterunkowym i zastępcą szefa wydziału interwencyjnego policji sztokholmskiej, utworzonego piętnaście lat wcześniej i przez jego pierwszego szefa określanego jako odpowiedź na niemieckie oddziały SA. W latach powojennych działania wydziału koncentrowały się na nieco innych obszarach, a dokładnie na przewozie szczególnie niebezpiecznych więźniów pomiędzy zakładami karnymi i innymi oraz na

ochronie ważnych „budyneków, założeń i innych obiektów wartościowych” na terenie królewskiej stolicy.

Oddział dysponował pierwszym w historii szwedzkiej policji pojazdem specjalnym. Czarnym, wydłużonym plymouthem V8, którym można było przewieźć do dziesięciu funkcjonariuszy łącznie z kierowcą. I to nie byle jakich chłopów, ponieważ Örn rekrutował swoich ludzi niemal wyłącznie z sekcji zapaśniczej. Nazywano go Dama Pik, a jeżdżących nim funkcjonariuszy Brygadą Kalafiora, co miało nawiązywać do kształtu ich uszu.

Trzeciego dnia zamieszek margarynowych, w krytycznym momencie, w którym ważyły się losy narodu, Viking Örn przerwał bieg zdarzeń, który mógłby się skończyć tragicznie. W nagrodę przyznano mu Złoty Medal za Zasługi dla Policji.

Czym były zamieszki margarynowe?

Zamieszki margarynowe były przez długi czas zapomnianym rozdziałem najnowszej historii Szwecji i dopiero historyk Maja Lundgren, w swojej pracy na temat polityki reglamentacyjnej szwedzkiego rządu po zakończeniu drugiej wojny światowej, poddała to wydarzenie rzetelnej analizie historycznej (*Syci panowie i chude matki*, Bonnier Fakta 2007).

Zamieszki rozpoczęły się w czwartek 4 listopada 1948 roku, a ich bezpośrednią przyczyną była rządowa reglamentacja dostaw margaryny, wprowadzona, choć minęło już trzy i pół roku od zakończenia wojny w maju 1945 roku. Demonstrantkami były gospodynie domowe, przedstawicielki klasy robotniczej, a ich zgromadzenie miało z początku bardzo skromne rozmiary. Około pięćdziesięciu kobiet, spośród których sześć niosło transparenty.

Z bliżej niewyjaśnionych powodów zdecydowano się demonstrować przed główną siedzibą związków zawodowych przy Norra Bantorget zamiast przed biurem rządu na Starym Mieście. Premierowi Tage Erlanderowi i przewodniczącemu Rady Państwa się upiekło, ponieważ złość demonstrantek skupiła się na osobie rzecznika związków, Axelu Strandzie, i jego najbliższym współpracownikowi, skarbniku związku, Göście Erikssonie.

Po raz pierwszy w szwedzkiej historii kraj miał

większościowy rząd robotniczy, a każdy wierny socjaldemokrata wiedział, że stanowi on propagandową tubę organizacji związkowych. Dlatego wybrano siedzibę związków zamiast parlamentu.

Grupa około pięćdziesięciu kobiet, które zgromadziły się przed wejściem, przekazała listę swoich żądań przedstawicielowi związków, przyjęła do wiadomości informację o możliwości zwrócenia się z tymi żądaniami do rządu, ale nie ruszała się z miejsca.

Drugiego dnia charakter demonstracji wyraźnie się radykalizował, a liczba kobiet znacznie wzrosła. Kilkaset matek, które domagały się „Margaryny na chleb dla dzieci klasy robotniczej”, które skandowały „Bogaci jedzą masło, a my kartki”, hasła i głośne okrzyki. Trzeciego dnia, w sobotę 6 listopada, sytuacja osiągnęła poziom krytyczny. Na jednym z najbardziej widocznych transparentów można było przeczytać hasło „Syci panowie i chude matki”, a obok przedstawiono Stranda i Erlandera z kieliszkami w dłoniach.

Weekendowy wieczór, do tego rocznica śmierci wielkiego władcy Gustawa II Adolfa, wyjątkowo niefortunnie wybrany czas na manifestację tego typu.

Robotnice przyjechały pociągami z całego Malardalen i już rano liczba demonstrantek wzrosła do pół tysiąca, a policja w okręgu Klara zwróciła się do komendanta Henrika Thama z prośbą o pomoc, ponieważ lokalnymi siłami nie dało się już zagwarantować porządku i bezpieczeństwa. Tham wysłał oddział interwencyjny pod komendą legendarnego Vikinga Örna, który przybył na miejsce w Damie Pik i w licznej obstawie radiowozów przedarł się przez wzburzony tłum i stanął na najwyższym stopniu schodów przed wejściem do siedziby związków zawodowych, w otoczeniu swoich wzbudzających szacunek zapaśników. Nie potrzebowali nawet wyjmować szabel.

– Do domu, baby, bo inaczej pogadamy! – ryknął Örn i pogroził prawą łapą, wielką jak szynka na stole wigilijnym Jego Królewskiej Wysokości.

Ponieważ działo się to w zamierzchłych, złych czasach, kiedy

niemal wszystkie kobiety robiły to, co im mówili mężczyźni, manifestantki zwyczajnie rozeszły się do domów. Zresztą wszystkie miały dzieci, którymi musiały się zająć i co gorsza zaczęło padać, a wiadomo, że listopadowy deszcz do przyjemnych nie należy.

Viking Örn stał się bohaterem rządzącej klasy średniej, został odznaczony Złotym Medalem za Zasługi dla Policji, komendant złożył na jego ręce podziękowania, a jego postać pojawiła się na pierwszych stronach wszystkich burżuazyjnych dzienników w kraju. Niestety udzielił też kilku wywiadów, które po sześćdziesięciu latach nie wypadają już aż tak korzystnie.

W wywiadzie udzielonym radiu – Stockholm-Motala – umniejszył swoje zasługi. Wiele hałasu o nic, przyszcz w porównaniu z walką z baronem zapaśnikiem. Trzeba być ciotą, żeby nie poradzić sobie z bandą rozhisteryzowanych bab, nie umieć kazać im się zamknąć i zająć tym, co do nich należy, czyli gotowaniem, sprzątaniami, praniem, zmywaniem naczyń i pilnowaniem dzieci, a nie ganiać po ulicach i uprzykrzać życie jemu, jego kolegom i wszystkim innym porządnym obywatelom, najogólniej rzecz ujmując. U niego w domu panował porządek.

Na tle panującego szumu medialnego wyróżniał się głos dziennikarki Bang, która krótko i zwięźle stwierdziła, że Viking Örn jest naturalnym przywódcą Brygady Kalafiora policji sztokholmskiej i gdyby nie istniał naprawdę, trzeba byłoby go wymyślić.

Sztab komendant wojewódzkiej przeczytał w ciszy notatkę radcy prawnej. Przez krótką chwilę komendant wojewódzka pomyślała, że Evert Bäckström jest stworzony do tego odznaczenia, ale ugryzła się w język.

Szef działu kadr próbował jak zwykle ratować sytuację.

– Kto jeszcze dostał to odznaczenie? Chyba nie wszyscy są jak ten Örn?

– Rzeczywiście nie – powiedziała radca prawna wyjątkowo przyjaznym tonem. – Są wśród nich osoby znane z podręczników historii.

– Ciekawe – powiedział szef działu kadr, który z natury był

optymistą i lubił mieć nadzieję.

Niewątpliwie najbardziej znany był niemiecki generał SS Reynhard Heydrich. W roku 1939 został, z inicjatywy Szwecji, wybrany na przewodniczącego międzynarodowej organizacji policji. Rok później odznaczony Złotym Medalem za Zasługi dla Policji za „znakomity wkład w utrzymanie porządku w Czechosłowacji, którą poszkodował wicher dziejów”.

– Chcesz jeszcze jakieś przykłady? – zapytała radca prawna i uśmiechnęła się łagodnie.

Dostanie to, co wszyscy, pomyślała komendant wojewódzka, spiesząc na następne spotkanie. Niestety nie sposób uniknąć konferencji prasowej z udziałem tego tłustego nieszczęścia. Anna Holt była kobietą i potafiła zapanować nad dyskusją. Komendant wojewódzka знаła jednak kogoś, kto nie miał zamiaru wziąć w tej dyskusji udziału. Trzeba będzie jeszcze dorzucić kryształowy wazon, pomyślała.

JESZCZE TEGO SAMEGO DNIA Bäckström miał uczestniczyć w konferencji prasowej, za której przebieg odpowiadała jego szefowa Anna Holt. Na podium zajął miejsce również bezpośredni przełożony Bäckströma, inspektor Toivonen oraz osobista sekretarka komendant wojewódzkiej policji. Ponieważ spodziewano się tłumów, komendant wojewódzka udostępniła na ten cel największe audytorium na komendzie na Kungsholmen.

Niestety sama nie mogła wziąć udziału w konferencji, ponieważ na tę godzinę miała już zaplanowane ważne spotkanie. Tak w każdym razie powiedziała Holt. Jednak w rzeczywistości, tam, gdzie nie można schować się przed oczami, które widzą, i uszami, które słyszą, siedziała sama w swoim gabinecie i oglądała całe przedstawienie na żywo na programie czwartym.

Anna Holt rozpoczęła od krótkiego podsumowania ostatnich wydarzeń. Dostała zaledwie kilka pytań, choć sala była wypełniona dziennikarzami po brzegi.

Następnie Toivonen przedstawił stan śledztwa w sprawie napadu na konwój w Bromma i na wszelki wypadek zapewnił, że główni podejrzani trafili do aresztu. Lada chwila prokurator powinien wydać nakaz aresztowania Samira Parisafara, Omara Parisafara i Gasana Taliba w związku z podejrzeniami o zabójstwo, usiłowanie zabójstwa i napad.

Toivonen nie chciał zdradzać szczegółów dotyczących tożsamości sprawców napadu. Chwilowo sytuacja była napięta, dlatego wolał nie wypowiadać się na ten temat. Najwyraźniej jednak dziennikarze tylko na to czekali, bo wszystkie ich pytania dotyczyły właśnie tej kwestii, ponadto chyba już coś wiedzieli.

Kari Viirtanen, Nasir Parisafar. Co mógł powiedzieć na ich temat?

Żadnych komentarzy.

Kari Viirtanen został zastrzelony przed mieszkaniem swojej

dziewczyny w Bergshamra. Sprawcami byli organizatorzy napadu, którzy chcieli zemścić się na nim za to, że spartaczył robotę, strzelając do ochroniarzy. Czy tak?

Żadnych komentarzy.

Nasir Parisafar prowadził samochód użyty podczas napadu w Bromma. Porzucił go przed siedzibą klubu Hells Angels pięćset metrów od miejsca zdarzenia. Jego zwłoki zostały znalezione w Kopenhadze. Czy to zemsta Hells Angels?

Żadnych komentarzy.

W tej samej chwili rzecznik prasowy przerwał zadawanie pytań, żeby oddać głos inspektorowi Bäckströmowi. Żaden z dziennikarzy nie miał zastrzeżeń.

Czy Bäckström mógłby powiedzieć coś więcej na temat tego, co wydarzyło się w jego mieszkaniu w poniedziałek wieczorem?

Na sali zapadła cisza. Uciszone nawet fotografów, którzy próbowali zrobić mu zdjęcie.

Bäckström był nie do poznania. Powściągliwy, oszczędny w słowach, można powiedzieć – mrukliwy, a tych kilka razy, kiedy zdobył się na uśmiech, był jak szwedzki odpowiednik Andy'ego Sipowicza, bohatera serialu *Nowojorscy gliniarze*. Nie umknęło to zresztą uwadze reporterów ani autorów tytułów. Wciąż jednak nie mogli się zdecydować: Andy Sipowicz czy może raczej Brudny Harry?

– Nie ma o czym mówić – powiedział Bäckström. – Zakradli się do mojego mieszkania i rzucili się na mnie, gdy wszedłem. Próbowali mnie zabić.

Potem pokiwał głową, uśmiechając się pod nosem.

Zebrani potraktowali to jako zamierzoną pauzę i zamarli, czekając, co będzie dalej. Bäckström wzruszył ramionami, nie wyglądał na zainteresowanego.

– To chyba tyle – powiedział.

Jednak zebrani nie dali się zbyć tak łatwo. Nastąpiła lawina pytań, którą dopiero po chwili udało się opanować sekretarz prasowej; oddała głos reporterce największego kanału telewizyjnego.

– Co zrobił pan potem? – zawołała, wysuwając do przodu mikrofon, chociaż Bäckström siedział pięć metrów od niej

i miał swój własny, przyczepiony do klapy marynarki.

– A co miałem zrobić? Jeden z nich miał pistolet i chciał mnie zastrzelić. Drugi miał nóż i chciał mnie zadźgać. Musiałem się ratować.

– I co pan zrobił? – krzyknął reporter telewizji publicznej, bo nie zamierzał zostać pominięty po raz drugi.

– Postąpiłem tak, jak mnie tego nauczono – wyjaśnił Bäckström. – Rozbroiłem i obezwładniłem tego z pistoletem, żeby już nie podskakiwał. Ten drugi zaatakował mnie nożem, więc strzeliłem mu w nogę. Pod kolanem – dodał z jakiegoś powodu.

– Gasan Talib – wydusił reporter „Expressen” – to jeden z najgroźniejszych szwedzkich przestępców, słynny zawodowy morderca. Próbował pana zastrzelić, a pan mówi, że go rozbroił i obezwładnił. Zgodnie z informacjami, jakie otrzymaliśmy ze szpitala Karolinska, Talib ma rozbitą czaszkę i walczy o życie na oddziale intensywnej terapii.

– Najpierw zabrałem mu broń, ponieważ próbował mnie zastrzelić, następnie powaliłem go chwytem dżudo, którego nauczyłem się jeszcze jako młody chłopak. Niestety przez przypadek uderzył głową w stół, czego oczywiście ogromnie żałuję.

– Rozbroił go pan i obezwładnił...

– On też nie jest bez winy – przerwał mu Bäckström. – A pańskim zdaniem co powinienem być zrobić? Dać mu buziaka?

Odpowiedziały mu głośnie brawa i radosne okrzyki; ta parada na cześć Bäckströma mogłaby pewnie trwać przez pół nocy, gdyby on nie przerwał jej osobiście po zaledwie dziesięciu minutach.

– A teraz wybaczcie – powiedział, podnosząc się z miejsca. – Zostało mi jeszcze trochę roboty. Między innymi sprawa podwójnego zabójstwa, którą muszę wreszcie rozwikłać.

– Jeszcze jedno pytanie! – krzyknęła błagalnym tonem reporterka z trójki, a ponieważ była znana ze swoich blond włosów i dorodnego biustu bardziej niż ze swoich zdolności dziennikarskich, Bäckström obdarzył ją pół-Sipowiczem.



– Jak pan sądzi, dlaczego chcieli zabić akurat pana?

– Być może boją się mnie bardziej niż reszty moich kolegów – powiedział i wzruszył ramionami. Następnie wyjął mikrofon z klapy i jak gdyby nigdy nic wyszedł. Gdy wychodził, minął Toivonena w sposób tak ostentacyjny, że nie dało się tego nie zauważyć.

To, co jest dobre dla Bäckströma, jest dobre dla policji, a skoro tak, to jest to dobre również dla mnie, pomyślała komendant wojewódzka i wyłączyła telewizor. Przynajmniej na razie.

ZASKAKUJĄCO MAŁOMÓWNY BOHATER, który w odróżnieniu od Andy'ego Sipowicza i Harry'ego Callahana istniał naprawdę. Ponieważ Bäckström był oszczędny w słowach, w jego imieniu musieli wypowiadać się inni. „Aftonbladet” przeprowadziło długi wywiad z jego instruktorem strzelectwa, który wpadł w niemal liryczne tony.

– To mój najlepszy uczeń... jeden z najlepszych... strzelców w policji... absolutny fenomen... zwłaszcza w podbramkowych sytuacjach... pełna koncentracja.

Wypowiedziało się również kilku jego kolegów, większość anonimowo, ponieważ Bäckström zawsze był „dosyć kontrowersyjną postacią w oczach zarządu policji”.

Generalnie jednak nie szczędzono pochwał.

„Legendarny śledczy”.

„Nigdy się nie myli”.

„Zawsze chętny do pomocy”.

„Nieustraszony, nieugięty, zawsze na posterunku”.

„Idzie do przodu jak czołg”.

I tak dalej, i tak dalej.

Dwóch jego kolegów wystąpiło pod własnym nazwiskiem. Pierwszym był jego dawny przyjaciel i kompan, komisarz kryminalny Rogersson, również „legendarny śledczy”, który stwierdził jedynie, że „Bäckström to zajebisty koleś”, a drugim jeden z jego byłych przełożonych, Lars Martin Johansson, przebywający obecnie na emeryturze, który osobiście wywalił go z wydziału kryminalnego Komendy Głównej.

– Co sądzę na temat Everta Bäckströma? – powtórzył pytanie Johansson.

– Tak, co pan o nim sądzi? – potwierdził reporter DN, choć znał ze szczegółami historię Johanssona i Bäckströma.

– Evert Bäckström jest jak wrzód na tyłku.

– Czy mogę pana zacytować?

– Oczywiście. Tylko niech już pan, kurwa, więcej nie dzwoni.

Z jakiegoś powodu wypowiedź Johanssona nie została

zacytowana.

Zaraz po zakończeniu konferencji Holt zaprosiła najbliższych współpracowników na skromny lunch. W dowód uznania Bäckström otrzymał kryształowy wazon, na którym pod emblematem policji wygrawerowano jego nazwisko i starą odznakę policyjną, podobno dawną własność niejakiego Vikinga Örna.

Po powrocie do domu zastukał do drzwi swojego zapitego sąsiada, byłego szefa jednej ze stacji telewizyjnych, i wręczył mu wazon.

– Na co mi to, kurwa? – zdziwił się sąsiad i spojrzał na niego podejrzliwie.

– Pomyślałem, że się w nim utopisz, kapusiu – odparł Bäckström, który przy okazji wizyty w biurze spraw wewnętrznych wysłuchał nagrania z centrali telefonicznej.

Resztę wieczoru spędził na czytaniu listów i maili, a na kilka najbardziej obiecujących nawet odpowiedział. Otworzył też wszystkie paczki i prezenty, robiąc sobie przerwy, żeby wypić jednego głębszego.

Najlepsza wódka na świecie, pomyślał Bäckström i uniósł niewielki kieliszek, który Nadja włożyła do torby z butelką. Ta kobieta ma wielkie serce, pomyślał.

W ŚRODĘ, CZTERNAŚCIE DNI po zabójstwie Karla Danielssona, sporo się wydarzyło, a Bäckström z „gwiazdy policji” stał się „gwiazdą narodową”.

Największe dochodzenie policji sztokholmskiej od czasu zabójstwa minister spraw zagranicznych Anny Lindh leżało w gruzach, i choć to sprawcy podłożyli ogień, Toivonen nie był w nastroju do żartów. Jemu i jego kolegom pozostało już tylko pozbierać resztki, co zresztą wcale nie było takie proste.

Z Gasanem Talibem nie dało się w ogóle rozmawiać. Jego lekarz prowadzący pokręcił tylko głową. Nawet jeśli pacjent przeżyje, to i tak niewiele będzie z niego pożytku. Miał liczne, trwałe obrażenia mózgu.

– Proszę więc sobie nie robić nadziei, panie inspektorze – rzekł lekarz, patrząc na Toivonena.

Samir i Omar Parisafar mogli wprawdzie mówić, ale żaden z nich nie chciał rozmawiać z policją.

Rozmawiali więc z Fredrikiem Åkare. Był w dobrym humorze i jak zwykle przyprowadził ze sobą adwokata, poza tym wykazywał jednak kompletny brak zrozumienia. Dlaczego mieliby z kolegami zamordować Nasira Parisafara? Kogoś, kogo Åkare nigdy nie spotka ani nawet nie planował spotkać. Tym bardziej w Kopenhadze. Ostatni raz był tam roku temu, by spotkać się z dawnymi przyjaciółmi.

– Czasem trochę się o ciebie martwię, Toivonen – powiedział Åkare z uśmiechem. – Chyba nie zaczęłaś zaglądać do kielicha?

Peter Niemi dostarczył nową analizę kryminalistyczną, której wyniki w normalnych warunkach zostałyby uznane za przełom w śledztwie.

– Pistolet, który Bäckström odebrał Hassmanowi Talibowi, jest ładowany takimi samymi nabojami, jakie lekarz sądowy wydobyl z czaszki Kari Viirtanena – powiedział Niemi. Tylko na co nam to, kurwa, w tej sytuacji?

Toivonen wydał z siebie głośne jęknięcie. Głupi tłusciuch, pomyślał.

- Co robimy? – spytał Niemi.
- Postaraj się, żeby prokurator miał co czytać. Jeszcze przed kolejną konferencją Bäckströma.
- Wiem, co chcesz powiedzieć. Ja czy ty?
- Co?
- Udusi grubasa gołymi rękoma – dopowiedział Niemi z uśmiechem.

NADJA HÖGBERG nie poszła na konferencję, wymówiła się też od lunchu, chociaż zaprosił ją osobiście Bäckström. Miała na głowie masę spraw, bo tego samego dnia udało jej się znaleźć powierzchnię magazynową w Shuregard, niecałe pół kilometra od komendy w Solnie. Życzliwa pracowniczka połknęła jeden z licznych haczyków. Nadja porównała listę najemców z listą, którą otrzymała z komendy w Solnie, i znalazła niewielkie pomieszczenie wynajmowane przez „Elektryczny Piorun spółka z.o.o.”.

Nadja zabrała młodego Stigsona i udała się na miejsce. W magazynie znajdowało się kilkanaście kartonów, które zawierały księgi rachunkowe Karl Danielsson Holding SA, za to nie było śladu po firmie Elektryczny Piorun.

W kartonie, który znajdował się na spodzie, znalazła dodatkowo spisany ręcznie testament sprzed dwudziestu dziewięciu lat, sporządzony, podpisany i poświadczony w Wigilię 1979 roku.

Na środku kartki w linię, która wyglądała, jakby wyrwano ją ze zwykłego zeszytu, widniało jedno słowo, napisane długopisem:

Testament

Następnie przerwa na dwie linijki i dalej:

Ja, Karl Danielsson, będąc w pełni władz umysłowych, w najlepszym zdrowiu, a tego dnia w doskonałym humorze, po obfitym lunchu, niniejszym powołuję do całego spadku, posiadanych przeze mnie ruchomości i nieruchomości, Ritwę Laurén i mojego jedyne go syna Seppo.

Solna, 24 grudnia 1979 r.

Testament został podpisany przez Karla Danielssona odręcznym, kulfoniastym pismem i potwierdzony przez „Rolle Stålhammara” i „Połówkę Södermana”.

Pewnie byli pijani, westchnęła Nadja, bo wiedziała

z doświadczenia, jak to bywa w takich sytuacjach.

Nadja i Stigson zabrali kartony i testament na komendę.

Najpierw spędziła kilka godzin na przeglądaniu teczek z księgowością, zawierających głównie rozliczenia różnorodnych operacji na akcjach i innych papierach wartościowych, grube zwoje z pokwitowaniami wydatków związanych z prowadzeniem działalności, obejmujących koszty reprezentacyjne i podróże.

Na tym etapie mogła już wyrobić sobie konkretny pogląd na to, w jaki sposób firma Karl Danielsson Holding SA dorobiła się swoich pieniędzy. Otóż nie dlatego, że jej właściciel był mistrzem świata w obracaniu akcjami, lecz dlatego, że ktoś najwyraźniej pompował w nią strumień pieniędzy pochodzących z nielegalnych źródeł, które prano za pomocą różnych operacji finansowych.

Osiem lat wcześniej spółkana niemal do zera spółka dostała zastrzyk w postaci – delikatnie mówiąc – hojnej pożyczki w wysokości pięciu milionów od zagranicznego pożyczkodawcy. Jedynym zabezpieczeniem pożyczki była osobista gwarancja Karla Danielssona, który w tym czasie wykazywał roczny dochód na poziomie dwustu tysięcy koron. Rozwój sytuacji na światowym rynku akcji miał wymierne skutki. Już po trzech latach udało się spłacić pożyczkę, a kapitał własny spółki po opodatkowaniu przekroczył dwadzieścia milionów koron, przy czym jej realna wartość przekraczała tę kwotę o kilka ładnych milionów.

Nadja westchnęła, wybrała numer wydziału przestępstw gospodarczych i przypomniała tamtejszym funkcjonariuszom o złożonej przez nich obietnicy, że przejmą ten wątek śledztwa, gdy tylko uda się jej znaleźć punkt zaczepienia. W wydziale obiecali, że się odezwą. W tej chwili akurat mieli młyn, ale w przyszłym tygodniu na pewno będzie luźniej.

Nadja spojrzała na zegarek. Najwyższy czas jechać do domu i przygotować kolację, a potem zjeść ją w samotności przed telewizorem.

Wcześniej jednak zadzwoniła do Rolanda Stålhammara na komórkę, przedstawiła się i zapytała, czy może go zaprosić do

siebie na kolację. Chciała mu zadać kilka pytań.

Z początku Stålhammar nie był przekonany. Uważał, że policja niesłusznie uczepiła się jego i jego kolegów, zarówno tych żyjących, jak i nieżyjących.

– Nie będę się ciebie czepiać – zapewniła Nadja. – Chodzi o dawny testament Karla Danielssona. Poza tym nieźle gotuję.

– Zawsze miałem słabość do takich kobiet – stwierdził Stålhammar.

Dwie godziny później zadzwonił do drzwi jej mieszkania przy Vintervägen w Solnie. Pierogi stały w piekarniku, barszcz na kuchence, a rosyjskie śledzie w słoiku czekały już na stole w towarzystwie piwa, wody i najlepszej wódki na świecie.

Nadja miała wypieki na policzkach, a Roland Stålhammar już na progu wręczył jej bukiet kwiatów. Ubrany był w marynarkę, pachniało od niego wodą po goleniu i wydawał się zupełnie trzeźwy.

– Nieźle gotujesz, Nadja – stwierdził godzinę później, gdy usiedli w salonie, żeby napić się kawy i skosztować armeńskiego koniaku. – Wybacz, jeśli byłem niemiły przez telefon.

Rolle Stålhammar bardzo dobrze pamiętał testament Kalle Księgowego.

– Było nas sześciu prostych chłopaków, którzy postanowili spędzić razem święta, gotował Mario. Wszyscy wiedzieliśmy, że Seppo to był dzieciak jego i Ritwy. Chłopak miał wtedy zaledwie kilka miesięcy. Zaczęliśmy dokuczać Kallemu, pytając, kto ma w przyszłości utrzymywać małego: my czy on. W tym czasie bywało u niego różnie, a akurat w tamte święta był kompletnie splukany, o ile dobrze pamiętam. Jak to wyglądało w chwili jego śmierci, wiesz pewnie lepiej niż ja. Miał trochę rzeczy, które można by pewnie sprzedać, ale chłopak milionerem raczej nie będzie. Straszna historia z tą jego matką.

– Co ty na to, gdybym ci powiedziała, że Kalle Danielsson w chwili śmierci miał na koncie ponad dwadzieścia pięć milionów? – zapytała Nadja.

– Że gadasz jak Kalle, gdy był na gazie – odparł Stålhammar, uśmiechnął się krzywo i pokręcił głową. – Kalle miał



artystyczną duszę, cygańską – mówił dalej. – Jak był przy kasie, miał gest. Fakt, nigdy mu niczego nie brakowało. Miał emeryturę, oszczędności w prywatnych funduszach, uspokajały go wyjścia na Valla. W tym roku szło nam naprawdę nieźle. Pewnie wiesz, że sporo razem graliśmy. Wiosną wygraliśmy nawet V65, co dało prawie stówkę.

– A dziesięć lat temu?

– Raz na wozie, raz pod wozem – skwitował Stålhammar, wzruszając szerokimi ramionami. – Powiedz raz jeszcze, ile tego uzbierał? – Stålhammar spojrzał z ciekawością na Nadję i obrócił kieliszek w wielkich dłoniach.

– Dwadzieścia pięć milionów – powtórzyła.

– Jesteś tego pewna? – spytał, nie kryjąc zdziwienia. – Kalle miał smykałkę do księgowości. Pamiętam, że firma elektroniczna Pioruna na początku cienko przędła, ale Kalle to naprawił. Poszedł do banku i załatwił jakąś grubą pożyczkę, a potem zrobił porządek. Ubijasz białka i masz bezy, mówił.

– Dwadzieścia pięć milionów. Tym razem bez bezy, choć bezy nie zauważyłam – powiedziała Nadję.

– Niech mnie szlag trafi – powiedział Rolle Stålhammar i pokręcił głową.

ALM NIE POTRAFIŁ rozstać się z myślą, że Seppo Laurén dopuścił się ojcobójstwa. Najpierw rozmawiał z biegłym w technikach komputerowych kolegą z wydziału kryminalnego Komendy Głównej, którego zdaniem istniało wiele możliwości stworzenia sobie fałszywego alibi przy użyciu komputera osobistego. Przy komputerze mógł siedzieć ktoś inny, a jeśli był dostatecznie sprawny technicznie, nie musiał nawet przy nim siedzieć w fizycznym tego słowa znaczeniu.

– Możesz połączyć się z innym komputerem i czasem naprawdę trudno to wykryć – wyjaśnił ekspert.

– Ciekawe – powiedział Alm, który potrząsał swoim komputerem, gdy ten nie działał, jak powinien.

– Dziś istnieją nawet programy, które odwalają za ciebie całą robotę, a ty w tym czasie możesz robić coś innego. Komputer sam sobą steruje zgodnie z poleceniami programu.

– Na przykład gra za ciebie w gry?

– Na przykład.

Rewelacje, które wyjawiał Almowi „jeden z najlepszych koleś od komputerów w policji”, nie zrobiły większego wrażenia na Nadji.

– Słyszę, co mówisz, Alm. Niestety problem leży gdzie indziej.

– A gdzie?

– Seppo lubi grać na komputerze. W zasadzie to jedyne, co lubi robić. Dlaczego miałby robić to za niego jakiś program? Pomijając to, że sam pewnie potrafiłby taki napisać.

– No widzisz, Nadja. Posłuchaj samej siebie.

– Zostaw już Seppo. Nie zamordował Danielssona.

– Jak możesz tak mówić? Skąd wiesz?

– Seppo nie potrafi kłamać, tacy jak on nie potrafią kłamać. Gdyby zabił Danielssona, powiedziałby ci, gdy go o to pytałeś. Powiedziałby o tym w ten sam sposób, w jaki mówi o wszystkim innym, o co go pytamy.

Idiota, pomyślała Nadja, gdy wyszedł.

Nie dość, że jest specjalistką od baz danych, to teraz została jeszcze psychiatrą, pomyślał Alm, zamykając drzwi.

Nie poddał się jednak i już następnego dnia było mu dane poczuć satysfakcję. W środę 9 kwietnia, ponad miesiąc przed swoją śmiercią, Karl Danielsson trafił na oddział ratunkowy szpitala Karolinska. Około jedenastej wieczorem jego sąsiad znalazł go nieprzytomnego w wejściu do Hasselstigen jeden i zadzwonił na pogotowie.

Ponieważ Danielsson nie miał widocznych zewnętrznych obrażeń, personel pogotowia ratunkowego podejrzewał zawał albo wylew, gdy jednak pacjenta zbadał lekarz, od razu znalazł wyraźne obrażenia, gdy tylko go rozebrał. Ktoś uderzył Karla Danielssona od tyłu. Głębokie sińce na jego ciele świadczyły o tym, że otrzymał liczne ciosy w doły podkolanowe, plecy i kark. Doznał lekkiego wstrząśnienia mózgu i zemdlął.

Ocknął się dopiero na oddziale ratunkowym. Lekarz zapytał go, czy pamięta, co się wydarzyło. Karl Danielsson odpowiedział, że widocznie potknął się i spadł ze schodów.

– Pan też tak uważa? – zapytał Alm w rozmowie z lekarzem.

– Nie. To wykluczone. Ktoś go uderzył od tyłu. Najpierw pod kolanami, tak że upadł do przodu. Gdy już leżał, dostał jeszcze kilka razy.

– Czy domyśla się pan, jakiego narzędzia mógł użyć sprawca?

Lekarz miał na ten temat wyrobione zdanie, a nawet sporządził notatkę.

– Kij bejsbolowy, zwykła pałka, pałka policyjna, z tych dłuższych. Pacjent wyglądał jak ci, którzy przyjeżdżają tu po meczach. Zresztą tego wieczoru odbywał się mecz na Råsunda. O ile dobrze pamiętam, grał AIK z Djurgården.

– Jak to możliwe, że pan to pamięta?

– Pan też by pamiętał, gdyby miał pan wtedy dyżur – odpowiedział lekarz z kwaśnym uśmiechem. – Mieliśmy tu na ostrym dyżurze prawdziwy szpital polowy.

Potem rozmawiali z najbliższą sąsiadką Seppo, elegancką kobietą o kształtnej i dobrze zachowanej figurze, choć pewnie już po pięćdziesiątce, pomyślał Alm, który sam kilka miesięcy wcześniej skończył sześćdziesiąt lat.

– Najbardziej szkoda chłopaka – westchnęła Britt-Marie Andersson. – On jest, proszę pana, upośledzony.

– Czy wie pani może, co takiego łączyło go z Karlem Danielssonem?

– Oprócz tego, że jest jego synem?

– A więc wie pani o tym.

– Tu wiedzą o tym chyba wszyscy starzy mieszkańcy... Choć nie jestem pewna, czy wie o tym ten chłopak. Jego matka...

– Tak?

– No cóż, mimo że leży w szpitalu... – zaczęła Andersson, ściągając usta w dziubek. – Z jego matki była panna puszczalska. Nie robiła tajemnicy z tego, że przespała się z Danielssonem, choć był od niej co najmniej dwadzieścia pięć lat starszy. Nie jestem jednak pewna, czy Seppo o tym wiedział.

– Co łączyło Seppo z Karlem Danielssonem? – spytał Alm.

– Najczęściej służył mu za chłopaka na posyłki. Zrób to, zrób tamto. Zwykle się go słuchał. Ale czasem walczyli jak pies z kotem, zwłaszcza ostatnio.

– Czy może nam pani dać jakieś przykłady?

– Ależ oczywiście. Któregoś dnia zeszłej zimy, kiedy wróciłam ze spaceru z moim maleństwem, byłam świadkiem strasznej awantury. Danielsson stał w wejściu, kompletnie pijany, drąc się na całe gardło. Seppo rzucił się na niego, jakby chciał go udusić. Coś okropnego. – Andersson pokręciła głową. – Zawołałam, żeby zachowywali się jak ludzie, i po chwili przestali.

– Wcześniej jednak Seppo próbował go udusić?

– No tak. Gdyby nie ja, nie wiem, jak by to się skończyło – westchnęła Andersson, a jej biust zafalował.

Hmm, pomyślał Alm i tylko skinął głową.

No to jastrząb złapał ziębę, pomyślał. Wyszedł z mieszkania Andersson, zadzwonił na komórkę do Stigsona i powiedział mu, żeby przyjechał jak najszybciej na Hasselstigen jeden. Stigson zjawił się w ciągu kwadransa. Seppo otworzył im dopiero po dwóch minutach.

– Gram – powiedział.

– No to zrób sobie przerwę. Musimy z tobą porozmawiać –

odparł Alm spokojnym, mentorskim tonem.

– Okej – mruknął Seppo, wzruszając ramionami.

Ten drugi raz, kiedy Seppo uderzył Karla Danielssona. Czy pamięta, kiedy to było?

– Nie pamiętam. – Seppo pokręcił głową.

– A jeśli powiem, że to było w dniu, w którym AIK grał mecz z Djurgården? Pamiętasz?

– Dziewiątego kwietnia – ucieszył się Seppo. – Przypomniałem sobie. To była środa.

– Pamiętasz, że była środa? – zdziwił się Stigson. – Jak możesz to pamiętać?

– Bo dzisiaj też jest środa. Środa dwudziestego ósmego maja. Kwiecień ma trzydzieści dni – wyjaśnił Seppo i na wszelki wypadek pokazał Stigsonowi swój zegarek.

Chłopak ma nierówno pod sufitem, pomyślał Alm i postanowił zmienić temat.

– Pamiętasz, jak go uderzyłeś?

– Tak.

– To też był cios karate?

– Nie. Uderzyłem go moim kijem bejsbolowym.

– To bardzo poważna sprawa, Seppo. Wcześniej mówiłeś mi, że wymierzyłeś mu cios karate, a teraz twierdzisz, że uderzyłeś go kijem bejsbolowym. Dlaczego to zrobiłeś?

– Już mówiłem. Zdenerwowałem się.

Alm przeprowadził szeptem rozmowę telefoniczną z prokurator, a potem zabrali kij bejsbolowy, jednak jego właściciela zostawili.

– Możliwe, że będziemy musieli porozmawiać z tobą jutro. Lepiej nigdzie nie wyjeżdżaj.

– Nie ma sprawy. Ja nigdzie nie wyjeżdżam.

DZIEŃ PO KONFERENCJI PRASOWEJ Bäckström zwołał kolejną odprawę zespołu dochodzeniowego. Alm nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł wreszcie zabrać głos, dlatego Bäckström nie spieszył się ze słowem wstępu i jako pierwszą wskazał Nadję, żeby opowiedziała o swoim wielkim odkryciu, książkach rozrachunkowych Danielssona i jego testamencie.

Ona również niespecjalnie się spieszyła.

– Chcesz powiedzieć, że Danielsson miał dwadzieścia pięć milionów? – zapytał Bäckström. Zwykły żul, co się dzieje ze Szwecją?, pomyślał.

– Około. – Nadja skinęła głową. – Biorąc pod uwagę, że został zniesiony podatek od spadku, to pewnie taką właśnie sumę odziedziczy Seppo i jego matka.

– Co na to skarbówka? Pewnie będą oglądać z bliska każdy grosz.

– Nie sądzę. Raczej trudno im będzie doszukać się czegoś w księgowości Danielssona.

– Co tym bardziej potwierdza moją teorię – przerwał Alm, bo stracił cierpliwość. – Tu chodzi o coś więcej niż o zwykłą nienawiść do ojca. Chłopak miał poważne motywy materialne. Wydaje mi się, że powinniśmy odbyć poważną rozmowę z prokuratorem, przywieźć chłopaka i przedstawić mu nasze podejrzenia. Przeszukać jego mieszkanie, dać technikom do sprawdzenia jego kij bejsbolowy, który wczoraj przywieźliśmy.

Z jakiegoś powodu Alm lypnął najpierw na Bäckströma, a potem na Nadję; ciśnienie mu wyraźnie spadało.

– Nie trzeba się niepotrzebnie spieszyć – odparł Bäckström z uśmiechem. – Jak ci idzie z rozmowami telefonicznymi, Felicio?

Doskonale, przyznała Felicia Pettersson. Poprzedniego dnia dostała wykazy rozmów z telefonu, na który Akofeli dzwonił niemal codziennie w ciągu miesięcy poprzedzających jego śmierć. I na który dzwonił pięć razy w ciągu doby poprzedzającej jego zniknięcie.

– Abonament związany z tym telefonem został kupiony zaledwie pół roku temu – powiedziała Felicia. – Wygląda na to, że był używany niemal wyłącznie do odbierania połączeń.

– Od Akofeliego – zauważył Bäckström.

– Przede wszystkim od Akofeliego. Znalazłam jeszcze jeden telefon na kartę, z którego dzwoniło średnio raz w tygodniu pod ten sam numer, pod który dzwonił Akofeli. Abonament tego telefonu jest sprzed kilku lat.

– Co o nim wiemy? – zapytał Bäckström.

– Wszystko – odparła Felicia Pettersson i uśmiechnęła się zachwycona. – Tak mi się w każdym razie wydaje.

– Wszystko – powtórzył Bäckström. O czym ona, kurwa, mówi?, zastanowił się.

– Dopiero wczoraj otrzymałam wykazy rozmów, dopiero zaczęłam, ale jestem prawie pewna, że wiem, kto używał tego numeru.

– Kto?

– Karl Danielsson.

– Co ty, kurwa, mówisz? – wypalił Bäckström.

– No to ładnie – powiedział Stigson.

– Skąd to wiesz? – zapytała Annika Carlsson.

– Ciekawe – mruknęła Nadja.

Co się, kurwa, dzieje?, pomyślał Alm, ale milczał jak zakłęty.

– Nietrudno się było domyślić – stwierdziła Felicia. – I jak już wcześniej powiedziałam, to szef naprowadził mnie na ten trop.

– Słucham – warknął Bäckström.

– Ten telefon był często używany aż do dnia, w którym Karl Danielsson został zamordowany – mówiła dalej. – Potem milknie. Ostatnie trzy połączenia zostają zarejestrowane około siódmej wieczorem, zaledwie kilka godzin przed śmiercią Danielssona. Najpierw krótki telefon na komórkę, której właścicielem jest Roland Stålhammar. Pewnie po to, żeby sprawdzić, czy jest już w drodze do Danielssona na kolację. Następnie nieco dłuższa rozmowa z Gunnarem Gustafssonem, Gurką Woźnicą, jak na niego mówią. Być może, żeby podziękować za świetną radę, jaką dał Danielssonowi. Na

koniec krótkie połączenie, które ląduje na poczcie głosowej odbiorcy. Być może dlatego, że Seppo Laurén nie chce, by mu przeszkadzano, gdy gra na komputerze. Poza tym wiele wcześniejszych połączeń do kolegów Danielssona i innych osób, z którymi utrzymywał kontakt. Dopiero zaczęłam, opracowanie całościowego zestawienia zajmie mi jakieś dwa dni.

– Niech pomyślę – zastanowił się Bäckström. – To by oznaczało, że mamy trzy telefony, wszystkie na kartę. Pierwszy należy do Akofeliego, drugi do Danielssona. Obaj dzwonią na trzeci telefon komórkowy, który najwyraźniej jest używany do połączeń przychodzących i którego właściciel jest nieznan. Wraz ze śmiercią Danielssona i Akofeliego zniknęły ich telefony.

– Yes – powiedziała Felicia Pettersson.

– Następne pytanie. Czy przypadkiem...

– Nie – przerwała od razu. – Danielsson i Akofeli nie dzwoniли do siebie, jeśli o to chciał szef zapytać.

– Nie jesteś głupia, Felicia.

– Dziękuję. Jeśli szef chciałby wiedzieć, to wydaje mi się, że...

– Oczywiście.

– ...znajdziemy rozwiązanie, gdy zidentyfikujemy ten trzeci numer telefonu.

– No pewnie – przytaknął Bäckström. Jak się zamknie oczy, to można pomyśleć, że w żyłach Pettersson płynie rosyjska krew, pomyślał.

– Zaraz, chwila – wtrącił Alm. – Co w zasadzie łączy Danielssona z Akofelim? Oprócz tego, że obaj zostali zamordowani i prawdopodobnie dzwoniли na tę samą komórkę?

– To chyba wystarczy? – zdziwiła się Nadja. Ten facet to jakiś idiota, pomyślała.

– Obaj znają mordercę, ale nie znają siebie nawzajem. Tak mi się przynajmniej wydaje – powiedziała Felicia.

– I kto to może być? – spytał Alm, bo poczuł wyraźnie, jakby ktoś wrzucił mu nagle w głowie wyższy bieg. – Seppo Laurén jako jedyny przyznaje, że znał ich obu. Jeśli chcecie znać moje



zdanie, to myślę, że ma gdzieś schowany drugi telefon, taki na kartę.

– Czy ja wiem, czy przyznaje? – Bäckström wzruszył ramionami. – Większość morderców, których miałem okazję spotkać, raczej niespecjalnie chce się do czegokolwiek przyznać.

– Przecież to jakiś żart – zaprotestował Alm, aż czerwieniejąc na twarzy. – Proszę o klarowne wytyczne. Co robimy z Laurénem?

– Jedź do niego i z nim pogadaj – zaproponował Bäckström. – Zapytaj go, czy zabił Danielssona i udusił Akofeliego.

– O Danielssona już pytałem.

– I co odpowiedział?

– Zaprzeczył.

– Sam widzisz – odparł Bäckström z uśmiechem. – Nie wydaje mi się, żebyśmy w ten sposób daleko zaszli. Nie wiem, jak wy, ale ja zamierzam się wziąć do roboty.

Najpierw jednak muszę zjeść porządny lunch, pomyślał Bäckström. Nawet legenda policji może czasem zgłodnieć.

PO LUNCHU SPĘDZIŁ RESZTĘ DNIA, udzielając ekskluzywnych wywiadów, by podzielić się z wszystkimi potrzebującymi kilkoma mądrościami.

Przed reporterką chrześcijańskiej gazety „Dagen” złożył świadectwo swojej dziecięcej wiary i zaufania pokładanego w Panu.

– Przemocą powalony na ziemię, odzyskałem siłę, by się podźwignąć i odeprzeć atak – powiedział z iskrą w oku.

Wysłannikom dwóch gazet popołudniowych powiedział z kolei, że policja zbyt oszczędnie dzieli się informacjami z mediami, w tym z redakcjami popołudniówek.

– Jak inaczej mielibyśmy dotrzeć do wielkiego detektywa, czyli opinii społecznej, jeśli nie dzięki pani i pani kolegom? – westchnął Bäckström i skinął głową do reporterki „Expressen”.

– Interes społeczny – stwierdził pół godziny później, gdy rozmawiał z dziennikarzem z „Aftonbladet”. – Obowiązkiem policji jest informowanie mediów, żeby te mogły przedstawiać obywatelom obraz bieżącej sytuacji.

W kolejnej rozmowie, tym razem ze „Svenska Dagbladet”, wyraził swoje zaniepokojenie istniejącymi lukami w prawie.

– Nasza walka z przestępczością powinna być prowadzona z otwartą przyłbicą – stwierdził, wbijając wzrok w reportera z gazety. – Zbyt wielu moich kolegów ma sobie za nic literę prawa.

Na koniec „Dagens Nyheter”, którego przedstawicielowi odpowiedział twierdząco na wszystkie zadane pytania.

– Całkowicie się z panem zgadzam – powtórzył, choć nie pamiętał już, który to raz z kolei. – Sam bym tego lepiej nie ujął. To naprawdę straszne. Dokąd zmierza nasze państwo prawa?

W drodze do domu odwiedził GeGurrę i odbył z nim szczerą rozmowę w cztery oczy. GeGurra był nie tylko zasmucony, ale wręcz zdruzgotany, gdy zrozumiał, w jaki sposób napastnicy pozyskali klucze od mieszkania Bäckströma.

– Musisz uwierzyć mi na słowo – zarzekął się GeGurra. – Ta kobieta oszukała ciebie i mnie. Kiedy zadzwoniła, żeby zapytać, czy wyjdziemy wieczorem, powiedziałem, że mam już plany. Że idę na kolację do restauracji w Operze ze znajomym policjantem. Nie miałem pojęcia, że miała wobec ciebie tak niegodziwe zamiary. Wydawało mi się, że jej się spodobałeś.

Gadanie, pomyślał Bäckström.

– Co będzie ze stolikiem, dywanem i ścianami? – zapytał.

Niech już go o to głowa nie boli. GeGurra miał wszystkie potrzebne kontakty i środki, żeby przywrócić mieszkanie do stanu pierwotnego. I to w trybie natychmiastowym.

– Pozwól, że zrobię to dla ciebie, Bäckström – powiedział. – To, że o niczym nie wiedziałem, nie zwalnia mnie z odpowiedzialności. Przecież przyczyniłem się do tego, że twoje życie zawisło na włosku.

– Stolik, dywan, ściany – powtórzył Bäckström, bo nie zamierzał dać się zwieść czułymi słówkami.

– Naturalnie, przyjacielu. Co powiesz o tym stoliku? – zapytał GeGurra, wskazując głową stolik w swoim gabinecie.

– Antyk, chińska laka, kolory pasują idealnie do twojej kanapy – zachwalał.

– Ładny dywanik – powiedział Bäckström, patrząc na dywan, na którym stał stolik.

– Chiński antyk. Masz doskonały gust.

Koledzy strzegący wejścia do jego budynku zostali chwilowo zastąpieni przez dwóch najętych ochroniarzy z Securitas. Pomogli mu wnieść stolik, dywan i wszystkie przesyłki, które przyszły w ciągu dnia.

Potem Bäckström przyrządził sobie prostą kolację z tego, co znalazł w lodówce, i zajął się przeglądaniem plonów minionego dnia. Maile i zwykłe listy, paczki i prezenty. Było w nich wszystko, począwszy od robionego na drutach ogrzewacza na dzbanek do herbaty w kształcie kury i ręcznie pisanego listu z wsuniętym do środka banknotem stukoronowym po znacznie większą sumę, którą anonimowy dawca przed chwilą przelał na jego konto.

Ogrzewacz wyrzucił do śmieci.

List przeczytał. „Niech Bóg ma w swojej opiece Inspektora. Dziękuję za Pańskie poświęcenie, pozdrawia były dyrektor banku Gustaf Lans, lat osiemdziesiąt trzy”.

Wielkie dzięki, sknerusie, pomyślał Bäckström. Stówę włożył do portfela, a list wyrzucił.

Gdy kończył sprawy administracyjne, ktoś zadzwonił do drzwi.

– Cześć, Bäckström – powiedziała Annika Carlsson z uśmiechem. – Uznałam, że wpadnę do ciebie, zanim się położysz.

Gadanie, pomyślał Bäckström.

– Chcesz kawy?

Annika Carlsson pochwaliła jego nowy stolik i dywan, jak również otwory po kulach w ścianach i suficie.

– Na twoim miejscu niczego bym nie zmieniała – powiedziała. – Już sobie wyobrażam miny tych wszystkich dziewczyn, które tu pewnie sprowadzasz: „Wow! Ten koleś ma w ścianach ślady po kulach!”. Nawet sama się trochę...

– Czy mógłbym mieć do ciebie, Anniko, osobiste pytanie?

– Jasne. Dajesz. Słucham.

– Obiecujesz, że nie będziesz mieć mi za złe? – Kto by chciał iść do łóżka z roztrzaskaną szczęką, pomyślał. Wystarczy mu już ten Talib i ten drugi padalec.

– Chcesz zapytać, czy jestem lesbijką?

– Tak.

– Ludzie dużo gadają. Fakt, ostatnio mieszkałam z dziewczyną z wydziału do spraw przemocy w rodzinie, ale to się skończyło pół roku temu. Ostatni raz w łóżku byłam z facetem, jeśli jesteś ciekaw, to znaczy nie licząc seksu w pojedynkę. Nawet z nikim z naszych. Jakiś sprzedawca. Wyszliśmy razem z klubu.

– Był coś warty?

– Nie. Potrafił tylko gadać.

Kobieta, a mówi takie rzeczy. Dokąd to, kurwa, zmierza?, pomyślał Bäckström i tylko pokiwał głową.

– Jestem otwarta na różne opcje. Nie strzelam do jednej bramki, jak to mówią. Miałaś coś konkretnego na myśli?

– Właściwie to chciałem się położyć – powiedział Bäckström. Co będzie ze Szwecją?, pomyślał. Ze mną i całą resztą normalnych, ciężko pracujących mężczyzn? Co z nami będzie?

PIERWSZĄ RZECZĄ, jaką planował zrobić w piątek rano, było rozwianie jedynej chmury, która unosiła się na czystym, błękitnym niebie nad jego głową. W tym celu udał się prosto do Toivonena i zażądał wydania mu nowej broni służbowej, skoro jego własna wciąż leżała u techników w Sztokholmie, którzy czekali, aż te lenie z biura spraw wewnętrznych przestaną dłubać palcem w nosie.

– A do czego jest ci potrzebna? – zapytał Toivonen, spoglądając na niego badawczo.

Gównu cię to obchodzi, pomyślał Bäckström, ale się opanował. Gdy ma się do czynienia z takimi debilami jak Toivonen, lepiej trzymać się utartych formuł.

– Jestem policjantem i mam prawo do broni służbowej, a twoim obowiązkiem jest mi ją zapewnić.

– Kogo tym razem planujesz zastrzelić? – zapytał Toivonen, któremu nagle poprawił się humor.

– Chcę zapewnić sobie bezpieczeństwo w pracy i móc realizować inne służbowe zadania, które na mnie spadają – odparł Bäckström, bo zdążył doczytać to i owo.

– Zapomnij. – Toivonen pokręcił głową. – Powiedz, o co naprawdę ci chodzi. Spodobało ci się bieganie z bronią, co?

– Żądam nowej broni – powtórzył Bäckström kamiennym głosem.

– Okej. – Toivonen uśmiechnął się przyjaźnie. – Spróbuję raz jeszcze. Tak, żebyś nawet ty zrozumiał. Nie mam zamiaru dać ci nowej broni. No, chyba że obiecasz, że podczas przekazania będę mógł ci ją osobiście wsadzić w twój tłusty tyłek.

– Wyślę żądanie na piśmie – ostrzegł Bäckström. – Z kopią do wiadomości zarządu. I związku.

– Proszę cię bardzo. Jeśli zarząd będzie chciał dać ci broń, to jego sprawa. Ja nie chcę mieć krwi niewinnych ludzi na swoim sumieniu.

I na tym stanęło.

Jeszcze tego samego wieczoru Toivonen, Niemi, Honkamäki, Alakoski, Arooma, Salonen i inni fińscy chłopcy z komendy udali się do restauracji Karelia. Dołączył do nich również inspektor Sommarlund, choć pochodził tylko z Wysp Olandzkich. Mężczyźni z korzeniami w fińskim torfie, ulepieni z dobrej gliny, z sercem po właściwej stronie, a Sommarlundowi niczego nie brakowało i równie dobrze mógłby urodzić się na kontynencie. Świątować czy lizać rany? Co za różnica, ważne, że mieli cel, a dalej poszło już samo.

Zjedli gotowany pysk łosia, pierogi z łososiem i jajkiem, stek z jagnięciny z gotowaną rzepą. Wypili piwo i wódkę i zaśpiewali *Kotkan Ruusu* do pierwszej, drugiej i trzeciej kolejki.

– Kotkan Ruusu – rozmarzył się Sommarlund. To musiała być wyjątkowa kobieta, pomyślał.

Bäckström postanowił zadziałać i wyszukał list od jednej ze swoich nowych wielbicielek, która do maila dołączyła swoje zdjęcie. Obejrzał je starannie i uznał, że warto się do niej wybrać, a że mieszkała w centrum, wróci spokojnie do domu, gdyby miało się okazać, że babka przekroczyła termin przydatności do spożycia.

Może zdjęcia nie są aktualne, pomyślał Bäckström godzinę później, ale nie można odmówić kobiecie dobrych chęci. Supersalami spisało się jak należy i gdy wysiadał z taksówki przed wejściem do swojego budynku, słońce znowu świeciło na bezchmurnym niebie. Bäckström wszedł po schodach, ponieważ któryś z jego leniwych sąsiadów najwyraźniej zapomniał zatrzaskać drzwi windy na piętrze, i gdy próbował trafić kluczem do zamka w swoich drzwiach, usłyszał ciche kroki dochodzące z góry.

Wcześniej tego samego dnia z komisarz kryminalną Anniką Carlsson skontaktował się jeden ze świadków.

– Lawman – przedstawił się. – Nie wiem, czy mnie pani pamięta. Pracuję w Ekokurierze. Kumplowałem się z Akofelim.

– Pamiętam. Słucham. – Ciekawe, czy usunęli te rowery z chodnika, pomyślała.

– Chciałbym uzupełnić moje zeznanie.

– Gdzie pan teraz jest? – zapytała, bo wołała rozmowę

w cztery oczy.

– Niedaleko. Właśnie zostawiłem paczkę w pani budynku. Dla tego kowboja Bäckströma. Jeden z naszych szurniętych klientów chciał mu przesłać kartę upominkową. Jako prawnik nie lubię takich sytuacji.

– Zaraz do pana zejdę – powiedziała i pięć minut później Lawman siedział w jej pokoju.

Poprzedniego dnia Lawmanowi przyszła do głowy pewna myśl. Gdy rozmawiał w biurze z Anniką Carlsson i jej koleżanką, zapomniał powiedzieć o jednej rzeczy.

– Pamięta pani, że Akofeli zapytał mnie o obronę konieczną? O to, jak daleko można się posunąć?

– Pamiętam – potwierdziła Annika, bo zdążyła już odszukać zeznanie.

– Zapomniałem powiedzieć o jednym. Skucha z mojej strony.

– O czym?

– Chciał, żebym podał mu przykłady użycia przemocy, które by usprawiedliwiały obronę konieczną. Pamiętam, że wspomniałem między innymi pobicia i uśiłowanie zabójstwa. Powiedziałem też coś o sytuacji, w której pomagasz komuś innemu.

– O czym zapomniał pan powiedzieć?

– Mister Seven, to znaczy Septimus, zadał mi konkretne pytanie. Trochę dziwne, biorąc pod uwagę okoliczności.

– Jakie?

– Jak to jest z gwałtem. Co, jeśli ktoś próbuje cię zgwałcić. Czy masz takie samo prawo do obrony koniecznej jak na przykład w przypadku próby zabójstwa?

– Jak pan to zrozumiał?

– Dosłownie. Zapytałem, czy któryś z naszych klientów dobiera mu się do tyłka.

– I co odpowiedział?

– Wzruszył ramionami. Nie chciał o tym rozmawiać.

Wyparcie, pomyślała Annika Carlsson. Dokładnie jak na tym kursie na temat przemocy seksualnej, na który chodziła jesienią. Wyparcie u ofiary, pomyślała, ale ponieważ Bäckström poszedł już pewnie do domu, nie miała z kim o tym



porozmawiać.

Pogadam z nim jutro rano, pomyślała.

Szmer kroków na schodach, a mały sigge leży u tych leni. Nie ma wyboru, pozostaje Bäckström 2.0, pomyślał. Zrobił krok, uniósł lewą rękę, wsunął prawą pod marynarkę.

– Nie ruszaj się, bo ci łeb odstrzele! – krzyknął.

– Ej, spokojnie – zawołał gazeciarz i na wszelki wypadek zamachał przeznaczonym dla Bäckströma egzemplarzem „Svenska Dagbladet”.

Gazeciarz, pomyślał Bäckström i wziął do ręki gazetę.

– Dlaczego nie jeździsz windą, tylko skradasz się po schodach i straszysz ludzi?

– Nie sądziłem, że tak łatwo wystraszyć inspektora – uśmiechnął się gazeciarz. – A tak w ogóle to gratuluję. Widziałem w telewizji. Niezła robota.

– Winda – przypomniał Bäckström.

– Racja. Wszyscy gazeciarze tak robią. Jadą windą na ostatnie piętro, a potem zbiegają po schodach.

– Dlaczego nie zjeżdżasz windą? – Po co tyle chodzić, pomyślał.

– Strata czasu. Nie opłaca się wskakiwać co chwila do windy tylko po to, żeby zjechać jedno piętro. Nie dostałby pan swojej gazety przed poranną kawą.

Gdy Bäckström wszedł do przedpokoju i zamknął za sobą drzwi, nagły błysk rozświetlił wnętrze jego okrągłej głowy.

Akofeli, pomyślał. Hasselstigen jeden, pięć pięter z windą. Dlaczego do diabła nie jechał windą?

– ŚWIEŻE BUŁECZKI, pokojowe zamiary, najnowsze wieści – powiedziała Annika Carlsson, wymachując torebką z piekarni.

– Wejdz – mruknął Bäckström, który nie zaznał zbyt wiele snu tej nocy, bo przez co najmniej dwie godziny oddawał się rozmyśleniom i w pewnym momencie zemdlął ze zmęczenia w swoim łóżku. – Która w ogóle jest godzina?

– Dziesiąta. Pomyślałam, że bawiłeś się w nocy z którąś z twoich wielbicielek, więc nie chciałam cię zbyt wcześnie budzić.

– Miło z twojej strony. – Bäckström uśmiechnął się krzywo. Patrzcie ją, nie strzela do jednej bramki, pomyślał. W sumie nawet miła.

– Wskakuj pod prysznic, to ciocia Annika zrobi ci śniadanie.

– Naleśniki i smażona wieprzowina – złożył zamówienie Bäckström.

– Nie ma takiej opcji – prychnęła Annika.

– Co o tym sądzisz? – zapytała pół godziny później, gdy skończyła relacjonować swoją rozmowę z Lawmanem.

– O czym? – mruknął Bäckström, bo myślami przebywał gdzie indziej.

– O tym, że Kalle Danielsson być może zmuszał go do seksu. To by pasowało do profilu tego typu sprawców. Podstarzały alkoholik, który spotyka się głównie z kolegami, najwyraźniej aktywny seksualnie, ponieważ miał w domu viagrę i kondomy. Młody mężczyzna w typie Akofeliego, czarny, dwa razy mniejszy od niego. Z pewnością atrakcyjny dla kogoś takiego jak Danielsson, kiedy ten miał już nieco w czubie i nie czuł się skrzepowany.

– Niemożliwe. – Bäckström pokręcił głową. – Danielsson taki nie był.

– Co znaczy „taki nie był”? – zapytała Annika.

– Nie rznął w tyłek.

– Co znaczy „nie rznął w tyłek”? Robią to nawet tacy jak ty,

jeśli nadarzy się okazja.

– Chłopięcy tyłek. – Chciałaś, to masz, pomyślał.

– Mówisz – powiedziała Annika Carlsson, wzruszając ramionami.

– Posłuchaj lepiej tego – powiedział Bäckström. – Wczoraj wieczorem, kiedy wróciłem do domu, zrozumiałem wreszcie, co mi nie pasuje z tym Akofelim. Wiesz, to coś, co tak nie dawało mi spokoju.

– Okej, okej – powiedziała Annika Carlsson kwadrans później. – Chcesz powiedzieć, że chodził po schodach, zamiast jeździć windą. W czym problem? Może chciał trochę poćwiczyć. Ja też dużo biegam po schodach, to daje świetne efekty.

– Teraz posłuchaj mnie uważnie – rzekł Bäckström.

– Okej – odparła Annika Carlsson, wyjmując czarny notes.

– Chcę wiedzieć wszystko na temat sposobu pracy Akofeliego. Którędy chodził, od którego domu zaczynał i na którym kończył, ile łącznie roznosił gazet, ile na Hasselstigen jeden i w jakiej kolejności. Jasne?

– Okej. Gdzie cię znajdę, gdy już skończę?

– Za biurkiem. Daj mi się tylko ubrać.

BYŁA SOBOTA, a Bäckström siedział w pracy i myślał tak intensywnie, że zapomniał o lunchu.

– A to tu się schowałeś – ucieszyła się Annika Carlsson. – Szukałam cię w kawiarni.

– Myśle.

– Miałeś rację. Akofeli jakoś dziwnie roznosił gazety.

*Surprise, surprise*, pomyślał Bäckström, bo miał już całkiem klarowny obraz sytuacji.

– Opowiadaj.

Codziennie około trzeciej nad ranem Akofeli wraz z innymi kurierami, którzy pracowali w tym samym rejonie, odbierał swój przydział gazet z punktu dystrybucyjnego na Råsundavägen. W jego przypadku było to ponad dwieście egzemplarzy „Dagens Nyheter” i „Svenska Dagbladet”, jak również kilkanaście egzemplarzy „Dagens Industri”. Firma kurierska wytyczyła mu trasę, żeby w czasie roznoszenia gazet nie musiał wykonać ani jednego niepotrzebnego ruchu.

– Z grubsza rzecz biorąc, można powiedzieć, że poruszał się po kwartale w kierunku północno-zachodnim i że budynek przy Hasselstigen jeden był jego przedprzedostatnim budynkiem na trasie. Na całość potrzebował od dwóch do trzech godzin, wszystkie gazety miały być dostarczone najpóźniej o godzinie szóstej rano.

– A w tych ostatnich budynkach? – zapytał Bäckström.

– Właśnie tu robi się ciekawie – powiedziała Annika Carlsson. – Ostatni budynek na jego trasie to Hasselstigen cztery, a przedostatni Hasselstigen dwa. Numer cztery znajduje się przy skrzyżowaniu z Råsundavägen, a stacja metra w kierunku Rinkeby, gdzie mieszkał, znajduje się dwieście metrów dalej na Råsundavägen. Wygląda na to, że zamiast chodzić najkrótszą drogą, zmienił końcówkę swojej trasy. Mija Hasselstigen jeden i nie roznosi żadnych gazet. Idzie prosto na Hasselstigen cztery, to znaczy do ostatniego budynku, i roznosi gazety. Wraca na Hasselstigen dwa, roznosi gazety, a potem

przechodzi przez ulicę i na koniec roznosi gazety pod jedyneką.

– Nadkłada dwieście metrów – zauważył Bäckström, który już całkiem niezłe orientował się w topografii kwartału.

– Nawet ponad trzysta – odpowiedziała Annika Carlsson, która na próbę przeszła całą trasę zaledwie kilka godzin wcześniej. – Całkowicie niepotrzebnie chodził okrężną drogą, co musiało go kosztować przynajmniej pięć minut. Trochę to dziwne, bo rozsądniej byłoby jak najszybciej jechać do Rinkeby, zostawić wózek i chwilę się przespać przed wyjściem do następnej pracy w firmie kurierskiej.

– A dalej? – zapytał Bäckström. – Jak porusza się po Hasselstigen jeden?

– Teraz robi się jeszcze ciekawiej – przyznała Annika Carlsson.

Na Hasselstigen jeden codzienną prasę prenumerowało jedenastu mieszkańców, sześciu „Dagens Nyheter”, a pięciu „Svenska Dagbladet”. Po śmierci Karla Danielssona zostało ich już tylko dziesięciu, a ponieważ pani Holmberg w tym samym czasie zamieniła „DN” na „SvD”, nasi główni konkurenci prasowi mieli remis.

– Pięć „DN” i pięć „SvD” – podsumowała Annika Carlsson.

Co to ma za znaczenie?, pomyślał Bäckström.

– Słucham dalej.

– Pierwszą gazetę dostaje pani Holmberg z parteru, co pewnie nie jest takie dziwne, bo Akofeli mija jej drzwi w drodze do windy. Potem powinien jechać windą na ostatnie piętro i schodząc po schodach, rozdać pozostałe dziesięć gazet. Jako ostatni gazetę powinien dostać Karl Danielsson, który mieszka na pierwszym piętrze i jako jedyny z tego piętra prenumeruje codzienną prasę.

– Ale tego ranka było inaczej – wtrącił Bäckström.

– Tak – powiedziała Annika Carlsson. – Bo jak słusznie zauważyłeś, gdy pojawiłeś się na miejscu zdarzenia, Akofeli miał w torbie gazety. Zgodnie z protokołem sporządzonym na miejscu przez Niemiego i Hernandezę w jego torbie na ramię było dziewięć gazet. Chłopcy są dokładni. Jedenaście minus ta, którą dał pani Holmberg, minus ta, którą zamierzał dać

Karlowi Danielssonowi, gdy zorientował się, że drzwi do jego mieszkania są otwarte, a Danielsson leży w korytarzu.

– To ta gazeta, którą położył na progu.

– Właśnie.

– Zawsze tak robił?

– Wydaje mi się, że już od dłuższego czasu.

– Dlaczego tak ci się wydaje?

– Przyjechałam na miejsce tuż przed siódmą rano i uzgodniłam z Niemim, że przeszukam bydynek, a oni zajmą się mieszkaniem Danielssona. Na parterze znajduje się pomieszczenie na rowery i wózki. Nie ma ich tam wiele, w tym budynku mieszkają głównie emeryci, ale stał tam w każdym razie jeden wózek i kilka rowerów. I jeszcze wózek na gazety Akofeliego. Tak jest napisane w protokole, który sama sporządziłam, choć wtedy nie zwróciłam na to uwagi.

– Mógł go przecież stawiać przed wejściem – zauważył Bäckström. – Tak byłoby najwygodniej.

– Teraz też tak uważam, ale wtedy o tym nie pomyślałam. Jesteś sprytniejszy ode mnie, Bäckström. – Uśmiechnęła się.

– Czy ja wiem – mruknął z nieśmiałym uśmiechem.

– W każdym razie gdy stałam tam na dole, spotkałam jedną z lokatorek, która zeszła, żeby wyjąć swój rower.

– Była zaniepokojona?

– Tak, zapytała, co się stało, bo po budynku kręciło się już wtedy jakichś dziesięciu naszych. Nie zdradziłam żadnych szczegółów. Wyjaśniłam, że przyjechaliśmy, bo było zgłoszenie. Zapytałam ją o nazwisko i o to, co robi w wózkowni. Przedstawiła się i pokazała dowód, jeszcze zanim zdążyłam ją o to poprosić. Wyjaśniła, że tu mieszka, że jest w drodze do pracy i że przy dobrej pogodzie jeździ rowerem. Pracuje w recepcji hotelu Scandic przy autostradzie na lotnisko w Arlanda. To jakieś pięć kilometrów, a pracę zaczyna o godzinie ósmej rano.

– Wózek na gazety – przypomniał Bäckström.

– O to też nie musiałam pytać. Powiedziała, że widuje go tu przynajmniej od kilku miesięcy. Złościła się, bo przeszkadzał jej przy wyjmowaniu roweru. Myślała nawet o tym, żeby napisać

kartkę i powiesić na ścianie. Domyśliła się, że należy do gazeciarza, choć sama nie miała prenumeraty. Prasę miała za darmo w pracy.

– Czyli nie wiedziała, w jakich godzinach pojawiał się Akofeli.

– Nie. Pewnie myślała, że się mijali. Wtedy mnie to nie zastanowiło.

– Nie rozmawiałaś o tym z żadnym lokatorem?

– Za kogo mnie masz.

– Mądry współpracownik jest na wagę złota.

– Akofeli spotykał się z kimś z tego budynku.

– Otóż to. Od początku to podejrzewałem.

TEGO SAMEGO DNIA Anna Holt obudziła się około siódmej rano. Miała wrażenie, że śnił jej się jakiś sen erotyczny, bardzo przyjemny, a gdy odwróciła głowę, zobaczyła, że Jan Lewin leży obok niej w łóżku i się jej przygląda. Oparł głowę na prawej ręce, a lewą bawił się jej prawą brodawką.

– Nie śpisz – stwierdziła.

– Nie – odpowiedział, uśmiechnął się i wskazał głową swoje podbrzusze.

– Oj – powiedziała Holt, przesuwając ręką pod kołdrę. – Chyba mamy problem.

– I co z tym zrobimy? – zapytał, sunąc dłonią po jej szyi.

– Pewnie znajdziemy jakieś rozwiązanie – powiedziała Holt. Ściągnęła kołdrę i usiadła na nim okrakiem.

Rano jest najlepiej, pomyślała pół godziny później. Była pełna energii, jak zawsze. Za to Jan wydawał się spokojniejszy, jakby za chwilę miał zasnąć. Typowe, pomyślała, i w tej samej chwili zadzwonił telefon.

– O tej porze w sobotę? – jęknął Lewin.

– Chyba się domyślam, kto to – powiedziała i podniosła słuchawkę. Komendant wojewódzka, pomyślała.

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłam – powiedziała komendant wojewódzka, której głos brzmiał równie energicznie jak głos Anny Holt, choć był znacznie bardziej rozdrażniony.

– Nie spałam – odparła Anna, nie rozwijając tematu, z radosnym uśmiechem w stronę Lewina.

– Czytałaś gazety?

– Nie. A które?

– Wszystkie. Bäckström. Zdaje się, że rozmawiał już ze wszystkimi. Nawet z tym kościelnym szmatławcem, w którym opisuje swoją głęboką wiarę w Boga.

– Porozmawiam z nim – powiedziała Holt. Bäckström nie jest taki głupi, pomyślała.

– Dziękuję – rzekła komendant i się rozłączyła.



– Muszę coś zrobić – powiedziała Holt. – A ty postaraj się zasnąć.

– Mogę zrobić śniadanie – zaproponował Jan Lewin i usiadł na łóżku.

– Może jesteś ciekaw...

– Nie – powiedział, kręcąc głową. Jestem policjantem, nie mówiłem? Domyślam się, skąd ten telefon. Ciągle ten Bäckström, westchnął w duchu.

Anna Holt usiadła przy komputerze, otworzyła przeglądarkę internetową, przeczytała poranne wiadomości, a lektura tylko potwierdziła jej obawy. Potem zadzwoniła do Bäckströma na komórkę. Jak zwykle bez odpowiedzi. Porozmawiała przez chwilę z Anniką Carlsson.

Jak ona może, to ja też, uznała, mając na myśli komendant wojewódzką, a sama zadzwoniła do Toivonena.

– Toivonen – jęknął Toivonen.

– Holt – powiedziała Holt.

– Słucham, szefowo. Miałem wczoraj długi wieczór.

– Bäckström – rzuciła, a potem przez dwie minuty tłumaczyła, o co chodzi.

– Proponuję, żebyśmy poczekali z tym do poniedziałku – powiedział Toivonen. – Przecież jest weekend, a my mówimy o Bäckströmie.

– On jest w pracy – oznajmiła Holt. – Przed chwilą rozmawiałam z Anniką Carlsson. Podobno siedzi tam od samego rana.

– Pewnie tylko po to, żeby mi zrobić na złość – powiedział Toivonen.

– I CO TERAZ? – zapytała Annika Carlsson.

– Teraz tylko spokój – odparł Bäckström. – Żeby niczego nie schrzanić.

– Słucham.

– Chciałbym rzucić okiem na listę znajomych Danielssona, którą sporządził Alm. Zadzwoń do niego i powiedz, żeby przyjechał i mi ją dał.

– Nie trzeba, możesz dostać moją. Mam kopię.

– Szkoda. Liczyłem na to, że uprzykrzę mu trochę życie.

Stara gwardia z Solny i Sundbyberg, pomyślał Bäckström, gdy kwadrans później przeglądał listę nazwisk z najbliższego kręgu znajomych Karla Danielssona. Połówka, Piorun i Gurra Woźnica. Ojciec chrzestny Grimaldi i ich dawny kolega Rolle Stålhammar. Starzy kumple, którzy od prawie pół wieku zalewali się razem w trupa, pomyślał.

Potem zadzwonił do jednego z nich.

– Inspektor Bäckström, bohater narodowy – powiedział Halvar Söderman. – Czym sobie zasłużyłem na ten zaszczyt?

– Chciałbym z tobą porozmawiać, Söderman – powiedział Bäckström. Ten już nawalony, a ja od rana siedzę za biurkiem, obrzydliwie trzeźwy. I jeszcze dostaję za to jakieś grosze, pomyślał.

– Moje drzwi zawsze stoją przed tobą otworem – zapewnił Połówka. – To dla mnie wielki zaszczyt. Czy pan inspektor ma jakieś szczególne życzenia w kwestii menu?

– Może być kawa. Czarna bez cukru.

Następnie Bäckström wszedł do pokoju Nadji, schował do kieszeni kalendarz Karla Danielssona i zadzwonił po taksówkę.

– Na pewno nie dasz się namówić choćby na kropelkę? – zapytał Halvar „Połówka” Söderman, wskazując głową butelkę koniaku, która stała między nim a Bäckströmem na stole w kuchni.

– Nie trzeba.

– Jesteś nie tylko bystry – zauważył Söderman. – Masz też

silny charakter – dodał, wlewając sobie całkiem sporą kropelkę do filiżanki. – Dobra wódka nie jest zła – powiedział, cmokając z zadowoleniem. – I zdrowa. Milion alkoholików nie może się mylić.

A przynajmniej nie wszyscy, pomyślał Bäckström.

– Chciałem cię o coś zapytać – powiedział, wyjmując czarny kalendarz Danielssona.

– Pytaj, tobie odpowiem – zapewnił Połówka. – Gdyby to był któryś z twoich tak zwanych kolegów, pięści już poszłyby w ruch.

– Kalendarz Kallego Danielssona. Jest w nim kilka notatek, których wciąż nie rozumiem.

– Wyobrażam sobie – roześmiał się Söderman. – Kalle to był szczywany lis.

– Niektóre z nich powracają regularnie. Wydaje nam się, że chodzi o to, że wypłacał pieniądze... trzem różnym osobom.

– Bardzo możliwe, ale na pewno zatarł ślady. Jak się nazywają?

– To są skróty. Naszym zdaniem inicjały. I jeszcze sumy. Skróty brzmią tak: GT, OP i SP. Wszystko wersalikami, to znaczy dużymi literami, zresztą spójrz sam.

– Co to niby miałyby oznaczać? Jak według was nazywają się ci kolesie?

– Gasan Talib, Omar Parisafar i Samir Parisafar.

– Przecież to te bydlaki, co próbowały cię załatwić, Bäckström – powiedział Söderman, przeglądając kalendarz.

– Tak. Pamiętasz, żeby Danielsson o nich opowiadał?

– O takich sprawach nie opowiadał nawet po pijaku. Jestem w stanie wyobrazić sobie, że przechowywał dla nich kasę, ale nie żeby komuś o tym opowiadał.

– Nie? – powtórzył Bäckström.

– Ano nie – odparł Połówka dobitnie. – Obawiam się jednak, że pan inspektor wszystko źle zrozumiał. Chętnie podrzuciłbym wam jakiś łakomy kęs, żebyście mogli zamknąć tych Sindbadów na wieki wieków amen i wrzucić klucz do jeziora Rasta, ale wydaje mi się, że tym razem są niestety niewinni.

– Mówisz.

– Kalle Danielsson miał poczucie humoru. Te zapiski dotyczą czegoś zupełnie innego, nie tych cholernych mongołów z Hendalekostanu.

– Opowiadaj.

– To ci dopiero draka. – Połówka pokręcił głową i uśmiechnął się radośnie do swojego gościa. – Dobrze siedzisz, Bäckström?

– Tak.

– W takim razie opowiem. Tylko trzymaj mocno uszy, żeby ci nie odpadły.

– CO TYM RAZEM WYMYŚLIŁEŚ? – zapytała Annika Carlsson, gdy po trzech godzinach wrócił do biura.

– Zjadłem dobry lunch i rozwiązałem zagadkę podwójnego morderstwa. – I kupiłem pastylki na gardło po drodze, pomyślał. – A ty co zrobiłaś?

– Sprawdziłam to, o co prosiłeś. Jak na razie wszystko się zgadza. Znalazłam ten samochód, o który prosiłeś. Wypożyczony na stacji OK w Sundbyberg w sobotę siedemnastego maja i oddany następnego dnia.

– Świetnie – powiedział Bäckström. – To w czym problem?

– Toivonen. Obawiam się, że musisz z nim pogadać.

– Jak chce ze mną gadać, to wie, gdzie mnie szukać.

– Posłuchaj, Bäckström. Na twoim miejscu porozmawiałabym z nim bardzo spokojnie. Dotąd tylko raz widziałam go w takim stanie.

– Ciekawe. – Lisek robi się ważny, pomyślał.

Gdy Bäckström wszedł do pokoju, Toivonen wcale nie chodził po ścianach, tylko kiwnął do niego przyjaźnie głową i zaproponował mu, żeby usiadł.

– Dobrze cię widzieć. Chciałem ci pokazać kilka fotek...

O czym on, kurwa, gada, pomyślał Bäckström.

– Na początek może to – powiedział Toivonen i podał plik zdjęć zrobionych z ukrycia. – Zostały wykonane w zeszły piątek, kiedy wyszedłeś na podryw i spotkałeś się z Tatianą Thorén. Wcześniej podobno jadłeś kolację z Juhą Valentinem Anderssonem-Snyggiem lub Gustafem G:son Henningiem, jak podobno się teraz nazywa. Zgaduję, że to on dokonał wstępnej prezentacji.

– Co to jest, do diabła? – warknął Bäckström. – Moje dochodzenie ledwo zipie, bo brakuje mi ludzi, a ty każesz swoim śledczym za mną łązić. Mam nadzieję, że masz cholernie dobre wytłumaczenie.

– Jak zwykle przesadzasz – odparł Toivonen. – Śledziliśmy braci Parisafar i Gasana Taliba. Pojechali do Café Opera i nagle

pojawiłeś się tam ty z panią Thorén. Ponieważ Samir zdawał się żywo zainteresowany twoją osobą, pomyśleliśmy, że warto pójść również tym tropem.

– Pierwszy raz spotkałem tego debila dopiero w chwili, gdy zjawił się w moim mieszkaniu, żeby mnie zabić.

– Rozumiem. Do pewnego stopnia jestem w stanie ci uwierzyć. Wydaje mi się, że przyszli do ciebie, bo chcieli ci przekupić. Potrzebowali kogoś, kto opowiedziałby im o naszym dochodzeniu w sprawie napadu. Czuli się osaczeni. Samir to przebiegły skurczybyk i raczej nie narzeka na brak gotówki. Klucze załatwiła im pewnie Thoren. Pewnie zgubiłeś gacie już w wejściu.

– Nie dostała ode mnie żadnego klucza.

– Nie – powtórzył Toivonen. – Ale gdy przysnąłeś, zrobiła kopię. To prostytutka, jedna z droższych.

– Skoro tak mówisz. – Bäckström wzruszył ramionami. – Ja w każdym razie jej nie płaciłem. A od ciebie ile wzięła? Pięćset marek fińskich, co?

– Wyluzuj, Bäckström – powiedział Toivonen. – Nie próbuję wsadzić cię z pragrafu o korzystaniu z usług seksualnych. Obawiam się, że jest znacznie gorzej – dodał. – Zdjęcia zrobiliśmy tego samego wieczoru, kiedy urządziłeś strzelaninę w swoim mieszkaniu. Widać na nich, jak pijesz w swojej ulubionej knajpie. Piwo i jeden głębszy przed jedzeniem, potem jeszcze raz piwo i dwa kieliszki wódki do kolacji, a na koniec kawa i duży koniak. Policjant idzie po pracy do knajpy, ma przy sobie broń, upija się. Teraz już rozumiem, dlaczego przywitałeś naszych z kieliszkiem w dłoni, gdy już wreszcie zaprosiłeś ich do środka. Jak ci się podobają zdjęcia? Niezła jakość, nie uważasz?

– Nie wiem, o czym gadasz – odparł Bäckström, podnosząc pierwsze zdjęcie z brzegu. – Tutaj siedzę z małym piwem i szklanką soku jabłkowego. Powinieneś kiedyś spróbować.

– Jasne – odrzekł Toivonen z uśmiechem. – Potem zamawiasz wodę w kieliszku i małe piwo. A na koniec jeszcze jeden soczek jabłkowy, tyle że tym razem w kieliszku do koniaku. Nie bądź śmieszny, Bäckström. Gdyby nie to, że

zrobiłem kopię twojego rachunku, mógłbym nawet machnąć na to wszystko ręką.

– O co ci chodzi?

– Mam pewną propozycję.

– Słucham.

– Mam gdzieś naszych tak zwanych kolegów z biura spraw wewnętrznych. Nie mam w zwyczaju donosić na kumpli z pracy. Jak ktoś bruździ, zazwyczaj targam go za uszy. Takie sprawy załatwiamy w czterech ścianach. W Solnie zawsze tak robiliśmy.

– Propozycja – przypomniał Bäckström. – Mówiłeś, że masz jakąś propozycję.

– Coraz więcej naszych kolegów i koleżanek jest zmęczonych twoimi wypowiedziami w mediach. Wszystko inne jesteśmy w stanie znieść. Jeśli masz zamiar drażnić się z nami za pośrednictwem gazet, to może powinieneś zmienić pracę. Może mógłbyś zostać dziennikarzem śledczym albo zastąpić tego zmęczonego profesorka z kierownictwa policji, który gada do kamery w *Poszukiwany, poszukiwana* w każdy czwartek. Jeśli stulisz pysk, my też nic nie powiemy. Jeśli będziesz dalej mleć ozorem, to razem z kolegami dopilnujemy, żeby zarówno zdjęcia, jak i inne skarby, które zgromadziliśmy w naszych szufladach, trafiły do jakiejś zaprzyjaźnionej redakcji. Chyba zresztą sam to proponowałeś – większa otwartość ze strony policji.

– Rozumiem.

– W porządku – powiedział Toivonen – a ponieważ nie jesteś taki głupi, to uznaję, że doszliśmy do porozumienia. A jak idzie twoje dochodzenie?

– Dobrze. Do poniedziałku powinienem skończyć.

– Słucham, mów.

– Przyjdzie na to pora – powiedział Bäckström i wstał.

– Nie mogę się doczekać – odparł Toivonen z uśmiechem.

Spotkamy się na konferencji prasowej, pomyślał Bäckström. Skinął głową i wyszedł.

– I JAK CI POSZŁO? – zapytała Annika Carlsson. – Już się martwiłam.

– Bez problemu – powiedział Bäckström.

– Czego chciał? Wpadł tutaj wściekły, normalnie się wystraszyłam.

– Mój mały lisek – ucieszył się Bäckström. – Potrzebował pomocy i dobrej rady od swojego dawnego nauczyciela i mentora.

– Dobrze słyszeć. Co z naszą sprawą?

– To, co zawsze – powiedział Bäckström. – Absolutna koncentracja na osobie podejrzaney, podsłuchy na telefonach, pełny program działań, bezgłośnie, niewidocznie, bez śladów. Zadzwoń do Nadji, niech przyjedzie pomóc. Podpiszę wam nadgodziny. Poradzimy sobie bez młodzieży, Alma też sobie darujemy.

– Nie wiem, czy ta komórka w ogóle istnieje – powiedziała Annika Carlsson. – W każdym razie nie mogę jej znaleźć.

– Na pewno istnieje – rzekł Bäckström. – To na ten telefon dzwonią Danielsson i Akofeli. Ten, który najwyraźniej służy tylko do odbierania rozmów przychodzących. Może jeszcze uda się go znaleźć. Poza tym jest jeszcze telefon stacjonarny.

– Już się tym zajęłam – oznajmiła Annika Carlsson.

– Skoro tak, trzeba już szykować kajdanki na poniedziałek – powiedział Bäckström z krzywym uśmiechem.



W NIEDZIELĘ WCZEŚNIE RANO Gasan Talib dostał kolejnego wylewu. Lekarz, który uratował mu życie niecały tydzień wcześniej, podjął kolejną próbę, tym razem jednak nieudaną. Operacja została przerwana już po kwadransie, a zgon stwierdzono o wpół do szóstej rano w klinice neurologicznej szpitala Karolinska.

Nie było dobrze, gdy umierali tacy jak Talib. Żyło zbyt wielu jemu podobnych, którym nie wiadomo co mogło przyjść do głowy. Pięć minut później inspektor Honkamäki postanowił jeszcze bardziej zwiększyć bezpieczeństwo. Porozmawiał z Toivonenem i Lindą Martinez. Toivonen wydał oficjalne polecenie. Oddelegował kolejnych sześciu ludzi z prewencji i sześciu śledczych.

Prewencja miała wzmocnić ochronę zewnętrzną. Śledczy mieli poruszać się w obrębie szpitala i innych budynków szpitalnych, żeby zawczasu zauważyć podejrzone pojazdy, osoby i wszystko inne, co odstawało od normy.

Około godziny dziewiątej rano na oddziale chirurgii ortopedycznej zjawił się Frank Motoele. Przywitał się z kolegami w wejściu i pojechał windą na siódme piętro, gdzie Samir Parisafar leżał w izolatce z lewą nogą w gipsie od kostki do krocza.

– Jak jest? – zapytał Motoele i skinął głową na kolegę siedzącego przy drzwiach wejściowych.

– Spokojnie – powiedział ten z uśmiechem. – Pacjent śpi. Przed chwilą gadałem z pielęgniarką. Podobno faszeryją go non stop lekami przeciwbólowymi. Chyba nic nam do tego. Głównie śpi. Jeśli chcesz pogadać z jego braciszkiem, leży na chirurgii klatki piersiowej. Chwilowo nie ma przy sobie noża.

– Pójdę sprawdzić.

– Proszę cię bardzo. To ja w tym czasie skoczę do palarni. Dostaję już szału, te gumy nikotynowe to jakiś żart.

Coś się nie zgadza?, pomyślał Motoele, zanim otworzył drzwi do pokoju Samira.

Na wszelki wypadek kopnął drzwi nogą, kładąc dłoń na kolbie pistoletu. Pokój był pusty, okno otwarte, łóżko stało przystawione do okna, a do jego nogi przywiązana była zwykła lina wspinaczkowa.

Dwadzieścia metrów po ścianie, siedem pięter w dół. Na dole już ktoś czekał na mężczyznę, który pomimo gipsu na nodze próbował spuścić się po linie, jednak zdołał zjechać zaledwie kilka metrów, gdy Frank Motoele wytknął głowę przez okno.

Motoele złapał za linę i pociągnął. Nic trudnego dla kogoś jego postury: sto kilogramów mięśni i kości, podczas gdy zawieszony na drugim końcu liny Samir Parisafar ważył niecałe siedemdziesiąt. Poza tym Samir popełnił błąd. Zamiast poluzować uścisk i po prostu zjechać po linie, ścisnął ją jeszcze mocniej i podjechał na niej jakiś metr do góry. A wtedy Motoele zmrużył oczy i lekko ją popuścił. Samir również zwolnił uścisk, spadł i wylądował na plecach prawie dwadzieścia metrów niżej. Zginął na miejscu. Dopiero wtedy Motoele zauważył, że pomocnik Samira wyjął broń i zaczął do niego strzelać. Niezbyt jednak celnie. Motoele się nie spieszył. Wyjął broń, przykucnął za parapetem, wycelował w nogę przeciwnika, chwyt oburącz, otwarte oczy. Wszystko zgodnie z podręcznikiem i gdyby miał szczęście, przestrelałby mu tętnicę. Mężczyzna upadł, upuścił broń, złapał się za nogę i zaczął krzyczeć w języku, w którym Motoele nie rozumiał ani słowa.

Motoele zmrużył oczy, schował broń do kabury, wyszedł na korytarz. Słyszał odgłos szybkich kroków i krzyki swoich kolegów.

Inspektor Honkamäki zadzwonił do Toivonena w ciągu pół godziny i dał mu krótki opis sytuacji. Ktoś pomógł Samirowi otworzyć okno. Ta sama osoba dała mu linę wspinaczkową z węzłami, długą na jakieś dwadzieścia metrów. Kolega Motoele próbował go wciągnąć. Samir puścił linę, spadł bezwładnie na plecy z wysokości dwadziestu metrów. Jego współnik zaczął strzelać do Motoele. Oddał wiele strzałów. Motoele w odpowiedzi strzelił jeden raz. Trafił w nogę i go unieszkodliwił. pomocnik został zatrzymany, zidentyfikowany

i przewieziony na oddział ratunkowy, który dla wygody zlokalizowano sto metrów od chirurgii ortopedycznej. Ponadto były już konkretne podejrzenia, kto pomógł Samirowi z oknem i liną.

– Na oddziale brakuje jednej pielęgniarki, z Iranu. Oddaliła się od swojego stanowiska jakąś godzinę temu – podsumował Honkamäki.

– Co wy tam, do cholery, wyprawiacie? – jęknął Toivonen.

– Wszystko zgodnie z podręcznikiem. A ty co byś, kurwa, zrobił?

– Co z młodszym bratem, żyje?

– Żyje. Ale rozumiem, dlaczego pytasz.

– Odwieź go do aresztu. Musimy jakoś zapanować nad sytuacją.

– Już próbowałem. Odmawiają przyjęcia go. Twierdzą, że brakuje im pracowników medycznych.

– Odwieź go do szpitala w Huddinge.

– Dlaczego Huddinge?

– Nie chcę, żeby został w rejonie. Dopóki ludzie nie przestaną padać jak muchy i dopóki mój zespół jest w to zaangażowany.

– Okej.

– Jeśli chodzi o Motoele...

– Już załatwione. Technicy są na miejscu, a ludzie z BSW w drodze. Brakuje tylko Bäckströma. – Śmiech.

Nieźle. Trzy do zera dla chrześcijan, pomyślał Bäckström, gdy włączył poranne wiadomości. Nareszcie naleśniki i smażona wieprzowina. Ponieważ jego opiekun najwyraźniej miał co innego do roboty.

– Domyślam się, że jesteś w szoku, Motoele – powiedział pracownik BSW.

– Nie – odparł Frank i pokręcił głową. – Nie jestem w szoku. Wszystko odbyło się zgodnie z zasadami. – Szacunek, pomyślał i zmrużył oczy.

W PONIEDZIAŁEK PO LUNCHU Bäckström był gotów do ataku. Wcześniej jednak spotkał się z Anniką Carlsson i wydał jej szczegółowe instrukcje.

– Oj, Bäckström, Bäckström. – Pokręciła głową. – Jesteś najbardziej przebiegłym policjantem, z jakim miałam okazję pracować. Nieźle zaplanowałeś tę rozmowę.

– Mnie też trudno. Zrób tak, jak ci mówię.

– Jasne, szefie. A co z Felicią i małym Stigsonem?

– W odwodzie. Nie chcę brać na górę Stigsona, a gdyby coś się stało, nie chcę się martwić o Felicię.

– Racja.

– Niech siedzą na wszelki wypadek w samochodzie i czekają na nasze instrukcje.

Następnie pojechali na Hasselstigen jeden w dwóch cywilnych samochodach. Stigson i Pettersson zaparkowali przed wejściem, a Bäckström i Annika Carlsson pojechali windą na górę. Annika Carlsson schowała się na schodach prowadzących na strych, a Bäckström zadzwonił do drzwi. Spotkanie zostało umówione tego samego dnia rano, więc drzwi otworzyły się już po drugim dzwonku.

– Witam pana inspektora – powiedziała Britt-Marie Andersson z szerokim uśmiechem i z jakiegoś powodu przeciągnęła lewą dłońią po rozcięciu w swoim głębokim dekolcie. – Czym mogę pana poczęstować?

– Napiłbym się chętnie kawy – odrzekł Bäckström. – I jeśli można, skorzystałbym z toalety.

– Naturalnie – powiedziała Britt-Marie Andersson, przekrzywiła lekko głowę i pochyliła się do przodu, jakby chciała lepiej widzieć. – Może przejdziemy na ty? Britt-Marie – dodała, wyciągając opaloną dłoń.

– Bäckström – odparł i dorzucił pół Harry'ego Callahana.

– Jesteś taki staroświecki. – Uśmiechnęła się i pokręciła głową. – Rozgość się, a ja zrobię kawę.

Bäckström wszedł do toalety. Gdy tylko usłyszał, że ruszyła

do kuchni, wymknął się po cichu i odsunął zasuwę w drzwiach wejściowych. Na wypadek, gdyby zrobiło się gorąco; nie chciał, żeby jego koledzy musieli wyważać drzwi. Następnie spuścił wodę, zatrzaskał drzwi do łazienki, wszedł do salonu i usiadł na kwiecistej kanapie.

Britt-Marie Andersson weszła z pełną tacą. Udało jej się nawet przekonać swojego karalucha w skórze psa, żeby był grzecznym Puciem i położył się w swoim kwiecistym koszyku. Następnie usiadła w różowym fotelu, przysunąwszy go tak blisko, że gdy nalewała kawy, jej opalone kolana niemal ocierały się o żółte płócienne spodnie Bäckströma.

– Domyślam się, że pijesz czarną – powiedziała i cmoknęła z zadowoleniem.

– Tak.

– Jak wszyscy prawdziwi mężczyźni – westchnęła.

Chyba że piję espresso, bo wtedy lubię mieć ciepłe mleko obok w dzbaneczku, pomyślał Bäckström.

– Może być czarna – powiedział.

– A może skusiłbyś się na mały koniaczek? Albo kieliszek whisky? – zapytała, wskazując głową butelki na tacy. – Ja właściwie zamierzałam sobie nalać – nalegała. – Tak tyci, tyci.

– Bardzo proszę – powiedział Bäckström. – I słusznie – dodał, nie wchodząc w szczegóły.

– Mów, proszę – rzekła, przekrzywiając głowę. – Umieram z ciekawości. Przez telefon powiedziałeś, że chciałeś mi za coś podziękować.

– Zgadza się. Tak właśnie powiedziałem.

– Przepraszam, że przerywam – wtrąciła, biorąc niewielki łyk swoimi wydatnymi ustami – ale muszę skomplementować twój ubiór. Żółty płócienny garnitur, jasnobrązowa płócienna koszula, dopasowany krawat, ciemnobrązowe włoskie buty, na pewno ręczna robota. Większość znanych mi policjantów wygląda, jakby na co dzień spali na ławce w parku.

– Jak cię widzą, tak cię piszą. Dziękuję za komplement. Chciałbym ci podziękować jeszcze za coś.

– Wciąż nie wiem, za co.

– Ja na razie też nie. Najpierw przypomniałaś nam o moim

byłam koledze Rollem Stålhammarze, zapomniałaś tylko dodać, że miałaś z nim bliższy kontakt jakieś czterdzieści lat temu, kiedy to większość czasu pieprzyliście się jak króliki. Rolle niewiele nam pomógł, za to ty wskazałaś nam jeszcze braci Parisafar i ich szalonego kuzyna. Naturalnie – ciągnął Bäckström – w jednej sprawie ci wierzę. Na pewno widziałaś, jak rozmawiają z Kallem Danielssonem, i jestem przekonany, że ten wielki gnój, który kręcił się koło ich samochodu, rzeczywiście pokazał ci język. Ponieważ jednak wciąż nie byliśmy usatysfakcjonowani, udało ci się wcisnąć jednemu z moich mniej rozgarniętych kolegów historię o tym, że Seppo Laurén miał od lat skłonność do przemocy. I że w dodatku nienawidził swojego ojca Karla Danielssona. Przez ciebie moi ludzie spędzili minione dwa tygodnie, biegając jak kury z odciętymi głowami, i na dobrą sprawę zapomniałaś powiedzieć tylko o jednym.

– Niby o czym? – zapytała, nagle wyprostowana; uśmiech zniknął z jej twarzy, ale dłonie miała spokojne, kiedy dolewała sobie koniaku.

– Że to ty zabiłaś Karla Danielssona w środę wieczorem jego własną pokrywką do garnka, a potem, na wszelki wypadek, udusiłaś go jego własnym krawatem. Potem zabrałaś jego aktówkę z pieniędzmi, którą bezmyślnie pokazał ci chwilę wcześniej. Jak również o tym, że w piątek rano, zaledwie trzydzieści godzin później, udusiłaś swojego kochasia Septimusa Akofeliego. Bo dosyć szybko zorientował się, że to ty zabiłaś, i już w czwartek ubzdurał sobie, że działałaś w obronie koniecznej, żeby Danielsson cię nie zgwałcił. Widocznie wcześniej powiedziałaś mu coś o Kalle Danielssonie. Być może to, że Danielsson próbował cię zmusić do seksu. I kiedy zobaczyliście się w piątek, ty i Akofeli, on zaczął cię namawiać, żebyś poszła na policję i wyjaśniła, jak to naprawdę było. Że to ty byłaś ofiarą, a nie Danielsson. Udusiłaś Akofeliego w sypialni, o tam. – Bäckström wskazał zamknięte drzwi w głębi salonu. – Najpierw się pieprzyliście, a potem on dał się namówić na rozluźniający masaż pleców. Później mieliście pójść razem na policję, żeby powiedzieć, co się wydarzyło.

– W życiu nie słyszałam większych bredni – powiedziała Britt-Marie Andersson. – Są dla mnie uwłaczające, więc mam nadzieję, że pan inspektor nie dzielił się z nikim swoimi urojeniami. W przeciwnym razie będę zmuszona oskarżyć cię o pomówienie. Oszczerstwo, tak to się chyba teraz nazywa. To by dopiero wyglądało.

– Rzeczywiście nikomu nic nie mówiłem. Pomyślałem, że wszystko zostanie między nami – skłamał Bäckström.

– Cieszę się – powiedziała Britt-Marie Andersson i uśmiechnęła się niemal tak jak zawsze. – Właśnie sobie pomyślałam, że ty i ja moglibyśmy to jakoś załatwić. Ciągnie swój do swego, Bäckström – dodała pani domu i nalala sobie trzeci kieliszek koniaku.

– Widziałem się niedawno z twoim byłym szwagrem – wyznał Bäckström. – Bardzo ciekawa osoba.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć – prychnęła Britt-Marie. – Od pół wieku chodzi nawalony. Przez całe życie nie powiedział nic sensownego.

– Mimo to chciałbym ci zrelacjonować, co mi powiedział. I radzę ci posłuchać.

– GDY ZOBACZYŁEM TE ZAPISKI w kalendarzu Kallego, pomyślałem, że chcesz pogadać o Bei – powiedział Połówka, wlewając sobie porządną trzydziestkę do filiżanki kawy. – A ty mi gadasz o jakiejś bandzie muzułmanów, którzy nie mają z tym nic wspólnego. Co, jest, kurwa? 11 września czy co?

– Bea – powiedział Bäckström. – Musisz mi wszystko wyjaśnić.

– Moja była szwagierka. Britt-Marie Andersson. Stara gwardia z Solny, największy biust i najlepsza dupa na północ od rogateg, ale to były inne czasy. Wtedy facet to był facet, a baba to baba. A teraz co? Same lesby.

– Dalej nie rozumiem.

– Bea, Britt-Marie Andersson. Mówiliśmy na nią Bea. Miała Salon BeA, duże A na końcu. Salon piękności BeA. Robiła trwałą ondulację setkom bab i jeśli przyszedłeś po zamknięciu albo umówiłeś się wcześniej telefonicznie, mogłeś liczyć na małe pukanko za zasłonką w salonie. Tak właśnie poznał ją mój brat. Rolle dał mu na nią namiary. Chociaż Rolle to akurat nigdy nie musiał płacić. Jeszcze czego. Mistrz Szwecji, następca Ingemara Johanssona, jak pisali w gazetach. Gdybyś widział jego fujarę, Bäckström. Gdyby Rolle zdjął gacie i zamachnął się przyrodzeniem, Ingo wylądowałby w ostatnim rzędzie.

– A twój brat się z nią ożenił.

– No właśnie, kompletnie oszalał na jej punkcie. Gdy Rolle stracił ostrość widzenia i leżał brzuchem do góry, Bea olała go i wyszła za braciszka. Za Całego, jak wtedy na niego mówili. Ubzdurała sobie, że mój braciszek, Per Adolf, ma furę kasy. Że lepiej postawić na niego niż na Rolle Stålhammara, który niedługo będzie się włóczyć po centrum Solny, bredząc, jak to kiedyś było lepiej.

– Co było dalej? – zapytał Bäckström. – Wiem, że twój braciszek oszedł jakieś dziesięć lat temu.

– Taaak, przykra sprawa. Razem z chłopakami kazaliśmy mu się wynosić. Pewnego wieczoru, gdy Mario zapraszał na



imprezę, nazwał go czarnuchem. No to zaczęliśmy na niego mówić Hitler z Rasunda i kazaliśmy mu spadać. Per Adolf, sam rozumiesz, i jeszcze te jego wąsiki. Braciszek ożenił się z Beą i wprowadził do pięknego domu nad jeziorem Rasta. Zadłużony po koniec komina, ale Bea o tym nie wiedziała, gdy w nadziei na spadek pieprzyła się z nim do utraty przytomności. Ponieważ braciszek nie miał grosza przy duszy, przeprowadziła się na Hasselstigen jeden. Uczepiła się Kalle Księgowego, to znaczy Kalle Danielssona.

– Chcesz powiedzieć, że był przy kasie?

– W tym czasie zaczynało mu się powodzić – rzekł Połówka, kiwając głową i nalał sobie ćwiartkę.

– Co było dalej z Kalle Danielssonem i Beą?

– Oszalał, zupełnie jak braciszek. Olał małą Ritwę i syna. Myślał tylko o tym, jak dobrać się do Bei. Wydał na nią ładny milion przez te wszystkie lata. Pewnie czytałeś jego kalendarz?

– Dalej nie rozumiem.

– MT, OP, SP. Ty chyba wcale nie jesteś taki sprytny – powiedział Połówka.

– Jakoś ciężko mi się myśli – wyznał Bäckström. – Może mógłbyś pomóc?

– MT jak małe trzepanko – powiedział Połówka i pokazał, jakby grał na gitarze przy własnym rozporoku. – OP jak obciążanie. – Złożył usta w dziubek. – I jeszcze SP. Szparka, w którą wkładasz, jak wszyscy porządni ludzie – zakończył Połówka. – Kalle prowadził dzienniczek ze swoich spotkań z Beą. Aż tak trudno to zrozumieć? Pięćset koron za zwykły masaż członka, dwa tysiące za obciążanie. Pięć tysięcy za zwykłe ruchanko. Widzę też, że kiedyś płaci dziesięć tysi. To za ten jeden raz bez gumki. Kalle pod koniec już chyba nie ogarniał. Kto płaci dziesięć tysi za zwykły numer? Arabów w to nie mieszaj, Bäckström – dodał Połówka i opróżnił filiżankę jednym haustem. – Tu chodzi o intymne relacje Kalle Danielssona i mojej byłej szwagierki Britt-Marie Andersson. Zresztą kiedy odkryła, że mój braciszek jest biedny jak mysz kościelna, wróciła do swojego panińskiego nazwiska. Przez dziesięć lat nazywała się Söderman. Cieszyłem się jak dziecko,

gdy wróciła do Andersson.

– Chwileczkę – powiedział Bäckström, któremu właśnie przysłała pewna myśl do głowy. – Przecież w słowie „obciąganie” jest „b”, a nie „p”.

– Cały Kalle – powiedział Połówka z uśmiechem. – Zawsze był taki. Ironiczny. A Britt-Marie zawsze udawała lepszą, niż jest. Gdy się do niej przychodziło, nie robiła ci zwykłej laski. Robiła ci perfekcyjną laskę, jak królowi. Cały Kalle.

– Ciekawe – powiedział Bäckström i na wszelki wypadek dotknął uszu, żeby sprawdzić, czy nie odpadły.

– OBCIĄGANIE – POWIEDZIAŁ BÄCKSTRÖM, ściągając usta w dzióbek, żeby podsumować rozmowę z byłym szwagrem Britt-Marie Andersson.

– Wiesz co? – szepnęła i pochyliła się do przodu, ukazując swoje wdzięki i kładąc opaloną dłoń po wewnętrznej stronie okrytego płótnem uda. – Coś mi się zdaje, że ty też miałbyś ochotę. – Palce sunęły w górę po idealnie skrojonych spodniach Bäckströma.

Czego, kurwa, nie dzwoni, pomyślał, zerkając na zegarek. Głupia lesba. W tej samej chwili usłyszeli dzwonek telefonu komórkowego.

– Twój czy mój? – zapytał Bäckström. Wyjął komórkę i żeby nie było wątpliwości, przytrzymał ją w górze. – Mój nie – powiedział, pokręcił głową i schował ją z powrotem do kieszeni.

– Pewnie pomyłka – powiedziała Britt-Marie Andersson, choć na moment jej oczy zwęziły się jak oczy Anniki Carlsson. Tej samej, która właśnie zadzwoniła na trzeci telefon, ten, który używany był do rozmów przychodzących od Karla Danielssona i Septimusa Akofeliego. Nie spóźniła się ani o sekundę.

– Wiesz co, Bäckström – powiedziała Britt-Marie, siadając mu nagle na kolanach, a jej opalona sztucznym brązem dłoń dotknęła koszuli na jego piersi. – Tak sobie właśnie pomyślałam, że byłaby z nas dobrana para.

– No to powiedz coś więcej – odparł. Nie czuł niepokoju, chociaż położyła już dłoń na jego krawacie. Przeworny zawsze ubezpieczony.

– Jesteśmy w tym samym wieku – ciągnęła Britt-Marie Andersson. – Mogłabym cię zabrać tam, gdzie jeszcze nigdy nie byłeś, i nie mam na myśli zwykłych podróży, tylko seks. Możemy się podzielić pieniędzmi Danielssona. Zresztą ukradł je innym złodziejom, jak chociażby tym strasznym Arabom, którzy próbowali cię zabić. Możemy...

– O jakiej sumie mówimy? – przerwał Bäckström z niezmaconym spokojem, pomimo że siedząca na jego

kolanach kobieta pieściła już jego krawat obiema dłońmi. Opalone, silne dłonie, spore jak na kobietę, jak dłonie mężczyzny. – Tak tylko pytam z ciekawości.

– Prawie milion – odrzekła, przesuwając dłońmi po jego niebieskim krawacie w żółte lilie.

– Naprawdę? – zdziwił się. – Dziś rano rozmawiałem z prokuratorem, a moi koledzy jakieś dwie godziny temu zajrzeli do twojej skrytki bankowej w banku SE w Solna centrum. Znaleźli w niej aktówkę Karla Danielssona, a w środku dwa miliony. Banknoty tysiąckoronowe, dwadzieścia plików po sto tysięcy każdy. A ten telefon przed chwilą – dodał – to dzwoniła moja koleżanka. Wybrała numer, pod który zwykle dzwonili Danielsson i Akofeli. Danielsson, żeby umówić się na seks, a mały Akofeli, to pewnie się w tobie zakochał. I wiesz co, Britt-Marie Andersson – rzekł jeszcze inspektor Evert Bäckström. – Właśnie sobie pomyślałem, że rozmawiam z wyjątkowo rzadkim egzemplarzem w mojej branży.

– Nie rozumiem – bąknęła, a jej oczy zrobiły się jeszcze węższe niż u Anniky Carlsson, gdy ta zastanawiała się, czy złoić skórę Stigsonowi za to, że mówił o Britt-Marie Andersson w tak poniżający dla kobiet sposób.

– Podwójna morderczyni – powiedział Bäckström. – W tej chwili nie mamy ani jednej kobiety, która by odsiadywała karę dożywocia z tego powodu. Tak naprawdę nie mieliśmy takiej od czterdziestu lat – dodał. – Wtedy była to fińska dziwka. Tym razem będzie to jej szwedzka koleżanka po fachu.

Zerwała się w gnieniu oka. Pewnie ze złości i w odruchowej reakcji na to, co powiedział, ale przede wszystkim zrozumiała chyba, że gra dobiegła końca. Chwyciła go za krawat. Pociągnęła z całej siły i runęła na plecy, bo mała plastikowa klamra trzymająca krawat rozleciała się na kawałki.

Klasyczny policyjny krawat, choć kosztował go dziesięć razy więcej niż ten, który nosił jego zapijaczony ojciec. Firmowy, niebieski, zawiązany tak, żeby bandyci nie mogli go nim udusić, gdy łąpał ich i wsadzał do aresztu na komisariacie w Maria. Również w domu w weekendy, bo nie miał już siły wiązać

zwykłego krawata.

– Dobra, Bea – mruknął Bäckström, wyjął kajdanki z kieszeni i chwycił ją za nadgarstki. – Teraz tylko spokojnie.

Bynajmniej. Odwinęła się, podcięła go, siadła na nim okrakiem i chwyciła go za szyję. Zaciśnęła dłonie, duże i silniejsze od jego rąk.

Piesek wyskoczył z koszyka i ruszył na ratunek swojej pani, szarpał i gryzł żółtą nogawkę drogiego garnituru. Następnie Britt-Marie Andersson, kobieta po sześćdziesiątce i z punktu widzenia kryminologii niepasująca do profilu zabójcy, nienadająca się na podwójną morderczynię, chwyciła butelkę koniaku ze stołu i walnęła nią Bäckströma prosto w twarz.

– Do diabła, Annika! – ryknął, a w jego głowie błyski mieszały się z ciemnością. Kiedy biła go kobieta, wołał zginąć, niż wołać o pomoc.

Komisarz kryminalna Annika Carlsson wpadła do pokoju z prędkością starej kuli armatniej. Kopnęła małego Pucia, który pofrunął lobem przez cały pokój, wymierzyła jego pani uderzenie pałką policyjną, dwukrotnie po barkach, dwukrotnie w ramiona. Następnie założyła jej kajdanki. Chwyciła ją za włosy, uniosła jej głowę i przekazała to, co w tak poważnej sytuacji kobieta może powiedzieć drugiej kobiecie: – Zachowuj się, paniusiu, bo inaczej nie żyjesz. – Jej głos zabrzmiał tak, jakby zapomniała, że łączy je solidarność płci. I że jest policjantką.

Resztę czułości wylała na swojego szefa, inspektora Everta Bäckströma.

– Obawiam się, że przetrąciła ci nos – powiedziała, gdy Felicia Pettersson i Jan O. Stigson wyprowadzali Britt-Marie Andersson z mieszkania.

– Jest okej – wysapał. Z obu dziurek w nosie sączyła się krew. Przeciągnął dłonią pod koszulą i wyjął dyktafon, który miał przylepiony taśmą do brzucha pod doskonale skrojoną płócienną marynarką.

– Żeby tylko działał – powiedział. – Znajdź jakiś plaster, to pojedziemy od razu na komendę – dodał, trzymając się grubymi palcami za nos.

LEDWO BÄCKSTRÖM z opatrzonym nosem znalazł się w swoim gabinecie, do środka wparował Niemi.

– A ty co? Wyglądasz, jakby ktoś cię przeciągnął przez magiel.

– Nieważne. W czym ci mogę pomóc?

– Przełom w śledztwie. Dzwonili przed chwilą koledzy z CLK, żeby powiedzieć, że zabezpieczyli DNA z rękawic kuchennych, które ten Polak znalazł w kontenerze. To DNA kobiety.

– Może to jego sprzątaczką? – zaciekał się Bäckström, choć już od kilku dni znał prawdę.

– Też tak pomyślałem – powiedział Niemi.

Drwal musi mieć nierówno pod sufitem, uznał Bäckström. Przecież sam widział, jak wygląda mieszkanie Danielssona, kto, kurwa, zatrudnia ślepą sprzątaczkę?, pomyślał.

– Tyle że potem znaleźliśmy to samo DNA pod paznokciami Akofeliego – dodał Niemi. – Problem w tym, że nie ma tego w żadnej bazie. Nie wiemy, kto to jest.

– Wczorajsze wieści, Niemi – powiedział Bäckström i odchylił się w fotelu, choć nos bolał go jak jasna cholera. – Jest już w areszcie – dodał. – Leć i weź od niej próbkę, skoro tu jesteś. Poza tym chciałbym, żebyście ty i twój kolega, ten z Ameryki Południowej, przeszukali mieszkanie. To tam zamordowała Akofeliego. A jak zostanie wam jeszcze trochę czasu, to w garażu stoi samochód, którym przewiozła ciało.

– O czym ty, kurwa, mówisz, Bäckström?

– Jestem policjantem. Wpadłem na to już dwa tygodnie temu.

Następny w kolejce był Toivonen.

– Gratuluję – powiedział. – Dochodzę do wniosku, że kiedy trzymasz język za zębami, da się z tobą wytrzymać.

– Dziękuję – odparł Bäckström. – Wiesz, że lejesz miód na serce starego posterunkowego.

– Nie ma za co – powiedział Toivonen, uśmiechnął się i wyszedł.

Zakatrupię cię, ty mały lisiku, pomyślał Bäckström.

Potem zadzwoniła prokurator.

– Cześć, Bäckström. Słyszałam, że pojmałeś sprawcę albo raczej powinnam powiedzieć: sprawczynię.

– Tak – przyznał.

– Rozmawiałam też z Niemim. Nakaz aresztowania przygotuję na jutro przed południem. Mamy uzasadnione podejrzenia.

– Gratuluję – powiedział Bäckström i odłożył słuchawkę.

Nawet Anna Holt zeszła do jego gabinetu.

– Gratuluję, Bäckström. – Skinęła głową z uśmiechem. – Zabiłeś dla mnie smoka.

– Dziękuję – powiedział. – Planujesz zwołać konferencję?

– Z tym poczekamy – odparła Anna Holt i pokręciła krótko ostrzyżoną głową. – Ostatnio dużo się działo. Chyba wystarczy nam zwykła notatka do prasy.

Jasne, pomyślał Bäckström. Najpierw odbieracie mi honor. Zaraz potem zabieracie mi dumę. Zostałem z parą pogryzionych płóciennych spodni, rozbitym stolikiem, zakrwawionym dywanem i ścianami podziurawionymi od pocisków we własnym domu. W ramach podziękowań dostaję kryształowy wazon, który oddaję mojemu zapitemu sąsiadowi, i policyjną odznakę, co podobno należała do jakiegoś frajera, który nie był nawet na tyle mężczyzną, żeby się ujawnić, tylko wolał się obściskiwać z krasnalami w trykotach.

– Co ty na to, Bäckström?

– *Fine with me* – odpowiedział i na odchodnym uraczył ją pełnym Sipowiczem. Zmykaj, chuda szkapo, pomyślał.

– Co teraz, kurwa, zrobimy z Seppo Laurénem? – zapytał czerwony na twarzy Alm zaledwie dwie minuty po tym, jak Holt wyszła z gabinetu.

– Dobrze cię widzieć, Alm – powiedział Bäckström. – Zrobimy tak, słuchaj uważnie.

– Słucham.

– Najpierw zbierz wszystkie kartki, które zapisałeś na temat małego Seppo. Potem zwiń je w tubkę, ściągnij kilkoma gumkami i wsadź sobie w dupę.

Nie dość, że głupi, to jeszcze nie ma za grosz poczucia humoru, pomyślał Bäckström, patrząc za wychodzącym Almem.

– Szacunek, szefie – powiedział Frank Motoele. Spojrzał na Bäckströma i lekko mu się uklonił.

– Dziękuję. Naprawdę to doceniam. – Gdybym miał takie oczy, nie byłby mi potrzebny sigge, pomyślał. Wystarczyłoby, że spojrzę na drania, a ten na klęczkach błagałby o łaskę.

– Został jeszcze jeden – powiedział Motoele i znów wejrzał w głąb siebie. – Małego Omara załatwimy po procesie. Mam kumpli w różnych zakładach, po obu stronach. Małe piwo.

– Rozumiem – powiedział Bäckström. Został jeszcze jeden? O czym on, kurwa, mówi, pomyślał.

– Szacunek – powtórzył Motoele. – Gdybyśmy mieli więcej takich ludzi jak szef, już dawno byśmy to rozwiązali.

– Uważaj na siebie, Frank – rzucił Bäckström. Gratulacje, Evert, pomyślał. Właśnie zakolegowałeś się z najbardziej przerażającym kolesiem na zachodniej półkuli, który został policjantem.

– A więc tu siedzisz i dumasz, Bäckström – powiedziała Annika Carlsson. – Jak twój nos?

– W porządku – odparł i dotknął ostrożnie opatrunku.

– Może skoczmy na piwo? Jakby co, stawiam.

– Okej.



POTEM ZABRAŁ KOLEŻANKĘ Carlsson do swojej ulubionej knajpy. Nie było ryzyka, bo jego osobiste białe tornado pojechało do Jyväskylä odwiedzić wszystkich swoich licznych krewnych, na wszelki wypadek zabierając ze sobą łypiącego spode łba męża.

Który normalny facet ryzykowałby comiesięczne sprzątanie i jeden numerek w tygodniu dla zwykłej lesby? Nawet takiej, która twierdzi, że strzela do niejedynej bramki, pomyślał Bäckström.

Mimo wszystko czas upływał im przyjemnie do końca wieczoru.

– Wiesz co – powiedziała Annika Carlsson. – Jeszcze nigdy nie pieprzyłam się na łóżku z Hästens. Co ty na to?

Potem ujęła go za rękę i ścisnęła ją swoimi długimi, silnymi palcami. Jakby ktoś założył mu na ramię stalową linę.

– A bo ja wiem – zamyślił się Bäckström, bo nos bolał już tak potwornie, że równie dobrze mógłby jeszcze przed snem dać sobie rozwalić szczękę. W zdemolowanym mieszkaniu, które kiedyś było jego domem. – Mówiąc szczerze...

– Wal.

– Nie wiem, kurwa, czy się odważę. – Słowa padły, a szczękę mam całą, pomyślał.

– Już ci mówiłam, Bäckström, w sprawie seksu jestem otwarta na różne opcje. Jeśli chcesz, mogę być milutka, ale potrafię też być bardzo, bardzo niegrzeczna.

– Niech się zastanowię – odpowiedział. Pot lał się już pod rękawami żółtej płóciennej marynarki. Kobieta, a mówi takie rzeczy. Straszne, pomyślał.

– W porządku. – Annika Carlsson wzruszyła szerokimi ramionami. – Zdecyduj się tylko, zanim stąd wyjdziemy. Spokojnie, Bäckström – dodała łagodnie i przesunęła paznokciami po jego dłoni. – Zresztą już powiedziałam, że zapłacę rachunek.

Potem włożyła rękę do kieszeni i wyjęła z niej banknot

tysiąckoronowy. Dokładnie taki jak banknoty, którym oboje przyglądali się tydzień wcześniej w skarbcu Handelsbanken na Valhallavägen.

A więc to tak, pomyślał Bäckström. I tak przestał wierzyć w ludzkość już ponad pół wieku temu.

– Jak ci się udało wyjąć to ze skarbcza? – zapytał.

– Normalnie, tak jak zawsze robią to dziewczyny – powiedziała Annika Carlsson z uśmiechem. – Poza tym byłeś na tyle uprzejmy, że poszedłeś na górę zadzwonić do Toivonena. Wzięłam jeden plik, wyjęłam banknot, zwinęłam, włożyłam do gumowej rękawiczki, a potem włożyłam plik tam, gdzie zawsze.

– Do cipki – powiedział Bäckström, bo znał już odpowiedź.

– Najpierw jednak zwilżyłam go w ustach – odparła Annika Carlsson. – Taki patent z dawnych czasów, kiedy pracowałam jako strażniczka więzienna w areszcie dla kobiet, dopiero potem dostałam się do szkoły policyjnej. Nie masz pojęcia, co w ciągu tamtego roku potrafiłam znaleźć między nogami aresztantek. Chociaż miałam kłopot, kiedy poszliśmy do Niemiego. Jestem tam dosyć ciasna, więc strasznie mnie uwierało – wyjaśniła. – Wiesz co, Bäckström? Właśnie sobie pomyślałam, że byłaby z nas ładna para – dodała i raz jeszcze przesunęła dłonią po jego ramieniu.

– Muszę się zastanowić – odparł. Do czego to wszystko zmierza? Dokąd zmierza ten kraj? Co się dzieje z policją?

I gdzie się, kurwa, podziała księżniczka i połowa królestwa?, pomyślał.



lesiojot